



**MAJA LIDIA  
KOSSAKOWSKA**



**Obrońcy  
Królestwa**



**MAJA LIDIA KOSSAKOWSKA**

**OBRONCY KROLESTWA**

## BEZNOGI TANCERZ

...anioly sa zazwyczaj jedynie demonami stojacymi miedzy nami a naszym wrogiem.

Gene Wolfe, Miecz liktora

Powiadaja, ze w czasach przed Stworzeniem byl posrod sylfow tancerz, ktorego kunszt nie mial sobie rownych we wszystkich wszechswiatach. Telto, Matka Demonow, dowiedziawszy sie o tym, sprowadzila go do swego palacu, aby zabawiac oczy jego popisami. Jednakze po niedlugim czasie tancerz zatesknil za Podniebna Kraina oraz bliskimi, z ktorymi zmuszony byl sie rozstac, i potajemnie opuscil dominium Telto. Matka Demonow, wpadlszy w wielki gniew, rozkazala pojmac uciekiniera i odrabac mu nogi, aby przed nikim innym nie zatanczyl ten, kto osmielil sie wzgardzic jej laskami. Slawa tancerza nie zgasla jednak. Przeciwnie, nawet w odleglych, dominiach chwalono i podziwiano jego sztuke. Telto, sadzac, ze jej rozkaz nie zostal wykonany, poslala siepaczy, aby zgladzili sylfa i ostatecznie rozwiazali upokarzajaca sytuacje. Ku swemu zdziwieniu ujrzeli oni lezacego w lozu kaleke, ruchami dloni ozywiajacego papierowa lalke w stroju tancerza. Nim zginął pod ciosami mieczy, mial ponoc rzec: "Zabierzcie moje zycie, skoro niczego wiecej nie potraficie mi zabrac".

Opowiesci zaslyszane i spisane ku rozrywce i nauce przez anielice Zoe z dworu Jasniejacej

Madroscia Pani Pistis Sophii – Dawczyni

Wiedzy i Talentu

Jaldabaot byl zadowolony. Ogromna krysztalowa szyba w Komnacie Blasku rozjarzyla sie i przygasla, ukazujac nowy obraz – rozlegla przestrzen, w ktorej dominowaly nagie, ostre niby brzeszczoty skaly. Ponad ich grzbietami Isnila lustrzana tafla bladego nieba. Krajobraz mial w sobie podniosla czystosc przywodzaca na mysl potege chorow niebianskich.

Na tle monumentalnych wzniesien trudno bylo z poczatku zauwazyc ogromna liczbe poruszajacych sie postaci, ubranych w popielate i bure tuniki aniolow sluzebnych. To ich morderczy wysilek przyczynil sie do wypietrzenia szczytow, ale Jaldabaot nie zaprzatal sobie tym glowy. Rozpierala go duma. Lubil sobie uswiadamiac, ze Architektem, co prawda, jest Pan, lecz nadzor nad budowa spoczywa w jego rekach.

Co za piekny swiat, myslal, smuklymi palcami muskajac pietrzace sie na biurku

mapy i plany. Tak, z całą pewnością był zadowolony, gdyż potęga, która dysponował, nie miała równych wśród powołanych do tej pory do życia..

\*\*\*

–To miejsce doprowadza mnie do szalu – powiedział Daimon Frey. – Kiedy ostatni raz miałes na sobie czystą koszulę? Mam wrażenie, że śmierdze, moje lachy cuchną zgnilizną, a miecz pokrywa brudny nalot. Niedługo zapomne, do czego służy. Według niektórych pewnie do dlubania w zębach. Zdajesz sobie sprawę, jak długo już tutaj tkwimy?

–Czwarty rok według rachuby Królestwa – mruknął Kamael.

Miał szczupłą, inteligentną twarz i słynne z piękności oczy o barwie czystego nieba. Długie, sięgające do linii szczęki kasztanowe włosy zaczesywał do tyłu.

–Jego wspaniały, nowy świat! – Daimon ścisnął palcami skronie. – On oszalał. Uważa, się za Stwórcę. Wkrótce udlawi się własnym dostojenstwem. Złośny, próżny demiurg. Słyszales, że kazał się nazywać Prawica Pana? Według mnie "proteza" brzmiałaby trafniej. Pozbył się nas z Królestwa, bo trzęsie się ze strachu. Dwaście tysięcy Aniołów Zniszczenia, nadzorujących usypywanie gór, kopanie rowów pod rzeki, osuszanie bagien i cała reszta tych beznadziejnych, prostackich robot hydraulicznych. Kiedy to się skończy, kaze nam wytyczać grządki pod nasionka, zobaczysz!

Kamael westchnął. To, co powiedział Frey, było prawdą, ale nie pozostawało nic innego, jak zacisnąć zęby i przetrwać.

Daimon wysaczył ostatnie krople wina z trzymanego w ręku kielicha i nachylił się, żeby sięgnąć po stojący w cieniu za glazem dzban.

–Hej! – krzyknął swym ochrypłym i niemal bezdzwiecznym głosem, który przypominał plusk kamieni wrzucanych do podziemnego jeziora. – Dzbanek jest pusty! Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście widzę dno?!

Od grupy pracujących najbliżej natychmiast oderwała się mała, przerażona anielica, przechylona pod ciężarem pokaznej konwi.

–Racz wybaczyć, panie – jęknęła płacząco. – Racz wybaczyć.

W jej oczach błysnęły łzy. Zaczęła niezgrabnie napełniać dzbanek. Odprawił ją ruchem ręki.

–Sam to zrobisz – powiedział ze znużeniem. – Inaczej niechybnie mnie oblejesz.

**Ukloniła się i uciekła. Wino miało cierpki smak i zdecydowanie należało do gatunku popularnie zwanego cienkuszem. Skrzywił się, odprowadzając wzrokiem pośpiesznie drepcząca anielice.**

**–Jak myślisz, czy Jaldabaot specjalnie powybierał dla nas najbrzydsze słuzące, żeby nie stwarzać niepotrzebnych pokus? – Dopiero teraz na drapieżnej twarzy Daimona pojawił się uśmiech.**

**Kamael miał przed sobą ostry profil przyjaciela. Nie po raz pierwszy przeszło mu przez myśl, że nie chciałby zmierzyć się z nim w otwartej walce.**

**Daimon spokojnie saczył wino. Czarne włosy, odrzucone do tyłu, sięgały połowy pleców. W pociągłej twarzy plonęły głęboko osadzone, ciemne oczy. Ich spojrzenie, a także gardłowy głos, który czasem przechodził w nieprzyjemną chrypkę, potrafiło wywołać ciarki na plecach najbardziej pewnych siebie.**

**Wielu, w tym sam Kamael, podziwiał Daimona, lecz równie liczni bali się go i nienawidzili. Nie bez słusznosci, gdyż trzymające kielich silne, zwłaszcza dłonie należały do najlepszego szermierza w Królestwie. Jego pochodzenie także mogło stać się źródłem zawisłości, bo Daimon był aniołem krwi – czystej, niebezpiecznej i potężnej, jak Miecz, któremu służył.**

**Rycerze Miecza stanowili elitę. Pełnili funkcje oficerów nad dwunastoma tysiącami Aniołów Zniszczenia, zwanymi Szaranczami, ponieważ po ich przejściu pozostawała tylko gola ziemia, bez jednego źdźbła trawy. Dowodził nimi Kamael, a ich największą świętością był Miecz, którym u zarania Przedwieczny rozdzielił ostatecznie Światło od Mroku. Wtedy zostali stworzeni pierwsi, najpotężniejsi aniołowie, zmuszeni natychmiast dokonać wyboru, czy opowiadają się po stronie Ładu, czy Chaosu. Wielu wybrało Ciemność. Wkrótce wybuchła wojna, a po pierwszych krwawych, lecz nierozstrzygniętych potyczkach Pan stworzył swych najlepszych wojowników, Aniołów Miecza, i posłał ich do boju na czele Szaranczy. Posłał w sam środek szalenstwa i masakry. Zmusili armię Ciemności do cofnięcia się poza granice czasu, ale reby nowego świata stanęły na miejscu zbryzganym ich krwią. W Królestwie szeptano, że to ona nadała czerwoną barwę planecie Mars, a zakopane głęboko w ziemi żelazo, pochodzące z ich porzuconych na pobojowiskach zbroi i oręża, na zawsze zostało naznaczone krwawymi plamami, które ludzie nazwa potem rdzą.**

**Niektórzy przeżyli. I tych właśnie demiurg Jaldabaot skierował do nadzorowania robot ziemnych w powstającym na nowo świecie, mającym jakoby szczególne znaczenie w boskim planie Stworzenia.**

**Daimon wznosił w górę kielich.**

**–Za Marszałka Murarzy i jego niezrównany talent twórczy!**

**Wypili szyderczy toast. Ich spojrzenia spotkały się na moment.**

**To trwa o wiele za długo, pomyślał Kamael, widząc cien goryczy ostatnio wciąż obecny w kącikach ust przyjaciela. Moim najlepszym oficerom puszczały nerwy. Nawet Daimon jest u kresu sił. Coż, otrzymaliśmy wspaniałą nagrodę za wierną służbę!**

**Frey odgarnął z czoła opadające kosmyki. Z nieba lał się żar, zmuszał do mrużenia powiek. Na rozposcierającej się przed nim rozległej równinie wylobione były nieregularne wykopy, przypominające lizaje.**

**Mdli mnie od tego widoku, pomyślał. Stuknął paznokciem o brzeg kielicha. Może lepiej, żebym się upił? Chociaż upijanie się takim winem jest zbrodnią przeciw dobremu smakowi.**

**–Spójrz tam! – zawołał nagle Kamael, wskazując palcem poruszający się na horyzoncie punkt.**

**Frey przesłonił ręką oczy.**

**–Zwiadowca?**

**–Pedzi, jakby go demony ścigały.**

**Daimon skierował na dowodce spojrzenie, w którym błysnęła iskierka zainteresowania.**

**–Myślisz, że Pan wysłuchał naszych modłów?**

**–Mam nadzieję, że nie – odparł ponuro Kamael.**

**\*\*\***

**–Tak – mruknął Daimon. – Nie mam wątpliwości, że Pan nas wysłuchał.**

**Klecał na szczycie wzgórza z dłońmi opartymi o ziemię.**

**–Zastanówcie się, o co prosicie, bo przy odrobinie pecha możecie to otrzymać – odezwał się cierpko Kamael.**

**–Więc lepiej nie prosicie o nic – dokonał Frey.**

**Wódz Aniołów Miecza pochylił się w siodle.**

**–Mocne?**

**–Jak sama zaraza. Lepiej tu podejdz i sprawdz.**

**Kamael zsiadl z konia i przyklekнал obok Daimona. Kiedy polozył reke na ziemi, twarz sciagnela mu sie w nieladnym grymasie. Poderwal sie, gwałtownie potraszając dlonia.**

**–Jak ty to wytrzymujesz?**

**Daimon poslal mu krzywy usmiech.**

**–Rozumiesz, rutyna.**

**Wstal, otrzepal rece i wskoczyl na siodlo. Jego kon miał sierśc równie czarna jak włosy pana. Nazywal sie Piolun. Jak wszystkie konie kawalerii naležal do boskich Zwierzat i jak wszystkie Zwierzeta byl kompletnie szalony. Odzywal sie rzadko, a mowil najczesciej zagadkami. Lecz Daimon nauczyl sie bezgranicznie mu ufac, po tym jak Piolun wielokrotnie uratowal mu zycie. Oprócz rumakow do Zwierzat zaliczali sie Chajot, Wieloocy, Bestie, Istoty i potwory jak Lewiatan czy Behemot, lecz kontakt z nimi zawsze byl utrudniony, bo zachowywali sie nieprzewidywalnie i zdaniem wiekszosci aniolow mowili od rzeczy. Jednakze rumaki, jako najrozsadniejsze z nich, powszechnie sluzylы za wierzchowce.**

**–Dawno obserwujesz te wibracje? – spytal Kamael.**

**Zwiadowca, ktory przyprowadzil ich na wzgorze, potraszal glowa.**

**–Zawiadomilem was, panie, gdy tylko je wyczulem, ale nie wiem, jak dlugo trwaja, bo pracujacy tu aniolowie sluzebni niczego nie zgłaszali.**

**Daimon wykrzywil usta.**

**–No pewnie – rzucil gorzko.**

**Piolun przestapil z nogi na noge. Niespodziewanie uslyszeli jego glos, wprost w umysle, jak zimne dotkniecie stali. To nie bylo przyjemne uczucie.**

**–W glebokich dolinach zbiera sie cien. Ma barwe nocy, lecz pachnie jak krew. Nazywaja go smiercia, ale nie maja racji. Smierc przy nim jest pelnia zycia.**

**–Zgadzam sie z nim – powiedzial Daimon. – To nie sa zadne lokalne manifestacje ciemnosci. Chyba ktos chce nam zlozyc wizyte.**

**Kamael pobladl.**

**–Myslisz, ze to... – Zawiesil glos.**



**–Czules te wibracje? Poparzyły mi rece.**

**Spojrzeli na siebie. Niewiele zostało do powiedzenia.**

**–Coż, Daimon – westchnął Kamael. – Chyba pojedziesz do Królestwa wcześniej, niż się spodziewałeś.**

**\*\*\***

**Niech czeka, zdecydował Jaldabaot. To dobrze mu zrobi. Nieco zegnije ten swój hardy kark. Będzie musiał polknąć upokorzenie, zrozumieć, gdzie jego miejsce. Za kogo oni się uważają, ci Aniołowie Miecza? Banda butnych młokosów. Żadnego szacunku, żadnej pokory. W sumie to pospoliccy mordercy.**

**Od dawna byli mu solą w oku. Stworzeni, a nie zrodzeni. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Pan ofiarował im aż tak wysoką pozycję, tak świetne pochodzenie. Stworzył ich osobiście, na długo po tym, jak nadał słowom Metatrona moc powoływania do życia wciąż nowych zastępów aniołów.**

**A właściwie dlaczego Metatron? Aniołowie niskich kręgów, te rzesze ptactwa niebieskiego, nazywają go po cichu przyjacielem Pana. Czy to tylko brak szacunku, czy może już świętokradztwo?**

**Jaldabaot tysiące razy tłumaczył sobie, że Metatron otrzymał łaskę stwarzania niższych aniołów, bo on sam ma zbyt wiele obowiązków przy budowie Ziemi, lecz poczucie krzywdy jęczyło się jak zbyt głęboko wbita drzazga. Pozostawała przecież jeszcze jedna zniewaga – archaniołowie. Tego Jaldabaot zupełnie nie potrafił pojąć. Aniołowie Miecza Pan stworzył do boju z potrzeby chwili, ale po co Mu archaniołowie? Bezczelne, nieopierzone kogutki! Agresywne dzieci, które bawią się w prawdziwych dostojników! Na łaskę Pana, są przedostatnim z chorów! Trzeba będzie utrzymać im nosa. Trzymają z tymi rycerzykami, tymi krwawymi gnojkami od Miecza. Frey jest z nich najgorszy. Awanturnik. Mroczna, zatwardziała, dusza. Niech czeka. Wytrze sobie buty jego dumą. Niech czeka.**

**\*\*\***

**Daimon czekał. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie krzyczeć nerwowo po korytarzu. Mijały godziny, dzień miał się ku końcowi. Wieczór rozbryzgał czerwone słoneczne plamy na posadzkach Domu Archontów.**

**\*\*\***

**Jaldabaot omawiał wzory na nowe arras w refektarzu. Nie mógł się zdecydować, wybierał długo. Niech czeka.**

\*\*\*

Daimon starał się nie patrzeć wyczekująco na drzwi. Czubkiem miecza grzebał w szczelinie między marmurowymi płytami podłogi.

\*\*\*

Jaldabaot oglądał hafty na swojej nowej szacie. Podobały mu się, ale robił wiele uwag i poprawek. Zgromadzeni w sali audiencyjnej archaniołowie zaczęli zdradzać oznaki zmęczenia. Stali tu od rana i Jaldabaot miał nadzieję, że któryś zemdleje. Niestety, rozczarowali go. Trudno, jest jeszcze ten Frey. Niech czeka. Teraz trzeba się zająć przebudową altany w Ogrodzie Rozanym. Przecież to pilne!

\*\*\*

–Wielki Archont, Budowniczy Wszechświata, Eon Eonów, Prawica Pana, Zwierzchnik Wszystkich Chorów, Książę Książat Niebieskich, Jasniejący Moca i Sprawiedliwość Jaldabaot, Pan Siedmiu Wysokości przyjmie teraz Daimona Freya, Rycerza Miecza! – obwiescił herold.

Daimon ruszył do drzwi.

–Ależ, panie – wymamrotał wartownik. – To sala audiencyjna. Nie możesz tam wchodzić z bronią u boku!

Na twarzy Freya pojawił się wyjątkowo paskudny uśmiech.

–Jestem Aniołem Miecza – powiedział. – Nie lubię się z nim rozstawać. Jeśli ci to nie odpowiada, odbierz mi go.

Wartownik przepuścił Daimona bez słowa.

\*\*\*

–Powtórz jeszcze raz to, co powiedziałeś. Nie słuchałem cię zbyt uważnie.

Daimon po raz trzeci tego wieczoru zaczął streszczać sytuację, która zmusiła go do odwiedzenia Wielkiego Domu Archontów. Twarz miał kamienna, ale głos nabral chrapliwego, nieprzyjemnego brzmienia.

–Zwiadowca odkrył źródło niezwykle silnych wibracji. W ciągu paru godzin w tym samym rejonie znaleziono pięć podobnych źródeł. Moc, która z nich płynie, jest bardzo potężna. Pochodzi z samego serca Mroku, nie z jego manifestacji. Podejrzewamy, że niebawem nastąpi w tej okolicy atak Cienia. Osobisty. W jego własnej postaci, nie poprzez któregoś z podległych demonów. Wyjaśnię na

wypadek, gdybys nie sluchal zbyt uwaznie... Prawico Pana.

Jaldabaot, dotychczas stojacy do niego plecami, obrócił się.

Wszystkich zgromadzonych w sali audiencyjnej od początku zaskakiwał kontrast pomiędzy obydwoma aniołami, teraz, gdy stali naprzeciw, widoczny jeszcze wyraźniej.

Daimon ubrał się starannie, lecz bez przesady – tak jak lubili się nosić Aniołowie Miecza. Miał na sobie białą koszulę z cienkiego, delikatnego materiału, ukryta pod krótkim, sięgającym talii kaftanem z czarnej skóry, wąskie czarne spodnie i długie buty, zapinane na niesamowitą liczbę klamerek. U boku nosił miecz i sztylet. Włosy związał luźno na karku, pozostawiając wolno dwa pasma, opadające aż na piersi. Na palcu prawej ręki widniała jedyna ozdoba, pierścionek z czarnego kamienia z wyrytą pieczęcią, symbolem znaczenia, pozycji i pochodzenia. Wysoki i smukły, niemal dorównywał Jaldabaotowi wzrostem.

Wielki Archont był piękny. Jego proporcjonalna, doskonała twarz przypominała posąg z marmuru. Ceremonialne szaty oslepiały bielą, pokryte mieniącymi się, skomplikowanymi haftami i aplikacjami z bezcennych, przejrzystych jak sama Jasność klejnotów. Sztywny kołnierz płaszcza otaczał kunsztownie ufryzowaną głowę. Włosy Jaldabaota lśniły niczym srebro, podobnie jak cudowne, zimne oczy o przenikliwym spojrzeniu. Wąskie, niemal porcelanowe dłonie demiurga zdobiły pierścionek z białego złota i brylantów. Ilekroć się poruszył, dawał się słyszeć suchy szelest kosztownych tkanin.

– Twierdzisz więc, że Ziemia, ognisko nowego życia, które spodobało się Panu rozniecić, zostanie zaatakowana przez Antykreatora, przez Jego Cień, rzucony w czasach przed czasem na otchłanie Niebytu. Mam przez to rozumieć, że ten, którego nazywamy Odwiecznym Wrogiem i Siewcą Wiatru, powrócił z Czelusci tylko teraz i właśnie po to, żeby naprzykrzać się Rycerzom Miecza?

Daimon poczuł, jak ogarnia go fala ślepej wściekłości. Powoli zaczął rozumieć, że ten szalony despota zlekceważył niebezpieczeństwo jedynie dlatego, żeby go upokorzyć. Mimowolnie zacisnął pięści.

Jaldabaot spoglądał na niego z triumfalnym uśmiechem na ustach.

– Wyjaśnij mi, skąd masz pewność, że wibracje pochodzą od Antykreatora?

– Czuję jego obecność. – Głos Daimona wciąż brzmiał niemal spokojnie.

– Ach tak? – Jaldabaot unosił brwi z wyrazem udanego zdziwienia. – Udało ci się po prostu wyczuć? Czy to jakaś sztuczka magiczna?

**Twarz Daimona sciagnela sie. Pobladl, a w oczach zaplonal mu zlowrogi ognek.**

**–Zapominasz, Wielki Archoncie, ze kilka razy mialem okazje widziec go z bliska.**

**–Interesujace. Z bardzo bliska?**

**–Z tak bliska, jak ty nigdy bys sie nie osmielil. Na wyciagniecie miecza.**

**Cisza w sali stala sie prawie namacalna.**

**Nagle Jaldabaot rozesmial sie.**

**–Twoja bezczelnosc, rycerzu – powiedzial – znacznie przewyzsza odwage. Powtorz glosno, przed wszystkimi, prosbe, z ktora tu przybyles.**

**Przez chwile zdawalo sie, ze Aniol Miecza skoczy Jaldabaotowi do gardla. Opanowal sie jednak.**

**–Przyjechalem po pomoc – odezwal sie chrapliwie. – Po oddzialy, ktore pozwola nam stoczyc wzglednie rowna walke z potega Cienia.**

**Demiurg znow odwrocil sie do niego tylem, a Daimon uslyszal spiewny szelest drogocennego jedwabiu.**

**Juz prawie po wszystkim, to niemal koniec, powtarzal sobie. Za chwile stad wyjde. Spokojnie i powoli.**

**Jedwab nadal spiewal, posadzka lekko sie kolysala, a kostki zacisnietych piesci Daimona byly biale jak papier. Glos Wielkiego Archonta, dochodzacy jakby z oddali, nie budzil zdziwienia ani specjalnych emocji.**

**–Nie dostrzegam potrzeby przegrupowania zadnych oddzialow. Wasze sily sa az nadto wystarczajace. Nie mam zamiaru powolac pod bron chocby jednego zolnierza tylko dlatego, ze kilku oficerow Miecza popadlo w bezpodstawna panike. Posilki sa potrzebne przy budowie gwiazd i planet. Radze nauczyc sie panowac nad wlasnymi slabosciami. Mozesz to powtorzyc swemu dowodcy.**

**–Co do slowa – warknal Daimon.**

**–Aha, jeszcze jedno. Na przyszlosc nie bede tolerowal zadnej niesubordynacji. Mam na mysli opuszczenie przez ciebie posterunku bez wyraznego nakazu. Nastepnym razem poniesiesz zasluzona kare.**

**Aniol Miecza poslal mu przeciagle spojrzenie.**

**–Nie bedzie zadnego nastepnego razu. Zapewniam cie.**

**Ma wilcze oczy, pomyslał Jaldabaot. Za chwile rzuci sie gryzc. Coz, wilczku, zdaje sie, ze powyrywalem ci kly.**

**–Mozesz odejsc. – Niedbale machnal reka. – I tak zajales mi zbyt wiele czasu.**

**Daimon sklonil sie sztywno, ceremonialnie. Jego twarz wydawala, sie zupełnie bez wyrazu, lecz nie wiadomo jakim sposobem w kazdym gescie aniola krylo sie wiecej pogardy niz w jakimkolwiek ostentacyjnym nietakcie.**

**Jaldabaot nie raczyl sie odklonic ani nawet spojrzec na odchodzacego.**

**\*\*\***

**–Widzieliscie, jak go potraktowal? Jak smiecia! – Glos Lucyfera drzal z oburzenia.**

**–Nie lepiej obszedl sie z nami – mruknal Razjel.**

**–Bezczelny dupek! – wrzasnal poirytowany Michael, potraszajac szafranowymi lokami. – Zmusil nas do stania caly dzien w swojej pieprzonej sali tronowej za kare, ze mu podskakujemy. Niby male anieleta w kacie!**

**–Problem w tym, ze musimy go sluchac.**

**–Kto powiedzial, ze musimy? – Lucyfer walnal piescia w stol.**

**Gabriel bawil sie pierscieniem z pieczęcia.**

**–Uwazacie, ze sytuacja dojrzala do dzialania? – spytal.**

**Rafael poruszyl sie nerwowo, juz otworzyl usta, ale sie nie odezwal. Archaniolowie trwali w ponurym milczeniu.**

**–Zastepy z pewnoscia pojda za nami – powiedzial wreszcie Michal. – Recze za to.**

**–Wiem, Michasiu – westchnal Gabriel. – Ale co z rzesza aniolow sluzebnych, urzednikow dworu, stara arystokracja, gwardia palacowa i wszystkimi pozostalymi. Wola Jaldabaota jest dla nich rownoznaczna z wola samego Pana.**

**–Wszedzie narasta niezadowolenie. – Razjel wzruszyl ramionami.**

**–Aniolowie Miecza tez za nami pojda. Zwlaszcza po tym, co sie stalo wczoraj – dodal Lucyfer.**

**–Jesli ktorykolwiek z nich zostanie przy zyciu – mruknal milczacy do tej pory Samael.**

**–Nie moge uwierzyc! – wykrzyknal Rafal. Na jego twarzy malowala sie udreka. – Czy my rzeczywiscie rozwazamy mozliwosc buntu?**

**Samael sie skrzywil.**

**–Alez skad. Omawiamy plan pikniku w Ogrodzie Rozanym.**

**–Do rzeczy, panowie – powiedzial sucho Gabriel. – Co proponujecie?**

**–Przygotowywac sie powolutku i zwracac na siebie jak najmniej uwagi – rzekl Razjel. – Panowanie Jaldabaota lada chwila sie rypnie. Wtedy zgrabnie zajmiemy jego miejsce.**

**–No to na co czekamy? Do dziela! – Michal usmiechnal sie radosnie.**

**–Nie mozemy teraz zaczac – przerwal Gabriel – bo sprawimy wrazenie, ze wystepujemy przeciw Panu! Chyba nikt tego nie chce?**

**–W zadnym wypadku! – zawolal Lucyfer, wyraznie poruszony. – Przeciw Panu?! Nigdy! To nie wchodzi w gre!**

**Zapadla cisza. Przerwal ja kpiacy glos Samaela.**

**–Pogadalismy sobie, panowie. Ponarzekalismy. Jak zwykle. Chodzmy juz do domu, dobra? Nogi mnie bola.**

**–Pan obsadził Jaldabaota na stanowisku Wielkiego Archonta. Widocznie miał swoje powody, chociaz ciezko mi zrozumiec jakie.**

**–Wiec zasuwasz i spytasz Go o to, Gabrysiu – warknal Samael.**

**–Wiecej szacunku – syknal Michal. – Za chwile przegniesz pale i...**

**–Wiem, pozbieram zeby z podlogi.**

**–Zamknijcie sie! – Glos Razjela zabrzmial jak trzask bicza. – Zachowujecie sie jak szczeniaki. Przypominam, ze rozmawiamy o wladzy w Krolestwie, a nie o praniu sie po pyskach. Wychodzi na to, ze czekamy na wyrazny znak Pana. Znak, ze Jaldabaot utracil laske w Jego oczach.**

**–Tak. – Gabriel nerwowo obracal na palcu pierścien. – Bez tego nic nie zdzialamy.**

**\*\*\***

**–Odmowil?! – W glosie Samaela slychac bylo niedowierzanie pomieszane z wsciekloscia. – To niemozliwe! Wytlumaczyles mu wszystko jak trzeba?**

**Daimon spojrzal na niego, a w oczach mial cos takiego, ze dowodca Aniolow Miecza zamilkl.**

**–Tak – odpowiedzial wolno. – Trzy razy. Kazal nam pracowac nad slabosciami.**

**Kamael dzielnie staral sie nie pokazac po sobie, ze jest zalamany.**

**–No nic. Ewakuujemy z zagrozonego terenu wszystkich, ktorzy nie sa niezbedni, wzmocnimy posterunki, skrzyknjemy chlopakow i...**

**–Przygotujemy sie na smierc – dokonczył Frey.**

**\*\*\***

**Nikt nie zapamietal imion dwoch aniolow, ktorzy zgineli pierwsi. Po prostu nagle ziemia i niebo pekly, przedzielone pionowa szczelina, ktora rozszerzyla sie, tworzac wrota zdolne przepuscic jednoczesnie piecdziesieciu jezdzcow. Fala mrocznej energii wylala sie na rownine, pochlaniajac pracujacych przy wykopach robotnikow. Umierali ogluszeni, zatruci, zdlawieni, z sercami przepelnionymi strachem, jakiego nie doswiadczyli nigdy dotad. Wszystko to trwalo nie dluzej niz mgnienie. Potem przez brame przestapily nieprzebrane szeregi dziwacznych kreatur, podobnych do klebow ciemnosci, na pozor niezgrabnych, lecz przerazliwie skutecznych. Rycerze Cienia plyneli lawa. Byly ich dziesiatki, setki i setki tysiecy, widocznych w przejsciui miedzy swiatami. Wylewali sie przez otwarte wrota, powoli jak polyskliwa rzeka, magmy. Powietrze, naladowane potezna, zlowroga moca, drzalo. Stojacy na wzgorzu Aniolowie Miecza poczuli dobrze znane symptomy obecnosci Cienia – ucisk w klatkach piersiowych, szum w uszach i mdlosci.**

**–Antykreator! – szepnal Kamael.**

**Jofiel wyciagnal reke.**

**–Patrzcie! Jest tam.**

**Rzeczywiscie, daleko, widoczny przez szczeline miedzy swiatami, drgal gesty, wibrujacy Cien.**

**–Niech Pan blogoslawi wszystkie bramy Krolestwa. – Kamael wypowiedzial prastara formule.**

**–Niech Miecz prowadzi i zwycieza. – odrzekli.**

**–Zajmijcie stanowiska.**

**Zawrocili rumaki i uformowali szyk. Za ich plecami czekalo w ciszy dwanascie**

tysiecy doborowej jazdy Krolestwa. Bukraniony ich koni, wymodelowane w kształt lwich głów, polyskiwały matowo.

Daimon wysunął się na czoło prawego, a Jofiel lewego skrzydła. Kamael zajął miejsce w centrum.

–Do boju, Szaranczo! – krzyknął.

Witaj, niebysie, pomyślał Daimon.

Nie mieli żadnych szans. W obliczu potęgi wroga stanowili garstkę desperatów. Może utrzymaliby się przez jakiś czas, gdyby od razu zablokowali wlot otwierającego się przejścia, ale wtedy fala trujących wyziewów pozabijałaby ich natychmiast.

Wyszarpnął miecz, unosząc go wysoko nad głowę. Stał schwytała słoneczny promień, który zatoczył na ostrzu i zgasł.

–Za mną! – zawołał ochryple.

Siał konia i nie oglądając się, runął w dół wzgorza.

\*\*\*

Wpadli w polyskliwą, stalową rzekę. Zakotłowało się. Żelazo wystąpiło przeciw żelazowi, i rozpoczął się krwawy taniec. Szarancza wbiła się klinem w bok czarnej kolumny, próbując przeciąć ją na pół i opanować bramy. Miecze rycerzy Krolestwa wyrabiały głęboką szczyrbę w cizbie żołnierzy Mroku niby przesiekę w gęstym, ciemnym lesie. Rumaki parły naprzód, tratując i miażdżąc straconych z siodeł jeźdźców. Ziemia spłynęła krwią i dziwna, lepka posoka rycerzy Cienia. Ich szeregi rozluźniły się nieco, wpuszczając rozpedzoną jazdę Krolestwa do środka kolumny.

Złe, pomyślał Daimon. Chca nas otoczyć.

–Okrazają nas! – wrzasnął, próbując zwinąć prawe skrzydło i uderzyć nim w tworzącą się maczkę złożoną z oddziałów żołnierzy Ciemności.

Wtem ich szyki rozstały się, wypluwając niekształtne, zakute w żelazo bestie, które zionęły płomieniami wprost w walczących aniołów. Pod ich osłoną wojsko Chaosu przystąpiło do kolejnego ataku.

Dym zasnuł pole bitwy. Wszędzie rozlegały się rozpaczliwe krzyki, kwik koni i szczek oreza. Wydawało się, że wystarczy chwila, aby armia Mroku rozniosła formacje Krolestwa, ale aniołowie postanowili drogo sprzedać swoje życie. Miażdżeni, cieczeni i tratowani wciąż nie dawali się rozproszyc i wybić jak rzeźne bydło. Szarancza zbierała krwawą zniwo, więc wkrótce rumaki deptały po trupach. Lecz z



bramy wylewały się coraz to nowe szeregi brzydkich, pokracznych, morderczych żołnierzy. Pomiot Chaosu. Synowie Cienia. Z wolna doborowa kawaleria Królestwa poczęła słabnąć i umierać. Jeźdźcy walili się w błoto, powstałe pod konskimi kopytami z pyłu i krwi. Ich pancerze, żółte jak siarka, czerwone jak ogień, granatowe jak dym, wyglądały niczym konfetti rozsypane na strudze smoly.

Daimon walczył w samym środku bitwy, siejąc popłoch w szeregach Mroku. Ci, którzy osmielali się do niego zbliżyć, jechali po śmierć. Musiał zerwać z głowy hełm trafiony ognistą sliną jednego z potworów Chaosu, włosy miał więc sklebane i pozlepiane krwią. Wyglądał jak upiór – z bladą twarzą i okrwawionym mieczem, niezmordowanie zagłębiającym się w ciałach wrogów, którzy padali, nie zdążywszy nawet skrzyżować z nim oreza. Ale w końcu i on zaczął słabnąć. Pot zalewał mu oczy, ramiona mdlały, a potężniejsze z każdą chwilą tchnienie Antykreatora wysysało siły, zacmiewało wzrok, maciło myśli. Niemal mechanicznie podrywał i opuszczał miecz, ogłuszony bitewnym wrzaskiem i szczękiem broni.

Nagle powietrze rozdarł potworny ryk. Daimon poczuł podmuch smrodliwego gorąca i ujrzał tuż przed sobą rozwartą paszczę ognistej bestii. Ciało ją skosnie przez pysk. Zawyla, strzykając plomienną sliną. Scisnął wierzchołek kolanami, Piolun wykonał ciasny piruet i stanął dęba. Daimon unosił się w strzemionach i potężnym pchnięciem wbił miecz w wytrzeszczone, zdumione oko potwora. Plomien osmalil aniołowi twarz, wypalił w ziemi spory lej. Bestia wstrząsnął dreszczem, z wizgiem zwała się w błoto, omal nie podcinając Piolunowi nog. Uzbrojone w pazury łapy darły ziemię, a kon Daimona tanczył między nimi, usiłując uniknąć ciosu. Frey pochylił się w siodle, żeby rozpruć brzuch zdychającego potwora i nagle poczuł, jak po zebrach przeslizguje się coś zimnego i gorącego zarazem: ostrze topora rozdarło mu bok. Wyprostował się, ciało przeciwnika szeroko przez klatkę piersiową. Tamten zachwiał się i zwisał w siodle swego opancerzonego rumaka, a Daimon w ostatniej chwili uchylił się przed zabojeńczym ciosem w głowę, zadany przez kolejnego czarnego rycerza. Piolun błyskawicznie targnął łbem, miażdżąc zębami twarz przeciwnika, który zalał się krwią i zwałił na ziemię.

Trace refleks, pomyślał Daimon. Niedługo beda mnie mieli.

Czubek czyjegós miecza rozdarł mu rękaw, głęboko kalecząc przedramię.

–Czy jest coś piękniejszego niż dachy Hajot Hakados fioletowiejące z nadejściem wieczoru? – usłyszał jakiś głos i zrozumiał, że Piolun się z nim zegną.

–Spotkamy się w niebycie, stary – szepnął, rozcinając niemal na pół wyrosłego jak spod ziemi wielkoluda w hełmie z kita.

Sytuacja przedstawiała się rozpaczliwie. Rycerze Miecza z niedobitkami Szaranczy próbowali przedostać się w kierunku wrot z desperacką nadzieją, że uda się je

**zablokować. Z rozdziawionej na kształt ust dziury we wszechświecie wciąż wylewali się jednak nowi czarni żołnierze, lecz już nie tak gwałtownie, tylko w sile pozwalającej wyrównać zadane przez Szarancze straty. Przewaga Mroku okazała się tak duża, że można było sobie pozwolić na niespieszne dokonanie dzieła zniszczenia.**

**Wtem Piolun obroczył się gwałtownie, trając podnoszącego się z ziemi jeźdźcę, którego jego pan przed chwilą stracił z siodła, a Daimon przez sekundy spojrzał w paszczę otwartych wrot. To, co ujrzał, wstrząsnęło nim. Rzesze żołnierzy Mroku, którzy właśnie zadawali im śmierć, stanowiły zaledwie forpocztę całej armii. Jej tron czekał nienaruszony! W świetle Cienia stały gotowe do boju oddziały, a ich końca nie było widać po horyzont. Stawić im czoło mogłyby tylko wszystkie Zastępy Panskie, miriady aniołów rozproszonych po całym kosmosie, aby wytyczać trajektorie gwiazd i planet. Nawet jeśli przybędą posiłki, armia, która uda się skrzyknąć w porę, nie wystarczy, żeby pokonać Cień. Zagrożone jest więc nie tylko nowe dzieło Pana, ale istnienie samego Królestwa.**

**Daimona ogarnęły żal i wściekłość na wspomnienie wyniosłej geby Jaldabaota. Możliwość upokorzenia mnie będzie kosztowała drożej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, pomyślał. Z goryczą przypomniał sobie udzielone przed bitwą rozkazy Kamaela. Starajcie się zepchnąć ich na bok i zastawic brame. Jest wąska, bronić jej, mamy jakąś szansę. Zepchnąć ich! Imponujący pomysł. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby zamknąć to pieprzone wejście!**

**Olsnienie przyszło nagle, gdzieś między pchnięciem miecza a unikiem. Sposób był szalony i właściwie nie miał prawa się powieść, ale obudził w nim odrobinę nadziei.**

**–Wynies mnie stąd, Piolun! – wrzasnął w samo ucho wierzchowca, rzucając się na konia kark, bo tam, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa, przeleciał potężny młot. Kon zadrobił w miejscu nogami.**

**–Ruszaj się, cholerna chabeto! Może zdadzemy!**

**–Zaraza na twoją duszę, Daimon! – wycharczał rumak. – Jest szalona!**

**Wydął z siebie długi, przeciągły wizg i stanął dęba. Anioł Miecza zachwiał się w siodle, ale nie upadł, uczepliwszy się kurczowo grzywy. Potężne kopyta znalazły się niespodziewanie tuż przed twarzą najbliższego rycerza Cienia i Daimon ujrzał w jego oczach paniczny strach, przez krótką chwilę, zanim podkowy Pioluna roztrzaskały mu czaszkę.**

**–W gore! – krzyknął do konia, siekąc mieczem na prawo i lewo, żeby wywalczyć dla niego trochę miejsca.**

**I nagle stało się coś niespodziewanego. Potężny rumak, steknąwszy, odbił się od ziemi, zawisł w powietrzu, i runął na karki i ramiona walczących, na helmy i**

wzniesione miecze rycerzy Mroku, tratując ich niby łan młodego zboża.

Ci, którzy ujrzeli ten widok, zamierali w przerażeniu, pewni, że spotkali samą śmierć. Z wyszczerzonego pyska rumaka toczyła się piana. Zarówno, on, jak i siedzący na nim rycerz sprawiali wrażenie, jakby zostali, odlani z połyskującego rdzawo metalu, bo cali schlapani byli zastygająca krew.

–Do Królestwa, Piolun! – wychrypiał Daimon. – Do Szóstego Nieba!

Z trudem utrzymywał się na siodle. W uszach słyszał monotony szum, a wszystko, na co patrzył, podbarwiał się na czerwono, rozmywało i krzywilo. Poczł nagle szarpnięcie i ujrzł pustkę kosmosu, wypełnioną gwiazdami, które natychmiast rozmazały się w złociste smugi. Wiatr uderzył go w twarz, rozwiał włosy. Zrozumiał, że się udało. Piolun pedził do Królestwa.

\*\*\*

Dija, młoda służebna ze swity Matki Rachel, przerwała śpiew. Między znajomy świergot ptaków i szelest liści wdarł się obcy dźwięk, jak gdyby tetent. Narastał, lecz Dija nie potrafiła rozpoznać jego źródła. Łodygi kwiatów zgięły się jakby w nagłym podmuchu wiatru, a anielica poczuła wilgotne krople spadające na dłoń i twarz. Były czerwone. Dija z krzykiem odrzuciła śpiewnik, rozmazując szkarłatne smugi na włosach i policzkach. Jej piękna twarz wykrzywiła się w grymasie paniki i obrzydzenia. Urodziła się przecież w Szóstym Niebie. Nigdy nie widziała, krwi.

Po ziemi przesunął się cień, więc podniosła głowę i krzyk zamarł na jej ustach. Podniebnym szlakiem pedził jeździec. Długie włosy powiewały za nim niczym czarny sztandar. Jego twarz była maską szalenstwa i rozpacz. W dłoni ścisł nagi miecz. Wyglądał jak burzowa chmura na tle błękitu Szóstego Nieba, gdzie nigdy nie spada ani kropla deszczu.

Dija zasłoniła reka oczy i padła na miękki dywan szmaragdowej trawy.

\*\*\*

–Muszę zejść niżej, na ziemię. – Głos Pioluna łamał się z wysiłku.

Poruszanie się podniebnymi szlakami pozwalało rozwijać zawrotne prędkości, ale było bardzo męczące. W Królestwie obowiązywał ścisły zakaz ich używania, z uwagi na zamieszanie wywołane obecnością w powietrzu wielu aniołów naraz, lecz tym ograniczeniem Daimon postanowił się nie przejmować. Kilka razy zandarmi Jaldabaota próbowali go zatrzymać, rozpięrzchali się jednak, ustępując mu z drogi, gdy stawało się jasne, że nie ma zamiaru zwolnić.

–W porządku, schodź! – zawołał, pełen złych przeczuc, bo goścince Królestwa

**zawsze były bardzo zatłoczone. W tej sytuacji wydawało się bezpieczniej przejechać na przelaj przez Ogrody.**

**Runeli w dół, tratując nienaganna murawę, równając z ziemią klomby róż i lilii, roztrzaskując spacerujących. Przejechali przez grupę muzykujących aniołów i anielic, rozganiając ich niby stadko białych kuropatw. Daimonowi mignął przed oczami roztrzaskany kopytami Pioluna klawikord. Podniosły się okrzyki trwogi i bólu, lecz nie miał czasu zwracać na nie uwagi. Za zakretem ścieżki wpadli wprost na kilku Aniołów Łata, w których pieczy znajdowały się Ogrody Królestwa.**

**–Z drogi! – ryknął Daimon.**

**Zaskoczeni ogrodnicy bezładna, pierzasta kupa wzbili się w powietrze. W przelocie dostrzegł czyjś przerażona twarz, coś miękko uderzyło go w bok, usłyszał jęk.**

**–Do Palacu Cudownych Przedmiotów – nakazał koniowi, nie obejrząwszy się nawet.**

**Pałac, a raczej obszerna kaplica, mieścił w sobie Boskie Narzędzia – Kielnie i Cyrkiel, którym Pan wytyczył wszechświat, oraz Klucz do wymiarów, za pomocą którego otwierał kolejne rzeczywistości. Ten właśnie Klucz wydawał się Daimonowi jedyną szansą ocalenia Królestwa.**

**Piolun zarył kopytami w zwir ścieżki przed samym frontem białego, azurowego niczym tort z cukru pawilonu. Opuszczył nisko łeb, dyszał z wysiłku. Daimon zsunął się z jego grzbietu. Kiedy dotknął stopami ziemi, zakreciło mu się w głowie. Musiał schwycić się leku, żeby nie upaść. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest poraniony. Lewy bok, nogawkę spodni i but pokrywała lepka, krzepnaca krew.**

**Nie wolno mi teraz zemdlec, pomyślał, i najszybciej jak potrafił pobiegł chwiejnie w kierunku wejścia do budynku.**

**Natychmiast zastąpiło mu drogę dwóch strażników z toporami u boków.**

**–Wpuszczcie mnie! – wychrypiał. – Królestwo jest w niebezpieczeństwie!**

**–Precz! – warknął wyższy. – Kalasz swoją obecnością święty przybytek!**

**Daimona ogarnęła furia. Tam gina jego przyjaciele, jego bracia, a tych dwóch tępych sukinsynów osmiela się stać mu na drodze?**

**–Albo mnie wpuszczcie, albo przemodeluje wasze głupie pyski! – wrzasnął wściekle.**

**Sięgnęli po bron, ale nawet nie zdążyli jej wyjąć. Daimon trzasnął jednego w twarz rekojescią miecza, drugiego powalił na ziemię kopniakiem, wyrwał mu topór z pasa i rabnął w głowę obuchem. Wszystko to trwało nie dłużej niż westchnienie.**

Wpadł do chłodnego, cichego wnętrza. Powietrze zdawało się gęstsze niż na zewnątrz, wibrowało wyczuwalnie potężną mocą. Ściany lśniły złotawym połaskiem. Pośrodku pomieszczenia stały trzy kryształowe szkatuły zawierające święte przedmioty. Dotknął misternie rzezbionego wieka, przez które można było dostrzec zarys złotego Klucza.

–Wybacz mi, Panie – szepnął.

Oslaniając twarz zgiętym ramieniem, z całej siły uderzył w szkatułę rekojescią miecza. Ozwał się śpiewny jęk, a odłamki kryształu z trzaskiem rozsypały się na posadzce.

Złoty Klucz, którego dotykała do tej pory jedynie ręka Pana, leżał na szkarłatnej poduszeczce, polyskując oleistą. Pokrywały go pajeczne ornamenty, tak delikatne, że ledwie widoczne. Daimonowi wydało się, że drzemie w nim potężne, złowroczne życie.

Wyciągnął rękę, wstrzymując oddech. Drżące palce dotknęły metalu, zacisnęły się na nim. Wyjął Klucz ze szkatuły. Był zaskakująco ciężki. Nagle poczuł, że Klucz się poruszył, jakby nie był przedmiotem, ale żywym zwierzęciem, może małą jaszczurką. Niemal w tym samym momencie rozjarzył się białym blaskiem. Anioł Miecza krzyknął. Targnął nim ból. Odruchowo rozwarł palce, lecz nie upuścił magicznego przedmiotu. Pozwolił mu leżeć na otwartej dłoni, która płonęła, a fale bólu obejmowały szybko całe ramię niby języki ognia. Mzace sucha szczapa. Zacisnął zęby. Wszystko w nim krzyczało, żeby wypuścić Klucz z ręki, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. W końcu biały blask przygasł i znikł zupełnie. Klucz stał się znowu martwym kawałkiem metalu. Na wewnętrznej stronie dłoni anioła ziała ogromna, polksiezycowata rana, przypominająca rozdziawione w szyderczym uśmiechu usta.

Daimon, pomagając sobie zębami, odpruł złoty sznureczek, obszywający szkarłatną poduszeczkę, i zawiesił sobie Klucz na szyi.

Jasne światło słońca na zewnątrz niemal go oslepilo. Podciągnął się na siodło, wyjął miecz z pochwy i przerzucił do lewej ręki.

–Wracamy, Piolun – powiedział.

Kon bez słowa zerwał się do biegu. Gnał jak wichra.

\*\*\*

Bitwa wciąż trwała. Przybyłe z Królestwa oddziały w pewnej chwili zdawały się zdobywać przewagę, ale teraz były konsekwentnie spychane w tył i popychane przez czarne mrowie żołnierzy Cienia.

**–Cofnijcie sie! Odwrot! – Daimon na prozno staral sie przekrzyczec bitewny zgielk.**

**Rabal mieczem z cala sila, na jaka mogl sie zdobyc, probujac wyciac sobie droge do pierwszej linii. Rozbijal czarne helmy, rozcinal pancerze i kubraki niby worki pakul. Kazdemu ciosowi towarzyszył jek lub wrzask bolu.**

**Nagle dostrzegl jasna plame twarzy Kamaela, poszarzala i poznaczona cetkami krwi. W duchu podziekowal Panu, ze przyjaciel wciaz jeszcze zyje.**

**–Dalej! – krzyknal do konia, ktory utknal na chwile w klebowisku cial i zelaza. – Musimy zostawic wszystkich naszych za soba!**

**–Jak powiedzial zebrak na widok darmowej garkuchni – warknal Piolun, poslusznie prac naprzod.**

**Przed oczami Daimona zaczely przeskakiwac czarne i zlote iskry. Dluogo tak nie wytrzymam, myslal. Jego dlon pulsowala nieprzerwanym, tepym bolem. Miecz zadawal ciosy coraz wolniej. Czul, ze kilka razy drasnelo go jakies ostrze.**

**–Cofnac sie! – krzyczal do kazdego napotkanego aniola.**

**Wreszcie stwierdzil, ze otacza go jednolite morze czarnych helmow. Zerwal z szyi Klucz, wyciagnal reke i przekrecil go w powietrzu.**

**–Czelusc – powiedzial. – Bezdenna Czelusc poza czasem i wymiarami.**

**Ziemia zatrzesla sie i rozstapila. W miejscu, gdzie przed momentem byly wrota Antykreatora, otworzyl sie lej. Cien i jego armia zapadli sie wen w jednej chwili. Lej rozszerzal sie, wciagajac nacierajacych na oddzialy Krolestwa zolnierzy Siewcy Wiatru. Ziemia uciekala spod kopyt oszalalych, kwiczacych ze strachu rumakow. W niebo wzbil sie choralny krzyk rozpaczy. Zastepy Antykreatora ginely w Czelusci. Kilku aniolow, ktorzy nie zdazyli wycofac sie w pore, zeslizgnelo sie do srodka leja. Pustka przyblizala sie bliskawicznie. Daimon balansowal na skraju Czelusci ze lsniacym Kluczem w dloni. Zginalby, gdyby nie Piolun. Kiedy ziemia, na ktorej stali, zaczela sie osuwac w bezdenna szczeline, kon wykonal rozpaczliwy zwrot i odskoczyl w tyl, na pewniejszy grunt.**

**Daimon przekrecil Klucz w powietrzu.**

**–Dosc – wymamrotal z trudem.**

**Czarne blyski przed oczami rozplynely sie we mgle. Ostatnim wysilkiem woli spojrzal na pole bitwy. Rozposcierala sie przed nim znajoma, pokryta liszajami wykopow rownina. Antykreator wraz ze swa armia zniknal.**

**Za plecami miał ziemię zascieloną trupami. Słyszał jęki i przekleństwa rannych. Oddziały Królestwa ściągaly nielicznych ocalałych żołnierzy Mroku.**

**Daimon upuścił Klucz, zakolysał się w siodle i ciężko zwałił z konia.**

**\*\*\***

**–Jest świętokradca i morderca! – wrzasnął Jaldabaot.**

**–Jednak niewatpliwie uratował Królestwo – powiedział ze znudzeniem Wielki Archont Jao, sekretarz demiurga.**

**–Tylko Pan może decydować o losach Królestwa! Tylko On może wybawić je lub zgubić, zgodnie ze Swoją wolą!**

**–W takim razie wybawił je jego rękami.**

**–Bronisz mordercy, Jao? Trzy niewinne dusze, trzech czystych aniołów zginęło z tych jego bohaterskich rąk! Dwoch zabił w Ogródach, a jednego z zimną krwią zaszlachtował toporem, gdy bronił świętego przybytku przed zbezczeszczeniem.**

**Jao westchnął.**

**–Po prostu uważam, że skazanie go na śmierć nie jest najlepszym pomysłem... politycznym. Całe Królestwo, wszystkie Zastępy, uważa go za bohatera.**

**Jaldabaot spiorunował go wzrokiem.**

**–Wtedy wykaze im błąd w rozumowaniu! Zasłepienie i niewłaściwy ogląd sprawy. Jak śmiesz mówić o jakiejś polityce! Tu chodzi o zasady! O świętokradcę, którego brudny dotyk zbrukał najczystsza świętość!**

**–Jeśli już musisz go zgładzić, zrób to szybko i cicho, po krótkim, cichym procesie...**

**–Proponujesz mi postępek godny skrytobójcy? Nigdy! Wszyscy obejrzą te egzekucje! Wszyscy, od samych Książąt Sarim począwszy, a skończywszy na najmarniejszym z aniołów służebnych. A ten zbrodniarz, ten obrazoburca, publicznie się przed nimi pokaja!**

**Jao miał ochotę jęknąć.**

**\*\*\***

**Mdle ogniki pochodni pelgaja, Na ścianach rodzą się i umierają fantastyczne cienie. Gdzieś bardzo daleko słychać kapanie wody. A może to krew?**

**–Jestes morderca! Podlym, bezlitosnym zbrodniarzem! Pozbawiles zycia niewinne istoty! Wiesz, czym jest zycie? Bezcennym darem Pana! A ty splugawiles ten dar. Wiecej! Zbezczesciles swietosc! Odwazyles sie siegnac po to, co nalezy do samej Jasnosci! Krwawa reka! Tak, krwawa reka! Teraz ta krew krzyczy! Wola do mnie, do wszystkich. Jestes potworem. Twoja dusza to wiadro pomyj. Grzeszysz! Nawet teraz grzeszysz pycha i zatwardzialoscia serca. Ukorz sie, dopoki nie jest za pozno! Pokajaj sie! Blagaj o przebaczenie! Na kolana, zbrodniarzu! Powiedzialem, na kolana!**

**Nigdy! Nigdy, chocby przyszlo mu tu zdechnac. Nie ukorzy sie przed ta blada geba szalenca, przed tymi dlonmi, nerwowo drgajacymi jak porcelanowe bibeloty, dlonmi, ktore nigdy nie trzymaly miecza, ktore nigdy nie dotkna slowa "honor".**

**Lekkie, biale machniecie, zgrzyt. Krwawy sukinsyn! Kazal poluzowac lancuchy. A nogi nie chca go utrzymac, gna sie. Kolana zaraz uderza o brudna kamienna posadzke.**

**Chwycil ciezkie ogniwa kajdan, podciagnal sie na pokaleczonych dloniach. Zachowaj dla maluczki swoje tanie sztuczki. Nie ujrzysz Aniola Miecza na kolanach przed toba, Protezo Pana!**

**–Przyznaj, kim jestes! Wyznaj swoje zbrodnie! – syczy wielki, bialy nietoperz o srebrnych wlosach i oczach. – Odpowiadaj!**

**Poranione usta wieznia obnazaja w usmiechu zeby.**

**–Jestem wiernym rycerzem Pana – szepcze. – A ty, Wielki Archoncie?**

**Pan Siedmiu Wysokosci odskakuje, jakby nadepnal na weza.**

**Wilcze oczy swieca nieugietym, zlowrogim blaskiem.**

**\*\*\***

**W lochach smierdzi plesnia i mdlacym odorem spalenizny. Jao czuje narastajace obrzydzenie – do Jaldabaota, do calej tej sprawy, do swojej funkcji. Gdyby ktos mu to zaproponowal, zrzeklby sie wladzy, chocby natychmiast.**

**Jaldabaot nerwowo skubie rekaw. Widzi sekretarza, w srebrnych oczach tancza, iskiarki leku.**

**–To demon – mowi. – Ma przekleta dusze.**

**Jao ze swistem wciaga powietrze.**

**–Oszalales?! Zabijesz go!**



**–To demon! – powtarza Wielki Archont. – Ani sladu skruchy! Po wszystkich tych zbrodniach...**

**–Na litosc Panska, kaz go natychmiast rozkuc! Chcesz dokonac egzekucji na trupie?! Kazales postawic na nogi cale Krolestwo!**

**Jaldabaot, skonsternowany, rozklada rece. Jego kosztowna biala szate pokrywaja rdzawe plamy.**

**–Jao, jestem przerazony...**

**–Ja tez! – wrzeszczy sekretarz. – Wyjdz stad, przebierz sie i zostaw cala reszte mnie!**

**\*\*\***

**Najpierw wszystkie dzwieki zaczely z wolna cichnac, a potem zewszad uslyszal dzwonienie ciszy. Z trudem rozkleil powieki. Jedno oko mial tak zapuchniete, ze wlasciwie nic na nie nie widzial.**

**–Witaj, Rycerzu Miecza – rozlegl sie ledwo slyszalny szept. – Rany, jak kiepsko wygladasz!**

**Spoza krat obserwowala go brzydka, inteligentna twarz.**

**–Duma – powiedzial, ledwie poruszajac wargami. Przez ostatnich pare godzin nauczyl sie eliminowac wszystkie zbedne ruchy. – Kope lat! Przyszedles pogawedzic?**

**Przykuczniety przed drzwiami Aniol Smiertelnej Ciszy, w nieodlacznych czerwieniach i czerniach, usmiechnal sie, pokazujac krotkie, ostre kly.**

**–Wpadlem popatrzec, jak sobie radzisz. Powiadaja, ze nawet nie krzyknales. To prawda? Nie zrozum mnie zle, pytam z czystej ciekawosci.**

**Daimon zdobył się na krzywy uśmiech.**

**–Jak myslisz?**

**–Jakos trudno mi bylo uwierzyc, ale chyba zmienile zdanie – zaszemral Duma. – Nie przepadamy za soba, Daimon, ale wlasciwie przyszedlem powiedziec ci cos, co moim zdaniem masz prawo wiedziec. Nikt nie chce wykonac na tobie wyroku. Bialaczka sie wsciekla, pozdejmoval ze stanowisk wiekszosc urzednikow sadowych i wieziennych. W koncu proponowal nawet te fuche mnie, Afowi i Chemie. Kupa smiechu, co?**

**–Jestem pod wrazeniem. Blizniaki wciaz maja do mnie zal?**

**–No chyba! – szepnal Duma. – Po tym, jak obiles ich plazem na srodku Niebianskiego Placu? Co oni ci wlasciwie zrobili?**

**–Mieli falszywe informacje. Twierdzili, ze Aniolowie Miecza to zadne krwi sukinsyny. Wyprowadzilem ich z bledu. Ale nawet ich nie drasnalem...**

**–Byli sini – mruknal czarno-czerwony aniol.**

**–Nie chcieli sie zemscic?**

**–No co ty? W ten sposob? Nawet oni maja krztyne honoru.**

**Daimon przymknal powieki.**

**–Mecze cie, co? – zaszepstal widmowy glos. – Trzymasz sie resztkami sil. Zegnaj, Aniele Miecza. Moze sie kiedyś spotkamy... po drugiej stronie.**

**–Do zobaczenia w niebycie – powiedzial Daimon, nie otwierajac oczu.**

**\*\*\***

**–Nikt tego nie robi. Nie mozesz wziac pierwszego lepszego siepacza. On jest aniolem krwi, arystokrata.**

**–Musimy kogos znalezc! – Jaldabaot ciskal sie po komnacie. – To zaczyna zakrawac na bunt!**

**Jao milczal znaczaco.**

**–Mysle, ze jest taki ktos – odezwal sie rozlewnym, modulowanym glosem archont Astafajos, wladca pierwszego elementu.**

**–No to mow! – krzyknal demiurg, zwany Prawica Pana.**

**–Raguel. Mlody, bardzo obowiazkowy. Rozkaz to dla niego swietosc. Jest kapitanem bursy w Drugim Niebie. To archaniol.**

**Jaldabaot rozpromienil sie.**

**–Cudownie! Widzisz, Jao, jakie to proste? Chciec znaczy moc. W dodatku archaniol. Prawdziwy policzek dla tych butnych szczeniakov z bandy Gabriela. Pokazemy im mlodziencza swiecacego przykladem, ktory szanuje tradycje i zna swoje miejsce. Natychmiast go przyprowadzcie.**

**\*\*\***

**Raguel nerwowo przelknal sline. Ten koszmar odbywa sie naprawde, pomyslal. Wielki Archont przechadzal sie po komnacie z rekami zalozonymi do tylu.**

**–Twoje zdolnosc i przykladna postawa zostaly zauwazone – rzekl. – Nie mysl, ze mlody wiek wyklucza odpowiedzialne stanowisko. Umiemy dostrzegac diamenty w blocie. Niniejszym otrzymujesz awans. Zostales mianowany egzekutorem. Bedziesz wykonywal wyroki boskiego sadu na wysokich dostojnikach niebianskich. Zaczniez od pokazowej egzekucji obrzydlego swietokradcy i zbrodniarza, niejakiego Daimona Freya.**

**–Tak jest, Wasza Jasnosc – wymamrotal Raguel, przekonany, ze wszystkie nieba Krolestwa kolejno spadaja mu na glowe.**

**Jaldabaot obrocil sie na piecie tak gwaltownie, az zafurkotaly poly plaszcza.**

**–Coz to? Nie dziekujesz?**

**Archanioł przyklakl na jedno kolano, spuszczaajac glowe, zeby Wielki Archont nie mogl dostrzec wyrazu jego twarzy.**

**–Jestem niewypowiedzianie wdzieczny, Wasza Jasnosc. Nie zasluguje na te laske.**

**Jaldabaot zatarl rece.**

**–Doskonale! – zawolal. – A teraz idz przygotowac sie do nowej roli. I pamietaj! Wszystko musi byc zorganizowane w perfekcyjny sposob. To rozkaz!**

**–Tak jest – szepnal zdruzgotany Raguel.**

**\*\*\***

**Nie przewroce sie. Nawet sie, kurwa, nie potkne, powtarzal sobie dobitnie, zeby rozkaz dotarl do placzacych sie nog. Panie, jakzez to daleko!**

**Szafot sterczal jak pokryta blekitnym i zlotym sukmem wyspa posrodku ogromnego Niebianskiego Placu. Wokol niego rozposcieralo sie morze glow i skrzydel – nieprzebrane rzesze aniolow. Szpaler prowadzacy od wrot Palacu Sprawiedliwosci wydawal sie przez to waski. Po obu jego stronach stal co piecdziesiat krokow zandarm w ceremonialnym stroju.**

**Tuz przy samym podescie Jaldabaot ustawil naprzeciw siebie dwie milczace, trwajace w bezruchu grupy – archaniolow i Rycerzy Miecza, ktorzy umkneli smierci podczas niedawnej rzezi.**

**Za szafotem wznosily sie trybuny, gdzie zasiadala Rada Wielkich Archontow,**

**Ksiazeta Sarim, w tym tytularny zwierzchnik Miecza, ksiaze Soket Hezi, z bardzo kwasna mina, oraz wysocy dostojnicy dworscy.**

**Blask slonca oslepial Daimona, ktorego oczy przywykly do ciemnosci, wiec mimo ze wytezal wzrok, widzial na trybunach tylko zamazane plamy.**

**–Czas isc – powiedzial jeden z czterech eskortujacych go straznikow i lekko popchnal w plecy.**

**\*\*\***

**Jaldabaot spogladal z wyzyn trybuny na plac z mina wyniosla i sroga, nie dajac po sobie poznac zadowolenia. Ceremonia wygladala imponujaco. Napawal sie triumfem nad wrogami. Napawal sie wladza. Zerknal na siedzacego daleko po lewej stronie Metatrona. Jego twarz byla spokojna i wlasciwie pozbawiona wyrazu, choc zdawala sie emanowac wielka dobrocia. Ulubiony aniol Pana pokornie przyjal przyznane mu przez demiurga niezbyt zaszczytne miejsce, nawet nie usilujac protestowac. Wielki Archont uznal, ze niepotrzebnie sie go obawial. Tuz obok brata siedzial zaciety i chmurny Sandalfon, rzucajacy co pewien czas pelne niecheci spojrzenia w strone Jaldabaota, lecz demiurg nie zamierzal sie nim przejmowac.**

**Wtem Jao delikatnie dotknal jego rekawa.**

**–Spojrz na Rycerzy Miecza – szepnal.**

**Jaldabaot wychylil sie lekko.**

**–Co to ma znaczc? – syknal.**

**Stali z odkrytymi glowami i wlosami szarymi od popiolu. Na policzkach mieli grube kreski namalowane krwia.**

**–Zaloba – powiedzial sucho Jao. – Oni nosza zalobe.**

**Jaldabaot zatrzasl sie ze zlosci. Odebral Rycerzom Miecza bron, kazac zastapic ja paradnymi mieczykami, wiec nie spodziewal sie z ich strony zadnych ekscesow. To nic, uspokoil sie, blaha demonstracja. Nie sa w stanie odwrocic biegu wydarzen. Nie sa w stanie sprzeciwic sie mojej wladzy.**

**\*\*\***

**Daimon ze wszystkich sil staral sie nie potknac. Wygladal strasznie w porwanym, zakrwawionym ubraniu, z blada i pokaleczona twarza i zmierzwionymi wlosami. Gdy sie pojawil w drzwiach Palacu Sprawiedliwosci, przez tłum przebiegl szmer podobny do westchnienia. Jego oplakany wyglad nie budzil jednak litosci, lecz raczej lek i**

szacunek, gdyż w każdym sztywnym kroku, w każdej próbie utrzymania wysoko uniesionej głowy było więcej godności niż w wystudiuowanych pozach całej Rady Archontów. Zgromadzone na placu rzesze pokornych, pracowitych aniołów służebnych niemal namacalnie czuły pogardę i gniew, jakie kierował ku nim skazaniec, i były gotowe ugiąć karki przed jego błękitną krwią, jego nienawiścią i niszczącym szalenstwem, którym w chwili Stworzenia naznaczył go Pan, aby ustanowić go wojownikiem Miecza Swojego gniewu. W oczach Daimona wyglądali jak bydło i czuli się jak bydło, przyglądające się schwytanemu lampartowi. I wysławiali Pana za nieskonczoną dobroć, dzięki której mogli pracować w trudzie i znoju bez piętna morderczej wściekłości, bez sztyletu mieszkającego na dnie serca.

Daimon zrownał się ze stojącymi niemal przy samych stopniach szafotu Rycerzami Miecza. Jego spojrzenie na chwilę skrzyżowało się ze wzrokiem Kamaela, którego twarz była szara jak płotno. Kreski, namalowane krwią na policzkach, krzyczały to, czego nie mogły wypowiedzieć zacisnięte usta. Kamael nie dał żadnego znaku, nie wyrzekł ani słowa, lecz nagle szereg nieruchomych i milczących Aniołów Miecza zalamal się, gdy wszyscy równocześnie uklekli, prezentując bron – te paradne złote mieczyki, które rozkazał im wydać Jaldabaot. Promienie słońca tancyły na bezużytecznych klingach, kiedy doborowi rycerze Królestwa zegnali najlepszego spośród nich.

Daimon wspiał się na szafot. Tak wiele razy stawał naprzeciw śmierci, że właściwie przestał się jej bać. Niemal przestał.

Tłum przypominał z lotu ptaka wiosenny klomb, na którym dopiero zaczynały kielkować i kwitnąć najwcześniejsze rośliny, gdyż kolorowe szaty wyższych rangą aniołów rozmywały się wśród popielatych i burych tunik ptactwa niebieskiego. Odczuł ulgę, że udało mu się bez pomocy pokonać schody. Ktoś mógłby pomyśleć, że stracił siły ze strachu, a on po prostu był bardzo zmęczony. Niebiański Plac nigdy nie wydawał mu się tak szeroki. Zdawał sobie sprawę, że w środku, w nim huczy ból, niby roj zdenerwowanych osób. To powinno znacznie bardziej go obchodzić, ale było mu obojętne. Wszystko wokół wyglądało, jakby zostało wycięte z kartonu. Nie sposób przejmować się dwuwymiarową dekoracją.

Na stopniach schodów i surowych deskach podestu czyjaś ręka wykreśliła cieniutki, falisty wzór, jakby ciągnący się za nim drobny szew. Krwawie, pomyślał. Jaldabaotowi chyba udało się mnie zabić i bez tego żalosego przedstawienia. Spojrzał w stronę loży dostojników, lecz dostrzegł tylko zamazane kontury.

Pozbawić życia anioła krwi wcale nie jest łatwo, powtarzał sobie pobladły, dygoczący Raguel. To musi być cios prosto w serce. Jeden cios w samo serce. Onyksowa rekojesc długiego, pokrytego magicznymi inskrypcjami sztyletu ślizgała się w jego spoczonej dłoni. Trzymał ją, jakby była łbem weza. Nigdy, przez całe swoje krótkie, nawykłe do posłuszeństwa życie, nie czuł się tak nieszczęśliwy. Z trudem

probował przelykac slinę w suchych jak wior ustach. To on wygladal jak skazaniec, i przez chwile zgromadzonym wokół szafotu wydawalo się, że prawda przedstawia się odwrotnie, że czarnowlosy anioł przyszedł po życie egzekutora, a może także życie wszystkich obecnych.

Raguel spojrzal na smukla, nieruchoma postac Daimona. W serce? – pomyslal w poplochu. Na litosc Panska, czy on je w ogole ma?

Frey odetchnal glebiej. Dziwne oszolomienie powoli mijalo. Dopiero teraz dostrzegł Raguela. W oczach na chwile zaplonal mu wilczy blask.

–Hej, Raguel – powiedzial niskim, bezzwiecznym tonem. – Ladny awansik, co?

Archanioł drgnal. Przypomnial sobie o ciazacych na nim obowiazkach.

–Przywiazac go! – rozkazal oczekujacym pacholkom. Jego glos brzmial piskliwie i niepewnie.

Daimon przymknal powieki, dal sie popchnac w kierunku stojacego posrodku podestu dziwnego rusztowania z belek. Pozwolil przykuc sobie rece, choc pod czaszka eksplodowal mu snop iskier, kiedy zgrzytnely kawalki zlamanej kosci.

Herold monotonnym glosem odczytywal liste jego zbrodni. Przynajmniej uratowalem Krolestwo, pomyslal z gorycza. Umre jako bohater. Bol zaczal przypomnienac o sobie coraz natarczywiej. Zachowywal sie jak tancerz, probujacy wciaz nowe kroki, jakby cialo Daimona bylo scena, na ktorej trzeba wystapic przed wymagajaca publicznoscia.

Anioł Miecza zacisnal zeby. Skonczcie wreszcie! – warknal w myslach do herolda. Ten zaczal jednak odczytywac tytuly Jaldabaota, wiec Daimon skonstatowal z ironia, że to jeszcze jakis czas potrwa.

Wtem pojawila sie przed nim blada, przerazona twarz Raguela.

–Wybacz mi – uslyszal szept.

–Co?! – Z pewnym trudem uniosl glowe, zeby spojrzec mu w oczy. – Daruj sobie, dobra?

To nie byl moment na okazywanie wspolczucia.

–Prosze, wybacz... Ja tylko wykonuje rozkaz...

Gdyby zostalo mu wiecej sily, Daimon wpadlby w szal. W jego nieugietych, szyderczo zmruzonych zrenicach Raguel dostrzegł własne odbicie – obraz slabego,

podlego chłopca, który zawsze będzie drzał z leku przed kims potężniejszym. Zadygotał na myśl, że drapieżna, piękna twarz anioła, którego za chwilę zabije, pozostanie na zawsze, niczym pietno, odcisnieta w jego pamięci.

Ostry, drwiący uśmiech rozciągnął wargi Daimona.

–Jestes nikim – powiedział. – Pylem na wietrze. Spojrz na nich, na Rycerzy Miecza, archaniole. Sa niesmiertelni. Ich krew nie umiera.

Raguel postąpił dwa kroki w tył. Zobaczymy, pomyślał tepo, wypatrując znaku od Jaldabaota. Juz za chwile.

Witaj, niebycie, powiedział do siebie Daimon. Prawie sie nie bal, ale jednocześnie wcale nie pragnal umierac. Nie pociagal go niewzruszony spokoj i majestat smierci. Przypomnial sobie cierpki smak wina, ktore przyniosla mu brzydka sluzaca. Kamaela, wachlujacego sie pergaminem z rozkazami Jaldabaota, kpiacego, ze tylko do tego moze sie to przydac. Pioluna tratujacego lilie w Rajskim Ogrodzie. Anielice Amerit, ktora zbyt glosno sie smiala, ale tak pieknie grala na harfie... Witaj, niebycie.

Jaldabaot, bialy i elegancki jak ozdoba z pianki, wychyliwszy sie z trybun, dal znak.

Raguel zamachnal sie sztyletem i uderzyl.

Swiat cofnal sie gwaltownie, malejac do rozmiarow szpilki. Bol byl przerazliwie ostry, ale bardzo odlegly. Czynnosc tak prosta, jak nabranie oddechu, stala sie nagle zdumiewajaco skomplikowana. Czarno-czerwona cisza, przenikliwa niczym szept anioła Dumy, spiewala w uszach. Z wolna wszystko poczelo gasnac. Witaj, niebycie!

Raguel wyszarpnal ostrze. Ciało Daimona zadrgalo i znieruchomialo. Rozsypane włosy okryly go jak calun.

Archaniolowie patrzyli na siebie w milczeniu. Niektorzy bezwiednie zaciskali piesci. Twarz Razjela sciagnela sie tak, ze przypominala maske. Gabriel nerwowo bawil sie pierscieniem.

Kamael przesunal dlonia po czole i policzkach. Jego usta tworzyly zacisnieta, prosta kreske.

Nagle niebo peklo. Blekitne swiatlo, ktore zalalo plac, wduszalo oddechy z powrotem do pluc, oslepialo, powalalo na kolana, na twarz. Wszyscy, aniolowie sluzebni, zolnierze i dostojnicy, czolgalili sie w pyle. I wszyscy sluchali.

Tylko Metatron kleczal z uniesionymi w gore rekami i spojrzeniem promieniejącym nieopisanym szczesciem.

**Blekitny wir porwał Daimona, wyszarpnął z ciemności. Wypełnił go oslepiającym bólem, potęgą zmuszającą do krzyku. Cisnął między nieskonczone przestrzenie, pokazując dokładnie, czym są życie, śmierć i dzieło Stworzenia. Ogarnął go, zniszczył, stworzył, zniszczył i znowu odbudował. A potem przemówił, chociaż Daimon był pewien, że nie używał słów.**

**ANIELE MIECZA, STWORZONY Z GNIEWU, PRZYNALEŻNY CHAOSOWI – BEZCZELNY, DUMNY, LECZ, PRYZNAJE, ODWAŻNY – OTO MIANUJE CIĘ NISZCZYCIELEM – ABADONNA, BURZYCIELEM STAREGO PORZĄDKU, TANCZACYM NA ZGLISZCZACH I ANIOŁEM Z KLUCZEM DO CZELUSCI, BO OSMIELIŁES SIĘ PO NIEGO SIEGNĄC TAK BEZCEREMONIALNIE. PRZEKONAŁES SIĘ PRZECIEŻ, ŻE TO TWOJE POWOŁANIE. A TERAZ WRACAJ, ŻEBY MI SŁUŻYĆ. TWOJ CZAS SIĘ JESZCZE NIE WYPEŁNIŁ.**

**I oszłomiony, półprzytomny Daimon z hukiem spadł na deski szafotu. Dźwignął się na czworaki, potraszając głową, żeby odzyskać ostrość widzenia. Zdawał sobie sprawę, że przed chwilą słyszał nie tyle Głos Pana, ile własne myśli, lecz z pewnością dobrze pojął sens Jego przekazu. Umarł i został wskrzeszony. Z nosa ciekła mu krew, a rozdzierający ból w klatce piersiowej przekonywał, że sztylet Raguela nie chybił. Przycisnął ręce do rany i spróbował wstać. Chciał jak najprędzej zejść z tego przekleśnego podestu. Miał skulonego, płaczącego archaniola, niechcący potracił nogę sztylet z onyksowa rekojescia i czerwono lśniącym ostrzem.**

**Czuł się bardzo słaby i chory. Plac przybliżał się i oddalał, budowle wyprawiały niezwykle podskoki.**

**Z ziemi niemrawo podnosili się aniołowie, pustymi oczami przyglądali się sobie nawzajem. Nagle ktoś krzyknął, wyciągając rękę w stronę szafotu.**

**Daimon dzielnie pokonał pierwszy schodek.**

**Niemal wszystkie głowy obracały się już w jego stronę.**

**Nowo mianowany Niszczyciel chwiejnie i niezwykle powoli zmagal się ze schodami. Ręce wciąż przyciskał do piersi, jak gdyby niosł tam coś niesłychanie cennego. Na ostatnim stopniu potknął się i pełnym gracji, nienaturalnym ruchem zgwał wpol niby w ukłonie.**

**Kamael i Razjel skoczyli ku niemu równocześnie, lecz jakos dziwnie niezgrabnie. Daimon skierował na nich olbrzymie, bezdenne zrenice, w których odbijała się kosmiczna pustka. Były to oczy starsze niż czas.**

**–Pomozcie mu! – krzyknął archaniol do otepiałych ze zdziwienia zandarmów.**

**Zaden się nie poruszył, a Daimon na ulamek sekundy zastygł w miejscu i upadł na**



bok, między buty żołnierzy.

\*\*\*

Spróbował się poruszyć, ale to wywołało tylko dalekie echo jakiegoś dźwięku, który przypominał jęk.

–Chyba odzyskuje przytomność – usłyszał pełen napięcia głos Kamaela. – Daimonie, to ja, Kamael. Poznajesz mnie? Żyjesz?

–Nie – szepnął, mimo woli przywołując na twarz cien uśmiechu.

–Słyszysz mnie? – teraz pytał Razjel.

–Aha.

–Widzisz?

Ostrożnie rozchylił powieki. Nad sobą zobaczył nieco rozmazane profile przyjaciół.

–Tak – potwierdził.

–Chwała Jasności – westchnął z ulgą Kamael. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie szalenstwo ogarnęło Królestwo z twojego powodu!

–Cieszę się, że was widzę – szepnął Daimon. Spróbował zaczerpnąć głębszego oddechu, ale powietrze eksplodowało białym płomieniem.

Razjel pochylił się ku niemu.

–Boli cie? – spytał z lekkim niedowierzaniem.

–Zaraza! Daj mi spokój, Razjel! – wrzasnął poirytowany Kamael. – Widzisz przecież!

Razjel spojrzał na niego wymownie.

–Złożyłem mu potrojne, związane zaklęcie usmierzające. Nie powinien nic czuć. Poza tym jest...

Przerwał, bo Kamael spiorunował go wzrokiem. Daimon wyczuwał powstałe nagle napięcie.

–Czym jestem? – spytał cicho.

–Trupem – powiedział sucho archanioł. – W gruncie rzeczy, ty nie żyjesz, Daimon. Czujesz, myślisz, oddychasz, twoje serce bije, lecz mimo to nie ma w tobie życia w

**takim sensie jak przedtem. Nie rozumiem, jak to możliwe. Nie pytaj mnie. Pan cie wskrzesil, a moja wiedza jest niczym w obliczu Jego mocy. Ciesze sie tylko, ze odzyskalem przyjaciela.**

**–Ja tez – rzekl powaznie Kamael. – Uratowales Krolestwo, zachowywales sie tak, ze wszyscy pojeli, co znaczy honor dla Rycerza Miecza. Jestem dumny, ze nalezales do mojej formacji.**

**–Nalezalem?**

**Kamael rozlozyl rece.**

**–Pan wyznaczyl ci inne zadanie. Od tego czasu stoisz ponad nami. Masz prawo dowodzic wszystkimi Aniolami Zniszczenia, nie tylko Szarancza. Przekonasz sie, ze dysponujesz mocami, o ktorych my nawet nie marzymy. Otrzymales Klucz do Czelusci i prawo burzenia swiatow. Wciaz jestem twoim przyjacielem, Daimonie, lecz teraz nie osmielilbym sie wydawac ci rozkazow.**

**Frey na chwile przymknal oczy. Nie potrafil zebrac mysli. To, co uslyszal, wstrzasnelo nim. Jestem zywym trupem, powtarzal sobie. Co za szalenstwo!**

**Przeciez czuje sie tak samo jak zawsze.**

**–Co mowia w Krolestwie? – spytal z wysilkiem.**

**Twarz Kamaela spochmurniala. Zanim zdazyl sie odezwac, glos zabral Razjel.**

**–Roznie. Wiekszosc uwaza cie za bohatera, a twoje wskrzeszenie za cud. Dwor uznaje twoja pozycje, stales sie teraz wybrancem Pana, kims waznym, choc niebezpiecznym. Przyszedl tu nawet nasz ksiaze Soket Hezi, ale nie wpuscilismy go, bo byles nieprzytomny i tylko by przeszkadzal. Sa jednak tacy, ktorzy przeklinaja twoje imie, robia z ciebie demona. Wielu sie ciebie boi. Nazywaja cie upiorem.**

**–Mogles mu tego oszczedzic – sarknal Kamael. – I smiesz twierdzic, ze jestes urodzonym dyplomata.**

**–Lepiej, zeby dowiedzial sie od nas niz od nich – ucial archaniol.**

**Daimon sluchal ich, jakby mowili o kims obcym.**

**–Ja sie prawie nie zmienilem – powiedzial wolno.**

**–Wiem. – Razjel skinal glowa. Jego glos zabrzmial wyjatkowo lagodnie. – Problem w tym, co mysla inni.**

**Daimonowi nagle swiat zawirowal przed oczami. Bol i ucisk w klatce piersiowej**

**nasilily sie.**

**–Duzo... czasu minelo?**

**–Troche – niechetnie przyznal Razjel. – Pare dni. Nie wiecej niz dwa tygodnie.**

**Daimon nie mial sily sie zdziwic.**

**–A... Proteza Pana? Jaldabaot...**

**Kamael machnal reka..**

**–Nim nie masz sie co przejmowac. Sytuacja lekko sie zmienila.**

**Daimon patrzyl na przyjaciol pytajaco. Razjel wzruszyl ramionami.**

**–Rozumiesz, maly pucz. Upragniony znak od Pana i zgadnij, kto wkracza na scene?**

**–Gabrys – dokonczyl dowodca Aniolow Miecza. – Za starym demiurgiem prawie nikt sie nie opowiedzial, tak ewidentnie popadl w nielasje. Smutne, co?**

**Daimon zdobyl sie na blady usmiech.**

**–To co tu jeszcze robicie?**

**–Kochamy cie! – Kamael wyszczerzyl zeby. – Spelniamy obowiazek wzgledem milosierdzia i przyjazni. Nie boj sie, nie zapomna o nas. Teraz nastapi pajdokracja! Pod naszymi rzadami Krolestwo stanie sie wreszcie normalne. No dobrze, prawie normalne. Przysiegam, ze postaramy sie lepiej niz Jaldabaot.**

**–I nikt nie bedzie skazywal na smierc bohaterow wojennych. – Razjel sie usmiechnal.**

**–Nie watpie – mruknal Daimon, nie bez sarkazmu, chociaz nie watpil w szczere intencje przyjaciol Wladza polityczna wydawala mu sie zawsze kaskiem raczej zgnilym niz kuszacym. W sumie jednak wierzyl, ze zmiana wyjdzie Krolestwu na dobre. Jaldabaot byl szalencem, a archaniolowie mieli calkiem rozsadne poglady. Ucieszyl sie w duchu, lecz zabraklo mu sil, zeby to okazac. Z kazda chwila czul sie gorzej i mowienie sprawialo mu ogromna trudnosc.**

**–Powiedzcie mi... – zaczal, ale Razjel podetkнал mu pod usta kubek z goracym, gorzko pachnacym plynem.**

**–Nie jestes teraz calkiem zwyczajny, Daimon – powiedzial. – Twoje rany goja sie paskudnie i bardzo powoli. Nie reagujesz na zaklecia usmierzajace ani uzdrawiajace. Faszkuje cie bardzo potezna magia, uzywajac calego mego kunsztu i wiedzy.**

**Uszanuj te wysilki, co? Wypij to swinstwo, odpocznij, spróbuj zasnąć i przestań wreszcie gadać, dobra?**

**\*\*\***

**Jaldabaot w milczeniu spoglądał na plany i mapy zawałające biurko. Precyzyjne rysunki tancyły mu przed oczami, składając szydercze ukłony. Kosztowne, wyszywane szaty szeleszcily melodyjnie przy każdym ruchu. Ale Jaldabaot tego nie słyszał. Uporczywie i natrętnie powracało w jego głowie wypowiedziane pokaleczonymi wargami zdanie; nieugięta deklaracja lojalności. Jestem wiernym rycerzem Pana, A ty, Jaldabaocie? A ty?**

**Wielki Archont, Władca Siedmiu Wysokosci, przekładając smukłymi palcami zapisane pergaminy, nie był w stanie odpowiedzieć sam sobie, w którym momencie przestał być wiernym rycerzem Pana.**

## **SMUGA KRWI**

**Niebo Otchlani, czerwone i złote, zaczęło nabierać barwy intensywnej purpury. Nadchodził wieczór. Hazar podniósł głowę, spojrzął na pasma obłoków. Przypominały smuzki ciemnego dymu. Z pozoru nie zwiastowały deszczu, lecz Glebianin wiedział, że o tej porze roku pogoda robi się zmienna jak nastroje rozpieszczonej kobiety.**

**Czas poszukać noclegu, pomyślał. Szedł traktem handlowym, mijając pola wydarte puszczy rekami pracowitych osadników. Sciana lasu ograniczała ze wszystkich stron splachetki rolnej ziemi, napierała oddziałami siewek i niskich krzaków. Nikt ich nie karczował, a pola, z takim mozołem oczyszczone z drzew, leżały odlogiem. Puszcza wszędzie upominała się o swoje prawa. Ubita setkami nog droga w wielu miejscach zieleniła się świeża trawa. Ruch na uczeszczanym niegdys trakcie zamarł prawie zupełnie. Jeszcze niedawno ciągnęły wtedy karawany kupieckie, a teraz trudno było spotkać na szlaku pojedynczego podróżnego.**

**Glebia wstrzaszały nieustanne wojny. Co prawda Lucyferowi udało się wreszcie, po wielu krwawych potyczkach, ugruntować władzę w Otchlani, ale dawna arystokracja piekielna wciąż nie pogodziła się z tym stanem rzeczy. Część Glebian nadal uważała władcę za uzurpatora. Knuto spiski, wszczynano rewolty i pucze, zazwyczaj brutalnie tłumione przez zwolenników Lucyfera. Pomiedzy starymi i nowymi arystokratami, a także w gronie nowo mianowanych Mrocznych, wybuchały nieustanne konflikty o nadania ziemskie. Spory o grunty kończyły się zbrojnymi najazdami sąsiadów, a ze możni dysponowali zwykle własnymi oddziałami lub środkami na ich zaciąg, przeradzały się w regularne wojny, ciągnące się miesiącami, a nawet latami. Lucyfer nie siedział na tronie na tyle pewnie, by siłą ukroczyć spory i zaprowadzić porządek w państwie. Obawiał się, że wtedy większość zwolenników obrociliby się przeciw**

niemu. A sil i srodkow na tlumienie rewolucji brakowalo. Glebia pograzala sie wiec w chaosie. Krainy, ktore dotknela pozoga wojenna, podupadaly, czesc zostala niemal calkowicie zniszczona. Panowal glod, szerzyly sie choroby. Obawiano sie nawet wybuchu zarazy. Zamieral handel, ziemia lezala odlogiem, zapasy rabowali zolnierze lub bandy grasantow. Nawet w rejonach, gdzie wojna nie dotarla, zrobilo sie niebezpiecznie. Kupcy bali sie podrozowac, chlopi windowali ceny zywnosci, wszyscy gromadzili zapasy. Miasta wydawaly sie opustoszone, bo nikt nie wysciubial nosa z domu. Drogami wedrowali najemnicy w poszukiwaniu zajecia. Weterani, dezernerzy, niedzarze, ktorych bieda zmusila do wyprobowania sil w zolnierskim rzemiosle.

Hazar mial juz za soba udzial w dwoch powaznych wojnach. Zaciagnal sie trzy lata temu do oddzialow Kymerisa, poteznego markiza, ktory postanowil mieczem rozwiacz spor z sasiadem, moznym o imieniu Haures. Po osmiu miesiacach krwawych walk Mroczni, pod presja Lucyfera, zawarli ugode. Kymeris rozpuscil znaczna czesc oddzialow, mocno przetrzebionych przez zolnierzy Hauresa, i zaczal tworzyz gwardie przyboczna z dzinnow. Hazar zaciagnal sie wtedy do armii ksiecia Amdusjasa, podstepnie wyzutego z ziemi przez knowania markiza Andrasa. Wojna trwala prawie dwa lata. Zakonczyla sie zwyciestwem Amdusjasa, lecz nikomu nie przyniosla bogactwa ani chwaly. Skarbiec ksiecia swiecil pustkami, zadnych lupow nie udalo sie zdobyc, a sytuacja w Glebi byla do tego stopnia zla, ze zolnierze zgadzali sie sluzyc za kilka miedziakow zoldu, albo zgola za wikt i opierunek. Hazar zakonczyl sluzbe z czterema bliznami, przebyta goraczka blotna i garscia drobniakow w kieszeni. Postanowil skierowac sie na poludnie, majac nadzieje ze ktorys z tamtejszych moznych, w obawie przed napascia lub hordami glodnych desperatow z polnocy bedzie chcial powolac najemnikow do obrony. Zdecydowanie dosc mial juz czynnej walki, a tutejsi mozni i tak nie mieli czym placic. Zreszta, chetnych do zaciagu bylo wielu, wiec nic nie gwarantowalo, ze znajdzie zajecie.

Po tym, czego napatrzyly sie na polnocy, poludniowe krainy wydawaly mu sie wcale dostatnie. Wiele zagonow lezalo odlogiem, lecz na pozostalych, zwlaszcza polozonych w poblizu miast lub siedzib lokalnych wladcow, trwaly prace polowe. Ofiara grasantow padaly najczesciej male, odludne siola, zaszyte gdzies w gluszy.

Mijal wlasnie taka opustoszalaa wioske. Z chalup pozostaly tylko osmalone kikuty belek. Dwa ocalale domy nosily wyrazne slady ognia. Nie mogly sluzyc za schronienie, bo w kazdej chwili grozily zawaleniem, totez nie zatrzymal sie na pogorzelsku.

Z dwojga zlego wolal nocowac w lesie niz na odkrytej przestrzeni. Szkielety wypalonych chalup przygnebially go. Przyspieszyl kroku, zeby przed zapadnieciem nocy znalezc sie w puszczy i rozlozyc oboz. Szlak ginal miedzy wysokimi, ponurymi drzewami. Pod sklepieniem listowia panowal wieczny polmrok. Hazar poprawil rzemien, podtrzymujacy na plecach podrozny worek, i wkroczyl w las. Natychmiast

otoczył go zielony cien. Trakt przemienił się w porośniętą mchem ścieżkę. Pachniało wilgocią i zbutwiałymi liśćmi. Chylące się ku zachodowi słońce z trudem przebijało nieliczne promienie przez dach galezi i liści.

Szedł szybko. Wiedział, że musi zagłębić się w las, żeby znaleźć miejsce do spania. Rozglądał się za wykarczowaną przy drodze polaną, gdzie wędrujące karawany kupców zakładały prowizoryczne obozowiska. Zanim wypatrzył w gestwinie krzywą wiatę z galezi i wypalony ślad ogniska, zrobiło się niemal zupełnie ciemno.

Przedarł się przez krzaki, rzucił na ziemię worek. Krytycznie przyjrzał się wiacie, która była na wpol rozwalonym, szalasek, złożonym z pochylej ściany wspartej na dwóch zerdziach. Właśnie rozglądał się za drewnem na opał, gdy z krzaków okalających polanę wychynęła drobna postać z nareczem chrustu. Na widok Hazara zamarła niczym przerażona mysz, która nie spodziewała się zastać kota w głównej jamce swojej norki. Była Glebianka, choć Hazar w pierwszej chwili wziął ją za strzygę albo gnoma. Wyglądała bardzo młodo, z pewnością dopiero przekraczała granice między dzieckiem a dziewczyną. Spod zlepionych brudem włosów wзираła pociągła, blada twarz, wykrzywiona przerażeniem. Okolone podkawkami sinców, wystraszone oczy patrzyły czujnie, choć usta bezskutecznie starały się rozciągnąć w uśmiech. Glebianka upuściła patyki, zakolysała przeraźliwie chudymi biodrami. Spod lachmanów wylonily się cienkie jak słomki nogi.

–Hej, żołnierzu! – odezwała się piskliwie, krzywiąc twarz w grymasie, który miał być jednocześnie przymilny i zachęcający. – Zabawimy się?

–Chyba lalkami – parsknął Hazar.

W oczach dziewczyny zabłysła panika. Oblizwała nerwowo wargi.

–Jestem bardzo doświadczona. Zobaczysz, nie pozalujesz – zaczęła terkotac.

Hazar obrzucił wzrokiem spadziste ramiona, wystające obojczyki, wychudłe biodra i patykowate nogi.

–Nie boj się – powiedział. – Nie zrobię ci krzywdy. Chce tu tylko przenocowac. Pozbieraj opał. Rozpalimy ognisko.

Dziewczyna zamilkła. Posłusznie przykucnęła, żeby podnieść rozsypane galazki. Dłonie jej drżały. Co chwila rzucała na Hazara czujne, wyleknione spojrzenia.

Glebianin rozwiązywał rzemienie, którymi umocował przy worku zrolowany koc.

–Jak ci na imię? – rzucił.

–Gmiel.

**Przyniosła chrust i ułożyła w stos. Spojrzała na Hazara bezradnie.**

**–Nie umiesz zapalic? – spytał.**

**Potrząsnęła głową.**

**–To po co zbierałaś opał?**

**–Było mi zimno. Myślałam, że jakos sobie poradzę. Miałam pocierać patykiem o patyk.**

**Hazar przykucnął obok ogniska.**

**–Nie będzie trzeba. – W ciemności błysnęły odsłonięte w uśmiechu zęby.**

**Wymamrotał proste zaklecie, pstryknął palcami. Nad stosem gałązek pojawiła się wąta smuzka dymu.**

**–Mokre – wyjaśnił.**

**Ponownie pstryknął palcami. Strzeliły iskry, a po chwili plomyki zaczęły pelgac wśród patyków.**

**–O! – szepnęła z podziwem Gmiel. – Jesteś magiem!**

**Hazar potrząsnął głową.**

**–E tam, nie. Po prostu znam kilka prostych sztuczek.**

**Gmiel wyciągnęła w stronę ognia cienkie niczym u strzygi rece. Gdyby mogła, chętnie ułożyłaby się w środku ogniska.**

**Hazar wstał, otrzepał kolana z igliwia.**

**–Trzeba pozbierać więcej drewna – powiedział. – Tego starczyło ledwie na rozpalke.**

**Wstała posłusznie.**

**Kiedy Hazar wrócił z nareczem gałęzi, Gmiel łamała już przyniesione przez siebie patyki. Glebianin złożył opał koło ogniska. Wyciągnął z worka chleb i kawalek sera.**

**–Jesteś głodna? – spytał.**

**W ciemnych oczach dziewczyny zamigotało prawdziwe pożądanie. Lapczywie chwyciła odłamana połowkę chleba i glonek sera. Rzuciła się na jedzenie, pakując do ust ogromne kesy.**

Hazar spokojnie zui posilek. Kiedy skonczyi, zachciao mu sie pic. Wydobyi z worka blaszany kubek i ruszyi na poszukiwanie strumienia. Znalazi go opodal, gdyz kupieckie obozowiska zawsze rozbijano w poblizu wody.

Gdy wrocil, zastal Gmiel wytrzasajaca z worka okruchy chleba. Wydziobyla je niczym wyglodniala wrona.

–Przyszlas z polnocy, prawda? – zagadnal.

Dziewczyna drgnela.

–Tak, panie.

Glebianin usmiechnal sie. W swietle ogniska jego smagla twarz wydawala sie zlota. Wlosy barwy mahoniui mial zaplecione w niezliczone warkoczyki. Na koncu kazdego dyndala kosciana czaszeczka. Ozdoby grzechotaly cicho, gdy poruszał glowa.

–Mam na imie Hazar – powiedzial. – I nie jestem zadnym panem. Ja tez ide z polnocy.

Gmiel skulila sie przy ogniu. Przestala sie trzasc ze strachu, ale wyraz czujnosci nie schodzil z trojkatnej, szcurzej twarzyczki. Nie bylaby ladna, nawet gdyby sie umyla, uczesala i zamienila lachmany na porzadne ubranie. Mala, wystraszona mysz.

Hazar pogrzebal patykiem w plomieniach.

–Nie pochodzisz z miasta, prawda?

Potrzasnela glowa. Cieplo ogniska i posilek, ktorym ja poczestowal, sprawily, ze poczula sie bezpieczniej, i sklonily ja do zwierzen. Bezwiednie oskubywala z igliwia przeznaczona na opal galazke.

–Wychowalam sie na wsi, w Drugim Kregu. Pracowalam u bogatego gospodarza. Nie traktowal mnie zle, choc roboty dawal duzo. Rodzicow nie pamietam. Zawsze bylam sierota. Radzilam sobie, poki wojna nie zawedrowala w nasze strony. Pewnego dnia przyszli zolnierze. Domagali sie jedzenia. Gospodarz nie chcial dac, wiec go zabili. Zrabowali wszystko, potem podpalili chalupy. Ja ucieklam w las.

–Aha – mruknal Hazar sennie. – To sie zdarza, kiedy najemca zalega z zoldem i nie zapewnia wiktui.

Po dlugiej wedrowce bolaly go nogi, cieplo rozleniwilo. Gmiel rzucila mu zle, gniewne spojrzenie.

–Zalega z zoldem! – parsknela. – A ty co? Jestes zolnierzem, prawda? Pewnie



**nieraz rabowales chlopow.**

**Hazar ziewnal, owinal sie kocem. Nie mial najmniejszej ochoty na zadne rozmowy..**

**–Wcale nie – burknal. – Ale i tak nie uwierzysz.**

**Zamknal oczy i szybko zapadl w sen.**

**Zbudzil sie blyskawicznie, gdy tylko poczul, ze czyjes ostrozne palce grzebia w faldach koca. Przez wpolprzymkniete powieki obserwowal pochylona nad nim postac Gmiel. Majaczyła jak czarny, plaski cien na tle nocy, bardziej wyczuwalna sluchem i dotykiem niz wzrokiem. Starala sie zachowywac bardzo cicho. Wstrzymywala oddech, jej dlonie muskaly kurtke Hazara, penetrowaly kieszenie. Dlon Glebianina zacisnela sie na rekojesci noza. Poderwal sie zwinnie, chwycil Gmiel za ramie. Ostrze dotknelo chudej szyi dziewczyny. Wydala cienki pisk przerazenia.**

**–Nie mam ani grosza – powiedzial sucho. – Zadnych klejnotow ani cennych rzeczy. Nawet jedzenia. Wczoraj podzielilem sie z toba wszystkim, co mi zostalo. Nie ma mnie z czego okrasc, Gmiel.**

**Cofnal ostrze i puscil jej ramie. Dyszala plytko.**

**–Wcale nie chcialam cie okrasc. Bylo mi zimno. Probowalam owinac sie kawalkiem koca...**

**–Jasne! – warknal. – Akurat! Daruj sobie bajki, dobra? I nie rob tego wiecej. Moglbym cie zabic.**

**Odwrocil sie plecami, naciagnal koc na glowe. Gmiel dolozyła do wygasajacego ogniska, skulila sie w stercie suchych lisci. Noc przechadzala sie wsrod gwiazd, wysoka i obojetna.**

**\*\*\***

**Hazar obudzil sie odretwialy i zziebniety. W powietrzu pachnialo jesienia. Gmiel siedziala przy ognisku, dmuchajac w zar. W dziennym swietle wygladala na jeszcze bardziej chuda. Hazar, rozzloszczony nocna proba kradziezy, w milczeniu troczyl koc do worka. Sledzilo go sploszone spojrzenie dziewczyny. Postanowil ja zignorowac. Zrzucil worek na ramie. Gmiel zerwala sie na rowne nogi. Otworzyla usta, jakby chciala cos powiedziec, ale nie wydobyła z siebie glosu. Zrobila kilka niepewnych krokow w strone goscinca. Widocznie bala sie zostac sama. Hazar zauwazyl, ze upuscila przy ognisku jakies bure zawiniatko. Schylil sie po nie. To byla brudna lalka ze szmatek. Niemal zniknela w duzej garosci zolnierza. Wygladala jak wytarty galganek. Narysowana weglem twarz prawie sie zatarła. Lalka wydala sie Hazarowi rownie brzydka i nedzna jak sama Gmiel. Zaklopotany, obracal ja w palcach.**

**Dziewczyna zauwazyła, że znalazł zabawkę.**

**–Proszę, oddaj – szepnęła, wyciągając ręce. – Nie rob jej krzywdy.**

**Mizerna twarzyczka wykrzywił wyraz prawdziwej rozpacz. Hazar uswiadomil sobie nagle, że chuda oszustka w lachmanach, która dzisiejszej nocy próbowała go okraść, jest właściwie jeszcze dzieckiem. Zrobiło mu się żal Gmiel. Podał jej lalkę. Szybko wyrwała mu z ręki kukielkę i przytulila do siebie. Hazar usmiechnął się.**

**–Widzisz, miałem rację. Zgadłem, że bawisz się lalkami.**

**Pociemniałe od smutku oczy Gmiel patrzyły błagalnie.**

**–Może iść z tobą, Hazar? Proszę. Boję się zostać sama.**

**Glebianin skrzywił się lekko.**

**–Proszę, Hazar – szepnęła. – Chociaż kawalek. Idziemy w tę samą stronę.**

**Westchnął.**

**–No dobra – powiedział. – Jeśli nie będziesz marudzić i opóźniać marszu. I tylko do pierwszego dużego miasta.**

**Gorliwie przytaknęła.**

**W drodze nie sprawiała kłopotu. Starala się dotrzymać Hazarowi kroku, a żołnierz był nawet zadowolony, że ma się do kogo odezwać.**

**–Urodziłem się na północy, w Trzecim Kregu – opowiadał Hazar. – Ale nie na wsi, jak ty, tylko w mieście, w hrabstwie Rauma, poza okolicznymi ziemiami. Mój ojciec zmarł, kiedy byłem bardzo mały, matka pracowała jako praczka. Żyliśmy ubogo, ale spokojnie. Wychowywała mnie cała ulica. Znałem wszystkich w dzielnicy, bawiłem się z miejscowymi dziećmi. Nie znalazłem luksusów, ale źle mi nie było. Potem zaczęły się wojny. Przyszła głód, za nim zaraza. Wybiła całe miasto. Matka zmarła, większość sąsiadów też. Zostałem sam, a że byłem młody i zdrowy, zaciągnąłem się do armii miejscowego Mrocznego. I tyle. Potem samo poszło. Nie umiałem nic innego, więc zrobił się ze mnie prawdziwy najemnik.**

**Gmiel podniosła na niego wzrok.**

**–To czego szukasz na południu? Tu nie ma wojny.**

**Wzruszył ramionami.**

**–Mam dość bijatyk. Chcę się zatrudnić u kogoś, kto może do ochrony. A ty?**

**–Nie wiem – powiedziała szczerze. – Moze wynajme sie gdzies do pomocy w gospodarstwie.**

**Z twoim wygladem i piszczelami na wierzchu, pomyslal Hazar, watpie. Ale nie odezwal sie.**

**–Pewnie widziales wiele krain? – zagadnela. – Jak gleboko dotarles? Do Czwartego Kregu?**

**–Piatego – mruknal. – Z markizem Kymerisem.**

**–Ojej! – westchnela. – Az na lodowe pustkowia?**

**–Aha.**

**–No i jak tam bylo? – dopytywala sie zaciekawiona.**

**–Zimno.**

**Parsknela.**

**–No wiesz! Tylko tyle? Jak one wygladaja? Naprawde nie ma tam nic oprócz lodu, az po horyzont?**

**Hazar przypomniał sobie nieskonczone, szkliste tafle pustkowi. W swietle niskiego, glebianskiego slonca wygladaly jak zamarznieta krew.**

**–Przypominaja jeziora plomieni. Tyle ze skute lodem.**

**–Och! – Oczy Gmiel zrobily sie okragle ze zdziwienia. – To nad plomienistymi jeziorami tez byles?**

**Skinal glowa.**

**–Z armia ksiecia Amdusjasa. Walczylismy wtedy w Czwartym Kregu. Pelno tam bagien i trzesawisk.**

**Zamilkl. Ozyly przywolane rozmowa wspomnienia. Smugi krwi ciagnace sie niczym wstegi w burym blocie. Trupy szklanym wzrokiem wpatrzone w niebo, powoli tonace w trzesawiskach, podobne do dziwacznych pni z powykrecanymi galeziami ramion. Wychudle twarze towarzyszy, z oczami plonacymi od blotnej goraczki. Smrod rozkladu. Jedzenie, odziedz, buty, wyposazenie, gnijace momentalnie, pokryte plesnia, rozlazace sie w palcach. I wszechobecne bloto.**

**Wzdrygnal sie.**

**Gmiel wymachiwała beztrudnie znalezionym przy drodze kijem.**

**–I co? Widziałeś jeszcze coś ciekawego?**

**Twarz Hazara wykrzywił gorzki grymas.**

**–Duzo – powiedział. – Za duzo.**

**Gmiel nie zauważyła zmiany w tonie towarzysza.**

**–No, opowiadaj! – zaszła rozkapryszonym głosem. – Wciąż muszę cię ciągnąć za język! Mieszka tam ktoś na tych bagnach i lodowych pustyniach?**

**–Lodowe demony – burknął. – Paskudne i bardzo niemile. Nie ma o czym gadać.**

**Gmiel wzruszyła ramionami. Nie wydawała się usatysfakcjonowana.**

**–Dobra, jak chcesz – powiedziała urazonym tonem i przestała się odzywać.**

**\*\*\***

**Wedrowali przez las cały dzień, zatrzymując się tylko po to, żeby napić się wody. Gmiel wyszukiwała strumienie. Twierdziła, że zna okolice, i chyba mówiła prawdę. Hazar nie pytał, jakim cudem orientuje się w terenie, skoro wcześniej utrzymywała, że przywędrowała tu z północy i podąża coraz dalej na południe w poszukiwaniu zajęcia. Czuli, że Gmiel nie wyjawia całej prawdy, ale nie dbał o to. W końcu to jej sprawa. Byli przecież tylko przygodnymi towarzyszami podróży. Wkrótce ich drogi się rozejdą.**

**O zmierzchu, tak jak przewidywała, dotarli do dużej wioski. Hazar zatrzymał się na skraju lasu, zrzucił z ramienia worek. Gmiel spojrzała zdziwiona.**

**–Co robisz?**

**–Rozbijam oboz – wyjaśnił. – Nie ma sensu wchodzić do wioski. Czasy są niespokojne, nie zechcą przyjąć pod dach obcych. Zresztą, nie mamy czym zapłacić za jedzenie i nocleg.**

**–Tak myślisz? – Uśmiechnęła się chytrze.**

**Sięgnęła za pazuchę i wyjęła starannie zawiązana chusteczkę. Rozsuplała zawiniątko. Płocienna szmatka kryła w sobie srebrną monetę.**

**–Starczy na kolację i nocleg dla dwojga podróżnych, co? – zagadnęła z dumą.**

**Hazar przygryzł wargę. Był głodny i zmęczony. Przez cały dzień zjedli tylko garść**

zebranych przy drodze jagod. Podejrzał, że Gmiel ukradła monety, ale było mu wszystko jedno. Miał szansę najść się i wyspać w ciepło. Skinal głowa.

–Na pewno wystarczy – potwierdził.

Nieladna twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

–Chodź! Ja stawiam! We wsi jest gospoda. Całkiem przyzwoita. Kiedyś zatrzymywali się tu kupcy, dziś pewnie świeci pustkami. Uciesza się na nasz widok.

Ruszyli do wioski. Karczma była niewielka, przytulna i ciepła. Gospodarz gwałtownie się uklonił, a na widok srebra rozpromienił się niczym lampa po przyświeceniu knotu. Zaprzestął pytań, za to postawił przed gośćmi miski z gorącą zupą, dzban wina i pieczeń. Tego wieczoru zjedli do syta, a do snu ułożyli się w ciepłej, czystej pościeli.

Nazajutrz ruszyli w drogę z workiem Hazara pełnym chleba, sera i zimnego mięsa. Świat wydawał się miejscem przyjaznym, oferującym podróżnym różne możliwości. Słońce na złotym i czerwonym glebińskim niebie toczyło się niczym dojrzale jabłko. Pogoda się poprawiła. Wiatr pachniał nadchodzącą jesienią, ale nie niosł jeszcze w swych objęciach chłodu. Droga wiodła prosto ku lepszym czasom. Hazarowi dopisywał humor. Kiedy Gmiel nie zadawała pytań, okazała się miłą, niekłopotliwą towarzyszką. Gdy umyła się i ogarnęła, zaczęła przypominać porządną demonicę. Nie wyladniała, ale przynajmniej nie wyglądała jak strzyga. Uśmiech rozświetlał trójkątną twarz, w oczach plonęły wesole błyski.

Opowiadali sobie śmieszne historie, śpiewali piosenki. Posiłek i sen przywróciły im siły, toteż szli szparko. Na nocleg musieli zatrzymać się w lesie, ale tym razem noc nie była zbyt chłodna, a obfita kolacja poprawiła nastrój. W południe, zgodnie z przewidywaniami Gmiel, dotarli do miasta. Leżało w obrębie ziem rycerza Furkasa, możnego, który nie cieszył się najlepszą sławą. Mówiono, że jest porywczy, tchórliwy i sprzedajny, ale o podobne cechy nie było trudno także wśród innych władców Glebi. Furkas nie miał specjalnie dużego majątku ani wpływów, a że nie grzeszył też rozumem i zmysłem politycznym, Hazar wcale nie zamierzał starać się zaciągnąć do jego oddziałów. Ominąłby miasto, gdyby nie prośby Gmiel. Dziewczyna dowiedziała się w gospodzie, że właśnie odbywa się jarmark. Na samą wieść dostała rumieńców, a w drodze wciąż o tym paplała. Koniecznie chciała obejrzeć sklepiki i kramy, popatrzeć na stroje kupców, mieszczan i wiesniaków, za resztę miedziaków kupić słodczy. Wisiała u rekawia Hazara, aż wreszcie się zgodził.

Wkroczyli w obręb murów przez niską sklepioną bramę. Miasto nie robiło imponującego wrażenia. Było niewielkie. Ciasno stłoczone kamieniczki zdawały się pochylać nad wąskimi ulicami. Jednak Gmiel musiało wydawać się prawdziwą metropolią. Sciskała rękę Hazara, rozglądając się wokół okragłymi z zachwytem oczami. Dotarli na rynek, gdzie rzeczywiście odbywał się jarmark. Między skleconymi

napredce kramami tłoczyli się mieszczanie i wiesniacy. Przekupki wrzaskliwie zachwalały towary. Na straganach wystawiono na sprzedaż gliniane garnki, beły surowego płotna i kiepskiego sukna, potrzebne w gospodarstwie wyrobów rzemiosła, ozdoby z miedzi i szkła, różne lakocie. Przeważały jednak produkty rolne, często sprzedawane bezpośrednio z drabiniastych wozów. Przyprzeżone do dyszli siwe lub płowe woły przeżuwały spokojnie, obojętne wobec wrzawy i scisku.

Dla Hazara był to kolejny prowincjonalny targ. Ale Gmiel wydawała się zachwycona. Z trudem namówił ją, żeby kupiła trochę zapasów na dalszą drogę. Wolą opychać się słodyczami i przymierzać sznury tandetnych koralików ze szkła. Zagadywała Hazara beztrosko, twierdząc, że bez prowiantu też sobie poradzi. W końcu, wytargowawszy dwa twarde, słone serki, kawałek chleba oraz trzy dorodne rzepy, machnął ręką i poszedł obejrzeć stragan z wyrobami żelaznymi. Pośród siekier, sierpów i noży znalazł wcale ładny sztylet. Badał właśnie kciukiem ostrze, gdy w tłumie wybuchło zamieszanie. Brzuchaty demon, popchnięty przez cizbę, wpadł na plecy Hazara. Sztylet zeszliźnął się i rozciął mu skórę. Na kładzie wykwitła czerwona smuga. Hazar poczuł nagły dreszcz. Zły znak, pomyślał. Skaleczony palec piekła. Tłum falował, tłoczył się, deptał po nogach, próbując rozstać się przed niewielkim orszakiem jeźdźców. Dwaj pacholki nie szczędzili palek, żeby umożliwić swemu panu swobodne obejście straganów. Młodzieniec, a właściwie chłopiec, dosiadający czarnego bojowego smoka, siedział w siodle z wyniosłą miną, rzucając wokół spojrzenia pełne wzdrygnięcia. Musiał być synem miejscowego rycerza. Nosił się z panską, lecz jego strój był nieco przykrotki i wytarty. Bojowy smok miał ładną linię grzbietu, kształtną głowę i silne łapy, ale dawno już przekroczył prog starości. Hazar popatrzył na chłopaka z niechęcią. Więcej pychy niż rozumu, pomyślał.

Chłopiec minał stoisko płatnerza i zatrzymał smoka przy kramie ze słodyczami. Wycelował palcem w stos placuszków i powiedział coś rozkazującym tonem. Hazar wzruszył ramionami.

–Dzieciuch – mruknął do siebie.

Odłożył sztylet, rozejrzał się za Gmiel. Kupili trochę prowiantu, najwyższa pora ruszać dalej. W końcu ile czasu można przymierzać korale? Przepchał się pod stragan z różnymi świecidełkami, ale Gmiel tam nie było. Poczuł ukłucie dziwnego niepokoju. Podniósł głowę, omiotł wzrokiem targowisko. Zdawało mu się, że widzi wąską, bladą twarzyczkę w tłumie mieszczan otaczających kram rymarza. Zdażył się tylko zastanowić, co może interesować dziewczynę na stercie jarzm, orczyków i smoczyczych rzędów, gdy nad placem targowym rozniósł się rozpaczliwy krzyk.

–Moja sakiewka! Złodzieje! Ukradli sakiewkę!

Demon w długim chalacie kupca gorączkowo macał się po brzuchu.

**–Lapac złodzieja! – rozlegalo sie zewszad.**

**Hazar zobaczył Gmiel nurkująca pod nogami kupujących. Nie miała szans. Wielka lapa jakiegoś wiesniaka zacisnęła się na chudym jak patyk ramieniu. Gmiel szarpała się niczym zajac w sidłach. I mniej więcej tyle mogła zdziałać.**

**Hazar ruszył na ratunek właściwie bezwiednie. Już biec, wiedział, że wplata się w niezłą afere. Rozsadek krzyczał, żeby się opamiętał, ale piesci same torowały drogę, spadły niczym młot na głowy wiesniaka i okradzionego kupca. Trzasnięty w skron chłop zwałił się na stos uprzeży, puscil Gmiel.**

**–Wiejemy! – krzyknął Hazard.**

**Porwał dziewczynę w pole, przeskoczył stragan. Rzucił się w najbliższą uliczkę, wlokąc za sobą Gmiel, która nie nadawała przebierać nogami.**

**–Za nimi! Lapac złodziei! – usłyszał piskliwy głos młodzieńca na smoku.**

**Na szczęście wierzchowce utknęły w tłumie, a Hazard miał nadzieję, że w wąskich zaułkach miasta i tak na nic się nie zda. Pędził, roztracając nielicznych przechodniów, ale odgłosy pogoni wciąż słyszał za sobą. Wytrwale ciągnął Gmiel, przepychał się między ścianami kamienic, licząc, że uda się zgubić przesładowców, zaszyć się na kilka godzin w jakiejś szopie, piwnicy czy warsztacie, a przed zmrokiem po kryjomu opuścić miasto.**

**Kluczyli, skrecając w coraz inne zaułki, ale ścigający byli tuż-tuż. Mieli przewagę, bo znali miasto. Hazard powoli tracił nadzieję na ucieczkę. Przesładowcy ukazyli się w wylocie uliczki. Kilku rozwścieczonych mieszczan, pacholkiwie miejscy uzbrojeni w palki. Skreślił momentalnie w najbliższą przecznice. W ciągu kamieniczek mignęły mu rozwarte drzwi bramy. Zawrócił błyskawicznie, wepchnął Gmiel do środka. Liczył, że uda im się przebiec na sąsiednią równoległą ulicę i zmylić pogon. Sklepiony, lukowaty korytarz, w który wpadli, kończył się drugimi wrotami. Hazard naparł na nie, ale nie ustąpiły. Były zamknięte na żelazną, sztabę.**

**Złowił przerażone spojrzenie Gmiel. Dziewczyna była chyba bliska omdlenia ze strachu. Z wściekłością kopnął brame. Zadudniła, lecz nawet nie drgnęła.**

**–Tam są! – usłyszał z ulicy triumfalny wrzask.**

**Gdyby teraz zdecydowali się uciekać, wpadliby prosto w ręce ścigających. Hazardowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, że pierwsza brama nie ma zasuw ani żadnej sztaby, która można by ją podeprzeć. No to koniec, pomyślał. Znaleźli się w pułapce.**

**Gmiel stała sparalizowana lekiem. Wyglądała jak zaszczute zwierze. W palcach**

mietosila, skradziona sakiewke. Hazara ogarnela nagla wscieklosc. Dlaczego nie wyrzucila dowodu winy? Z chciwosci? Idiotka! Byla blada jak smierc, oddychala nerwowo. Chwiala sie na nogach, dygoczac w spazmach strachu. Szczurza twarzyczke wykrzywiala panika. Wygladala zalosnie, nedznie, brzydko.

–Dawaj! – warknal, wyciagajac reke.

Wyrwal dziewczynie sakiewke. Wlasciwie sam nie wiedzial, co chce zrobic. Cisnac pieniadze w kat, liczac, ze nikt ich nie znajdzie? W waskim, pustym korytarzu nie mogli sie spodziewac cudu.

Przez brame wpadlo do srodka czterech pacholkow i dwoch najodwazniejszych mieszczan. Spory tlumek pozostal na ulicy.

–Mamy zlodziei! – ryknal ktos triumfalnie.

Hazar stal z sakiewka w zacisnietej dloni.

–Nie ruszac sie! – krzyknal jeden z pacholkow.

Hazar nawet nie drgnal. Nie mial najmniejszych szans w walce z tyloma przeciwnikami.

–Ty tez! – wrzasnal znow pacholek. – Nie rozumiesz?! Nie ruszaj sie!

Zolnierz zrozumial, ze uwaga byla skierowana do Gmiel. Powoli obrocil glowe, zeby na nia zerknac. Bal sie, ze demonica pod wplywem paniki rzuci sie na straznikow albo robi inne glupstwo. Spojrzal na Gmiel i ze zdumienia rozchylil usta. Zamiast bystrej, wygadanej dziewczyny, w ktorej towarzystwie podrozowal przez ostatnie dni, stalo obok niego bezmyslne, niedorozwiniete stworzenie, opoznione na umysle. Oczy patrzyly calkiem bezrozumnie, puste niczym lusterka. Przesuwaly sie po twarzach straznikow i mieszczan bez leku, bez sladu uczucia. Oblizala wargi, rozciagnela usta w glupkowatym usmiechu. Zabulgotala cos, wybelkotala ciag niespojnych sylab, nerwowo gestykulujac. Z kacika warg Gmiel wyciekla struzka sliny. Przykucnela przed oslupialym straznikiem, a potem wyskoczyla w gore, zaczela klaskac i tanczyc. Nawet rysy jej twarzy dziwnie obwisly, opuchly.

Hazar przygladal sie tym popisom, rownie zdumiony jak scigajacy ich straznicy, az nagle zrozumial, a wtedy poczul w sercu uklucie bolu. Udaje glupia, pomyslal. Udaje, zeby ja puscili. Zacisnal mocno palce na sakiewce.

–Co jej jest? – zapytal dowodca pacholkow z jawnym obrzydzeniem.

–Durnowata – mruknal mieszczanin w zielonym plaszczu. – Opetana, znaczy. Lepiej zostawic taka w spokoju. Cholera wie, co w niej siedzi.



**–Przecież ukradła. – Straznik nie spuszczał oczu z Hazara i Gmiel.**

**–E tam, ukradła. – Zielony płaszcz nie miał wątpliwości. – Glupia taka? Ukradł ten przybłeda z czaszkami we włosach. Jeszcze sciska w garści sakiewkę, złodziejskie nasienie. I uderzył Morga! Wszyscy widzieli. – Sciszył głos. – A z dumna lepiej nie zadzierac. Urok rzuci, albo co innego.**

**Pacholek splunął na ziemię.**

**–Dobra, bracie go! A glupia zostawic.**

**Trzej strażnicy skoczyli na Hazara, wykrecili mu ręce, skrepowali.**

**–Mamy złodzieja! – krzyknął triumfalnie zielony płaszcz. Tłumek na ulicy podniósł radosną wrzawę.**

**Pacholki wypchnęli Hazara z bramy. Za nim kroczył dumnie dowódca z sakiewką w ręku. Gmiel podskakiwała i śliniła się, chichocząc.**

**\*\*\***

**Zawlekli winowajcę na rynek, przed oblicze panicza na smoku. Wokół tłoczyła się cizba gapiów, oczekująca wydarzeń, które rozproszą monotonię wiejskiego życia. Nieco dzień przecież sędzi się złodzieja. Po minie chłopaka było widać, jak bardzo chce się popisac władzą i pozycją. Oczy lśniły mu chciwie, a usta wykrzywił pogardliwy grymas.**

**Hazar stał spokojnie, chociaż miał czarne myśli. Panicz w przykroćkim fraczku schował wodze smoka, zmuszając wierzchowca do efektownego zwrotu w miejscu.**

**Co za palant, mruknął w duchu Hazar. Z chęcią skreciłby waty kark chłopaka i patrzył, jak wodniste rybie oczy z wolna zachodzą mgłą.**

**Panicz gestem ręki uciszył szemrzący tłum.**

**–A więc mamy tu złodzieja schwytanego na gorącym uczynku! – wykrzyknął piskliwie.**

**Dał sobie chwilę, aby należycie doceniono mądrość jego słów, i wrzeszczał dalej:**

**–Oto dowód winy! – Wzniósł w górę rękę, demonstrując zgromadzonym otrzymaną od dowódcy straży mieszek. – Kupcie Morga, czy rozpoznajesz swoją własność?**

**Mieszczanin w czarnym chalacie ponuro skinał głową.**

**–Jak stanowi prawo naszej baronii, złodziej musi ponieść surową karę! – oznajmił**

**chłopak z duma.**

**Hazar parsknął pogardliwie. Baronii? – pomyślał. Sam sobie przyznajesz tytuły, synu? Bał się, choć próbował zagłuszać strachem złością. Wypatrywał w tłumie drobnej twarzyczki Gmiel, ale oczywiście nie znalazł.**

**–W świetle niepodważalnego, sprawiedliwego prawa Otchłani, ustanowionego przez ojca mego, miłosiernego pana Furkasa, jeśli wartość ukradzionego przedmiotu przekroczy pięć glebińskich denarów, kat odetnie winowajcy prawą rękę. Jeśli zaś kwota okaże się niższa, złodzieja czeka, chłosta i przegierz.**

**Hazar pobałdł lekko. Okolica jest uboga, myślał gorączkowo. Ale pięć denarów to niewiele. Naprawdę niewiele. Przymknął powieki. Cokolwiek się wydarzy, nie będzie skamlał o łaskę ani udawał niewinności. To nie ma sensu. Oni już go przecież osadzili i skazali.**

**–Przeliczmy zawartość sakiewki! – zawołał chłopak, upojony własną potęgą.**

**Wytrząsnął monety na dłoń. Hazar z trudem przelknął ślinę. Serce biło mu szybko.**

**–Dwa szekle lucyferiańskie! – obwieszczył panicz. – Jedna drachma i cztery miedziane grosze. To razem daje...**

**Zawiesił głowę. Widac było, jak marszczy czoło, usilnie starając się przeliczyć pieniądze. Serce Hazara puszczono się w cwał.**

**–Cztery denary, siedemdziesiąt sześć! – zawołał z tłumu otyły kupiec.**

**Paniczowi mina się wydłużyla.**

**–Doprawdy?**

**Mieszczanie kiwali głowami.**

**–No cóż. Zatem chłosta i przegierz. – Młodzieniec na smoku uśmiechnął się złośliwie. Po raz pierwszy rybie oczy spotkały się ze wzrokiem Hazara. – Udalo ci się, złodzieju. Może nauczysz się u nas uczciwości. Pięćdziesiąt batów i przegierz do zmroku. Kara zostanie wykonana jutro, o poranku. Ktokolwiek przedtem zbliży się do skazanca, zapłaci grzywnę.**

**Hazar zacisnął szczęki. Złe, ale nie tragicznie. Niech zaraza weźmie te zwyczajowe glebińskie prawa.**

**Młodzieniec rzucił sakiewkę właścicielowi. Wysłuchał kornych podziękowań i zmusił smoka do kolejnego efektownego piruetu.**

**–Ach! – Zmruzył oczy. – Bylbym zapomnial. Przyprawdzcie skazanego blizej.**

**Straznicy popchneli Hazara, kolano jezdzca niemal dotknelo twarzy zolnierza.**

**–Rozwiazcie mu rece i przytrzymajcie – nakazal chlopak.**

**Sciagnal z palca duzy sygnet, przemowil do niego czule i dmuchnal na kamien. Oko pierscienia rozjarzylo sie niczym wegiel w ognisku. Panicz pochytil sie w siodle, szarpnal Hazara za reke. Mial nieprzyjemne, wilgotne palce. Przez chwile mierzyli sie wzrokiem. Wodniste oczy mlodzieniac isnily jak szklo. Podniosl sygnet i przycisnal do grzbietu prawej dloni Hazara. Zolnierz poczul ostry, palacy bol. Chlopak puscil jego reke. Na ustach mial paskudny usmiech.**

**Hazar spojrzal na wypalony na skorze znak, zacisnal wsciekle szczeki. Herb Furkasa. Jak niewolnemu. Jak bydlu.**

**–Na pamiatke – syknal mlodzian. – Kazdy, kto to zobaczy cie z tym znakiem w granicach mojej baronii, bedzie mial obowiazek cie zabic. Lepiej trzymaj sie od nas z daleka, zlodzieju.**

**Hazar usmiechnal sie drapieznie i splunal jezdzcowi na but. Chlopak kopnal go w twarz. Zolnierz probowal zrobic unik, ale pacholkowie trzymali go mocno. Oszolomiony, potrzasnal glowa. Czul ciepla struzke krwi, splywajaca z nosa.**

**–Wobec zatwardzialosci i braku skruchy skazanca – uslyszal piskliwy glos – podwyzszam kare do stu batow.**

**Bodajbys zdechl, rybnie slipie, pomyslal Hazar.**

**\*\*\***

**Reszte dnia i noc przesiedzial w lochu pod magistratem w zimnej, cuchnacej celi. Byla tak mala, ze nie mogl sie nawet polozyc. Rankiem zabrali go na rynek, gdzie stalo podwyzszenie z pregierzem. Przyszlo sporo gapiow, ktorzy drapali sie w glowy i przestepowali z nogi na noge. Nie byli agresywni. Raczej wydawali sie zaklopotani. Oczywiscie, ani sladu trojkatnej twarzy Gmiel.**

**Hazar zachowywal sie bardzo spokojnie. Pozwolil sie rozebrac i przywiazac do slupa. Pojawil sie pacholek z batem. Rzemienie smignely w powietrzu. Hazar zacisnal zebny. Poczul na plecach smagniecie goraca, jakby uderzyl go plomien. Nie krzyknal. Nie jest tak zle, pomyslal. Mylil sie. Z kazdym uderzeniem robilo sie gorzej. Swiat spowila czerwona mgla, twarze gapiow rozmazywaly sie, zlewaly. Niskie, glebianskie slonce patrzylo mu nienawistnie w oczy, niczym slepie bestii. Na deski podwyzszenia padaly krople krwi.**

Nie pamiętał, kiedy kara się skończyła. Wisiał przywiązany do słupa, obojętny, a ślepie słońca przesuwano się powoli w czerwieni i złocie nieba. Oblizwał popękane wargi. Chciał pic. Mieszczanie przechodzili szybko obok przegierza, często odwracali wzrok. Nie szydzili ze skazanca, nie obrzucali kamieniami. Nieruchomy, zakrwawiony, przestał być atrakcją. Przypominał o niedobrych rzeczach. Ze czasu niespokojne. Ze wojna blisko. Ze do miasta zawita z czasem więcej takich jak on.

Wreszcie niebo pociemniało. Pacholek odwiązał Hazara. Żołnierz osunął się na deski. Nawet nie próbował rozetrzeć zdrewniałych dłoni. W głowie mu szumiało, drewniany podest falował.

Podniósł wzrok, kiedy poczuł na ramieniu dotknięcie. Pochylił się nad nim starszy, nieznajomy Glebianin w długiej, ciemnej szacie.

–Mozesz wstac, synu? Spróbuj.

Hazar skinał głową. Glebianin objął go, pomógł dzwignąć się na nogi. Kolana gięły się dziwnie, ale żołnierz utrzymał się na nogach.

–Chodź – powiedział nieznajomy. – Pomogę ci.

Hazar zrobił parę chwiejnych kroków, ciężko zszedł z podestu. Miał mdłości, a szum w głowie nie ustawał. Pozwolił się otoczyć ramieniem i poprowadzić ulicami. Był otepiały i obojętny. W końcu i tak nie miał się gdzie podziac. Glebianin w ciemnej szacie wprowadził go do sieni niewielkiej kamienicy. Otworzył drzwi i oczom Hazara ukazała się pracownia maga. Pomyslał przelotnie, że nieznajomy może okazać się czarnoksiężnikiem, który chce prowadzić na nim czarnomagiczne eksperymenty, ale nie miał siły na sprzeciw.

–Wejdz – powiedział nieznajomy. – Mozesz usiąść?

–Chyba tak – wymamrotał Hazar.

Glebianin pomógł mu usadowić się na zydlu. Nie był już młody, ale też nie wyglądał na zgrzybiałego starca. Odnosił się do Hazara przyjaźnie, a jego oczy miały szczery wyraz.

–Nazywam się Angar – powiedział. – Jestem medykiem i magiem. Zajmę się tobą, synu.

Hazar patrzył na własne dłonie.

–Ja... nie mam pieniędzy – odpowiedział cicho.

Przez chwilę Angar wydawał się urażony.

**–Wiem, oczywiście. Nawet gdybys je miał, strażnicy by ci ukradli.**

**Hazar kolysał się na stolku, starając się zebrać myśli. Tymczasem medyk krztał się po pracowni, podgrzewał w garnku wywar, gorzko pachnący ziołami. Przelął nieco do głębokiej miseczki, podał Hazardowi.**

**–Wypij, synu. Nie za dobre, ale pomoże ci.**

**Żołnierz zawahał się, w końcu upił łyk. Skrzywił się. Wywar smakował paskudnie.**

**–Do końca, synu. Inaczej dawka okaże się za mała.**

**Dawka czego, metnie zastanowił się Hazard, lecz posłusznie wypił do dna. Angar czekał z założonymi rękami. Po chwili płyn rzeczywiście zaczął działać. Hazard poczuł sennosc, głowę miał dziwnie ciężką. Powoli mijał ból w poranionych plecach. Był gdzieś blisko, na wyciągnięcie ręki, krztał jednak obok; nie rwał, ale cmil.**

**–Dobra – mruknął medyk. – Czas opatrzyć ci plecy.**

**Hazard starał się skupić wzrok na twarzy Angara.**

**–Czemu to robisz? – spytał.**

**Starszy Glebianin uśmiechnął się.**

**–Bo jesteś niewinny, synu. A ja mam dawny dług do spłacenia.**

**\*\*\***

**Ocknął się rankiem, obolały i rozpalony, ale w pełni trzeźwy. Leżał w łóżku, w niewielkiej izbie, urządzonej skromnie i z prostotą. Ledwo otworzył oczy, skrzypnęły drzwi.**

**–Obudziles się? – spytał Angar. – Jak się czujesz?**

**Hazard spróbował przekreślić się na bok, skrzywił się z bólu.**

**–Nic mi nie jest – skłamał.**

**Blekitne oczy Angara zabłysły.**

**–Ano, widzę – powiedział z uśmiechem.**

**Hazard przetarł twarz dłonią.**

**–Słuchaj – zaczął. – Nawet nie wiesz, jak jestem wdzięczny...**

**Medyk machnal reka.**

**–Wiem – przerwal. – Nie mow o tym.**

**–Nie mam czym zaplacic.**

**–Nie chce pieniedzy. Oddaje wreszcie cos, co gnebilo mnie od lat. – Stary Glebianin przysiadl na brzegu lozka. – Dawny dlug. Widzisz, i mnie kiedys ktos pomogl, gdy bylem w sytuacji podobnej do twojej. Nie zadal zaplaty, tylko... hm, zwrotu uczynku. Wreszcie moze splacic zobowiazanie. A poza tym, skazano cie nieslusznie. Pieniadze ukradla ta mala zebraczka.**

**Hazar poruszył sie niespokojnie.**

**–Skad wiesz? – zdumial sie.**

**Angar wzruszył ramionami.**

**–W koncu jestem magiem. Powiedzialy mi karty, a potwierdzila kula.**

**–Aha... – wymamrotal Hazar.**

**Medyk wstal.**

**–Mozesz u mnie zostac, dopoki nie wydobrejesz. Nie martw sie, nie zbiednieje. Prowadze tu calkiem rentowna praktyke.**

**Zolnierz otworzył usta, oblizal spierzchniete wargi.**

**–Ale...**

**–Pic ci sie chce! – przerwal Angar. – Zaraz przyniose wina z ziolami. To cie wzmocni. Zaraz, jak ty masz na imie, synu?**

**–Hazar – odpowiedzial lekko skolowany.**

**–Wcale ladnie – skomentowal medyk, znikajac za drzwiami.**

**\*\*\***

Hazar spędził u Angara trzy dni i poczuł się na tyle dobrze, żeby pomyśleć o opuszczeniu gościnnego domu. Nie chciał siedzieć medykowi na głowie, chociaż ten wyraźnie cieszył się z towarzystwa. Rozmawiali wiele, lecz Hazarowi nie udało się dowiedzieć niczego na temat przeszłości gospodarza. Nie naciskał zresztą.

Czwartego dnia rano wstał, otworzył okno i tęsknie popatrzył na niebo ponad dachami kamienic. Z chęcią opuściłby miasto, z którym nie wiązały się szczególnie miłe wspomnienia.

Spojrzał na grzbiet prawej reki. Wykreslony krwawymi bliznami herb Furkasa plonął na niej szyderczo.

–Cholerne znamie – warknął Hazar.

Chętnie odrabiałby sobie dłoń, byleby się go pozbyć. Przypomnił sobie wykrzywione w paskudnym uśmiechu usta chłopaka na smoku, i jego rybnie oczy. Ze złością trzasnął grzbietem reki o kamienny narożnik kominka. Zabolalo, a piętno oczywiście nie znikło. Hazar poczuł gwałtowną falę wściekłości. Na dupka w przykroćkim fraczku, na Gmiel, na siebie. Świat wydał mu się podły i niesprawiedliwy. Paskudny, niczym znak wypalony na skórze. Uderzył reka o kamień. Za Gmiel. I jeszcze raz. Za własną głupotę. Najwyżej połamię sobie łapę. I tak nikt się nie zmartwi. Zaciśnął zęby, mięśnie szczęk drgały. Zamierzył się znowu.

–Co ty wyrabiasz, synu? – usłyszał za plecami głos Angara.

Głębokie błękitne oczy medyka patrzyły uważnie. Hazar się zmieszał, opuścił dłoń.

–Nie będę chodził z herbem Furkasa na ręce – powiedział z gorącością. – Nie jestem wolem, żeby mnie piętnować. Nie mam majątku ani tytułu, ale urodziłem się wolnym Glebianinem. Jedyne, o co muszę dbać, to mój cholerny honor. Więc dbam.

Uśmiech, który pojawił się na ustach medyka, był trochę smutny, a trochę zrezygnowany.

–Przypominasz mi kogoś, synu. Kogoś, kto wierzył w ideały, w godność i sprawiedliwość. Wiesz, że na tych wartościach miała zostać zbudowana Glebia? Jako kraina wolności i sprawiedliwości. Państwo równych, dumnych, nieugiętych Glebian, dla których honor znaczy więcej niż życie, a życie jest tym, co warto poświęcić w obronie Otchłani i jej ideałów.

–Mówisz o przewrocie Lucyfera? – zdziwił się Hazar.

Angar westchnął.

–Synu, kiedy Jasność powziela zamiar stworzenia świata, zapytała swoich

**poteznych, powołanych do życia w przedwiecznych czasach aniołów, czy chcą pomagać w wielkim dziele. Wielu odmówiło i dla nich pozostała Glebia, prywatny skrawek dawnego chaosu, który pragneli zachować. Nie było to złe miejsce, ale nie wносиło też do planu Jasności niczego dobrego. Zawsze tak się dzieje, gdy brakuje odwagi, wyobraźni i meznego serca. Ci, których nazywacie dawną arystokracją, woleli zamknąć oczy i pograć się w marazmie. Nie mieli pojęcia, co zrobić z darowaną im Glebia. Wiedzieli tylko, czego nie chcą. Idei. Rozwoju. Zmiany. Otchłan stała się wkrótce smutnym miejscem, Hazar. Ponura piwnica, w której plesniały resztki dawnej świetności. Lucyfer – medyk znowu się niewesoło uśmiechnął – przyniósł nam trochę światła. Odpryski Jasności, które w sobie zachował. Wielkie ideały, synu. I wielkie serce. Wizje piękne jak poranek w raju. Mrzonki, oczywiście. W końcu jesteśmy tylko demonami. Więc zamiast nowej Glebi, zbudowaliśmy stare piekło. Ale dobrze jest widzieć czasem światło w którymś z nas, synu.**

**Hazar z napięciem wpatrywał się w oczy Angara.**

**–Byłeś wśród tych, co wybrali Chaos, prawda? – spytał cicho.**

**Medyk położył palec na ustach.**

**–Ciiii. Nie wyciągaj fałszywych wniosków. Jestem tylko starym, dość kiepskim czarownikiem, który zbyt późno zrozumiał pewne błędy. Pokaż mi reke, Hazar. No widzisz, tylko się pokaleczyłeś, a piętno nie zniknęło. Trzeba, mi było powiedzieć. Chodźmy do pracowni. Zrobimy z tym porządek.**

**Hazar bez słowa zszedł schodami na dół. Zrozumiał, że Angar nie powie nic więcej. Nie wiedział, czy stary medyk jest jednym z upadłych eonów, czy tylko zwykłym, prowincjonalnym uzdrowicielem, ale czuł, że dobrze w świecie należącym do Gmiel, syna Furkasa i dowodcy straży jest spotkać kogoś, w kim płonie iskra jasności.**

**Angar sięgnął na wysoką półkę i zdjął słoiczek z zieloną mascią.**

**–Trochę zapieczę – uprzedził Hazara – ale szybko się zagoi, a znamie zniknie bez śladu.**

**Drewniana szpatulka zaczerpnął maseczki, posmarował dłoń żołnierza. Rzeczywiście, w pierwszej chwili zabolalo, lecz potem na skórze pozostało tylko wrażenie chłodu. Angar zabandażował reke Hazara.**

**–Za trzy dni zdejmij opatrunek – polecił.**

**Hazar poważnie popatrzył staremu Glebianinowi w oczy.**

**–Jutro wyruszę w drogę – powiedział. – Dziękuję za wszystko. Zawsze będziesz miał we mnie przyjaciela, Angar.**



**Medyk usmiechnal sie.**

**–Spodziewalem sie, ze zechcesz niedlugo odejsc. Jesli Mrok pozwoli, spotkamy sie ponownie. A teraz chodz, napijemy sie wina. W koncu do jutra moze sie jeszcze cieszyc twoim towarzystwem.**

**Hazar odwzajemnil usmiech.**

**\*\*\***

**Po trzech dniach wedrowki trafil do Rax, duzego portowego miasta, pelnego dezertow i najemnikow szukajacych zajecia. Gmiel spotkal juz pierwszego wieczoru. Zebrala na ulicy. Na jej widok gniewnie odwrocil glowe. Nie chcial nigdy wiecej ogladac trojkatnej twarzyczki ani drobnej sylwetki dziewczyny. Nie przypuszczal, ze spotkanie okaze sie dla niego tak przykre. Myslal, ze zdobył sie juz na obojetnosc. Tymczasem poczul podchodzaca do gardla, dlawiaca fale goryczy. Zdrada Gmiel bolala znacznie bardziej niz poranione plecy.**

**Dziewczyna dostrzegla go. Podbiegla, chwycila za rekaw.**

**–Hazar! Nic ci nie jest? Puscili cie? Martwilam sie.**

**Wyrwal ramie z uscisku watlych palcow.**

**–Zbedna troska – warknal, nie zatrzymujac sie.**

**W oczach miala smutek.**

**–Prosze – szepnela. – Nie odchodz. Porozmawiaj ze mna.**

**–O czym? O ukradzonej sakiewce czy o celi w magistrackim lochu?!**

**Wydluzyl krok. Biegla za nim, probujac chwycic go za reke.**

**–Balam sie – zawolala rozpaczliwie. – Po prostu sie balam!**

**Zatrzymal sie, pobladly z wscieklosci. Wycelowal w nia oskarzycielski palec.**

**–Balas sie?! Zwyczajnie mnie wystawilas! Moglem stracic reke, moglem zdechnac, a ty nawet nie raczylas sie o mnie zatroszczyc! Dlaczego ucieklas? Dlaczego bylo ci wszystko jedno, co sie ze mna stanie? Zostawilas mnie, Gmiel. A teraz ja zostawiam ciebie. Na zawsze!**

**Oczy demonicy zaszklily sie lzami.**

**–Balam sie. Nie moglam pokazywac sie w miescie. Zrozum.**

**–Nie rozumiem – warknal.**

**Odwrocil sie i odszedl, nie patrzac na nia.**

**–Hazar! – krzyknela za nim. – Dlaczego?**

**Zatrzymal sie znowu.**

**–Dlaczego co? – rzucil gniewnie.**

**Po bladych policzkach dziewczyny toczyly sie paciorki lez.**

**–Dlaczego to zrobiles? – wyszeptala. – Czemu nie powiedziales, ze to ja? Czemu zabrales sakiewke?**

**Na ustach zolnierza pojawil sie brzydki, pogardliwy grymas.**

**–Bo nie przezylabys kary, glupia. Rozumiesz?**

**Potrzasnela glowa.**

**–Nie? Trudno. – Wzruszyl ramionami i skrzywil sie, bo rany na plecach zabolaly.**

**Odwrocil sie, zeby odejsc. Znow zlapala go za rekaw.**

**–Ale dlaczego dla mnie to zrobiles? Hazar, blagam, powiedz, dlaczego dla mnie?**

**Rysy Gmiel wykrzywila rozpacz i jakies nieokreslone, gwałtowne uczucie, jakby od odpowiedzi zalezalo jej zycie.**

**–Myslalem... – zaczal i urwal.**

**Co myslal, do cholery? Ze miedzy nimi zrodzila sie jakas wierz? Przyjazn? Ze dzięki niej oboje rozprosza samotnosc? Ze bylo mu zal, ze chcial okazac Gmiel, brzydkiej, niczyjej jak bezpanski pies, troche serdecznosci? Chcial stanac po jej stronie, bo o niego tez nikt sie nie troszczyl? Za duzo oczekiwal. W koncu byli tylko przygodnymi towarzyszami podrozy.**

**Wyszarpnal reke z uscisku.**

**–Niewazne – burkнал. – Pomylilem sie.**

**Tym razem nie pobiegla za nim. Twarz miala woskowa, martwa. Lzy znaczyly policzki brudnymi smugami.**

**–Hazar! – zawolala jeszcze raz slabo.**

**Nie zatrzymał się. Siedział przed siebie, z rękami wbitymi w kieszenie i z gorzkim, zimnym ciężarem w sercu.**

**\*\*\***

**Zanim ponownie spotkał Gmiel, minęło pięć lat. Jechał z listami od księcia Eligosa do markiza Forneusa. W armii Eligosa służył od trzech lat. Powiodło mu się. Dorobił się bojowego smoka, własnych mieczy i niezłego trzosu oszczędności. Książę był rozumny, sprawiedliwy, dbał o swoich żołnierzy, a przy tym płacił przyzwoity żołd. Sytuacja w Glebi powoli się stabilizowała. Wasnie wygasaly. Ale Eligos nie zamierzał zmniejszać liczebności oddziałów. Był urodzonym dowódcą, kochał wojsko i nie wyobrażał sobie, że mogłoby stać na czele niedznej garstki wojaków.**

**Hazar, dzięki bystrości i uczciwości, awansował szybko, zdobywając zaufanie księcia. Teraz wypełniał właśnie poufną, kurierską misję. Nie musiał się spieszyć. Miał podróżować w zwykłym tempie, aby nie wzbudzać podejrzeń. Najważniejsze, żeby przesyłka dotarła do adresata.**

**Do Ers, niewielkiego miasta w zachodniej części Trzeciego Kregu, przybył w południe. Ponieważ od czterech dni nocował pod gołym niebem, postanowił zatrzymać się w gospodzie, a w dalszą drogę ruszyć dopiero nazajutrz.**

**Zostawił smoka w stajni, zjadł ciepły posiłek i wybrał się na przechadzkę po mieście. Dotarł na nieduży plac targowy. Kupował właśnie glebińskie owoce, zwane "jabłkami Ewy", gdy zobaczył Gmiel. Wybierała rzepy na sąsiednim straganie. Przytyła trochę. Miała na sobie ciemną, prostą suknię mieszczki, a myśie włosy podtrzymywał grzebień o sierpowatym kształcie. Towarzyszyła jej zarywna służąca z koszem przewieszonym przez ramię.**

**Hazar ucieszył się na widok Gmiel. Na drugi dzień po rozstaniu blakał się długo po ulicach Rax, lecz nie zdołał jej odnaleźć. Trochę żałował, że dał się wówczas ponieść emocjom. Po latach złość całkiem mu przeszła. Ucieszył się, że Gmiel jakos sobie poradziła. Nie chciałby jej spotkać w lazarecie dla zebrałków albo w tanim burdelu.**

**Podszedł do obu demonie, uśmiechnął się szeroko.**

**–Hej, Gmiel. Nie spodziewałem się, że cię jeszcze zobaczę. Wyglądasz jak prawdziwa mieszczka. Bardzo się cieszę, że ci się powiodło.**

**Odwrociła się, niby smagnięta batem. Trojkatna twarz skurczyła się, w oczach zapłonął strach i niechęć.**

**–Nie znam was, żołnierzu – powiedziała zimno. – Odejdźcie.**

**Hazar, zdumiony, cofnął się o krok. Rozłożył ręce.**

**–Daj spokoj, Gmiel. Nie chowam urazy. Nie masz sie czego bac. Chcialem sie tylko przywitac.**

**–Pomyliliscie sie, zolnierzu. Nie znam was, juz mowilam. – Glos byl ostry, zimny jak sopol lodu. Twarz napieta, ruchy sztywne.**

**–Gmiel. To ja, Hazar. Nie udawaj, ze nie poznajesz.**

**Gruba sluzaca obrzucila oboje podejrziwym wzrokiem. Na policzkach Gmiel wykwitly dwie czerwone plamy.**

**–Nie poznaje, bo nie znam. I nie nazywam sie Gmiel.**

**–Nie? – parsknal zirytowany. – Od kiedy?**

**Zacisniete, blade usta demonicy drgnely.**

**–Od zawsze. Odejdzie, zolnierzu, bo wezwe straz.**

**Pobladl, pochylil sie nisko.**

**–I co mi zrobia? Wychloszcza?**

**Odwrocila wzrok.**

**–Odejdzie, zolnierzu – syknela. – Pomyliliscie sie.**

**–Z cala pewnoscia – warknal wsciekle.**

**Grzmotnal piescia w stragan, az podskoczyly rzepy, i nie odwracajac sie, poszedl prosto do gospody. Stracil jakos ochote na przechadzke po miescie.**

**\*\*\***

**Wieczor zrobil sie pozny, a Hazar siedzial nadal w szynku nad dzbanem wina. Wypil sporo, jednak nie byl pijany. Wpatrywal sie ponuro w stol, we wlasne rece, a zlosc nie chciala odejsc. Przekonywal sam siebie po raz setny, ze nie ma sie czym przejmowac, ze niczego wiecej nie powinien sie po Gmiel spodziewac, ale musial w koncu przyznac, ze jest mu przykro. Potarl niewielka, okragla blizne na grzbiecie dloni. Cholernie przykro, to fakt.**

**Drzwi karczmy otworzyly sie, do srodka wszedl gnom w ubogim stroju. Rozejrzal sie pospiesznie i podszedl prosto do siedzacego w kacie Hazara.**

**–Czego? – ofuknal go zolnierz.**

**–Nazywacie sie Hazar, panie?**

**–A jesli tak, to co?**

**Gnom nachylil sie, znizyl glos do szeptu.**

**–Moja pani prosi do siebie. Chce porozmawiac.**

**–Twoja pani? – zapytal Hazar z przekasem. – A jak ma na imie?**

**Sluzacy oblizal wargi.**

**–Gmiel.**

**–Ach tak? No dobrze. – Hazar wstal. – Porozmawiam z twoja pania.**

**Wyszli w mrok. Mineli kilka przecznic. Gnom wprowadzil Hazara do waskiej kamieniczki. Sklep na parterze byl o nocnej porze zamkniety na glucho. Hazar wdrapal sie po stromych schodkach na gore. Sluzacy wskazal mu drzwi do izby i oddalil sie. Hazar wszedl bez pukania. Posrodku skromnej sypialni stala Gmiel. Blada, z twarza sciagnieta gniewem.**

**–Wiec mnie znalazles, tak? – rzucila wsciekle.**

**–Specjalnie nie szukalem – warknal.**

**–Pewnie! – Zasmiala sie sucho. – Zbieg okolicznosci.**

**–Jakbys zgadla – powiedzial.**

**Rozejrzal sie po izbie. Proste sprzety, lozko, skrzynia. Niezbyt dostatnio, ale przyzwoicie.**

**–Czego chcesz? – syknela.**

**W oczach miala lek, drzaly jej rece. Wzruszyl ramionami.**

**–Niczego. Chcialem sie przywitac, pogratulowac awansu zyciowego.**

**Trojkatna twarz sciagnela sie jak maska.**

**–Jak widzisz, jestem teraz porzadna mieszcanka. Mam meza, kupca sukiennego. I dzieci, Hazar! Syna i corke. I dom. Nie dam sobie tego odebrac!**

**–A kto mialby ci to odebrac, Gmiel? – zdziwil sie.**

**Z trudem przelknęła slinę.**

**–Nie waz sie wiecej mowic do mnie Gmiel! Nazywam sie Alija!**

**–Alija? – Parsknal. – Przeslicznie. Sama to wymyslilas?**

**–Nie przestraszysz mnie! Nie dam sie szantazowac! Mam za wiele do stracenia. Dach nad glowa. Dostatek. Ubrania, o ktorych kiedys moglam tylko marzyc. I dzieci! Moje dzieci. Ostrzegam, bede walczyc do ostatniego tchu, jak wilczyca!**

**–Raczej wsciekla suka – mruknal. – Mam tylko nadzieje, ze te dzieci nie sa do ciebie podobne.**

**Zacisnela piesci.**

**–Jestem kims! Nareszcie cos znaczcie! – krzyknęła rozpaczliwie.**

**Potrzasnal glowa.**

**–Nigdy nie bedziesz kims, Gmiel.**

**Podeszla blizej, zadarla do gory brode.**

**–Nie przestraszysz mnie. Nie pozwole, zeby moja przeszlosc zniszczyla to, co mam. Maz i sasiedzi nigdy sie nie dowiedza o istnieniu brudnej zebraczki Gmiel!**

**Wzruszyl ramionami.**

**–Jesli nie przestaniesz wrzeszczec, dowie sie cale miasto. Z twoim mezem na czele, chyba ze jest gluchy jak pien.**

**Parsknęła szyderczo.**

**–Nie boj sie. Moj maz wyjechal z towarem. Nie obawiaj sie, ze obije ci pysk, tchorzu!**

**Uśmiechnal sie krzywo.**

**–Jak ty nic nie rozumiesz, Gmiel.**

**–Wlasnie, ze rozumiem! – odparowala.**

**W czarnych oczach zablysla wscieklosc. Demonica siegnęła za siebie, podniosla woreczek, lezacy na wieku skrzyni, i podala go wladczym gestem Hazarowi.**

**Zolnierz pobladl jak plotno. Twarz mu sie skurczyla niczym pysk drapiezcy.**

**–Co to jest? – spytał lamiacym się z wściekłości głosem.**

**–Pieniądze! – warknęła. – I nie myśl, że dostaniesz coś jeszcze. Bierz i zjeżdżaj! Nie dam ani grosza więcej! Zabierzesz sakiewkę i znikniesz na zawsze z mojego życia.. Rozumiesz? To nie prośba, ale ostrzeżenie. Sakiewka w zamian za milczenie, Hazar. I żadnych układów więcej!**

**Hazar popatrzył na Gmiel. Cofnęła się odruchowo, bo oczy miał głębokie i straszne jak śmierć. Wyjął sakiewkę z jej palców, scisnął mocno w dłoni i rzucił na podłogę. Monety rozsypały się z brzękiem. Demonica drgnęła. Pochylił się, przysunął wilczą twarz do jej twarzy tak blisko, że poczuła jego oddech.**

**Mówił cichym, zdławionym głosem, powoli i na pozor spokojnie:**

**–Posłuchaj, Gmiel. Zadałaś mi kiedyś pytanie. Wciąż nie potrafisz na nie odpowiedzieć. Ale wiem jedno. Nie było warto.**

**Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Nie obejrzał się nawet.**

**Stała chwilę w bezruchu. Szczupła, trójkątna twarz mającyla blado ponad kołnierzem ciemnej, pospolitej sukni. Sztywno podeszła do skrzyni, uklekła. Otworzyła wieko, a potem starannie układała na podłodze wyjęte z wnętrza, schludnie złożone ubrania. Wreszcie, z samego dna podniosła brudną, poszarzałą szmatkę. Lalka patrzyła poważnie narysowanymi węglem oczami. Gmiel scisnęła zabawkę w palcach, skuliła się i pochyliła do przodu. Lkała rozpaczliwie, wsparta czołem o krawędź skrzyni. Lzy wsiąkały w postrzępioną spodnicę kukielki.**

**Nad miastem przechadzała się noc, wysoka i obojętna.**

## **ZOBACZYĆ CZERWIEN**

**Światła latarni rozmazywały się na mokrym bruku złotymi plamami. Mżyło. Malenkie, lodowate kropelki osiadały na skorze, kasaly zimnem. Ramiona i rekawy płaszcza otaczała perłowa mgielka wilgoci. Złodowaciały wcisnięte w kieszenie rece. Asmodeusz zakaszłał, podniósł kołnierz. Co za ziąb, pomyślał.**

**Właściwie powinien wracać do domu, ale nie miał ochoty. Blakał się po zaułkach ziemskiego miasta, pustego o poznej porze przy deszczowej pogodzie i marzi. Przemierzał wąskie uliczki, strome schodki, skwery z fontannami, gdzie odlane z brązu figury nimf i trytonów zdawały się kulic w porywach wiatru. Od kamiennych murów ciągnęło chłodem.**

**W niszy, przy wejściu do starej kamienicy, dzinn w niechlujnym turbanie ładował sobie działkę. Złote oczy patrzyły obojętnie na przechodzącego demona. Podmuchał.**

wiatru zalopotal polami plaszcza, szarpnal seledynowe wlosy, opadajace w mokrych kosmykach na kolnierz. Asmodeusz zadygotal z zimna. Przeszedl jeszcze dwie przecznice, zanim znalazl dosc zaciszne miejsce, gdzie wiatr przynajmniej nie urywal glowy.

Zatrzymal sie na chwile, wyciagnal z kieszeni papierosa. Pstryknal palcami, spomiedzy ktorych natychmiast wystrzelil nikly plomyk, i oslonil pelgajace swiatelko druga dlonia. Przypalil, zaciagnal sie. Co ja tu robie, zapytal ponuro sam siebie. W kaluzach odbijalo sie ciemne, nocne niebo. Asmodeusz westchnal. Wmowil sobie, ze odwiedza Ziemie w poszukiwaniu natchnienia, ale prawde powiedziawszy, nie mogl sobie znalezc miejsca. Meczyla go chandra. Wlasciwie to nie bylo dobre okreslenie. Asmodeusz, jeden z najswietniejszych Mrocznych, arystokrata Glebi, przyjaciel Lucyfera, mial problemy.

Westchnal ponownie. W miescie krolowala cisza i ciemnosc. Krople deszczu splywaly po wlosach demona. Wiatr rozrzucal smutne listopadowe liscie, podobne do malych mumii. Asmodeusz zapragnal wrocic do domu, wziac goraca kapiel i polozyc sie do lozka. Moze tym razem uda mu sie zasnac?

Scisnal w dloni skrawek latajacego dywanu.

–Moc! – powiedzial dobitnie.

Chodnik natychmiast zapadl sie pod jego stopami.

\*\*\*

Wyladowal lekko w glownym hallu swego palacu. I zaklal wsciekle przez zeby. Powital go gwar wielu glosow, pijackie spiewy i halasliwa muzyka. Na glowie marmurowego fauna, przepieknej pompejanskiej rzezby ustawionej przy drzwiach, wisiala mokra, cuchnaca alkoholem szmata, zapewne fragment czyjejs podartej kreacji. Przez polerowane, recznie zdobione kafle podlogi wiodl szlak wymiocin, konczacy sie na kobiercu tkanym z teczowego blasku rekami dzinnow Kserksesa. Kolekcja bialo gruntowanych lekytow, greckich wazonow nagrobnych, zdobionych widokami pol elizejskich, przemienila sie w stos smetnych skorup. Alchemiczne ryciny, ktore wyszly spod piora samego Nicholasa Flammela, zostaly wyrwane z ram i splugawione obscenicznymi komentarzami. Asmodeusz ostroznie podniosl jedna z nich, przetarl rekawem wilgotne plamy po winie i spojrzal na monstrualne genitalia dorysowane czerwonemu orlowi zwyciezajacemu czarnego. Miesnie szczek demona zadrgaly. Przypomnial sobie rozchybotane swiatlo swiec w pracowni wielkiego alchemika i pochylonego nad stolem Flammela z piorem w dloni. Ile czasu, trudu i zwatpien kosztowalo ich obu odkrycie tajemnic zapisanych w sekretnym, zielonym jezyku na tym oto, beztrosko zbezczeszczonym kawalku pergaminu.



**Wrzask dochodzący z komnat nasilił się. Przez korytarz przebiegła przerażona Zaridja, służąca Asmodeusza, ścigana przez nagiego, pijanego demona, którego czerwone włosy oblepiało coś, co przypominało salatkę z malzy.**

**Dzinnija dostrzegła przybyłego pana i z okrzykiem rozpaczony padła mu do stóp.**

**–Błagam, ratuj! Ratuj! – skamlała. – On zada ode mnie uciech cielesnych, mimo że kategorycznie odmówiłam, rozbiwszy mu na głowie miszkę salatkę!**

**–Rzeczywiście, trudno nie zrozumieć odmowy – mruknął Asmodeusz.**

**Nagi demon chwiejnym krokiem zbliżył się do pana domu.**

**–Zzzzooo? – wybelkotał. – Chto ty?**

**–Wynocha! – warknął Asmodeusz. – Precz stąd, bo kopnę w pysk!**

**Czerwono-włosy zatoczył się.**

**–Bleee – powiedział tylko, padł ciężko na kolana i z wymiotował na buty Asmodeusza.**

**Gospodarz skrzywił się z obrzydzeniem. Demon wyl się na podłodze, lecz Asmodeusz przestał zwracać na niego uwagę. Złapał za ramiona służącej i potrząsnął. Wrzała w nim wściekłość.**

**–Gdzie ona jest? – spytał ostro.**

**Migdałowe oczy dzinnii pociemniały z lęku.**

**–Nie wiem, panie, nie wiem... – mamrotła przerażona.**

**–Gdzie jest?! – warknął Asmodeusz, wpijając palce w ramiona służącej.**

**–Och, błagam, błagam... nie wiem! Może... nie wiem... w sypialni...**

**–Mojej?! – ryknął wściekły pan domu.**

**Zaridja skinęła głową, lękając łzy. Asmodeusz rozluźnił uścisk i popędził na górę. Stał jak wryty na podestach schodów, skąd roztaczał się widok na salon. Skala katastrofy przewyższała tu znacznie rozmiar zniszczeń, które dostrzegł w korytarzu. Pijany tłum demolował właśnie salon. Nie ocalał ani jeden antyk, nie ostał się żaden mebel, żaden obraz czy rzeźba. Wszędzie wałowały się potłuczone marmurowe torsy, polamane nogi i oparcia foteli, klaki z rozprutych kanap, skorupy zdeptanej ceramiki, pozrywane zasłony. Śmierdziało krwią, rzygowinami i alkoholem. Banda pijanych, polnagich demonów barłozyla się na podłodze, gziła, macała. Ryczano sprośne**

piesni, ktos taplal sie w prostokatnym, wykladanym mozaika basenie, posrod plywajacych do gory brzuchami egzotycznych ryb, przypominajacych teraz trupy sylwestrowych balonikow. Odlamki potluczonych krysztalowych luster wygladaly jak lzy. Nierzadnica Babilonska, w rozchelstanej purpurowej sukni, karmila Siedmioglowa Bestie oliwkami ponabijanymi na dlugie, ostre paznokcie. Chichotala.

Asmodeusz trzasnal piescia w porecz schodow i wielkimi susami pognal na gore. W progu sypialni potknal sie o chrapiacego dzinna, ktorego obudzil kopniakami i spuscil ze schodow. Gwaltownym ruchem otworzyl drzwi i wpadl do srodka. Oczywiscie, byla tam. Lezala w jego lozku, pozwalajac jakiemus Glebianinowi obsliniac sobie stopy. Na widok przybylego uniosla senne powieki, rozciagnela w usmiechu kaciki warg. Przefarbowala wlosy, zlote sploty rozsypywaly sie po poduszce, ale Asmodeuszowi i tak przypominaly klebowisko glist.

–Aaach, to ty. – Przeciagnela sie. Miala niski, slodki glos, zniewalajacy niczym gruchanie synogarlicy, lecz przez lata doprowadzila do tego, ze Asmodeusz reagowal na jej swiergot atakami nerwicy.

–Wynos sie – wysyczal. – Natychmiast precz!

Czarne oczy, ocienione firana rzes, zaswiecily jak plonace wegale.

–Nie badz nieuprzejmy. – Cudowny, slodki glos wydal sie Asmodeuszowi mdlacy jak nadmiar miodu. Udusilby demonice, skrecil jej kark, a ciało cisnal psom, ale nie mogli. Nie potrafili.

Perlowe odbloski pelgaly po aksamicie skory, zloto wlosow lsnilo. Zrenice Lilith, beczelne i okrutne, wpatrywaly sie prosto w fiolkowe oczy Asmodeusza.

–Pani – wybelkotal skulony na lozku Glebianin. – Czy mam wydrzec dusze z tego suczego pomiotu, ktory smial cie obrazic?

–To ja ci powydzieram to i owo, jesli sie nie zamkniesz – warknal poblady Asmodeusz. – Chociaz ten "suczy pomiot" byl calkiem trafny.

Lilith zasmiala sie i machnela lekcewazaco reka.

–Zostaw, Marax. On jest taki zabawny. Uwielbiam go.

Asmodeusz bezwiednie zaciskal piesci. Zaczal mowic cichym, lamiacym sie z wscieklosci glosem.

–Po co to robisz? Dlaczego nachodzisz moj dom? Wynos sie, odejdz. Ja ci dalem spokoj. Dlaczego, do kurwy nedzy? Wytlumacz, dlaczego?

**Okrutne oczy Lilith zwezily sie.**

**–Chcialam ci zrobic niespodzianke. I tyle. Usta Asmodeusza wykrzywil gorzki grymas.**

**–No i zrobilas. To prawda. A teraz wynocha! Zabieraj z soba te bande i precz!**

**Demonica zaprezentowala w usmiechu drobne, ostre zeby.**

**–Nie mam ochoty, skarbie. Musialbys mnie wyrzucic. No dalej, wyrzuc nas. Jak zamierzasz to zrobic? Zawolasz straz? Wpuszcz oddzial dzinnow? Sprobujesz sam? Chetnie popatrze.**

**Przeciagnela sie lubieznie.**

**–No – syknela. – Wez mnie w ramiona i wynies z lozka. Nie moze sie doczekac.**

**Twarz Asmodeusza sciagnela sie gwaltownie.**

**–Suka! – warknal.**

**Lilith tracila noga skulonego u jej stop Glebianina, ktory zdazyl zapasc w pijacka drzemke.**

**–Marax – poskarzyla sie drwiaco. – Nazwal mnie suka. Myslam, ze stac go na cos oryginalniejszego.**

**Glebianin przewrocil przekrwionymi oczami, zamamrotal i znow zasnal. Asmodeusz stal bladym jak papier, z dlonmi zacisnietymi w piesci.**

**–Wiec nie wyjdiesz, tak?**

**–Ani mi sie sni, skarbie.**

**–Dobrze, wyjde ja. Nie sprowokujesz mnie do wywolania skandalu. Nie zmusisz, zebym wyrzucal cie sila. Splugawilas moj dom. Wole sie przespac w burdelu.**

**Uniosla lekko brwi.**

**–W burdelu? Myslisz, ze tu brakuje dziwek?**

**–Przeciwnie – warknal. – Jest o jedna za duzo.**

**Trzasnal drzwiami, nie obejrzawszy sie nawet. Scigal go triumfalny smiech Lilith.**

**Brama Palacu Blekitu także w nocy Isniła głębokim kobaltem. Gdy tylko zapadał mrok, siedemdziesiąt ognistych słupów oświetlało budynek. Siedem fontann szemrało na dziedzińcu. Kojąca, słodka muzyka dawała się słyszeć z wnętrza. Ściany polyskiwały blekitem i złotem. Przez ogrodzenie przelewały się kaskady oszalamiająco pachnących kwiatów.**

**Asmodeusz zalomotał w drzwi kolatka w kształcie uśmiechającej się kociej głowy. Uchyliły się niemal natychmiast. Przepiękna dzinnija, ubrana w złoto i blekit, padła przed nim na twarz.**

**–Panie! – zawołała. – Co za zaszczyt. I w sama pore!**

**–Wstan – warknął Asmodeusz.**

**Zerwała się błyskawicznie na nogi, a dwie równie piękne służące już przyskoczyły ku przybyszowi, zdejmowały przemoczony płaszcz, podawały rozaną wodę do obmycia rąk, niosły gorące, pachnące korzeniami wino.**

**–Co to miało znaczyć, Zubejda? – spytał ostro Asmodeusz. – W jaka sama pore?**

**Smągła twarz dzinnii pokryła się bladocią. Zubejda, wyraźnie zmieszana, wylamywała palce.**

**–Wybacz, panie. Osmielili się okazać emocje i zaniepokoić cie. Ale, panie... dobrze, że przybywasz. Pan Sydragasum wyjaśni.**

**–Mam nadzieję – mruknął demon. – Nigdzie chwili spokoju!**

**Sydragasum, otyły, ocierający pot z czoła haftowana chustka wielkości obrusa, biegł już na spotkanie, widocznie zawiadomiony przez kogoś ze służby. Potykał się i gwał w ukłonach. Po nerwowych ruchach i rozbieganym spojrzeniu widac było, że jest zdenerwowany.**

**–Panie – wołał. – Nareszcie! Co za traf! A już się zastanawiałem, czy nie posłać po ciebie! Co za traf!**

**Chyba nie dla mnie, pomyślał ponuro Asmodeusz.**

**Blekitny Pałac był ulubionym lokalem demona. Niezbyt wielki, luksusowy i kameralny stał w cichej, willowej dzielnicy. Asmodeusz prowadził przenie działającą sieć domów publicznych o doskonałej renomie. Zaczynał wiele wieków temu od kilku skromnych lokali, aby z czasem stać się właścicielem niemal wszystkich burdeli i kasyn w Limbo, Przedpieklu i Otchłani. Wśród nich znajdowały się podle spelunki i ekskluzywne kluby, oferujące szeroka gamę rozrywek.**

Z powodu profesji, a także z racji młodzieńczego wyglądu i zamiłowania do luksusu, nazywano złośliwie Asmodeusza Zgnilym Chłopcem. Jednak nawet wrogowie, których mu nie brakowało, musieli podziwiać jego inteligencję, talent do interesów i cięty język. Glebianin słyszał też z elegancji, dobrego smaku i słabości do kobiet.

–O co chodzi, Sydragasum? – spytał z westchnieniem. – Gadaj szybko, bo chce się ogrzać, wypić drinka i położyć do łóżka.

Zarządca przewrócił oczami, a upiersoniona, pulchna dłoń nieustannie ocierał pot z czoła.

–Ach, Wasza Mroczność, proszę! To dłuższa rozmowa. Poufna. Nie wiem, co robić!

Asmodeusz machnął ręką.

–Dobra. Chodź do gabinetu.

Ruszył szybkim krokiem, a tłusty demon dreptał za nim, sapiąc z wysiłku i strapienia. Przeszli przez główny salon, niezbyt zatłoczony o tej porze. Na kominku buzował ogień, goście rozmawiali z dziewczętami, pili. Zgnily Chłopiec skinął głową Belialowi, który stał przy barze, obejmując dwie demonice naraz, rudowłosa piękność w zielonej sukni i skosnooka dakini ubrana w złoto i czerwień. Zauważył Mefista i Adramelecha, pograżonych w rozmowie w klubowych fotelach przy kominku. Byli zbyt zajęci, by go dostrzec. Jakis mag zabawiał trójkę dziewcząt prostymi sztuczkami z ognistym węzłem. Śmiały się i klaskaly. Asmodeusz pomyślał z tęsknotą o ciepłym promieniującym od płonących w palenisku głowni, o smaku wybornego koniaku i rozmowie z przyjaciółmi. Dzisiaj żadna z tych prostych przyjemności nie będzie mu dana. Czuli to w powietrzu.

Już miał otworzyć drzwi gabinetu, gdy Sydragasum ostrożnie dotknął jego rękaw.

–Panie – szepnął zmieszany. – Chyba lepiej, żebyś najpierw coś zobaczył.

Asmodeusz odwrócił się poirytowany, ale widok poważnej, zaszpeconej twarzy zarządcy zamknął mu usta. Skinął głową. Sydragasum ruszył wąskimi schodami na górę, do pokojów pracowników.

Kwatery urządzone skromnie, lecz wygodnie i ze smakiem. Asmodeusz minął pusty teraz dzienny pokój wypoczynkowy i skierował się za zarządcą do części mieszczącej sypialnie. Długim, łagodnie oświetlonym korytarzem dotarli do pokoju numer trzydziestu sześć. Sydragasum zawahał się na moment, zanim zapukał.

–Proszę wejść – odezwał się cichy kobiecy głos.

Asmodeusz wszedł do środka. W pierwszej chwili zobaczył tylko łóżko, koło

ktorego krecily sie cztery dziewczyny. Dopiero pozniej zauwazyl, ze w poscieli ktos lezy.

–Jak sie czuje? – spytal Sydragasum.

Misz, bardzo piekna demonica o zlotykh wlosach i twarzy aniola, potrzasnela smutno glowa. Amina, ciemnowlosa Glebianka o blekitnych oczach, cofnela reke, w ktorej trzymala wilgotna, zakrwawiona szmatke.

–Zle – powiedziala. – Chyba nie przezyje.

–Przepuscie mnie – rozkazal sucho Asmodeusz, ktory domyslal sie juz, co sie stalo.

Rozstapily sie poslusznie. Na lozku lezal mlody dzinn. Jego piers, plecy i ramiona pokrywaly glebokie, krwawiace rany. Wlosy zlepiala krew. Twarzy wlasciwie nie bylo. Zastepowala ja lepka, czerwona maska, jedno zapuchniete oko spogladalo z lekiem, w miejscu drugiego ziala dziura. W podobna dziure przemienily sie tez usta, ze zmasakrowanymi wargami i powybijanymi zebami. Rysy Asmodeusza wyostrzyly sie, sciagnely. Pobladl z gniewu.

–Dlaczego nie wezwales ochrony? – wycedzil przez zebny. – Dlaczego dopusciles do czegos podobnego? Poniesiesz konsekwencje, Sydragasum. Mozesz byc pewien.

Pot lal sie strugami po czole i skroniach tlustego demona.

–Alez, panie – jeknal placzliwie. – W normalnych warunkach zareagowalbym...

–A te czemu mialyby byc nienormalne? – przerwal Asmodeusz zimno.

Sydragasum wylamywal nerwowo palce, az brzekaly uderzajace o siebie pierscienie.

–Czy Wasza Mrocznosc nie domysla sie – wymamrotal z trudem – kto to uczynil?

Fiolkowe oczy Zgnilego Chlopca rozszerzyly sie i pociemnialy z gniewu.

–Ona? – wyszeptal chrapliwie.

Zarzadca slabo skinal glowa.

–To nie wszystko, panie. Przyprawdzila ze soba z pieciu drabow, prosto ze spelunek Limbo. Rozumiesz, panie, typy, ktorych nie wpuszczono by do najtanszego z twoich lokali. Trzy dziewczyny sa mocno pobite, dwie zarazone jakimis czarnomagicznym swinstwem, a ten biedak pewno pojdzie do piachu. Pani Lilith zalatwila mu to osobiscie. A to nie koniec strat. Oszukiwali w kasynie, terroryzowali gosci, a wreszcie pobili krupiera, zabrali, co bylo na stole, i poszli.

**Przerwal, przytloczony morderczym spojrzeniem fiołkowych zrenic.**

**–Dlaczego ja wpuscil, durniu?**

**Sydragasum drgnal.**

**–Panie, przeciez jest twoja...**

**–Wiem, kim jest! – wrzasnal Asmodeusz. – Jesli jeszcze raz o tym wspomniesz, wylecisz na bruk szorowac pyskiem chodniki!**

**–Wybacz, panie – jeknal zarzadca. – Ale jak mam jej nie wpuszczac? Podpali lokal albo co gorszego. Pani Lilith ma taki charakter...**

**–Wiem, jaki ma charakter – syknal Zgnily Chlopiec. – Dosc juz! Gdyby znow przyszla, natychmiast mnie zawiadomcie.**

**Jakby to cos pomoglo, uslyszal w glowie drwiacy glos. Nawet z wlasnego domu nie umiales jej wyrzucic.**

**Sydragasum chrzaknal.**

**–Panie, co zrobic z chlopakiem? Leczyć nie warto, wyrzucic na ulice chyba nie za dobrze i troche niebezpiecznie. Potrzynam go pare dni, a jak nieco okrzepnie, zwolnie, bo tu juz nie popracuje z takim wygladem.**

**Asmodeusz odwrocil glowe. Napotkal cztery pary wystraszonych oczu i jedno zapuchniete, przerazone slapie.**

**–Zawolaj lekarza, zapewnij chlopakowi opieke, a kiedy wydobrzeje, zatrudnij w kuchni albo gdzie indziej.**

**–Ale koszta, panie!...**

**Zgnily Chlopiec machnal reka.**

**–Niewazne. Tylko dobrze sie nim zajmij, sprawdze!**

**Sydragasum zgial sie w uklonie.**

**–Wedle zyczenia, panie. Czy przygotowac apartament?**

**Asmodeusz westchnal. Ochota, zeby pozostac w Blekitnym Palacu, zupełnie go opuscila.**

**–Nie, nie zostane na noc – powiedzial ze znuzeniem.**

**Czul sie przybity i zmeczony. Popatrzył na dziewczeta.. Amina ukradkiem ocierala lze. Misz pochylila glowe.**

**–Dziękujemy, panie. Jesteś bardzo dobry – wyszeptala.**

**Asmodeusz usmiechnal sie smutno.**

**–Opiekujcie sie nim. Daje wam dwa dni wolnego.**

**Skoczyly ku niemu dziekowac, ale odprawil je gestem reki.**

**–Sydragasum, wychodze. Cos jeszcze?**

**Tlusty demon z rozmachem palnal sie w czolo.**

**–Ach tak! Bylbym zapomnial. Pani Nahema kazala przekazac, ze przybyly nowe dziewczeta.. Jesli zechcesz ja odwiedzic, poczyta to sobie za zaszczyt.**

**–Przekaz, ze wpadne – mruknal Asmodeusz i wyszedl.**

**\*\*\***

**Lucyfer, poirytowany, podniosl glowe znad papierow. Zareagowal dopiero na trzeci odglos stukania do drzwi. Nie cierpial, kiedy ktos przeszkadza mu pracowac.**

**–Wejsc – warknal. – I oby to bylo cos waznego!**

**Do gabinetu wsunal sie wystraszony sluzacy.**

**–No? – zagadnal ostro wladca Glebi.**

**–Panie, masz goscia.**

**–Oszalales? O tej porze? Odpraw go natychmiast!**

**Zmieszany sluzacy chrzaknal.**

**–Ale, panie, to Asmodeusz!**

**–Wiec natychmiast go wprowadz, idioto! – zawolal Lucyfer, odkladajac pioro.**

**Sluzacy znikl, a pan Otchlani pomyslal ze zloscia, ze trudno dzis o dobra sluzbe.**

**Po chwili do gabinetu wkroczyl Zgnily Chlopiec, zziebniety, przemoczony i wsciekly. Kulal lekko, jak zawsze, kiedy byl zdenerwowany. Lucyfer zerwal sie z krzesla.**

**–Na litosc! Co sie stalo? – spytal zdumiony.**



**Asmodeusz machnął ręką i ciężko zwałił się na fotel.**

**–Luciu, wybacz. Muszę pogadać, bo szlag mnie trafił! Przeszkadzam ci, co? Pisałeś.**

**Lucyfer, zwany przez niezycyliwych Lampka, zaczerwienił się lekko.**

**–Nic ważnego. Takie drobne próby.**

**Fioletowe oczy Asmodeusza patrzyły uważnie.**

**–Przeszczę się krygować. Masz dobre pióro. Właściwie czemu publikujesz tylko pod pseudonimami, i to na Ziemi? Wydalbyś kiedyś coś pod własnym nazwiskiem w Głębi, zamiast marnować talent.**

**Lampka westchnął.**

**–Daj spokój. Władca Otchłani, który pisze książki. Moi przeciwnicy nie zostawiliby na mnie suchej nitki. I tak mam dość problemów z opozycją.**

**Asmodeusz wzruszył ramionami.**

**–Ja bym się nie przejmował. Ale jak chcesz. Powiesz chociaż, co to będzie?**

**–Sztuka – mruknął Lucyfer. – Do cholery, Mod, nie przyszedłeś przecież rozmawiać o literaturze! Co się dzieje?**

**Zgnily Chłopiec się skrzywił.**

**–Nawet mi się gadać nie chce. Przenocuje u ciebie, dobra? W domu mam burdel, w burdelu lazaret, pełna dupa, Luciu.**

**Lucyfer przeczeszał palcami krótko ostrzyżone, jasne włosy, potarł wydatną szczękę. Szare oczy z troską badały napiętą, zmęczoną twarz przyjaciela.**

**–Lilith, tak? – spytał.**

**Gorzki grymas wykrzywił usta Zgnilego Chłopca.**

**–Bingo. Zdemolowała mi dom, urządzając dziką balangę, okradła kolejne kasyno, znowu przyprowadziła bandę sukinsynów, którzy pobili dziewczyny, a sama omal nie zamoczyła na śmierć jednego z moich najlepszych dzinnow. Zostanie oszpecony na całe życie. Tym razem na straty poszedł Blekitny Pałac. Luciu, ja mam dość. Nie wiem, co robić.**

**Lucyfer w zamysleniu tarł szczękę.**

**–Dawno ci mowilem. Przeszan sie patyczkowac. Suka cie wykorzystuje. Gra na twoich sentymentach. Niepotrzebnych, Mod. Nie musisz miec zadnych skrupulow.**

**Asmodeusz masowal skronie.**

**–Wiem, cholera, wiem, ale...**

**Lampka patrzył zasepiony. Znal Asmodeusza od lat, laczyla ich gleboka, wyprobowana przyjazn. Pan Glebi doskonale wiedzial, ze Zgnily Chlopiec, cynik i sybaryta, hazardzista i kobieciarz, jest w istocie najbardziej lojalnym i uczciwym demonem w calej Otchlani. Jego slynnne milosne podboje to raczej kleski na drodze poszukiwan prawdziwego uczucia, a przypisywane mu kretactwo to tylko bystroszc i inteligencja w wynajdowaniu slabych punktow przeciwnika. Tak, Asmodeusz mial zasady, a zasady te czesto wykorzystywano przeciwko niemu. Jak chocby teraz.**

**–Mod – zaczal Lucyfer lagodnie. – Lilith jest twoja matka, ale to nie znaczy, ze moze cie niszczyc, zrozum.**

**Fiolkowe oczy byly pelne smutku.**

**–Luciu, nic nie rozumiesz. Urodziles sie w wielkim blysku woli Pana, niezalezny, samoistny, a ja mam rodzicow. Ale bodajbym ich nie mial. Samael i Lilith. Skurwysyn, wyrzucony z Glebi za okrucienstwo, i najwieksza dziwka wszechswiata. Wolalbym wilkolaka i strzyge.**

**Lampka westchnal.**

**–Dlaczego sie na ciebie uwziela?**

**Asmodeusz machnal reka.**

**–Cholera ja wie – mruknal ponuro. – Bo odmowilem namalowania jej portretu.**

**Lucyfer gwizdnal przez zeby.**

**–Tylko tyle?**

**–Wystarczy.**

**Asmodeusz byl doskonałym malarzem. Porownywano go nawet do Babilla, najwiekszego artysty Glebi.**

**–Dlaczego odmowiles? – spytal Lucyfer. – Moze trzeba sie bylo zgodzic dla swietego spokoju.**

**W zrenicach Zgnilego Chlopca blysnela prawdziwa udreka.**

**–Nie moge wiecznie ulegac jej kaprysom, Luciu. Malarstwo jest dla mnie wazne. Po prostu nie chce jej malowac. Nie moge sie ugiac w tej kwestii, bo wszystko by mi... splugawila. Musze zachowac cos swojego. Mam dosc. Chce sie przespac. Chyba niczego dzis nie wymysle.**

**Lucyfer poklepal przyjaciela po ramieniu.**

**–W porzadku. Powiem sluzacemu, zeby przyszykowal ci pokoj. Mozesz zostac, jak dlugo zechcesz.**

**Asmodeusz usmiechnal sie gorzko.**

**–Przynajmniej poki nie doprowadze do porzadku chlewu, ktory zrobila z mego domu.**

**\*\*\***

**Twarz Nahemy rozpromienila sie w usmiechu.**

**–Witaj, Asmodeuszu. Jakze sie ciesze! Nie oczekiwalam cie tak predko. Czuje sie zaszczycona.**

**Zgnily Chlopiec odwzajemnil usmiech.**

**–Cala przyjemnosc po mojej stronie.**

**Nahema cofnela sie z wdziakiem, aby przepuscic goscia. Nie byla juz mloda, ale zachowala slady wybitnej urody, wysokie kosci policzkowe, waski, szlachetny nos, oczy w ksztalcie migdalow.**

**Nahema nie zajmowala sie tak naprawde streczycielstwem. Wolala, gdy nazywano ja protektorka. Przyjmowala w swoim domu mlode demonice z ubogich rodow, corki wladykow z odleglych Sfer Poza Czasem, ambitne dzinnije i pozbawione posagow panny z prowincji. Wiele z nich marzylo o zaszczycie pracy w ktoryms z luksusowych domow Asmodeusza, bo stamtad prowadzily otwarte drzwi do kariery. Niejedna dziewczyna zostawala w krotkim czasie konkubina, a czesto nawet zona jakiegos moznego i wplywowego Mrocznego, glebianskiego arystokraty. Amilia, malzonka samego Mefistofelesa, pracowala niegdys w Ksiezycowym Domu Asmodeusza, a teraz czesto odwiedzala lokal razem z mezem. Sluzyla za doskonaly przyklad wielkiej kariery, gdyz nie byla nawet Glebianka, ale zwykla dakini. Jedynym kryterium Nahemy w doborze mlodych demonic byly nienaganne maniere, inteligencja, wdziek, wykształcenie i oryginalnosc. Powodzilo jej sie swietnie, choc od dziewczat nie pobierala oplat za opieke. Z tego powodu wiekszosc darzyla demonice szacunkiem i nazywala patronka.**

Prace w lokalach Asmodeusza albo u innych mniej świetnych właścicieli podejmowały tylko te damy, które wyrażały na to ochotę. Pozostałym Nahema starała się znaleźć odpowiednią partię lub dobrą posadę. W razie niepowodzenia panna po roku wracała do rodzinnego domu.

Nahema wprowadziła Zgnilego Chłopca do salonu. Pokój był obszerny, oświetlony dyskretną poswiatą bocznych lamp. Wielkie okno, za którym rozposcierał się widok na pograżony w wieczornym mroku ogród, zajmowało całą jedną ścianę. Na prawo od wejścia stało pianino, pośrodku stół do gry w zanu, za nim pulpit do rysowania, a w rogu obszerna sofa. Po przeciwległej stronie stały klubowe fotele i stolik do kawy.

Nowo przybyłe panny czekały już na gości, zabijając czas grami i rozrywkami towarzyskimi. Gdy Asmodeusz wszedł, cztery młode demonice i jedna dzinnija z ciekawością uniosły wzrok. Wszystkie były bardzo ładne. Kruczowłosa Glebianka, siedząca przy pianinie, posłała gościowi oszalamiający uśmiech. W oczach dwóch dziewczyn, które przy niskim stoliku bawiły się starą glebianską grą wrozebną zanu, błysnął zachwyt. Ciemnoskora demonica, zajęta rysowaniem, opuściła ołówek. Z wrażenia aż zamrugnęła, lekko rozchyliwszy usta. Tylko siedząca na uboczu dzinnija nie poruszyła się, zerkając ukradkiem znad książki.

Asmodeusz wyglądał pięknie. Seledynowe włosy nosił swobodnie związane na karku, młodzieńcza twarz o bystrych, fiołkowych oczach miała suchy, arystokratyczny profil i drapieżność istoty zrodzonej do walki o własną niezależność. Czarny strój podkreślał smukłą sylwetkę. Demon stawiał kroki lekko i sprężysto, prawie nie utykając.

Nahema zatrzymała się pośrodku salonu.

–Moje drogie – powiedziała. – Przybył pan Asmodeusz. Okazcie wszelkie względy naszemu szanownemu gościowi.

Demonice dygnęły głęboko, Zgnily Chłopiec odpowiedział ukłonem.

–Napij się wina? – spytała Nahema.

Z uśmiechem skinął głową. Kruczowłosa zerwała się od pianina i podała kieliszek z wdziękiem, lecz nie bez kokieterii. Niezła, pomyślał Asmodeusz, ale zbyt nachalna, za sztuczna. Z pewnością się przebije, lecz nie u mnie. Czarnuła już popędziła z powrotem do instrumentu i bebniała w klawiaturę, gotowa wykazać talent. Zgnily Chłopiec pochwycił porozumiewawcze zerknięcie Nahemy. Nic z tego, słodka, zdawało się mówić.

Pionki do zanu stuknęły glucho, dziewczęta, zasmiały się odrobine zbyt głośno, a fiołkowe oczy demona spotkały się niespodziewanie z ciemną, głęboką zielenią spojrzenia siedzącej z boku dzinnii. Na wszystkie kregi Otchłani, jaka ona była

piekna! Asmodeusz poczul, ze tonie, nie moze nabrac oddechu, a serce rusza do galopu po drodze wiodacej Mrok wie dokad. Patrzyl na lagodny owal twarzy, prosty, szlachetny nos, usta o slodkim ksztalcie serca i skore zlota niczym popoludniowe slonce. Dzinnija nie usmiechala sie, nie kokietowala. Czekala cicha, powazna, spokojna. To ona odwrocila wzrok, zapewne zmieszana zainteresowaniem okazywanym przez szanownego goscia, przeslonila nieprawdopodobna zielen oczu rzesami czarnymi jak obsydian. Zdawalo sie, ze bez emocji wraca do lektury, choc dlugie, smukle palce trzymajace ksiazke lekko drzaly.

Zgnily Chlopiec odetchnal gleboko. Fiolkowe oczy nabraly dziwnie nieprzytomnego wyrazu, a serce nie zamierzalo sie uspokoic. Asmodeusz zakochiwal sie nieraz, ale to, co sie teraz zdarzylo, w niczym nie przypominalo przyjemnego dreszczyku towarzyszonego zwykle poczatkom jego licznych romansow. Gleboki wstrzas, ktorego doznal, przywodzi mu na mysl tylko jedno wydarzenie. Pierwsze spotkanie z Sara. Nie badz idiota, nakazal sobie ostro, ale skojarzenie nie chcialo zniknac. Zgnily Chlopiec czul sie zbyt oszolomiony, zeby zauwazyc zmiane na twarzy Nahemy. Demonica w zamysleniu pocierala politurowany gzys kredensu, a pionowa zmarszczka, ktora pojawila sie na jej czole, znamionowala zaniepokojenie.

–Spocnijmy, prosze – powiedziala, wskazujac fotele.

Asmodeusz usluchal, demonica przysiadla obok. Prawila uprzejme grzeczności, na ktore nie zwracal uwagi.

Czas plynal, a Asmodeusz pil wino, zdawkowo odpowiadal Nahemie i z roztargnieniem sluchal swiergotania dziewczat. Dzinnija trwala pograzona w lekturze.

Serce Zgnilego Chlopca wyprawialo nieprawdopodobne harce, az w koncu zdecydowal sie zagadnac pania domu.

–Kim jest ta samotna czytelniczka? – spytal, silac sie na obojetnosc.

Nahema upila lyk wina.

–To Jashmin. Siedemnasta corka Angar Mereda, wladcy dzinnow z polnocnej czesci Sahary.

Asmodeusz ze zdziwieniem uniosl brwi.

–Pochodzi z wolnych, niezaleznych dzinnow, ktore wciaz upieraja sie mieszkac na Ziemi?

Demonica skinela glowa.

–Troche ich jeszcze zostalo.

**Zgnily Chłopiec usmiechnął się.**

**–Wiec jest księżniczka, tak?**

**–W pewnym sensie.**

**–Musi się czuć bardzo samotna.**

**Ciemne oczy Nahemy błyskawicznie zerknęły na gościa.**

**–Z pewnością. Nie zna reguł rządzących naszym światem, obyczajów, koneksji. To roza z pustyni, dziwna i dzika. Nie wiem, czy coś dla niej znajdzie.**

**–O to bym się nie martwił – rzekł Asmodeusz z przekonaniem. – Porozmawiam z nią chwilę. Ciekawi mnie.**

**Wstał, zanim Nahema zdążyła odpowiedzieć.**

**–Co czytasz, pani? – spytał z uśmiechem.**

**Drgnęła.**

**–Opowieści gwiazdy przewodniej – odrzekła cicho.**

**–Wyborna klasyka. – Asmodeusz usadowił się obok. – Niektóre opowiadania to prawdziwe perły. Na przykład Złoto nocy. Albo O śnie i smutku.**

**–Znasz je, pani? – Ożywiła się. Z lekkim rumieńcem na twarzy wyglądała tak pięknie, że Asmodeusz zakochał się jeszcze bardziej.**

**–Oczywiście. Należy do moich ulubionych lektur.**

**Przyglądał się jej złotym paznokciom, ciemnym włosom o połysku miodu, głębokiej zieleni oczu, skorzystym skrzydłom lśniącym niczym mosiądz.**

**–Jestes ifrytem, prawda? – spytał ze zdziwieniem.**

**Rumieniec na złotych policzkach pociemniał.**

**–W polowie, po matce.**

**Asmodeusz nachylił się blisko, błysnął w uśmiechu zębami.**

**–Pamiętasz historyjkę O pustym dzbanie?**

**W zielonych oczach zalsniło rozbawienie.**

**–To moja ulubiona. Przewrotna, madra i zabawna.**

**Nahema upila kolejny lyk wina. W zamysleniu stukala palcem w blat stolika.**

**\*\*\***

**Zgnily Chlopiec platal sie po domu z kata w kat, zly, zirytowy, opryskliwy. Obojetnie dogladal remontu w salonie i wszystkie pytania zbywal wzruszeniem ramion. Na nowe meble i antyki ledwo raczyl spojrzec. Dlugie godziny spedzal w pracowni, ale nie malowal. Wreszcie, nad ranem, po czwartej nieprzespanej nocy, przywolal poslanca i nie baczac na wczesna pore, kazal natychmiast zaniec list do pani Nahemy.**

**\*\*\***

**Swiatlo bylo takie doskonale. Lagodne i cieple, slizgalo sie zlotem po nienagannej sylwetce, po aksamicie skory. Asmodeusz malowal, calkowicie oderwany od swiata, pograzony w kosmosie kolorow i form. Nie uslyszal trzasniecia drzwi, odglosu krokow. Zdolal tylko zobaczyc, jak twarz Jashmin blednie, a oczy ciemnieja z leku.**

**–Co za slodka scena. Jestem wzruszona – odezwal sie za jego plecami drwiacy, niski glos przypominajacy gruchanie.**

**Odwrocil sie blyskawicznie.**

**–A ciebie po co tu diabli przyniesli? – warknal.**

**Nienagannie wykrojone wargi Lilith krzywily sie w usmiechu, ale zrenice ciskaly gromy. Dawno nie widzial matki tak wscieklej. Jashmin, przestraszona i zawstydzona, pospiesznie okrecala sie faldami draperii.**

**Glos Lilith stal sie zimny i ostry jak sztylet.**

**–Nie chowaj sie, sliczne zwierzatko. Chetnie zobacze, kogo moj syn wybral sobie na modelke. Coz to, Mod, zabrales sie do portretowania dzikiej przyrody?**

**Asmodeusz zacisnal szczeki. Z checia skrecilby Lilith kark. Nie znosil, kiedy nazywala go zdrobnieniem odpowiednim dla cyrkowej malpy, nie zamierzal tolerowac obrazliwych slow wobec Jashmin, ale nie chcial sie znizyc do wymyslow ani wyrzucania matki sila.**

**–Przestan sie osmieszac i przejdz do rzeczy – powiedzial ostro.**

**Nie podobal mu sie nienawistny wzrok, jakim Lilith mierzyla Jashmin. Czul, jak lodowaty palec niepokoju dzga go pod sercem.**

**Lilith parsknela pogardliwie.**

**–Dobrze. Bardzo prosze. Chce czterdziesti procent zysku z twoich kasyn. Platne w gotowce, ostatniego dnia miesiaca.**

**Asmodeusz nie powstrzymal smiechu.**

**–Oszalalas? Z jakiej racji mam ci placic?**

**Wzruszyła ramionami.**

**–Bez racji – syknela jadowicie. – Bo tak. Plac albo pozalujesz. Powiedzmy, ze masz u mnie dlug, bo cie urodzilam i wychowalam.**

**Zgnily Chlopiec parsknal pogardliwie.**

**–Krokodyle wkkladaja wiecej uczucia w opieke nad mlodymi, szanowna matko. Zagrzebuja jaja w piasku.**

**Lilith wydela karminowe wargi.**

**–Nie liczyłam, ze docenisz poswiecenie i troske. Ale przyszedl czas uregulowania rachunkow. Nie bede dluzej poblazliwa. Koniec wyrozumialosci. Zadam od ciebie naleznej opieki.**

**–Bo twoje matczyne serce krwawi – zadrwil Asmodeusz.**

**Prychnela jak kocica. Czarne oczy plonely wsciekle.**

**–Zaplacisz, syneczku. Zobaczysz. Przyniesiesz mi dwa razy tyle. Przynajmniej do tego sie przydasz, nedzny kuternogo. Nigdy nie moglam uwierzyc, ze urodzilam takie gowienko jak ty. Bedziesz placil jak zloto, maly. Przekonasz sie, ze matka jest tylko jedna. I gorzko pozalujesz, ze nie umiales okazac szacunku.**

**Asmodeusz zacisnal ze zlosci szczeki, ale postanowil nie dac sie sprowokowac.**

**–Nie bede wysluchiwal idiotycznych pogrozek ani tym bardziej kretynskich zadan – rzekl spokojnie. – Poszukaj lepiej dobrego psychiatry, bo we lbie ci sie przewrocilo.**

**–Jak chcesz – warknela. – Ostrzegalam. Pilnuj siebie i tego slodkiego kwiatuszka, bo moge ci popsuc sielanke.**

**Wytarl pedzle w szmate. Zdenerwowanie splywalo powoli. Matka wyraznie oszalala. Wreszcie do tego doszlo.**

**–Wynos sie – powiedzial. – Skoncz z tymi blazenstwami. Nie robia na mnie**



wrażenia. Jesteś zła.

–A ty głupi! – rzuciła.

Wyszła, szeleszcząc szkarłatną suknią, której tren ciągnął się po podłodze jak smuga świeżej krwi. Jashmin drżała.

–Nie przejmuj się – szepnął łagodnie. – Lilith jest szalona, ale nie zrobi nam krzywdy. Nie ma się czego bać.

Objął dziewczynę rękami umazanymi farbą. Palce zostawiały na skórze barwne smugi. Jashmin przywarła do niego mocno.

\*\*\*

W klubie było tłoczno. Wrzawa rozsądzała uszy. Migły zimne, niebieskie światła. Gnace się ekstatycznie tancerki wyglądały jak widma. Asmodeusz przepychał się do stolika ze szklanką w ręku. W bursztynowym płynie tancyły kostki lodu.

–Trzymaj – powiedział, stawiając szklankę przed Samaelem.

Rudowłosego demon pociągnął długi łyk. Asmodeusz usiadł.

–Masz kłopoty z Lilith, powiadasz? – Zielone, nakrapiane złotem oczy Samaela były drwiako zmrużone. – Nic oryginalnego, synu. Nie ty jeden.

Asmodeusz pochylił się nad stołem, żeby nie przekrzykiwać wściekłego huku muzyki.

–Posłuchaj, to poważna sprawa.

Samael rozwalil się wygodnie na krzesle.

–Po co przychodzisz do mnie? Ja codziennie rano tancze na rękach, z radości, że nie mam jej na karku. Spadaj stąd, Mod. Baw się.

Zgnily Chłopiec z trudem powstrzymywał gniew.

–Do cholery, wysłuchaj mnie przynajmniej. Jesteś w końcu moim ojcem!

Demon rozesmiał się szeroko i szczerze.

–No to co? Sam się martw o swoją przesliczną mamusię. Ja już nie muszę.

Asmodeusz przechylił się, chwycił Samaela za nadgarstek. Twarz wykrzywiła mu wściekłość.

**–Zachowaj sie chociaz raz godnie, dobra?**

**Rudowlosy demon pobladl.**

**–Godnie, mowisz? – warknal. – Tego slowa z pewnoscia mamusia cie nie nauczyla. Chcesz rady? Dam ci jedna. Z nia nie wygrasz. Ona nikogo nie kocha. Nie sposob ja zranic, przestraszyc, oblaskawic, przeblagac. To potwor. Zylem z nia przez lata, wiec wiem. Nie chce slyszec jej imienia, nie chce patrzec w te podla, sliczna twarzyczke. Ja, demon, ktorego wyrzucili z piekla za okrucienstwo. Ryzy Hukaj, desperat i przesmiewca! Wiesz co? W kazdej minucie dziekuje losowi, ze zostawila mnie w spokoju. Nie pomoge ci, Mod. Nie sprowadze sobie znow na leb tego przeklenstwa. Jest gorsza od zarazy, przysiegam. Ciesze sie, jak cholera, ze teraz zajmuje sie toba, bo przynajmniej mnie nie zadrecza.. Spotkalem ja na swoje zatracenie, kiedy lala krokodyle lzy w nurty Flegetonu. Taka slodka, smutna, skrzywdzona pieknosc, ktora chciala tylko odrobiny zrozumienia. I zakochalem sie z miejsca, biedny glupek. Nosilem te zmije na rekach, obsypywalem bogactwami, zaszczytami, adorowalem. Dalem jej w posiadanie prawdziwe krolestwo i czterysta osiemdziesiat szwadronow Glebian na wylaczne uslugi. I uwierz mi, wktrotce nie pozostal ani jeden, z ktorym by sie nie przespala. Uwielbialem ja, zabijalem dla niej, w jej imieniu, dla jej kaprysu, a moje rogi objaly sie o zenit kopuly niebieskiej. Omal mnie nie zniszczyla. Ale ucieklem. Tak, ja, Samael, po prostu zwialem. I tobie radze to samo. Zanim cie pozre, Mod. A teraz spadaj. Ide poderwac jakis towar.**

**Jednym haustem wypil zawartosc szklanki. Stuknal pustym naczyniem o blat.**

**–Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – warknal Asmodeusz.**

**Ryzy Hultaj wycelowal w niego palcem.**

**–Az tyle, synu.**

**Wstal i zaczal sie przepychac na parkiet. Czerwona czupryna gorowala nad tlumem. Asmodeusz ze zloscia trzasnal szklanka o stol, az szklo rozpryslo mu sie w dloni. Nie zwracajac uwagi na czerwone struzki plynace po palcach, wcisnal reke do kieszeni i skierowal sie ku wyjsci.**

**\*\*\***

**Jashmin wstala, gdy wszedl do pokoju. Zauwazyl napiecie sciagajace rysy twarzy, lekkie drzenie ust.**

**–Cos sie stalo, slonce? – spytal lagodnie.**

**Spuscila oczy. W palcach obracala zapisany kawalek papieru.**

**–Przyszedl list od pani Nahemy – szepnela i urwala.**

**Z trudem oduczył ja pokornego zwrotu "panie".**

**–Co pisze?**

**Nie osmielila sie podniesc wzroku.**

**–Ojciec jest rad, ze zechciales zwrocic uwage na jedna z jego corek. Zgadza sie mnie sprzedac. Prosi, abys podal cene.**

**Asmodeusz potrzasnal glowa.**

**–Nie kupie cie, Jashmin.**

**–Nie? – Zbielale nagle wargi ledwo sie poruszyly. Cos zablysló i umarlo w glebokiej zieleni oczu. Skora dzinnii pokryla sie popielata szaroscia. – Nie?**

**–Zostaniesz ze mna, jesli taka bedzie twoja wola. Nie chce cie kupowac, niewolic, traktowac jak przedmiot. Oczywiscie, zaplace twemu ojcu, ale jesli sama tak postanowisz. Zostan ze mna, Jashmin. Jako partnerka, albo... zona.**

**Upuscila list i podbiegla z rozwartymi ramionami.**

**–Och, tak! Tak! Na zawsze!**

**Od dawna nie czul sie taki szczesliwy. Nie rozumial tylko, czemu zimny palec niepokoju znow zaczal go szturchac pod zebrami.**

**\*\*\***

**Okó nocy odezwaló sie natretnie, terkotliwie. Asmodeusz wyciagnal z kieszeni krysztal.**

**–Tak? – spytal.**

**W polerowanej tafli pojawil sie wizerunek Sydragasuma. Twarz demona, napuchnieta, sinofioletowa, wygladala, jakby ktos dlugo tlukl w nia kamieniem. Polamany nos zrobil sie wielki jak kalafior, a w okolonych purpurowymi krwiami oczach czailo sie przerazenie.**

**–Nieszczescie, panie – wybelkotal nosowo zarzadca. – Blagam, przyjedz!**

**–Zaraz bede – rzucil predko Zgnily Chlopiec, bez wdawania sie w zbedne szczegoly.**

**Sytuacja wygladala na powazna.**

Sydragasum z jekiem przylozyl do skroni zimny kompres. Chustka momentalnie przesiakla krwia. Palce demona przypominaly teraz rozdete do granic mozliwosci serdele. Paznokcie nabraly siniego odcienia.

–Wpadli tutaj – seplenil przez rozkwaszone usta. – Mieli bron. Sterroryzowali nas wszystkich, kazali sie zaprowadzic do sejfu. Bylo ich pewnie z dziesieciu. Od razu zabili ochroniarzy od Raguela i zazadali pieniedzy. Nie chcialem dac, wiec zaczeli mnie bic. Nic nie powiedzialem, panie, a oni widac bali sie tracic za duzo czasu, no to przywlekli dziewczyny. Bili je i gwalcili, zebym otworzyl sejf. Kiedy jeden z naszych chlopakow, Sefer, rzucil sie biedulom na ratunek, rozwalili mu leb. Na Otchlan, panie! Krew byla wszedzie, na scianach, dywanie, meblach! Sefer drygal nogami, charczal, az w koncu umarl. Dziewczyny wpadly w panike. Piszczaly, plakaly. Wtedy jeden zlupal za wlosy Mee, pamietasz, panie, taka bystra czarnulke, co tak ladnie spiewala. – Glos demona zaczal sie lamac. – No i zabil ja. Strzelil prosto w usta, smial sie i mowil obrzydliwe rzeczy. A to byla taka dobra dziewczyna... ach, panie!

Po opuchnietych policzkach plynely lzy. Asmodeusz sluchal bez slowa, z kamienna twarza. Tylko miesnie szczek drgaly miarowo. Sydragasum zasmarkal sie, ostroznie wydmuchiwal w chustke krwawe skrzepy.

–Powiedzial, ze bedzie zabijal nastepne. Ale juz nie tak szybko. Powolutku, po kawalku. Zlupal Miesz i chcial jej wydlubac oko. Przysiegam, Wasza Mrocznosc, wcale nie zartowal. No to otworzylem sejf, panie... Niech mi Ciemnosc wybaczy! Nie moglem dluziej patrzec!

Glos Asmodeusza brzmial spokojnie. Przerazajaco spokojnie.

–Postapiles slusnie, Sydragasum. Wiesz, kto was napadl?

Demon skinal glowa.

–Tak, panie. Ten glowny, najgorszy, ktory zabijal, nazywal sie Marax. Zabral pieniadze i powiedzial, wybacz, panie, ze nastepnym razem masz je przyniesc w zebach pani Lilith albo nikt tu nie zostanie zywy.

–Marax, mowisz? – syknal Zgnily Chlopiec. Twarz mu sie sciagnela, wygladala jak pysk drapieznika. – Marax i Lilith. No dobrze.

Wstal gwaltownie, omal nie przewracajac krzesla. Szybko ruszyl ku wyjsci. Sydragasum odprowadzal go przerazonym wzrokiem zbitego psa.

–Dokad idziesz, panie? – zaskamlal.

**Asmodeusz odwrocil sie. Fiolkowe oczy staly sie niemal czarne.**

**–Zrobic porzadek – wycedzil.**

**\*\*\***

**Zaterkotalo oko nocy. Asmodeusz odebral.**

**–No? – rzucil ostro.**

**Smagla twarz Merkha, kapitana jego dzinnow, nie zdradzala uczuc.**

**–Mamy go. Tawerna Wdowi Smutek, w Limbo. Wchodzic?**

**–Poczekajcie na mnie. Zaraz bede – odrzekl Asmodeusz.**

**\*\*\***

**Drzwi, wywalone kopniakiem, wpadly do srodka. W tawernie bylo prawie pusto, zabraklo nawet stalych bywalcow, wystraszonych najazdem bandy Maraxa. Oszolomieni alkoholem, zaskoczeni zboje zepchneli z kolan rozchelstane dziwki i chwycili za bron. Za pozno. Dzinny w zielonozlotych turbanach spadly na nich jak burza.**

**–Aszmo-daiiiii! – wibrowal w powietrzu krzyk.**

**Blysnely szerokie, krzywe szable. Osmiu zbirow zbilo sie w kupe, plecami do siebie, ale zielen i zloto otoczyly ich ze wszystkich stron. Jeden zlapal sie za przerabany pysk, zalal krwia i runal pod nogi towarzyszy. Drugi padl ze steknieciem, przytrzymujac wyplywajace wnetrznosci, kolejny zwalil sie na kolana, tryskajac fontanna krwi z rozrabanej szyi. Mrugajaca ze zdumienia glowa potoczyla sie pomiedzy przewrocone stoly, po czym znieruchomiala. Sprawiedliwosc Asmodeusza dzialala gwaltownie i bezwzglesnie.**

**Zgnily Chlopiec, z glebianskim pistoletem Abyssum vocat 45 w dloni, potrzasal wywleczonym z komorki pod schodami karczmarzem.**

**–Gdzie jest Marax? – syknal wsciekle.**

**Przerazony oberzysta zaslal sie rekami.**

**–Nie bij, panie! Nie bij!**

**–Zabije, jesli nie odpowiesz! – wrzasnal Asmodeusz.**

**–Na gorze! Na gorze, panie! Laski!**

Cisnal karczmarza jak worek i wielkimi susami pognal po schodach. Kopnal drzwi do jedynej izby. Marax pospiesznie wciagal gacie. Wystraszona dziwka zbierala rozrzucone lachy.

–Precz! – warknal do niej Asmodeusz.

Polgola, przyciskajac do siebie klab kiecek i bielizny, uciekla w poplochu na dol. Wystarczylo jej jedno spojrzenie w fiolkowa furie. Marax zamarl z troczkami w dloniach, otworzyl usta.

Asmodeusz pokrecil glowa.

–Nie bedzie zadnej gadki – powiedzial i strzelil.

Sila uderzenia zbila demona z nog. Padl na plecy z rozkrzyzowanymi ramionami. Na piersi juz rozkwital mu wielki, szkarlatny kwiat. Rozszerzone granatowe oczy patrzyly z niedowierzaniem. Niebieskie wlosy lezaly rozrzucone wokol glowy niczym aureola namalowana przez daltoniste.

Nieladny grymas wykrzywil usta Asmodeusza. Abyssum vocat 45 ponownie plunal ogniem. Ciało na podlodze drgnelo, poderwane sila uderzenia pocisku, i zamarlo. Granatowe oczy zapatrzily sie w pustke.

–Widzisz? – mruknal Zgnily Chlopiec. – Nie bylo zadnych zbednych gadek. A nie chciales wierzyc.

Splunal pogardliwie na podloge.

–Tyle mozesz powtorzyc swojej pani – powiedzial.

Marax nie slyszal. Patrzyl w proznie.

\*\*\*

Asmodeusz zapadl gleboko w skorzany fotel Lucyfera.

–Lampka, co mam ci tlumaczyc. To powazne. I tyle.

Pan Glebi pociagnal lyk wyborowego koniaku.

–Widze, Mod. I wierze.

Zgnily Chlopiec potarl policzek.

–Nie czulem niczego podobnego, odkad spotkalem Sare. Teraz otworzyl sie przede mna nowy swiat. Sara byla zbyt ulegla, zbyt bierna. Czasem mialem wrazenie, ze

wszystko jej jedno, z kim sie wiaze. A Jashmin... jest wyjatkowa. Cicha, lagodna, ale bystra, inteligentna, wie czego pragnie, ma swoje cele, marzenia, zasady. Dobrze mi z nia, Luciu. I chce to zatrzymac na zawsze.

Lucyfer westchnal. Rzeczywiscie, Zgnily Chlopiec zakochal sie tak gleboko po raz pierwszy od nieszczesnej historii z Sara. Co prawda, Jashmin wydawala sie Lampce troche za cicha dla Asmodeusza, zbyt niesmiala, za malo otwarta na kontakt ze swiatem, ale moze to wlasnie bylo przyjacielowi potrzebne. Cieplo, stabilizacja i swiety spokoj. Lucyfer nigdy nie bolal, ze Asmodeuszowi nie udalo sie zwiazac z Sara, najwieksza niespelniona miloscia jego zycia. Anielica byla wprawdzie sliczna jak obrazek, ale rozumem nie grzeszyla. W dodatku wydawala sie wladcy Glebi ospala i obojetna jak ges. Byla corka Raguela, glownego egzekutora Krolestwa, ktorego Gabriel skazal na wygnanie z powodu dawnej zemsty. Raguel osiadl w Otchlani, gdzie zalozył doskonale prosperujaca agencje ochroniarska i detektywistyczna, ale nigdy nie poczul sie Glebianinem i wiecznie wyrzekal na niesprawiedliwosc, jaka go spotkala z rak Gabrysia. Gdy Asmodeusz zakochal sie do szalenstwa w jego corce, ten dziwny polaniol postanowil natychmiast wydac Sare za maz za skrzydlatego czystej krwi. Sama Sara wykazywala w tym wzgledzie daleko posunieta obojetnosc. Asmodeusz, tkniety zupełnie zwariowana namietnoscia, wyzywial na pojedynki kolejnych siedmiu mezow anielicy, ktorych w uczciwy sposob usmiercal. Po smierci piatego do reki dziewczyny zabraklo juz chetnych i zdesperowany ojciec musial ja wydac najpierw za jakiegos zastraszonego aniola sluzebnego najnizszej klasy, ktory zajmowal sie bodaj czuwaniem nad populacja dzzdrownic w okolicach pewnego bajorka, a potem za zapijaczonego dezterera z armii, gotowego za flaszkę gorzalki poslubic parchata owce. I tych takze Asmodeusz zabil w uczciwym, choc bardzo krotkim pojedynku. Mniej wiecej w tym samym czasie Sare ujrzal i pokochal Tobiasz, przyjaciel archaniola Rafala. Zapragnal pojac ja za zone, ale tak sprytnie, by uniknac walki ze Zgnilym Chlopcem. Wtedy w sprawe wmieszal sie Rafael, ktory namowil bezwolna Sare, zeby oswiadczyla Asmodeuszowi, ze go nigdy nie zechce, a na znak pogardy ofiarowala mu w prezencie rybia watrobe. Zdruzgotany demon dal za wygrana, a Tobiasz mogl bez problemow ozenic sie z Sara. I nie bylo czego zalowac, skrzywil sie na wspomnienie Lucyfer. Przez lata anielica roztyla sie i zbrzydla, ale rozumu jej nie przybylo.

Asmodeusz, zamyslony, popijal koniak. Lampka szczerze cieszył sie ze szczescia przyjaciela, ale jakos nie mogl wyzbyc sie niepokoju.

–Jestes pewien, ze tego wlasnie chcesz? – zapytal.

Zgnily Chlopiec spojrzal mu prosto w oczy.

–Tak. Calkowicie pewien.

Lampka rozlozyl rece.

**–To wspaniale. Ciesze sie razem z toba. Ale uwazaj na Lilith, dobra? Nie lekcewaz jej.**

**Asmodeusz machnal reka.**

**–Co mi zrobi? Przestraszyla sie i uciekla z podkulonym ogonem do budy. Stamtad moze tylko szczekac. Miales racje. Trzeba bylo postupowac z nia stanowczo od poczatku.**

**Lucyfer, zasepiony, pocieral szczeke.**

**–No, nie wiem. Jest niepoczytalna.**

**Zgnily Chlopiec potrzasnal seledynowa czupryna i rozesmial sie.**

**–Teraz ty zaczynasz? Przedtem ja mialem watpliwosci. Musisz zawsze wybierac przeciwna strone barykady?**

**Lampka tez sie usmiechnal, ale szare oczy pozostaly chlodne i niespokojne jak listopadowe morze.**

**\*\*\***

**Dni Asmodeusza kolysaly sie lagodnie i szcieszliwie niczym sny o Atlantydzie. Godziny wykreslalo drzace swiatlo swiec, lagodnosc i starozytne opowiesci Wschodu. Czas pelen byl cichych rozmow, czulosci, poezji o blasku starego zlota i zieleni oczu. Tej nieprawdopodobnej zieleni oczu, poza ktora nic nie osmielalo sie istniec. Po raz pierwszy od bardzo dlugiego czasu Zgnily Chlopiec czul sie szcieszliwy. I jak kazdej istocie w jego sytuacji zdawalo mu sie, ze wiecznosc to uszanuje.**

**\*\*\***

**Lampka obudzil sie w srodku nocy, tkniety niedobrym przeczuciem. Lomotanie do drzwi przemienilo je tylko w rzeczywistosc. Lucyfer zerwal sie z poscieli.**

**–Co sie dzieje? – zawolal.**

**–Panie! – uslyszal glos sluzacego. – Pan Asmodeusz do ciebie.**

**–Natychmiast wpusc!**

**Sluga uchylil drzwi i do sypialni wpadl Zgnily Chlopiec. Dyszal ciezko. Na twarzy mial wyraz niepokoju pomieszanego z irytacja. Obrzucil sypialnie szybkim spojrzeniem, a niepokoj parowal gwaltownie, pozostawiajac sama zlosc.**



**–Do cholery, Lampka! Co ty właściwie wyrabiasz?**

**–Moglbym cie spytac o to samo. – Zimna dlon powoli zaciskala sie wokol serca wladcy Glebi.**

**Szare oczy wpatrywaly sie w przyjaciela powaznie. Smiertelnie powaznie.**

**–Co to za durne zarty! – sarknal Asmodeusz, ale i w jego zrenicach zapalil sie nagly lek. – Nie powiesz, ze mnie nie wzywales. Pilna sprawa, musimy sie natychmiast zobaczyc, chodzi o dobro Glebi? Nie pamietasz?**

**–Nie, Mod – powiedzial Lucyfer wolno. – Z cala pewnoscia nie.**

**Skora Asmodeusza przybrala momentalnie szary odcien papieru. W oczach otwarla sie otchlan. Wargi, z ktorych odplynela cala krew, poruszyly sie z trudem.**

**–Wiec ty nie?...**

**Lampka powoli pokrecil glowa.**

**–Nie, Mod. – W glosie pana Glebi drgalo wyczuwalne napiecie. – Ja cie nie wzywalem.**

**Pod Asmodeuszem ugiely sie kolana. Zobaczył czarne i czerwone platki tanczace w powietrzu.**

**–Musze natychmiast wracac do domu! – krzykнал z rozpacza. – Natychmiast!**

**–Ide z toba! – zawolal Lucyfer, ktory za wszelka cene nie chcial dopuscic, zeby Zgnily Chlopiec sam wszedl do swego domu.**

**Asmodeusz go nie uslyszal.**

**–Gdzie masz dywan? – zawolal, potraszajac przyjaciela za ramie. – Latajacy dywan, Lampka?!**

**–Nie masz swego? – zdumial sie Lucyfer.**

**Zgnily Chlopiec spojrzal nieprzytomnie. W fiolecie oczu lsnila groza.**

**–Przybiegłem pieszo. Wszystkie moje skrawki jak na zlosc sie wyczerpaly. Nie chcialem tracic czasu na budzenie stajennych i siodlanie smoka.**

**Lucyfera ogarnelo przerazenie.**

**–Dawac dywan! – rykнал do oslupialych sluzacych. – Szybko!**

Wyladowali niemal rownoczesnie. Na podlodze, z twarza, zatopiona w kobiercu z teczowego blasku, lezala nieprzytomna Zaridja.

–Jashmin! – krzyknal rozpaczliwie Asmodeusz i popedzil na gore.

–Czekaj! Nie wchodz tam! – Lucyfer biegł za przyjacielem po schodach, starajac sie go zatrzymac.

Ale Zgnily Chlopiec juz dopadł sypialni. Wbiegl do srodka i zamarl. Rozpedzony Lucyfer wpadł na nieruchome plecy. Podniosl glowe i tez zamarl.

Bezkrwiste, blade wargi Asmodeusza poruszyly sie.

–Nie – powiedzial cicho, ale wyraznie, jakby to proste przeczenie mialo moc zaklecia odwracajacego rzeczywistosc.

–Nie – powtorzył glosniej. Nie przyjmie prawdy do wiadomosci. Odrzuci ja, zaprzeczy jej i wszystko wroci do chwili, w ktorej nikt nie zmusza go do rozumienia slowa rozpacz.

Lucyfer przelknal sline. Oddychal plytko, bal sie nawet poruszyc. Na Mrok, myslal goraczkowo. To koniec! On oszaleje.

A Asmodeusz stal nieporuszony, nie wierzac, nie chcac wierzyc, odrzucajac.

W powietrzu, w pozie, jakby zrywala sie do lotu, wisiala Jashmin. Siec sznurow, rozpietych miedzy zyrandolem i slupami baldachimu nad lozkiem, utrzymywala ja pod sufitem. Szeroko rozpiete zlote skrzydla ifryta rzucaly cien na pokoj. Stopy, skrepowane w kostkach, podciagnieto wysoko, zeby nadac cialu niemal pozioma pozycje. Wyprute wnetrznosci zostaly starannie udrapowane jak pek czerwonych wstazek. Okaleczone ramiona rozkrzyzowano w gescie szyderczego blogoslawnienstwa. Odrabane dlonie lezaly na podlodze, jedna na drugiej. Miedzy palce ktos wetknal wiechec polnych kwiatow. Dwa podobne bukiety sterczaly szyderczo z kikutow. We wlosach Jashmin miala pelno konfetti, jakies listki, galazki, drobne kwiatki. Na szczescie, juz nie zyla. Wywroczone bialkami oczy ogladaly wiecznosc.

Podloga i sciany schlapane byly krwia. Na dywanie obok odcietych dloni lezaly pedzle Asmodeusza.

Zgnily Chlopiec zauwazyl je, upadł na kolana i zwymiotowal. Trzasł nim spazmatyczny szloch. Skulil sie, objal ramionami glowe. Palce kurczowo wpijaly sie we wlosy, szarpaly.

**Lucyfer przykleknal obok, bezradny. Bal sie nawet dotknac przyjaciela, zeby nie wywolac ataku szalenstwa.**

**Asmodeusz plakal i dygotal, drzacymi rekami macal nasiakniety krwia dywan, rozmazywal czerwien po wlosach i twarzy. Mamrotal.**

**–Mod? – szepnal przestraszony Lucyfer.**

**Nigdy nie sadzil, ze cokolwiek moze doprowadzic przyjaciela do takiego stanu.**

**Asmodeusz odwrocil glowe. Lucyfer nie rozpoznalby tej wykrzywionej, oszalalej twarzy z odslonietymi w morderczym grymasie zebami. Patrzyl na zwierze zadne mordu.**

**–Zabije – wycedzil Asmodeusz. – Zabije.**

**Porwal sie, zeby wstac, wybiec, dopasc te suke, dziwke, zmije, szarpac, rozszarpac, zabic! Ale sily go zawiodly i opadl na podloge. Lucyfer objal go wpol, przydusil, nie pozwolil sie wyrwac.**

**–Nie, Mod! Zrozum! Ona na to czeka! Chce, zeby przyszedl ja zabic. Sprowokowala cie. To podstep! Pewnie przyjmuje gosci, ktorzy zeznaja, ze rzuciles sie na nia, zeby zabic, a jej pacholkiwie juz czekaja z bronia. Zalawia cie, Mod, zabija! – Nagle doznal olsnienia. – Nie mozesz jej dac tej satysfakcji, co? Nie mozesz, prawda? Nie dopuszczisz, zeby wygrala! Co, Mod?**

**Oszalaly, zakrwawiony, placzacy Asmodeusz kiwal monotownie glowa.**

**–Nie dopuszczze – powtarzal. – Zabije. Nie dopuszczze. Nie dam satysfakcji. Nie dopuszczze.**

**Ale uspokajal sie powoli. Spojrzal na Lucyfera przytomniej. Lampka odwrocil wzrok. Nigdy nie widzial w niczyich oczach takiego morza bolu, goryczy i rezygnacji.**

**–Na Mrok – wyszeptal Asmodeusz. – Z powodu portretu. Zwyklego portretu.**

**Lampka czul sie tak podle, ze wlasciwie wolalby sam wisiec u sufitu zamiast Jashmin. Wyrzucal sobie, ze niczemu nie zapobiegil, ze nie ustanowil ochrony, nie wymogl na Asmodeuszu ostroznosci. Zamknal oczy.**

**–Samael nie mial racji – wychrypial niespodziewanie Zgnily Chlopiec. – Jest ktos, kogo ona kocha. Ona sama. Tylko ona sama i jej wsciekla proznosc.**

**–Tak – zgodzil sie lagodnie Lampka. – Pewnie, ze tak, Mod. Wyjdiesz stad ze mna, dobra?**

**Asmodeusz nie usłyszał ani jednego słowa. Światło przygasło, nastąpiła dziwna szarość, która przemieniła się w czerną, a Zgnily Chłopiec stracił przytomność.**

**\*\*\***

**Tęskny, przejmujący klangor harpii przeszywał serce. Fale na Jeziorze Plomieni mieniły się czerwienią i złotem. W gorze stało niebo nieskonczone czernią.**

**Asmodeusz odwrócił się od okna.**

**–Proszę cie, Babilo – powiedział. – Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.**

**Malarz pokręcił głową.**

**–Mod, nigdy nie pracuje na zamówienie.**

**Asmodeusz nerwowo krzył po pracowni.**

**–To nie będzie zwykły obraz. To wielkie wyzwanie. Zrozum, wyzywam na pojedynek twój talent. Kunst przeciwko prawdzie. Co ty na to?**

**Babilo w zamysleniu przeczesał gesty, srebrne włosy. Nie był już młody, ale jego spokojna, lwa twarz i barczysta sylwetka, sprawiały, że miał powodzenie u kobiet i uchodził za bardzo przystojnego. W srebrnych oczach po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmawiać, pojawił się błysk zaciekawienia.**

**–Mów – rzekł krótko.**

**Asmodeusz przysunął się blisko, pochylił. Rece oparł na blacie stolika do rysowania.**

**–Pamiętasz, jak uczyłeś mnie malować? Kazałeś mi patrzeć i dostrzegać prawdę. Malowałem Jezioro Plomieni, do obrzydzenia, do znudzenia. I wciąż było źle. Nie podobało ci się. Miałem dość, chciałem rzucić malarstwo, zrezygnować. Wtedy zabrałeś mnie na brzeg i pokazałeś fale. Patrz, powiedziałeś. Nie możesz po prostu malować czerwieni. Musisz ją najpierw zobaczyć.**

**Babilo słuchał. Spod zmrużonych powiek obserwował dawnego ucznia. Dostrzegał bladłość, śmiech pod oczami, gorzkie zmarszczki w kącikach ust. Cień smutku na młodzieńczej twarzy. Dostrzegał prawdę.**

**–Mam dla ciebie zadanie, Babilo. Żebyś zobaczył modela, przejrzał na wylot, odczytał i pokazał. Wspaniałe zadanie! Bezlitosny sprawdzian sztuki. – Asmodeusz rozłożył ręce. – I co? Bierzesz?**

**Malarz westchnął. Spojrzał w okno. Z przejmującym, smutnym krzykiem harpie**

**krazyly nad przestworem zmiennej czerwieni.**

**–Dobrze – powiedział Babillo. – Zgadzam sie.**

**\*\*\***

**Lilith wsunela sie do komnaty, zamienionej prowizorycznie na pracownie. Portret byl niezwykly. Oddawal doskonale aksamit skory, burze zlolych lokow wokol glowy, cudowne proporcje twarzy, zywe spojrzenie zrenic plonacych jak dwa wegale, lekko rozchylone, zalotne usta, dlonie piekne jak kwiaty. Lilith kokieteryjnie przechylila glowke.**

**–Mistrzu, co za wspaniale dzieło! – zagruchala. – Ale pochlebiasz mi! Nie jestem az tak piekna.**

**Malarz uklonil sie.**

**–Dokladnie tak, pani – odrzekl bez usmiechu.**

**Lilith promieniala. Portret byl niemal skonczony, zostaly jakies drobiazgi. Kosmetyka, jak sie wyrazil Babillo. Jutro zostanie uroczyscie odsloniety podczas jej imieninowego przyjecia. Nie miala pojecia, od kogo dostala tak piekny i kosztowny prezent. Mistrz Babillo po prostu przyszedl do niej pewnego dnia i powiedzial, ze ktos zamowil jej portret. Rzecz o tyle szczegolna, ze malarz nigdy nie przyjmowal zadnych zleceń. Nie miala pojecia, jak tajemniczy adorator namowil mistrza ani ile mu zaplacil. Wiedzial tylko, ze jest tego warta. Uwielbiala, gdy ja adorowano. Zyla po to, zeby byc zdobywana i podziwiana. Teraz puchla z dumy. Prawdziwy Babillo, jedynie dla mnie, portret na zamowienie, spiewala dusza demonicy. Przegladala sie w obrazie jak w lustrze i nie mogla ukryc zachwytu. Tak wygladam! Dokladnie tak wygladam! Na Mrok! Co za pieknosc! Skonczona pieknosc. Dobrze, ze to obraz. Nie znioslabym istnienia drugiej rownie cudownej istoty. Gdybym miala siostrze blizniaczke, zamordowalabym ja, myslala z zachwytem.**

**Zasmiala sie slodko. Zlozyla rece, zrobila uroczna minke.**

**–Ach, mistrzu, prosze, zdradz tajemnice! Kto mi ofiarowal tak cudowny prezent?**

**Babillo pozostal niewzruszony. Lilith zdawalo sie przez moment, ze wykrzywil usta w ironicznym grymasie.**

**–Wybacz, pani. Tego powiedziec nie moze. Trzyma mnie umowa i slowo honoru. Wszystkiego dowiesz sie jutro.**

**–Ach, dobrze juz, dobrze! Jakis ty nieugiety, panie! – zaswiergotala. – Trudno. Postaram sie powsciagnac ciekawosc.**

**Poslala malarzowi uwodzicielskie spojrzenie spod rzes, ale Babillo obojetnie wycieral pedzle.**

**–Do jutra wiec i dobrej nocy – powiedziala, odchodzac, bo dzis nawet calkowity chlod malarza wobec jej wdziekow nie mogl popsuc Lilith humoru.**

**–Ano do jutra, rosiczko – mruknal do siebie Babillo, gdy drzwi sie zamknely.**

**\*\*\***

**Przyjecie bylo wspaniale. Sztuczne ognie szalaly pod sklepieniem wielkiej sali balowej. Setki tancerek z precyzja automatow wykonywaly skomplikowane układy choreograficzne. Polykacze ognia dokonywali cudow. Potrawy podawano tak znakomite i wykwintne, ze zapewne malo ktory z gosci, nawet sama Lilith, umial wymowic ich nazwy.**

**Demonica zerkala na przybyle swietne osobistosci Glebi. Pojawil sie Moloch, obwieszony zlotem, tlusty i nadety. Zarl, oblizujac tluste palce. Obok siedzial Tammuz, wyniosly i zadufany w sobie, ktory opowiadal podniesionym glosem o wlasnych sukcesach. U przeciwleglego kranca stolu zasiadl Mefistofeles. Jego ostry, krogulczy profil kontrastowal z lagodnym owalem twarzy malzonki, dakini Amilii. Lilith skinela jej sztywno glowa. Slicznotka z rynsztoka, pomyslala zlosliwie. Wielka mi pieknosc, myslalby kto. Ma brzydki nos. A te oczy! Paskudne. Nie to co ja! Poslala oszalamiajacy usmiech Belzebubowi, ktory z kwasna mina pogryzal kandyzowane owoce. Sukinsyn, skomentowala w duchu. Demonstruje swoja wyzszosc. A bal sie nie przyjsc, zeby nie podpasc. Bydle. Ksiaze Zepar i ksiaze Gusjon byli juz niezle pijani. Nierzadnica Babilonska lepila sie do obu, smiejac sie donosnie. Lilith skwitowala ja pogardliwym parsknieciem. Mala dziwka.**

**Buer i Marbas, Mroczni wysokiej krwi, siedzieli w milczeniu, jedli niewiele. Lilith z przyjemnoscia patrzylaby, jak dlawia sie na smierc pasztetem, w ktorym dziobali. Tak czy inaczej, oni takze nie osmielili sie odrzucic zaproszenia.**

**Jednak drobne triumfy nad gosciami mogly zaprzatac umysl demonicy zaledwie na chwile. Nie miala czasu rozkoszowac sie wlasna pogarda. Nadchodzil czas wielkiego odsloniecia. Na znak Lilith olbrzymi, polnagi demon uderzyl w gong. Niski, wibrujacy dzwiek rozszedl sie po sali. Lilith wstala. Obecni uniesli glowy, gwar zamarl.**

**–Mili goscie – zaczela. – Oto nadeszla kulminacyjna chwila dzisiejszej uroczystosci. Odslonimy prezent od tajemniczego, niesmialego przyjaciela, ktory postanowil nie ujawniac swojej tozsamosci. Prezent, zaznaczam, nie byle jaki. Moj portret, namalowany przez mistrza Babillo na specjalne zamowienie. – Zawiesila glos, toczac po sali triumfalnym spojrzeniem. Z satysfakcja uslyszala poszum zdziwienia i niedowierzania. Potrzasnela zlotymi lokami i ciagnela dalej: – Mam nadzieje, ze**

**darczynca zechce sie jednak ujawnic, aby przyjac dowody wdziecznosc. Zatem, odslonmy dzieło. Mistrzu Babillo, prosze!**

**Zaklaskala w dlonie. Dwa piekne, mlode dzinny wniosly sztalugi z obrazem. Blejtram zaslaniata kosztowna purpurowa tkanina, Babillo wysunal sie z kata, stanal obok ze skrzyzowanymi ramionami. Ponura twarza i barczysta sylwetka przypominal raczej kata niz artyste, ale podekscytowana Lilith nie zauwazyla, niczego szczegolnego. Ponownie zaklaskala. Dzinny odrzucily zaslone. Demonica nie patrzyla, na obraz, tylko na gosci. Oczy jej plonely, wargi wydal pogardliwy grymas. Tak jak oczekiwala, przez sale przebiegl szmer. Ale na twarzach zaproszonych zamiast zachwytu zobaczyla konsternacje. Moloch wypuscil widelec, Tammuz urwal w pol slowa tyrade o wlasnej zaradnosc i inteligencji i rozwarl szeroko usta. Buer i Marbas pozwolili sobie na krotkie parskniecia smiechu. Cisza, ktora na moment zapadla, wypelnila sie szeptami.**

**Lilith obrocila sie powoli. Z plotna rozpietego na blejtramic patrzyl na nia potwor. Podobienstwo wciaz bylo uderzajace, uwieczniono tez niezwykla pieknosc modelki. Nadal uroda Lilith rzucala na kolana. Ale alabastrowe czolo bylo siedliskiem podlych, brudnych mysli, w czarnych, przepastnych oczach plonely okrucienstwo, proznosc i zadza, wydete pogardliwie usta znamionowaly glupote i malostkowosc, w kacikach warg mieszkalubieznosc. Dlugie, smukle palce zmienily sie w szpony gotowe rozszarpac zywcem, czerwone paznokcie wygladaly, jakby plamila je krew. W otwartej dloni, zamiast rozchylonej muszli perloplawa, znalazlo sie oko, ociekajace sluzem, z pekiem brutalnie wyrwanych nerwow.**

**Lilith z wysilkiem przelknela sline. Patrzyla na wlasna twarz. Te prawdziwa. Gniew zacmiewal jej wzrok czerwona mgla, wiec obraz tonal w szkarlacie. Obrocila sie do niewzruszonego Babilla.**

**–Kto? – wyszeptala ochryple.**

**Na nieskazitelne policzki wypelzly ceglaste plamy. Skora nabrala odcienia blota. Z wscieklosci Lilith omal nie stracila przytomnosc. Czula slabosc w nogach i zawrot glowy.**

**–Kto? – wycharczala stlumionym szeptem.**

**Babillo wzruszyl ramionami.**

**Wtedy drzwi do komnaty otwarly sie. Do srodka wkroczył nienagannie ubrany Asmodeusz. Utykal wyraznie, ale szedl z wysoko podniesiona glowa. W seledynowych, kunsztownie upietych wlosach polyskiwaly klejnoty. Zatrzymal sie posrodku sali. Z drobnej, niewysokiej postaci demona bila sila i godnosc. Oczy o barwie fiolkow spotkaly sie z czernia rozzarzonych wegli i wytrzymaly.**

**Lilith i Asmodeusz mierzyli się wzrokiem. W sali panowała zupełna cisza. Umilkła muzyka, nawet tancerki zamarły.**

**Przez otwarte drzwi wsunął się Lucyfer z obstawą kilkunastu krzepkich strażników. Stał niedaleko wejścia, podparłszy się pod boki.**

**– Witaj, matko – powiedział dzwicznie Asmodeusz. – Przyszedłem złożyć ci uznanie w dniu imienin.**

**Lilith sztywno skinęła głową.**

**– To uprzejmie, synu – odrzekła, ale w głosie synogarlicy drgał z trudem tłumiony gniew.**

**– Postanowiłem ofiarować ci coś specjalnego na specjalną okazję. Pamiętasz, prosiłaś mnie kiedyś o portret?**

**Poblądła jeszcze bardziej, zgrzytnęła zębami, lecz milczała. Asmodeusz rozłożył ręce.**

**– Odmówiłem wtedy. Nie czułem się na siłach namalować ci prawdziwie, odnaleźć i ukazać głębię twojej osobowości. Ale pamiętałem o prośbie. I znalazłem godniejszego zastępcę. Mistrz Babilo uczynił to w sposób doskonały. Cudownie perfekcyjny. Oto prawdziwa Lilith w całej krasie. Nieprawdaz?**

**Rozejrzał się z uśmiechem po sali. Część gości odwracała wzrok, ale wielu się śmiało, bardziej lub mniej dyskretnie.**

**Uśmiech Asmodeusza stał się zimny jak lodowiec.**

**– Chciałem ci zrobić niespodziankę. I jak? Jesteś zadowolona?**

**Lilith z trudem przełknęła ślinę. Zmusiła usta do uśmiechu.**

**– Dziękuję ci, synu – powiedziała obcym, swiszczącym głosem. Ceglaste plamy plonęły na policzkach demonicznie niczym lampiony, z wolna wpełzały na czoło, szyję i dekolt. – Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś.**

**Zgnili Chłopiec złożył głęboki, szyderczy ukłon. Mięśnie zacisniętych szczęk drgały.**

**– To naprawdę drobiazg w porównaniu z tym, co ty zrobiłaś dla mnie. Wybacz, ale obowiązki nie pozwalają mi zostać dłużej. Baw się dobrze. Mistrz Babilo wychodzi z nami.**

**Malarz niespiesznie przeszedł przez salę i zatrzymał się obok Lucyfera. Służący, posłany przez władce Glebi, przyniósł właśnie z pracowni kuferek z farbami.**



**Asmodeusz uklonil sie ponownie i ruszyl do wyjścia. Zatrzymal go glos Lilith, brzmiacy jak wystrzal z bicza.**

**–Zadales sobie wiele trudu, Asmodeuszu. Docenie to.**

**Zgnily Chlopiec pokazal w usmiechu drapiezne, zacisniete zeby.**

**–Coz – wycedzil. – W koncu matka jest tylko jedna.**

**Drzwi zamknely sie za nim z trzaskiem.**

## **DOPUSZCZALNE STRATY**

**Archaniol Gabriel, Regent Krolestwa, Pan Objawien, zatrzasnal za soba drzwi Sali Tronowej i z wolna osunal sie na posadzke. Dygotal. Przed oczami widzial wirujace plamy, czerwone i czarne, podobne do lisci miecionych kurzawa. Sam czul sie podobnie, niby strzep rzucony na pastwe huraganu. Fale lodowatego potu zlepily w mokre kosmyki jego wlosy barwy antracytu, starannie przyciete do wysokosci szczeki. Zimne struzki splywaly po czole, skroniach i policzkach aniola. Uniosl do twarzy dlonie, ktore podrygiwaly w konwulsyjnych drgawkach. Nie potrafil opanowac drzacych palcow nawet na tyle, zeby wyciagnac z kieszeni chustke i otrzec pot. Usiadl na korytarzu, pod drzwiami Sali Tronowej, przekonany, ze oszalal lub padl ofiara spisku.**

**Pomyslal przelotnie, ze moglby odemknac odrobine wielkie wierzeje sali, spojrzec i przekonac sie ponownie, ale ledwie ten zamiar zaswital mu w glowie, serce ruszylo do panicznego galopu, a gardlo zdlawil skurcz strachu. Gdyby Gabriel mogl zmusic cialo do jakiegokolwiek wysilku, zerwalby sie z miejsca i uciekl. Niewazne dokad. Daleko. Bardzo daleko. Siedzial jednak na podlodze, bliski zemdenia, pocac sie i drzac. Zalowal, ze przybyl przed Oblicze Panskie. Zalowal, ze stanal przed Bialym Tronem bez specjalnego powodu, niewzywany. Mialby przed soba jeszcze troche czasu. Ba, duzo, duzo czasu, zanimby sie zorientowal. Przeklinal bute, ktora pozwolila mu skorzystac z przywileju wkraczania bez rozkazu przed Tron Panski. Przeklinal urzad regenta, kariere, jaka zrobil z wlasnej glupoty i pychy, przeklinal wreszcie cale Krolestwo.**

**Powinien rozpaczac, plakac, tluc lbem o sciane, ale nie potrafil. Pewnie lzy przynioslyby ulge, lecz Gabriel nie umial oplakiwac straty, ktora powinna zlamac serce kazdego aniola. Gorzki grymas wykrzywil usta regenta. To nie tragedia wywolala u niego atak paniki, ale proste pytanie: co dalej?**

**Archaniol, czepiajac sie kurczowo klamki, zdolal wstac. Plamy przed oczami wirowaly nadal, kolana drzaly, lecz Gabriel usilnie staral sie wziac w garosc. Krolestwo nie moze sie zachwiac. Nawet jesli regent zaluje, ze nie przemienil sie nagle w proste,**

**bezmownie stworzonko, jak chocby chraszcz. Nawet jesli zaluje, ze w ogole sie urodzil.**

**Pan Objawien wzial kilka glebokich wdechow, drzacymi palcami przeczesal wlosy i tak szybko, jak pozwolily miekkie ze strachu nogi, oddalil sie od strasznej komnaty. Sprawy wymagaly natychmiastowego omowienia z zaufanymi przyjaciolmi.**

**\*\*\***

**Rafael plakal. Wielkie lzy plynely po wykrzywionej smutkiem twarzy Archaniola Uzdrawien. Nawet nie probowal ich otrzec. Skulony na fotelu, w prywatnym gabinecie Gabriela, ubrany w prosta, brazowa szate bez ozdob, wygladal zalosnie i jakos nie na miejscu, w otoczeniu kosztownych mebli i cennych bibelotow.**

**Zielone niczym butelkowe szklo oczy Regenta Krolestwa przypatrywaly sie przyjacielowi z irytacja. Na litosc, to nie byl czas na lzy! Dobrze, ze chociaz Michal zdaje sobie z tego sprawe. Gabriel obrocil glowe, spojrzal na Pana Zastepow, wodza regularnej armii anielskiej. Archaniol nerwowo mietosil w palcach kosmyk szafranowych lokow. Jego szczera, przystojna twarz miala barwe popiolu. W niebieskich teczowkach mieszkala udreka. Otworzył usta, jakby chcial o cos spytac, czemus sie zdziwic, ale nie odezwal sie.**

**W gabinecie dawal sie slyszec tylko stlumiony szloch Rafala i odglos nerwowych krokow Gabriela. Pan Objawien krazyl wokol stolu, bezwiednie obracajac na palcu pierścien, oznake wladzy regenta.**

**Zatrzymal sie, potarl skronie, znow zmierzyl lodowym wzrokiem placzacego Archaniola Uzdrawien.**

**–Rafal, na Jasnosc! Przeszan sie mazac! – syknal. – Mysli nie mozna zebrac!**

**Lagodne orzechowe oczy Rafaela szklily sie od lez.**

**–Nie wierze – wyszeptal z rozpacza. – Nie moze uwierzyc!**

**Gabriel rozlozyl rece.**

**–Widziales, prawda? Byles tam! Wiec przestan negowac fakty, tylko rusz glowa. Stoimy nad przepascia, Rafal. Wlasciwie nie jestem pewien, czy nie spadamy na leb na szyje z rozlozonymi skrzydlami i przerazeniem w oczach. Musimy cos wymyslic! Musimy dzialac! Natychmiast.**

**–Nie krzycz na niego, Gabrysiu – odezwal sie Michal grobowym glosem. – Jest w szoku.**

**–Ja tez! – warknal Gabriel.**

**Michał westchnął, przeciągnął rękę po twarzy.**

**–Dzibril – powiedział łagodnie, używając imienia, którym ochrzczili Gabriela dzinny, a Michał stosował w charakterze poufalego zdrobnienia. – Zaczekajmy. Może to czasowe, może minie...**

**–Nie wiem – szepnął Pan Objawien. – Nie liczyłbym na taki obrot sprawy, zwłaszcza w świetle słów Serafiela.**

**Michał zadrzał, przypomniał sobie ogromnego serafina spoczywającego u stóp Białego Tronu.**

**–Wszyscy wiedzą, że Serafiel jest stuknięty – mruknął niepewnie. – Wierzysz w gadaninę wariata?**

**Gabriel pokręcił głową.**

**–Misiu, Jasność rzadko pozwala sobie na zarty. A nigdy na kiepskie. To, co się zdarzyło, z pewnością jest poważne. Bardzo poważne.**

**Rafał skulił się jeszcze mocniej.**

**–Co zrobimy? – jęknął. – Jak będziemy teraz żyć? Co się stanie z nami wszystkimi, z Królestwem?**

**Michał milczał ponuro. Gabriel zacisnął ręce w pięści, targnął głową. Zielone oczy plonęły.**

**–Jedno jest pewne – powiedział dobitnie. – Królestwo musi trwać!**

**Michael westchnął głęboko.**

**–To nie zależy do nas, Dzibril.**

**Regent zacisnął dłonie na oparciu krzesła, pochylił się, przybliżając twarz do twarzy przyjaciela.**

**–Mylisz się, Michasiu. – W jego głosie drgało napięcie. – Wystarczy, jeśli nie dopuszczymy, by tajemnica wyszła na jaw.**

**Pan Zastępów pobił gwałtownie.**

**–To się nie uda – szepnął. – Wszyscy się dowiedzą. Natychmiast poczują...**

**Gabriel sie zachnal.**

**–A mysmys poczuli, Misiu, zanim poszedlem do Sali Tronowej?**

**Michael w zamysleniu pocieral brode.**

**Pan Objawien znow podjal nerwowa wedrowke wokol stolu.**

**–Zastanowcie sie – ciagnal. – Kto w ogole widuje Jasnosc? Kto? Ktorzy aniolowie?**

**–No – mruknal Michal – Metatron...**

**Gabriel machnal reka.**

**–Jego mozesz nie liczyc. Pozostalych ulubiencow Pana tez nie. Kto zostaje?**

**–My – powiedzial Michal. – Siedmiu archaniolow, ktorzy maja przywilej stawania przed Bialym Tronem.**

**–Wlasnie! – wykrzyknal triumfalnie Gabriel.**

**–Gabrysiu, to byloby oszustwo – wtracil oszolomiony Rafal.**

**–Nie! Oczywiscie, ze nie! Naszym podstawowym obowiazkiem jest sluzenie Krolestwu i ratowanie go za wszelka cene!**

**–Moze i racja – zgodzil sie Michal. – Ale jak chcesz zachowac tajemnice? Do Sali Tronowej moze wchodzic siedmiu archaniolow, w tym pokoju znajduje sie trzech. Co z pozostalymi?**

**Gabriel bawil sie pierscieniem.**

**–Razjel nie stanowi chyba problemu. Zawsze stal po naszej stronie. Wlasciwie, uwazam go za przyjaciela. Jest samotnikiem, ma swoje sprawy, ale nigdy nas nie zawiodl.**

**Michael skinal glowa.**

**–W porzadku. Razjel pewnie nas poprze. A Sariel?**

**Pan Objawien zamyslil sie. Przed oczami stanela mu zwalista postac Archaniola Zrownania Dnia z Noca.**

**–Nie wiem. Wydaje sie rozsadny. Trzeba bedzie z nim porozmawiac.**

**–Zgoda – mruknal Pan Zastepow. – Zostaje Fanuel. Trudna sztuka.**

**Prawda, pomyslał Gabriel. Fanuel, Archaniol Pokuty, Cichy Młodzieniec, jak nieco pogardliwie nazywał go Michał, stanowił w tym równaniu zagadkę. Dzibril nie znał Fanuela za dobrze, wiedział tylko, że archaniol ma skłonność do ascezy, jest trochę naiwny i niezwykle praworządny. Nie będzie łatwo namówić go do współpracy. Z drugiej strony Fanuel nie był fanatykiem ani idiotą. Jeśli dobrze dobrać argumenty, może się zgodzić.**

**Rozłożył ręce.**

**–Spróbujemy go przekonać. Nie mamy nic do stracenia. Michał potrząsał szafranowymi lokami.**

**–Nie wolno zapominać o Urielu. Jeśli mam być szczery, uważam, że na nim spisek się wykopyrtnie. Uriel nie pójdzie na coś podobnego.**

**Dumny, złotowłosy archaniol, Regent Słońca, rzeczywiście stanowił problem. Właściwie Gabriel nigdy go nie lubił. Zachowanie i wygląd Uriela najbardziej pasowały do obiegowego wizerunku archaniola, chociaż blekitnooki atleta, obiegający prowincje Słońca na złotym rydwanie zaprzęzonym w dorodne siwki, snobował się raczej na tradycje antyczne, aspirując do rangi solarne bóstwa.**

**Michael nerwowo pocierał szczękę.**

**–Zobaczysz, najwięcej zachodu będzie z naszym pieprzonym Heliosem.**

**Gabriel westchnął.**

**–Misiu, Uriel jest lojalny i odpowiedzialny aż do bólu. Wmówimy mu, że to jedyne wyjście. Zresztą, naprawdę tak sądzi.**

**Michał wzruszył ramionami.**

**–Dobra, zobaczymy. W końcu mało wie o mechanizmach rządzenia Królestwem. Większość czasu zajmuje mu odstawianie prowincjonalnego Apolla.**

**Rafał ukrył twarz w dłoniach.**

**–Na jasność! To wszystko bez sensu! Nie uda się. Nawet nie warto próbować. Nie rozumiem was! Poniesliśmy straszliwą stratę, zawiedliśmy! Doprowadziliśmy do tragedii. A wy opowiadacie o jakichś spiskach! Próbujecie utrzymać tajemnice. Po co, na miłość Pańską?**

**–Uspokój się, Rafalku – burknął Michał. – Nie histeryzuj. Myślisz, że coś się zmieni, jeśli posypimy głowy popiołem i zaczniemy zawodzić? Gabriel ma rację. Trzeba działać. Weź to na spokojnie. Może to próba, której zostaliśmy poddani?**

**Rafael jeknal.**

**W Michala wstapil duch czynu. Niebieskie oczy zalasnily, skora stracila odcien popiolu, nabrala naturalnego koloru bladego karmelu, na policzki wystapily rumience. Istniala tylko jedna rzecz, ktorej bal sie Pan Zastepow. Bezradnosc. Teraz, kiedy powstal juz pomysl, lepszy czy gorszy, kontrowersyjny czy ryzykowny, pozostawalo go realizowac. A w tym Michael czul sie dobry.**

**–Od czego zaczynamy, Dzibril? Gabriel daleki byl od zapalu przyjaciela.**

**–Chyba pogadam z Razjelem – powiedzial. – Na razie nie mam sily na trudne negocjacje.**

**\*\*\***

**Pan Tajemnic, zamkniety w swej sekretnej pracowni, eksperymentowal z fluidem iluminacji. Nie byl zadowolony z wynikow prac. Substancja wciaz wykazywala cechy skazenia pragnieniami badacza. W konkluzji nie otrzymywal wzorca czystego oswiecenia, tylko esencje tego, co chcial uzyskac. Roznica zasadnicza i wielce irytujaca.**

**W skupieniu, dlugimi srebrnymi szczypcami wydobyl z fiolki trzy drobiny gwiazdnego pylu i dodal do roztworu. Pstryknal palcami i pod tygłem zaplonal fioletowy ogien oczyszczenia. Odczekal, az plyn sie wzburzy, po czym ruchem dloni nakazal plomieniom zgasnac. Delikatnie uniosl pokrywe tygla, spod ktorej zaczela sie saczyc blada poswiata. Blekitna, nie biala. Oczywiscie, skazenie nie zniklo. Sadzac po barwie swiatla, tym razem bylo nawet silniejsze. Rozczarowany Razjel westchnal.**

**Robote trzeba bedzie zaczynac od nowa, od zrudnej czynnosci mycia i rytualnego oczyszczania tygla. Pan Tajemnic podwijal wlasnie rekawy blekitnej szaty, gdy odezwalo sie oko dnia. Siegnal po klejnot. Gladka powierzchnia krysztalu przez chwile pozostawala ciemna, a potem pojawilo sie w niej zasepione oblicze Gabriela.**

**–Razjel? Musze natychmiast z toba pogadac.**

**–Dobrze – zgodzil sie Ksiaze Magow. – Gdzie teraz jestes?**

**–W twojej glownej pracowni – padla odpowiedz. – Po prostu wyjdz.**

**Razjela zdziwila troche bezceremonialnosc przyjaciela, ale tylko skinal glowa.**

**–W porzadku. Wychodze.**

**Zaintonowal zaklecie, predkimi ruchami dloni skreslil w powietrzu znaki usuwajace magiczne blokady, wreszcie wyrysowal pulsujacymi, swietlnymi liniami framuge**

czarodziejskich drzwi. Poczekal, az sie zmaterializuja, i przeszedl do pracowni zwanej dzienna, dostepnej dla gosci i sluzby, gdzie dokonywal prostych, niegroznych czarow. Gabriel rzeczywiscie czekal. Twarz mial sciagnieta, w zielonych oczach powage.

–Razjelu, stalo sie cos niepojetego. Waza sie losy calego Krolestwa.

Pan Tajemnic polozyl palec na ustach.

–Nie tutaj. Przejdzmy do gabinetu. Tam gwarantuje spokoj i dyskrecje.

W zacisznym, urzadzonym z prostota gabinecie Razjela Gabriel ciezko opadl na fotel. Ksiaze Magow milczal, ale jego blekitne niczym akwamaryn oczy patrzyly pytajaco. Pan Objawien wzial gleboki oddech i zaczal mowic. Prosto, rzeczowo, bez owijania w bawelne. Gdy skonczyl, Razjel stal blad jak sciana, mietoszac w chudych palcach koniec dlugiego, czarnego warkocza.

–Domyslalem sie, ze moze nastapic jakies radykalne wydarzenie – wyjakał. – Ale nie takie! Na Jasnosc, nie takie!

Oczy Gabriela zwezily sie.

–Domyslales sie? Na litosc Panska, Razjelu, dlaczego wiec milczales?!

Czarnowlosy archaniol nerwowo potarl czolo.

–To byly tylko przypuszczenia, niejasne przepowiednie, znaki. Nic konkretnego.

–Nic konkretnego? – jeknal regent. – Powinienes dzielic sie z nami kazdym przeczuciem. Obowiazuje cie, do cholery, lojalnosc!

–Obowiazuje mnie milczenie! Gabrysiu, zrozumze! Jestem Panem Tajemnic. U zarania dziejow Jasnosc powierzyla mi czesc sekretnej wiedzy i zabronila z niej korzystac bez pozwolenia. Zreszta niczego nie ukrywalem. Powtarzam, widzialem tylko znaki.

–Jakie?

Cialem chudego, kostycznego archaniola wstrzasnal dreszcz.

–Paskudne. Krew. Ognisty deszcz. Rozkladajace sie mieso. Bezglowe trupy. Zaglade calych miast i krain. Podstawowe omina zapowiadajace niemile rzeczy. Pewnie kazdy co lepszy czarodziej Krolestwa tez widzial podobne znaki.

Gabriel przypatrywal sie Razjelowi spod przymruzonych powiek.

**–Co ty właściwie wiesz, bracie? – syknął.**

**Książe Magów drgnął, w jego głosie zabrzmiało cierpienie.**

**–Nie drecz mnie! Nie mogę zdradzić! Przecież musisz to pojąć!**

**–W porządku – mruknął Gabriel, wytracony z równowagi wybuchem zawsze chłodnego i opanowanego Razjela. – Nie napadam na ciebie. Jestem roztrzesiony i zdruzgotany.**

**Pan Tajemnic potrząsnął głową.**

**–Nie spodziewałem się czegoś podobnego. Przysięgam.**

**–Wierze – westchnął Archanioł Objawien.**

**Błękitne oczy Razjela patrzyły z niepokojem i napięciem.**

**–Co zamierzasz? Decyzja należy do ciebie. Jesteś przecież Regentem Królestwa. Zastępca Jasności. Zwłaszcza teraz.**

**Gabriel uśmiechnął się z goryczą.**

**–Cos w sam raz dla ciebie – powiedział i położył palec na ustach. – Cisza. Tajemnica. Nikt w Królestwie nie może wiedzieć.**

**–Nikt? – zdziwił się Razjel.**

**–Poza wybranymi. Doborowa siedemka spod Tronu.**

**Pan Tajemnic w zamysleniu skubał koniec warkocza.**

**–To już ma więcej sensu. Pozostali się zgodzili?**

**Gabriel potrząsnął głową.**

**–Nie wiem, najpierw chciałem pogadać z toba.**

**Razjel pozwolił sobie na lekki uśmiech.**

**–Dzięki za zaufanie. Zatem jestem włączony do bractwa, tak?**

**–Od zawsze, Razjelu – powiedział Gabriel z powagą.**

**Książe Magów rozłożył ręce.**

**–W porządku. Kogo mam ugadać? Uriela? Fanuela?**



**–Uriela. – W głosie regenta dalo sie slyszec wdziecznosc. – Sam wiesz, ze nie przepadamy za soba. Michal tez sie nie nadaje. Przepada za Urielem jak kot za psem. Zajmie sie Sarielem. Dla mnie zostanie Fanuel.**

**–A Rafal? – zainteresowal sie Razjel.**

**Na ustach Pana Objawien pojawil sie cierpki grymas.**

**–Szlocha.**

**–No coz – mruknal Archaniol Tajemnic. – Bylem tego pewien.**

**–Dzieki, Razjelu – powiedzial Gabriel szczerze. – Wiedzialem, ze na ciebie mozna liczyc.**

**–Zrobie, co w mojej mocy. – Ksiaze Magow pochylil lekko glowe. – Aha, chcialbym porozmawiac z Serafiem. Chyba nigdzie nie pojdzie, mam nadzieje?**

**Gabriel wzdrygnal sie na mysl o olbrzymim, szalonym wodzu choru serafinow, krazacym nad siedmioma niebami Krolestwa i wieszczacym nieszczescie wszystkim skrzydlatym. Pozostawalo mu tylko liczyc, ze Serafiel okaze sie wierny wlasnym slowom.**

**–Twierdzi, ze nie ruszy sie poza prog, bo sama Jasnosc mu zabronila.**

**–To pocieszajace – skwitowal Razjel z wyraznie wyczuwalna ironia. Blekitne oczy przenikliwie wpatrywaly sie w twarz regenta. – Gabrysiu, pozostaje jedna kwestia. Obawiam sie, ze nie poradzimy sobie sami. Mam na myśli, hmm, koniecznosc ewentualnego porozumienia z Mrocznymi. To znaczy z Lucyferem i jego najblizszymi wspolnikami. Moze to zabrzmie absurdalnie, ale im tez prawda nie jest na reke. Przemyśl to, dobrze?**

**Pan Objawien odchylil sie na krzesle.**

**–Przemyslalem – powiedzial spokojnie.**

**–I co? – Brwi Razjela uniosly sie lekko.**

**Gabriel splotl palce i westchnal.**

**–Doszedlem do takiego samego wniosku – rzekl cicho.**

**\*\*\***

**Sariel ogladal wlasnie dorodna chimere do polowan, ktora dopiero co kupil, gdy doniesiono mu, ze przybyl Michal. Archaniol zdziwil sie troche, ale nakazal podjac**

goscia winem i przekaskami, zanim sam sie umyje i przebierze, aby godnie przyjac skrzydlatego tej klasy. Zdziwienie przerodzil sie w prawdziwe zdumienie, gdy ujrzal Pana Zastepow, zwawo przemierzajacego dziedziniec, a za nim dwoch wlasnych sluzacych i majordoma, rozpaczliwie starajacych sie sklonic goscia do zachowania etykiety.

Michal zblizyl sie do kletek ze zwierzetami i wyciagnal do Sariela dlon.

–Witaj i wybacz najscie – powiedzial – ale musimy natychmiast pogadac o sprawach dotyczacych bezpieczenstwa Krolestwa.

Zaskoczony Sariel potrzasal reka Pana Zastepow.

–Aaa, tak – wymamrotal. – Oczywiscie. Niezwlocznie.

Zwykle pogodne oblicze Michala bylo powazne jak dusza kwakra, w niebieskich oczach lsnila determinacja.

–Przejdzmy gdzies w spokojne miejsce – znizyl glos. – Chodzi o sprawy najwyzszej wagi panstwowej.

Sariel skinal glowa.

–Dobrze, porozmawiamy w bibliotece. Tedy, Michale.

Archaniolowie odeszli, a rozzloszczona zamieszaniem chimera miotala sie po klatce, bijac o boki ogonem i syczac wsciekle.

\*\*\*

Uriel wlasnie wyprzegal ukochane siwki, gdy ujrzal wysoka, chuda sylwetke aniola, ktorego dlugie czarne wlosy byly starannie splecione w warkocz. Skrzydlaty mial na sobie krotko skrojony kaftan maga w kolorze lodowego blekitu. Zblizal sie szybkim krokiem. Zdziwiony Uriel otworzyl usta, zeby spytac, czego Razjel sobie zyczy, lecz Pan Tajemnic polozyl palec na wargach i pokrecil glowa.

–Nie tutaj, Urielu – szepnal. – Stalo sie cos, o czym powinienes wiedziec, ale musimy porozmawiac w bezpiecznym miejscu. Dyskrecja moze teraz zawazyc na istnieniu panstwa, Regencie Slonca.

\*\*\*

Faniel podniosl wzrok znad ksiegi, ktora wlasnie studiowal, i napotkal zielone, plonace jak u kota oczy Gabriela.

–Czy cos sie stalo? – spytal zaniepokojony.

**–Tak – powiedział Regent Krolestwa. – Z całą pewnością tak.**

**\*\*\***

**Słońce zachodziło czerwono nad dachami prywatnej rezydencji Gabriela na Ksiezycu. Regent Krolestwa nerwowymi krokami przemierzał pokój. Doba, która zostawił do namysłu trzem pozostałym archaniolom, ciągnęła się w nieskonńczoność.**

**Rafał siedział nieruchomo w głębokim fotelu. Powieki miał zamknięte, ręce splecione. Gabriel przypuszczał, że się modli. Raziel zajmował krzesło w przeciwnym końcu pokoju. Próbowal czytać, ale nie mógł się skupić na treści książki. Przebiegał wzrokiem wciąż te same wersy, a litery rozmazywały się w ciąg nieczytelnych znaków. Michał nie udawał spokoju. Siedział na parapecie, nerwowo nawijał na palec szafranowy kosmyk i bez przerwy wyglądał przez okno.**

**–Jest Sariel – powiedział z napięciem w głosie. – Właśnie wchodzi.**

**–Dobrze – szepnął Gabriel.**

**–Zaraz, widzę na drodze rydwan Uriela. Punktualny, dran.**

**–Dobrze – powtórzył Regent Krolestwa.**

**–Mamy i Fanuela. – Michał klepnął dłoń o parapet. – Właśnie ładuje jego dywan.**

**–Przynajmniej wszyscy przybyli – mruknął Raziel. – To już coś.**

**Po chwili, dłużej jak kolejna doba, drzwi się otworzyły i słuzacy wpuszcili trzech archaniolów. Czterej zgromadzeni w pomieszczeniu wstali.**

**Gabriel oblizal wyschnięte wargi.**

**–Jaka jest wasza decyzja? – spytał, modląc się do Jasności, żeby głos mu nie drżał.**

**Przybyli popatrywali po sobie w milczeniu. W końcu Sariel wystąpił krok do przodu.**

**–Zgadza się – rzekł dobitnie.**

**–Ja także – odezwał się Fanuel.**

**Uriel zmierzył zebranych uważnym spojrzeniem.**

**–I ja – powiedział wreszcie.**

**Gabriel usłyszał wyraźnie loskot glazu spadającego mu z serca. Archaniolowie bez**

**słowa uscisneli dlonie towarzyszy. Sprzysiężenie zostało zawiązane.**

**\*\*\***

**Wysoki, biały mur niczym delikatna mgielka zasnuwały świeże, zieleniejące pędy winorośli. Cicho szemrała fontanna. Smukłe kolumny rozkwitały kamiennym akantem. Ptaki uwijały się wśród gałązek krzewów. Kolorowe kielichy kwiatów sennie pochylały głowy.**

**Asi, młody anioł, sługa Omaela, naczelnego farmaceuty Królestwa, krążył po ogrodzie z niepewną miną. Nigdy nie został wysłany tak daleko od pracowni pana, w całkowicie nieznane rejony Królestwa. Wiedział mgliście o istnieniu prowincji olimpijskich, przylegających do poszczególnych nieb, ale nie podejrzewał, że kiedykolwiek będzie blakał się po rozległym, niepokojąco dzikim ogrodzie, w czterdziestej trzeciej prowincji Drugiego Nieba.**

**Czuł się nieswojo wśród kolczastej gestwy krzewów nieznanymi roślinami o wąskich, srebrzystych liściach, między portykami z białego niczym kosa marmuru, obrosłymi spletanym bluszczem, w cienistych alejach, ciągnących się w głąb i w głąb, bez końca. Białe kamienne statuy o pustych oczach i surowych twarzach wyglądały jak widma. Zimne rece płaskorzeźb wyciągały się z murów, bezgłośnie krzyczały otwarte usta. Anioła raz po raz przechodził dreszcz. Bał się przyznać przed sobą, że dawno już zgubił drogę. Serce szybko biło mu w piersi, lek chuchał zimnym oddechem w kark. Ogrod był dziwny, nawiedzony. Asi słyszał w gestwinie za plecami błagania, szepty i chichoty, wśród tańczących plam światła i cienia coś się poruszało, przesuwało na granicy wzroku. Anioła z wolna ogarniała panika. Bezwiednie przyspieszał kroku, w końcu zaczął biec. Zdawało mu się, że stare, pokrecone drzewa oliwne wyciągają konary, aby schwytac go za skrzydła, za ubranie, za włosy. Ciemne, złowrogię cyprysy pochylały się nad ścieżką, gotowe przygnieść nieszczęśliwego wędrowca. Ciernie kaleczyły rece, wyrwały pióra. Pod stopami roilo się od podstępnych korzeni i niewidocznych wykrotów. A posagi! Na Jasność, poruszały się! Widzi przecież wyraźnie, że go ścigają, przemykając bezszelestnie wśród zieleni. Asi zacząłby krzyczeć, ale głos uwiązł mu w gardle. Bał się wydać dźwięk, przekonany, że straszliwe posagi rzucają się wtedy na niego i zgniotą. Chciał wzywać na pomoc imienia Symei, anielicy, do której został wysłany, lecz krzyk zdławił mu w piersi okropny lek, że ona także okaze się potworem. Asi biegł przed siebie, przez zdziczały, pusty, niekonczący się ogrod, dysząc i z trudem powstrzymując szloch. Sforsował bariere kolczastych zarosli, wypadł na małą polanę, porośniętą gestym dywanem kwitnącej werbeny. Wtem zaczął stopa o wystający korzeń i runął jak długi. Poderwał się z piskiem przestrawu, bo wprost w niego wpatrywało się martwe, zasnutę bielmem oko leżącego olbrzyma. Dopiero po chwili do anioła dotarło, że spogląda na wielki, zwalony posag. Odetchnął z ulgą. Panika powoli zaczynała mijać. Pajeczki tamaryszki, z gałązkami ozdobionymi kłoscami różowych kwiatów, kołysały się lekko na słabym wietrze. Podługie, srebrne**

liscie rokitnikow drzaly. Gdzies w poblizu, niewidoczna w gestwinie zieleni, szemrala fontanna. Asi stal bez ruchu, czekajac, az uspokoja sie bijace serce. Na dzwiek glosu poderwal sie jak zaciety biczem.

–Ogrod upomniat sie o ciebie, chlopcze? Jest zachlanny. Tu rzadko ktos przychodzi.

Przez jedna straszna chwile Asi myslal, ze przemawia do niego posag, ale szybko doszedl do wniosku, iz niemlody mezczyzna, siedzacy na kamiennej lawce ukrytej w cieniu oleandrow, jest czlowiekiem.

–Wybacz, panie – wyjakał. – Nie mialem zamiaru zaklocac twego spokoju.

–Spokoju? – Mezczyzna zasmial sie zgrzytliwie. – Na bogow, w ktorych stracilem wiare, jeszcze zanim sie tu znalazlem, chlopcze, ty mowisz o spokoju?

Asi nerwowo przelknal sline. Cos niepokojujacego czailo sie w oczach tego czlowieka o suchej, orlej twarzy i gorzkim grymasie ust. Aniol zrozumial z przestrachem, ze to nie Symea jest potworem z ogrodu. I nie ogrod wpływa na swego dziwnego mieszkancza, lecz on, przez sama obecność, czyni to miejsce nawiedzonym.

Asi zadrzal.

–Pozwol, ze pojde juz, panie – wyszeptal. – Mam poslanie do Swietlistej Symei od mistrza Omaela, maga, tworczy specyfikow leczniczych.

Mezczyzna znów sie zasmial, lecz jego oczy pozostaly chlodne.

–Ach, wiec to twemu mistrzowi zawdzieczam cudowne kordialy, ktore pozwalaja mi zasnac w nocce pelne wirujacych gwiazd i umierajacych komet! Przekaz mu wdziecznosc i uklony.

Zeby Asiego poczely dzwonic ze strachu, choc przeciez nic niepokojujacego nie dalo sie odczytac w slowach starszego, krotko ostrzyzonego mezczyzny w czystej, bialej tunice.

–Zegnaj, panie.

–Nie! – Zylasta reka blyskawicznie zacisnela sie na przedramieniu aniola. Nieznajomy poderwal sie z lawki ze zwinnoscia pantery. Wielkie, plonace zrenice patrzyly bez mrugniecia w oczy aniola. Asi sprobował wyrwac reke z uscisku, ale nie zdolal. Mezczyzna sciskal ramie skrzydlatego niby kleszcze.

–On odszedl, wiesz, slodki aniolku? – wyszeptal swiszczacym, niskim glosem. – Odszedl, a wy nic nie poczuliscie. Ale ja tak. O, tak! Ja... spotkalem Go,

rozmawiałem z Nim i zabiłem Go! Rozumiesz? Jestem naznaczony, jak każdy, kto Go spotkał, kto stanął na Jego drodze. Jako przyjaciel czy wrog, nieważne. On nie ma wrogów. Nie zna przeszkód. Nic Mu się nie oprze. Napietnował mnie. Odcisnął... swoje... światło. Aż oslepiłem, umarłem, wypaliłem się. I jestem tu. Sam, ale nie sam. Nigdy. Zostałem z Nim związany na wieczność. Wiesz, co to wieczność, aniołku? A teraz odszedł. Odsunął się od was. Zabrał swoich ulubieńców. Tak jak dziecko zabawki. Jak kobieta pachnidła, szminki i ozdoby. Są z Nim, tam. I nie ma ich, bo odszedł. Rozumiesz?

Potrząsnął ramieniem anioła. Wystraszony Asi nie zdołał nic wyjąkać. Szalenie patrzył na niego, ale rozszerzone, puste źrenice widziały odległe światy.

–To było wygnanie. Nienauka – szeptał gorączkowo. – Ten upał, smród, krzyżacy na każdym rogu prorocy. Wciąż o wieczności, gniewie, zbrodniczych postępach. Nie rozumiałem ich. Gardziłem nimi. O, jakże pragnąłem wrócić do domu. Gniew, krew, zbrodnie, rozwichrzone brody, brudne, podarte szaty, cuchnące kozy na ulicach miast. Ulicach! Udeptanych klepiskach! I wciąż to samo. Zbrodnicze uczynki, kara. Tak jakby był wiecznie niezadowolony. On nie zna takich uczuć. Jest... światłem, które oslepia. Oslepił mnie i odszedł. Bo go zabiłem. Bo pozwoliłem zabić. Nic nie rozumiesz. Te krzyki, wrzaski, absurdalne argumenty. I upał. I pył. I muchy. A ja chciałem po prostu spokoju. Był dla mnie kolejnym szalencem. Innym, bo cichym. Żał mi Go było, ale tak się darli, wrzeszczeli, grozili. Zrozum, nie mogłem sobie pozwolić na zamieszki. A tam tliło się nieustanne zarzewie. Nie mogłem sobie pozwolić, aniołku, bo tak bardzo chciałem wrócić do domu. Gdybym sięgnął na siebie kolejną nienaukę, straciłbym szansę. Musiałem utrzymać spokój. Nie rozumiałem ich. Bezsensownych nakazów, zakazów, praktyk. Byli tacy bezkompromisowi. Zaciekli. Nienawidzili mnie, a ja nienawidziłem ich. Pragnąłem, żeby wytłukły ich pioruny z niebios, zalało morze, sam nie wiem. Czasem nawet nie widziałem w nich ludzi. Obce istoty, gorsze od barbarzyńców. Nie dało się z nimi porozumieć. Wszystko było złe! Te wieczne histerie! Absolut, mistycyzm i brudne lachmany. Pot, smród, lepianki z błota. Gnijąca na ulicach krew, z tych ich zarzynanych owiec. Czy wiesz, co znaczy żyć w kraju, gdzie oszczędza się wodę? Mogłbym się bezustannie kąpać. Zmywać ten upał, duchotę, zmeczenie. Tesknilem. Chciałem znów ujrzeć ogromne, jasniejące budynki, brukowane ulice, wodociągi, wille zaszyte wśród cichych ogrodów. Śnieg. Osnieżone szczyty pod niebem ciemnym jak szafir. I dumna, ciągnąca się po horyzont linie akweduktu. Znak cywilizacji. Chciałem zobaczyć potęgę i majestat mojego miasta. Czytać książki. Dyskutować. Spierać się. Wynajdować argumenty. Żartować. Wymieniać plotki. O czym miałem z nimi rozmawiać? O absolutach? O baranach? Zrozum, musiałem wrócić. Z wygnania. Z więzienia. Za cenę jednego życia. To nie tak, jak myślisz. Wtedy życie było tanie. Nie skazałem Go przecież! Nie znalazłem winy. Skąd mogłem wiedzieć? Co robić? Wyprowadzić armię? Bić się? O jednego cichego, dziwnego szalencę, którego mieli fantazje przestać lubić? Pragnąłem tylko spokoju!

**Zasmiał się krótko, jakby szczełal czy szłochal.**

**–Spokoju! Co za szalenstwo! Ale teraz zostawił i was. Zobacz, nie ma Go. Poszedł. Odsunął się. Możesz sprawdzić, przysięgam. Zabrał niewiastę, która zwiecie Królowa. I starców, patriarchów, wybranych, oslepionych jak ja. I świętych, którym odebrał wzrok i dusze jeszcze za ich życia. I niektórych z was. Cherubów, serafów, Książat Sarim, eonów. Możesz ich szukać, lecz nie znajdziesz. I Jego możesz szukać. Prozny trud.**

**Oddychał płytko, szybko.**

**–Odszedł – powtórzył bezradnie.**

**Nagle odskoczył, puścił ramię Asięgo.**

**–Mam brudne ręce – powiedział ze zdumieniem. – Brudne...**

**Rzucił się w krzaki, znikając aniołowi z oczu. Asi, choć rozum podpowiadał, że czas uciekać, wiedziony dziwną siłą powoli rozgarnął zarosła.**

**Szaleniec klęczał nad ocembrowaniem fontanny i nerwowymi ruchami pocierał zanurzone w wodzie dłonie.**

**Z drugiej strony na polanie wkroczyła wysoka, kosztownie odziana anielica. Zmarszczyła idealnie wykrojone brwi.**

**–Co tu się dzieje? – spytała ostro.**

**Mężczyzna przy fontannie poderwał głowę. Ale anielica patrzyła prosto na Asięgo.**

**–Przyniosłem posłanie od Omaela, pani – wymamrotał anioł. – I nowe leki.**

**–Rozmawiałes z nim? – Ruchem głowy wskazała klęczącego.**

**–Niiee – wyjął Asi. – Nie, pani.**

**Właściwie nie klamał, bo sam zdążył powiedzieć zaledwie kilka słów, a czuł przez skórę, że przyznanie się oznaczałoby poważne kłopoty.**

**Surowa Świetlista skinęła ręką.**

**–Chodź, nie życzę sobie, żeby obcy krecili się po ogrodzie i niepokoiili chorego.**

**Odchodząc, Asi ujrzał, jak twarz mężczyzny w tunice wykrzywiała się w drwiacym uśmiechu.**

W tawernie Pod Utopionym Egipcjaninem w Zatoce Rahaba było tłoczno i gwarno. Daimon Frey, Aniol Zagłady, Tanczacy na Zgliszczach, nie poddawał się ogólnemu nastrojowi beztroski i zabawy. Siedział w kacie, z wyrazem twarzy, który odstraszał każdego potencjalnego amatora pogawedek lub zaczepek, a dąby zapewne do myślenia nawet rozwścieczonemu gryfowi. Czarne, bezdenne zrenice, okolone fosforycznymi pierścieniami zieleni, Isniły złowrogo. Daimon pił. Scislej, upijał się konsekwentnie, choć na razie bez skutku. Wrocil właśnie z misji w dalekich krainach Sfer Poza Czasem, więc przed oczami wciąż widział płomienie. Liczył, że wino je zgasi. Jak zwykle, nadaremnie.

Na widok Gabriela twarz Daimona przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz. Regent Królestwa usadowił się przy stole i zamówił puchar wina.

–Długo cie szukałem – powiedział.

Frey wpatrywał się w zalany alkoholem blat stołu.

–Szkoda, że nie dłużej – mruknął. – Chce być sam.

Gabriel pochylił się nisko.

–Kiedy wrociles?

Daimon podniósł na niego pełne złości spojrzenie.

–Dopiero co. Spadaj. Chce być sam.

Pan Objawien oblizal wargi.

–Dopiero co, mówisz? To już coś. Zalewasz robaka?

Daimon uderzył dłonią w stół.

–Do cholery, Gabrysiu! Wywalilem w powietrze cztery rozległe krainy wraz z rzekami, gorami, miastami i pechowcami, którzy podpadli Jasności! Jeszcze nie ostygły. To nie czas na pogawedki!

Gabriel wyszczerzył w uśmiechu zęby.

–Mylisz się. Czas zaiste doskonały.

Daimon westchnął, zrezygnowany. Przesunął ręką po twarzy.

–Czego chcesz? Streszczaj się i spadaj. Mam życzenie upić się w samotności.



**Archanioł Objawien pociągnął łyk wina.**

**–Ale sikacz – powiedział radośnie.**

**Daimon jeknął w duchu. Gabriel przez chwilę bawił się ściągniętym z palca pierścieniem.**

**–Słuchaj – zaczął. – W jaki sposób dowiadujesz się o misjach?**

**Frey popatrzył na Gabriela pytającym wzrokiem.**

**–Podobnie jak ty. W nagłym momencie ośnienia. Czuje, co jest wola Jasności, i wypełniam ją.**

**Gabriel stuknął kciukiem w brzeg kielicha.**

**–Nie może ci się zdawać, co?**

**–Rany! Oczywiście, że nie! Co z toba, Dzibril? To ja miałem się upić!**

**Pan Objawien machnął ręką.**

**–Zaraz, poczekaj. A moc destruktora? Kiedy się budzi?**

**–Kiedy Pan tchnie siłę w miecz, Gwiazde Zagłady – wyjaśnił cierpliwie Daimon, z trudem hamując irytację. – Dlaczego kazesz mi powtarzać rzeczy tak oczywiste?**

**–Pan osobście? – zagadnął Gabriel z dziwnym błyskiem w oku.**

**–Cholera, Gabrysiu, tak, osobście! Aktem woli. To, rzecz jasna, nie znaczy, że oblewa miecz nafta i podpala – dodał Anioł Zagłady z przekasem.**

**Archanioł nie przejął się ironią. Wyglądał na szczęśliwego jak zaba, która podczas suszy znalazła przytulną kaluzę.**

**–Bez bezpośredniego rozkazu Pana nic nie zadziała, tak? Możesz machać mieczem do upadłego i będziesz tylko doskonałym szermierzem? Zadnym tam Burzycielem Świata. Przemiana nie nastąpi?**

**–Nie nastąpi. A teraz idź i weź lekarstwa, których zapomniales zająć. Przy chorobach psychicznych nie ma żartów.**

**–Doskonale – mruknął Gabriel. – Coś już wiemy. Znaleźliśmy szczęśliwą wyspę w morzu kloaki. Chodź, Daimon. Chce ci coś pokazać.**

**–O nie! – zaprotestował Frey. – Mówy nie ma! Siedzę tu i piję, a ty znikasz.**

**Gabriel wyszczerzył w usmiechu zęby.**

**–Rozkaz regenta – zachichotał radosnie.**

**–Ty sukinsynu – powiedział Daimon z niedowierzaniem.**

**Pan Objawien już zmierzał ku wyjściu.**

**\*\*\***

**–Gabriel, ty naprawdę zwariowałeś – powiedział Frey poważnie. Patrzył na przyjaciela oczami rozszerzonymi z niepokoju.**

**–Wcale nie. Okazał trochę zaufania. Wchodzi!**

**Daimon cofnął się o krok.**

**–Gabriel, to Sala Tronowa. Zastanów się.**

**Regent Królestwa wzruszył ramionami.**

**–Zastanowiłem się i chcę, żebyś wszedł.**

**–Nie mogę! Nie wolno mi! Oszalałeś?!**

**–Wolno – powiedział Gabriel ponuro. – Wolno każdemu. No, właz.**

**–Nie!**

**Daimon czuł się zupełnie skolowany. Gapił się na Gabriela, w nadziei że przyjaciel pozwoli sobie na głupi żart. Czekal na śmiech, klepnięcie w ramię, słowo wyjaśnienia. Nic podobnego nie nastąpiło.**

**–Zaufaj mi – rzekł Gabriel i pchnął drzwi sali, pociągając jednocześnie Anioła Zagłady za rękę.**

**Jeden krok i Daimon znalazł się w Sali Tronowej, najświętszym miejscu Królestwa. Poczul zawrót głowy, nogi się pod nim ugięły. Przed oczami widział złote błyski, cztery wirujące, gładkie ściany i Tron. Lśniący, biały niczym śnieg. Pusty.**

**Na podwyższeniu, u stóp Tronu siedział Serafiel, wódz chóru serafinów. Owinał się jak kokonem trzema parami cienkich, pergaminowych skrzydeł. Obrócił obłą głowę i patrzył na przybyszów wielkimi, owadzimi oczami. Nie odezwał się. Wszyscy w Królestwie wiedzieli, że jest szalony, podobnie jak reszta serafinów, którzy nieustannie przebywali w blasku Chwały Pana. Inaczej nie mogliby tam wytrwać.**

**–Co?... – wyszeptal Daimon i glos mu sie zalamal.**

**–Pan odszedl – powiedzial Gabriel. – Opuscil Krolestwo. Dowiedzialem sie o tym przypadkiem kilka dni temu. Zabral Krolowa, wiekszosc swietych, patriarchow i prorokow. Swoich ulubionych aniolow tez. Metatrona, kilku eonow. Znikneli wszyscy serafini. Pozostal tylko Serafiel. Twierdzi, ze na rozkaz Pana. Tylko on moze przekazywac nam Jego wole. Jest szalony i bredzi od rzeczy. Spiewa, mowi wierszem, smieje sie. A Pan odszedl. Pozostal tylko pusty Bialy Tron.**

**Daimon probowal zebrac mysli.**

**–Dlaczego? – spytal rozpaczliwie.**

**Gabriel posmutnial.**

**–Nie wiem. Znalazl w nas bledy. Nieczystosc, skaze. Zamiast w strone doskonalosci, dazymy ku zepsuciu. Prawo entropii. Byc moze nie On odsunal sie od nas, lecz my od Niego.**

**–Zaraz – szepnal Daimon. – I co teraz zrobisz?**

**–Zawiazalismy przysiezenie. Siedmiu archaniolow, ktorzy sa wladni przebywac przed Tronem. Bedziemy milczec i ze wszystkich sil starac sie, zeby prawda nie wyszla na jaw, poki zdolamy utrzymac tajemnice lub poki Pan nie powroci. On oceni nasze czyny i intencje.**

**–Na Jasnosc! Nie moge uwierzyc – jeknal Daimon.**

**Czul sie zdruzgotany, przybity.**

**Gabriel polozyl mu reke na ramieniu.**

**–Postanowilem ci powiedziec, Daimon. Jestes jednym z nas. Tylko do ciebie mam zaufanie. A musialem sie dowiedziec, czy mimo odejscia Pana, Jego moc dziala bezposrednio. Skoro dokonal twojej przemiany w Burzyciela Swiatow, to nie opuscil nas calkowicie! Nie wiesz nawet, jaka poczulem radosc. I ulge. Stales sie zwiastunem nadziei, Daimon.**

**–Bodajbym nie byl – powiedzial Frey gorzko.**

**–Stalo sie. Musimy sobie radzic. – Gabriel wzruszyl ramionami – Postanowilem wlaczyc w spisek Lucyfera.**

**Aniol Zaglady drgnal.**

**–Ryzykowne – mruknal.**

**Gabriel rozložyl rece.**

**–Nie mamy niczego do stracenia w tej sytuacji. Wladza Jasnosci sygnowala zarowno moja, jak i glebianska wladze. Wole nie myslec, co sie stanie, gdy okaze sie, ze Pan juz za nami nie stoi. Zarowno w Krolestwie, jak i w Glebi rozpeta sie natychmiast szalencza wojna domowa. Wszyscy przeciw wszystkim, bo nie ma juz wybrancow. Nowym wladca moze byc kazdy, skoro Pan odstapil swoich ulubiencow. Nastanie koniec czasow, chaos i smierc na niewyobrazalna skale. A ja do tego nie dopuszczze, bo przysiegalem broniec Krolestwa do ostatniego tchu.**

**Daimon przesunal reka po twarzy.**

**–Moze i racja. W Glebi jest wielu dobrych magow. Ktorys moglby sie domyslic. A tak Lucyfer szybko straci mu glowe z karku.**

**–Na przyklad – skwitowal Gabriel.**

**Daimona meczyly zawroty glowy i mdlosci.**

**–Chodźmy stad – powiedzial. – Zle sie czuje. Chce wyjsc.**

**–Dobrze – zgodzil sie Pan Objawien. – I tak zobaczyles juz wszystko.**

**–A wiele jeszcze zobaczysz, upiorze – rozlegl sie suchy, szeleszczacy glos Serafiela.**

**Olbrzymi aniol rozložyl gorna pare skrzydel, ktore drgaly w powietrzu niczym dziwaczne firanki. Ciało serafina wydawalo sie stworzone z zakrzeplych plomieni. Rece migaly, kreslac na posadzce dziwaczne znaki.**

**–Rany! – jeknal Daimon. – To dla mnie za duzo!**

**–Nie! – szelescil Serafiel. – Zobaczysz! Bedziesz widzial! WIDZISZ!**

**–Chodz. – Regent objal Freya i popchnal ku drzwiom. – To wariat. Mowilem.**

**–Upiorze! – krzyczal za nimi serafin. – Bedziesz widzial!**

**Gabriel energicznie zatrzasnal drzwi, ucinajac krzyk szalonego aniola. Daimon osunal sie na kolana za progiem Sali Tronowej. Czul sie, jakby w ostatniej chwili uniknal stryczka.**

**–Mam dosc! – steknal.**

**Rozbolala go glowa, targaly mdlosci. Chcial wrocic do domu i przespac sie troche. Zobaczył pochylona nad soba twarz Gabriela.**

**–Skontaktuj mnie z Lucyferem, dobra? Przez Kamaela albo kogos z Glebi. Tobie bedzie latwiej, rozumiesz. Jako Aniol Zaglady funkcjonujesz wlasciwie po trosze i w Otchlani.**

**Daimon pokiwal glowa.**

**–Dobrze – wymamrotal. – Ale teraz idz juz sobie i zostaw mnie, co?**

**–Jasne – powiedzial Gabriel.**

**\*\*\***

**Omael byl zly. Wiedzial, ze wlasnie nadszedl jeden z tych dni, kiedy wszystko idzie jak po grudzie, naczynia wywracaja sie, zalewajac pracownie zracym kwasem, ktos sie madrzy i kreci nosem, eksperymenty nie wychodza, a on sam zaluje. Zaluje dotkliwie i bolesnie, ze zabraklo mu odwagi, zeby postapic zgodnie z wlasnymi ideami.**

**Z wsciekloscia walil tluczkiem w mozdierz. Naczelnny aptekarz Krolestwa. Pigularz. Nedzny producent czopkow przeciw wzdeciom. Swiatla persona, nie ma co! A – przeciez jest magiem! Moglby daleko zajsc. Gdyby tylko nikt sie nie wtracal i nie machal mu przed nosem edyktami o zakazie uzywania czarnej magii. Na Mrok! Na Mrok! Gdyby tak zdobyl sie wtedy na odwage! Gdyby opowiedzial sie po stronie Lucyfera! Budowalby teraz wspaniala, nowa, wolna Glebie, kraine medrcow i czarownikow, zamiast krecic piguly. Jedna chwila slabosci kosztowala tak drogo. A mogl byc kims! Magiem Glebi, otoczonym szacunkiem i podziwem. Teraz go przeciez nie przyjma. Co za los! Skrzypnely drzwi. Omael cisnal mozdierz na stol.**

**–Asi! – wrzasnal wsciekle. – Gdzie sie podziewales?! Pol dnia cie nie bylo! Objiales sie, co? A ja tu sam ze wszystkim! Bierz sie do tluczka! Czemu sie spozniles, co?**

**–Panie! – wyjakkal chlopak. – Wybacz! Zabladzilem w przerazajacym ogrodzie, a potem dopadl mnie jakis szaleniec i opowiadal straszne rzeczy.**

**Omael wytarl rece w brudny fartuch.**

**–Ale mimoza z ciebie, Asi. Kawal trzesacej sie galarety – fuknal.**

**–Blagam, panie! Nie wysylaj mnie tam wiecej! Posagi chcialy mnie zabic, a ten czlowiek, szaleniec, mowil, ze Pan nas opuscil!**

**Farmaceuta sciagnal z glowy ciemna, wyswiechtana czapeczke, podobna do rozplaszczonej kreciej skorki.**

**–Co powiedzial, chlopcze? – spytal z naglym zainteresowaniem.**

**Asi zaczął szlochac.**

**–Ze nie ma... Pana nie ma... odszedł. Porzucił nas! I Krolowa, i swieci mezowie, i wielcy skrzydlaci! Biada! Biada! Opuscil Krolestwo! Co teraz bedzie?**

**–Ciekawe – mruknal Omael, drapiac sie w brode porosnieta niechlujna szczecina. – Bardzo ciekawe.**

**\*\*\***

**Symea zdziwila sie lekko, widzac aptekarza.**

**–Co cie sprowadza, panie? – spytala. – Twój poslaniec dostarczyl leki.**

**Omael, zdyszany, jak po szybkim marszu, skinal glowa.**

**–Tak, pani. Lecz eksperymentuje wlasnie z nowym specyfikiem, ktory moze okazac sie wielce pomocny.**

**Symea zmarszczyla brwi.**

**–Oby tak bylo. Chory zachowuje sie ostatnio bardzo niespokojnie. Jest pobudzony, obawiam sie pogorszenia.**

**–Chcialbym sie z nim zobaczyc, porozmawiac.**

**–Oczywiscie.**

**Omael spojrzal wprost w oczy anielicy.**

**–Sam na sam.**

**Cofnela sie, grymas wykrzywil jej usta.**

**–No, nie wiem... – zaczela.**

**–W ten sposob bedzie mial do mnie wieksze zaufanie. – Przerwal. – I dowiem sie wiecej. O objawach, lekach i meczacych go obsesjach. Przy tobie, pani, moze nie zechce sie otworzyc. Dla dobra pacjenta wywiad powinien odbyc sie bez swiadkow.**

**Symea nie zdawala sie przekonana.**

**–Zobaczmy – powiedziala wymijajaco.**

**\*\*\***

**Eriasz, straznik rajskich kwater, ze zdziwieniem podniosl wzrok.**

**–Wzywano cie, panie?**

**Omael skinal glowa.**

**–Z cala pewnoscia. Ponoc swiatobliwy Roch niedomaga, a Cecylia skarzy sie na bole w karku. Mam ze soba potrzebne specyfiki.**

**Pokazal spore zawiniatko. Straznik wzruszyl ramionami.**

**–Zatem, wejdz – powiedział.**

**Rozległe, zielone laki i białe pawilony ukryte wśród drzew sprawiały pogodną wrażliwość. Ale parkowe alejki świeciły pustkami. Nikt nie siedział w altanach oplecionych rozami i wisterią ani na kamiennych ławkach opodal licznych fontann i basenów. Nikt nie spacerował ścieżkami wijącymi się między krzewami oleandrow i azalii.**

**Kwatera światobliwego Rocha była pusta. Cecylii również. Podobnie jak wiele, wiele innych. Omael zawrócił ku wyjściu.**

**\*\*\***

**W komnacie paliły się setki czarnych świec. Za starannie zasłoniętym oknem przechadzała się noc, głucha, mroczna i głęboka. Omael stał w kregu spryskanym krwią młodego gryfa. Drząc z leku, intonował zaklęcia. Prastare i zakazane. Straszne.**

**Wyrysowane posoka linie zaczęły świecić upiornym, fioletowym światłem. Głos maga zalał się, lecz nie przerwał zewu.**

**Posrodku komnaty otworzyło się pojedyncze, czerwone ślepie. Pulsowało czerwienią. Zarzyło się niczym ogromny węgiel. Słabo. Bardzo słabo. Nie rozblysło blaskiem. Drgało, aż zamarło. Wyczerpany aptekarz opadł na posadzkę. Pocił się. Rece mu się trzęsły. Ale w duszy niesmiało kielkowała radość, jasna niczym słońce.**

**\*\*\***

**Omael, z sercem trzepoczącym niczym koliber, podszedł do wielkiego, ciemnego budynku, leżącego na uboczu Drugiego Nieba. Z zachwytem wpatrywał się w smukłe, czarne wieżycy, groźne na tle niebieskiego nieba, podobne do drapieżnych ptaków czyhających na zdobycz. Napawał wzrok widokiem okien okolonych motywem czarnych płomieni, bramy zwieńczonej figurą ziejącego ogniem smoka. Szedł do siedziby grigori, czuwających, osobliwego przedstawicielstwa Glebi w Królestwie. Wiedział, że tym razem nie wyśmiejają go ani nie wyrzucą. Niosł wielką, niesłychaną wieść, która pozwoli mu wkroczyć do Otchłani w aureoli bohatera. Na Mrok! Zostanie bohaterem Glebi!**

**Wszystko wskazywało na to, że Asi mówił prawdę. Omael wychodził z ogrodów Symei zaintrygowany, ale nieprzekonany. Wmówił wreszcie anielicy, że musi w samotności porozmawiać z chorym, żeby dobrać skuteczny lek na jego dolegliwości. Nie dowiedział się więcej niż przedtem Asi, ale nabrał nadziei, że usłyszał prawdę. Kilka dni strawił na poszukiwaniach. Nie było łatwo, bo nie dozwolono mu osiągnąć odpowiedniej pozycji, żeby jego imię otwierało wszystkie drzwi w Królestwie. Lecz wszędzie, gdzie dotarł, zbierał dowody. Od długiego czasu nie widziano Metatrona, wszechaniola zwanego Przyjacielem Pana. W rajszych kwaterach nie zastał wielu**



patriarchow i swietych. Nikt nie zwrocil na to uwagi, gdyz nie mieli obowiazku stale w nich przebywac ani meldowac o swoich planach. Niektorzy lubili odwiedzac Ziemie, czesto pomieszkiwali w ulubionych, poswieconych im sanktuariach i kosciolach. Jednak rzadko znikali w tak masowej skali. O Krolowej, oczywiscie, nie mogli dowiedziec sie niczego pewnego, lecz o serafinach juz tak. Od pewnego czasu nikt ich nie spotykal. Doslownie nikt. Sprawa nie budzila podejrzen, bo malo kto zadawal sie z serafinami z wlasnej woli. Oni naprawde byli nieprzewidywalnymi szalencami. Ale sluzyli Panu i nie osmieliliby sie opuscic tak licznie Krolestwa bez konkretnego rozkazu.

W koncu zdobył ostatni, najbardziej przekonujący dowód. W ciemnościach nocy osmielił się przeprowadzić zakazany, czarnomagiczny rytuał badania poziomu mocy. Oddziaływanie Jasności na Krolestwo okazało się katastrofalnie małe. Złosne. To mogło oznaczać jedno. Pan rzeczywiście odszedł, porzucił swoje dzieło albo zgolał się. Nieistotne. W każdym razie tu Go nie ma. Nie ma i już!

Omaela rozpieszczała radość. Być może informacja okaże się fałszywa, lecz jeśli nie, otworzy przed Glebią niespotykane możliwości. Rozpoczyna nową wojnę i wygrywa! Na Mrok, tym razem zwycięża! Błyskawicznie pochłona bezbronne Krolestwo i nastanie epoka światłego rozumu, wolności i swobody. A kto przyniesie te zbawczą wieść? Omael. Mag, medrzec, bohater Glebi!

Z lekkim sercem i duszą wznoszącą słodkie hymny do Mroku, Omael zaczął się dobijać do ciemnych wrot siedziby grigori.

\*\*\*

Czuwający Gadriel sklejał z osi model latającego okretu. Kakabel siedział rozwalony na krześle, nogi opierał na stole i bawił się rzucaniem nożem do celu, który stanowił rzeźbiony gzymszafy bibliotecznej. Właśnie udało mu się wbicić nożem prosto w otwarty dziób wienieczonego gzymszafy gryfa, gdy wparował z impetem Armaros.

–Chłopaki, co za numer! – wykrzyknął.

Gadriel obrócił się leniwie, nie wypuszczając modelu z ręki. Kakabel obojętnie gwizdął na noż, który natychmiast posłusznie powrócił do dłoni.

Armaros zatrzymał się na środku komnaty.

–Niech któryś skoczy po Salamieła. Szef musi to zobaczyć! Mamy jakiegoś dupka, który poprosił o azyl!

Noż Kakabela upadł z trzaskiem na podłogę.

\*\*\*

**Lucyfer, wysoki, barczysty, z ostrzyżoną na krótko jasną czupryną, spojrzal na Asmodeusza. Fioletowych oczu przyjaciela nie macił niepokoj.**

**Pan Otchlani, nazywany czasem pogardliwie lub pieszczotliwie Lampka, westchnal głęboko. Chciałby podzielać opanowanie Asmodeusza.**

**–Co myślisz? – spytał po raz kolejny.**

**–Już mówiłem. Wchodzimy w to. Ale decyzja, należy do ciebie.**

**Lucyfer wyjrzał przez okno luksusowej willi Asmodeusza. Nad Jeziorem Plomieni krążyły stada harpii. Krzyczały przejmująco. Lampka przygrybiał ich lament, ale Mod, oprócz tego, że trzymał rękę na większości kasyn i domów rozpusty w Glebi, był też doskonałym malarzem, a plenery z jeziorem i otaczającymi je Równinami Lodu uchodziły za najbardziej malownicze.**

**–Przyszli do nas, do Otchlani, nie proponując nawet spotkania na neutralnym terenie – powiedział Lampka. – Dużo ryzykowali.**

**Asmodeusz wzruszył ramionami.**

**–Sa zdesperowani. Nie mają wyjścia. Podobnie jak my.**

**–My? Powinnismy się cieszyć z odejścia Jasności.**

**Drobny demon o zielonych włosach wyszczerzył w uśmiechu zęby.**

**–A ty się cieszysz, Luciu?**

**–Nie – powiedział Lucyfer szczerze.**

**–Widzisz? – Asmodeusz wycelował w niego palec. – W sumie ja też nie. Wyobrazasz sobie szalenstwo, które ogarneloby Glebi, gdyby tajemnica się wydała? Tłumy oszłomów pragnących natychmiast uderzyć na Królestwo. Tłumy sukinsynów, próbujących, obawiam się, że skutecznie, wyrwać nam stolki spod tyłków. I tłumy cwaniaków, starających się coś na tym zyskać. Koszmar, co? Prawdziwe piekło.**

**Rozesmiał się. Lampka pozwolił sobie na krzywy uśmiešek.**

**–Nie przejmuj się – powiedział Mod. – Przynajmniej zobaczyłeś starych kumpli po latach. Gabrysia, Michała, Razjela. Jak się wtedy czułeś?**

**–Dziwnie – przyznał Lucyfer. – Chyba nadal ich lubię.**

**–I dobrze, bo przyjdzie nam współpracować.**

**Asmodeusz siegnal do miseczki stojacej na malym stoliku i wlozyl do ust dorodnego daktyla.**

**–Chcesz? – Podsunal naczynie przyjacielowi.**

**Lampka potrzasnal glowa.**

**–Co z czynnikiem nieoznaczonym? – spytal.**

**–Spacyfikowany – wyjasnil Asmodeusz, wypluwszy pestke.**

**–Wyjawil ci wielka tajemnice?**

**Przystojna, mlodziencza twarz demona rozjasnila sie.**

**–Jasne.**

**–Ta sama?**

**–Niestety, tak. Wiecej niespodzianek na razie nie przewidziano.**

**–Skrzydlati zaraz tu beda. Wpuszcz czynniki w czasie ich obecności?**

**–Oczywiscie! – zawolal Asmodeusz. – Niech wiedza, kogo u siebie maja. Zagrywka psychologiczna, rozumiesz?**

**Ktos zastukal do drzwi.**

**–Wejsc! – zawolal Lampka.**

**Do salonu wsunal sie sluzacy.**

**–Panie, goscie przybyli.**

**–Wprowadz – powiedzial Asmodeusz i siegnal po nastepnego daktyla.**

**Skrzydlati weszli, w milczeniu uscisneli dlonie demonow. Gabriel, Razjel, Michal i Daimon. Na ich twarzach malowalo sie napiecie.**

**–Postanowiliscie? – spytal regent Krolestwa ochryplym z emocji glosem.**

**Lucyfer skinal glowa.**

**–Zgadza sie – powiedzial spokojnie. Gabriel poczul, ze miekna mu kolana.**

**–Na Jasnosc! – szepnal. – To dobrze.**

**–Niezbędzie – dodał Asmodeusz chłodno.**

**–Czy pozostali archaniołowie wiedzą o naszym przymierzu? – zapytał Lucyfer.**

**Gabriel pokręcił głową.**

**–Jeszcze nie.**

**Lampka drgnęła, niezadowolony.**

**–A jeśli się nie zgodzą? Mogą zagrozić przedsięwzięciu.**

**–Czy znasz termin: "dopuszczalne straty"? – wtrącił Raziel. – Jeżeli zawiodą, będą zmuszeni znaleźć się na tym marginesie.**

**–No nie! – zakrzyknął uradowany Asmodeusz. – Sprzątniecie ich? Aniołowie?! Chłopcy, zaczynam was lubić!**

**–Tylko w ostateczności – powiedział Gabriel sucho. – Jeśli zaczną stanowić realne zagrożenie dla Królestwa.**

**–To bardzo ryzykowne – mruknął Daimon. – Załatwić archanioła, który faktycznie jest jednym z siedmiu współrządców kosmosu. Zwraca uwagę, mnoży niepotrzebne pytania. Taka opcja to naprawdę ostateczność.**

**–Zastanawialiście się, co zrobić, jeśli dojdzie do przecieku na większą skalę? – zagadnął uprzejmie Asmodeusz.**

**–Na projekty awaryjne jeszcze za wcześnie. – Daimon pokręcił głową. – Koalicja dopiero się tworzy.**

**–Mysmy mieli jeden na względzie. Plan A.**

**–Co to takiego? – spytał podejrzliwie Michał.**

**–Sfingowana Apokalipsa – wyjaśnił Lucyfer osłupiałym aniołom. – No, rozumiecie. Armageddon. Koniec świata.**

**–Rany! – steknął Raziel. – Co to nam niby da?**

**–Czynnik chaosu i zaskoczenia. Innymi słowy, trochę czasu. Potem rozprawiamy się z potencjalnymi wrogami i twierdzimy, że uratowaliśmy świat, nie dopuszczając do wojny. Proste, co?**

**–Szalone – skwitował Gabriel. – Ale pomyślimy nad tym później. Musimy opracować jakieś inne warianty.**

**–Ale co za wspaniale teatrum! – westchnal Asmodeusz. – Michas odgrywałby Pana.**

**–Ja?! – krzyknął przerażony archaniol. – Dlaczego?**

**–Jestes troche podobny. W koncu nosisz imie "Ktoz jak Bog".**

**–Badz powazny, Mod – burknal Lampka.**

**–Jestem powazny. Smiertelnie powazny – oburzyl sie zielonowlosy demon. – Daktyla?**

**Lucyfer westchnal.**

**–Bedziemy musieli wykrywac najmniejsze mozliwe przecieki – powiedzial Razjel. – Wszystko, co podejrzane. I natychmiast likwidowac.**

**–O, wlasnie – wtracil Asmodeusz. – Jednego podejrzanego juz mamy. Zadziwiajaca sprawnosć, prawda? Luciu?**

**–Zechciejcie ukryc sie tam, za zalodem salonu, przy fotelach klubowych, dobrze? – poprosil Lucyfer. – Musicie byc swiadkami pewnego wydarzenia.**

**Zaklaskal na sluzacego.**

**–Wprowadzic aptekarza – rozkazal.**

**Wchwile pozniej do pokoju wparowal Omael.**

**–Niech bedzie pochwalona Glebia! – zakrzyknal z patosem. – Wolna i zwycieska!**

**–Tak, oczywiscie – mruknal Lucyfer.**

**–O panie moj, cudowne narzedzie Mroku! – wrzasnal rozpromieniony farmaceuta. – Przynosze ci zbawcza wiadomosc! Jutrzenke nadziei dla Otchlani!**

**–Jutrzenke dla Otchlani? – burknal pod nosem Asmodeusz. – Co za grafomania.**

**Bal sie, ze Omael w poplamionym fartuchu i brudnej szacie poplami mu obicie kanapy.**

**Tymczasem aptekarz kontynuowal porazajaca przemowe, prezac piers, jakby tam juz dumnie polyskiwal Wielki Order Muchy, najwyzsze odznaczenie Glebi.**

**–Odszedl! Nie ma Go! Uciekl przerażony lub umarl ze starosci! O porwij sie, Otchlani, do straszliwej wojny! Zmiazdz to gniazdo tyranii i ciemnoty, zwane Krolestwem! Panuj w glorii wolnosci, swobody i oswieczonej mysli! Nadchodzi wielki**

**dzien! Dzień walki i pozogi!**

**–Skonczyles? – przerwał znudzony Asmodeusz.**

**Skonfundowany bohater Glebi niepewnie skinal głowa.**

**–Widzisz, przyjacielu – ciagnał Mod. – Pytam, bo będę zmuszony wyprowadzić cie z błędu. My nie chcemy wojny. Milujemy pokój.**

**–Jak to? – wyjął aptekarz.**

**–Spojrz tam. – Lucyfer uprzejmie wskazał czterech aniołów, niewidocznych na pierwszy rzut oka w głębokich, klubowych fotelach.**

**Omael zamarł. Po raz pierwszy w życiu język przywarł mu do podniebienia i zabrakło słów.**

**–Rozmawialiśmy właśnie – wyjaśnił Lampka – jak zaradzić trudnej sytuacji i wspólnie nie dopuścić do katastrofalnych w skutkach zmian.**

**Aptekarzowi opadła szczeka. Niedoszły bohater szybował w dół z wysokiego piedestału.**

**–Wstyd, Omaelu – powiedział Gabriel. – Naprawdę wstyd. Gniazdo tyranii i ciemnoty? No nie!**

**–Zabrać go! – rozkazał Asmodeusz. – I zamknąć.**

**Wywlekany z pokoju przez rosłych służących Omael odzyskał w końcu głos.**

**–Bandyci! – wrzasnął. – Podle kreatury! Jesteście wszyscy tacy sami!**

**–Oczywiście, baczku – przytaknął Mod ze słodkim uśmiechem. – Wszak jesteśmy braćmi!**

**Za Omaelem zatrzasnęły się drzwi.**

**–Co z nim zrobicie? – spytał Gabriel, któremu całe zajście było mocno nie w smak. Poddany Królestwa okazał daleko idącą nielojalność, a przeciek już powstał.**

**Asmodeusz wzruszył ramionami.**

**–W końcu was zdradził, prawda?**

**–No tak, ale...**

**Demon sie rozesmial.**

**–Podziwiam litosciwe anielskie serce. Jesli okaze sie sprawny w swoim fachu, bedzie lepil piguly dla ukochanej Glebi. Jesli nie, no coz. – Rozlozyl rece. – Dopuszczalne straty.**

**–Jak sie dowiedzial? – spytal Gabriel, choc pytanie z trudem przeszlo mu przez gardlo.**

**Asmodeusz wyjasnil.**

**–Odizolujemy kazdego, kto moze miec styczność z bezposrednimi emanacjami Jasnosci! – rzucil predko Razjel.**

**–Oczywiscie – zgodzil sie Lampka. – My takze.**

**–Podobna sytuacja nigdy nie moze sie powtorzyc!**

**–Z pewnoscia.**

**–Wiec co, panowie? – zagadnal Asmodeusz. – Koniec zimnej wojny?**

**–Raczej goracej – mruknal Daimon. – Na plomienie i siarke.**

**–Porozumienie uwazam za zawarte – oznajmil Lucyfer, wyciagajac reke do Gabriela.**

**Regent Krolestwa uscisnal dlon Pana Otchlani.**

**–Historyczna chwila – zauwazyl nie bez sarkazmu Razjel.**

**Asmodeusz zaklaskal na sluzbe.**

**–Kaze przyniesc wina – wyjasnil. – Koalicje trzeba oblac.**

**Gdy po omowieniu najwazniejszych zagadnien i ustaleniu terminarza kolejnych spotkan poddani Krolestwa opuszczali wille nad Jeziorem Plomieni, Daimon westchnal.**

**–W sumie Omael mial racje – rzekl. – Jesteśmy tacy sami. Zaden z trzech archaniolow sie nie odezwal.**

## **WIEZA ZAPALEK**

**Saturnin westchnal. Obracajac w palcach kawalek pergaminu, opatrzony urzedowymi piezczeciami, pelen suchych, kategoriycznych stwierdzen, doszedl do**

wniosku, że przykrości to zwierzęta stadne. Nie dość, że trafił na pechowego klienta, to jeszcze przydzielili mu nowego zmiennika! Przywołał w pamięci obraz pulchnej, pogodnej twarzy Amiela, który zastępował go, odkąd Saturnin zaczął pracować. Przez ten czas zdążyli się polubić. Amiel odznaczał się łagodnym usposobieniem i unikał konfliktów, więc współpraca gładko omijała rafa. Dlaczego musieli wycofać akurat jego? Imię nowego zastępcy nic Saturninowi nie mówiło. Wydawało się równie bezduszne, jak schludne, wyraźne litery, którymi je zapisano. Westchnął ponownie.

Klient spał. Saturnin przyglądał mu się z niechęcią. Jasne, krótko ostrzyżone włosy, kwadratowa szczęka, mocna sylwetka. Wyglądał jak okaz zdrowia. Nic nie wskazywało na to, że niedawno ledwie uszedł z życiem z poważnego wypadku samochodowego. Wypadku, który okazał się zbyt poważny dla poprzednika Saturnina. Zginął w obronie klienta. Bardzo chwalebnie, ale teraz nie ma go wśród żywych, a Saturnin odziedziczył po nim robotę. Klienci z odzysku zawsze uchodzili za pechowych. Wiadomo było, że mają talent do ściągania kłopotów. Niektóre z nich kończyły się śmiercią. Jak dotąd dopisywało mu szczęście. Co prawda do tej pory ochraniał zaledwie dwóch ludzi, więc wciąż, uchodził za nowicjusza. Nowe, trudniejsze zadanie mogło oznaczać rodzaj awansu, ale równie dobrze wskazywać na obojętność urzędników. Wiele razy zdarzało się, że zieloni jak szczypiór nowicjusze zaraz po szkole dostawali robotę, która przerastała ich możliwości. W większości przypadków kończyło się to tragicznie, dowodząc tylko, że tam, w gorze, ktoś najwyraźniej nie zadal sobie trudu, aby pomyśleć.

Saturnin z rozrzewnieniem wspominał swego ostatniego klienta. Był porządnym człowiekiem, kochającym mężem oddanym rodzinie. Wojnę przeżył spokojnie, na tyłach, z powodu bardzo słabego wzroku. Nigdy nie dał się zwariować pogoni za pieniędzmi i wygorowanym ambicjom. Miał pogodny charakter i, co Saturnin uważał za wyjątkowe w dzisiejszych czasach, przez całe życie nigdy nie zdradził żony. Odszedł w wieku czterechdziesięciu czterech lat, w pewne słoneczne popołudnie, bujając się na werandzie swojego domu, który roił się wprost od wnuków i prawnuków. Do ostatniej chwili zachował trzeźwy umysł i pogodę ducha, choć trzeba przyznać, że pod koniec życia stał się nieco uciążliwy, wtracając się do wszystkiego i do znudzenia powtarzając wciąż te same opowiadki z czasów młodości. Ale przecież nikt nie jest doskonały.

Saturnin, który musiał czekać całe czterdzieści cztery lata, trzy miesiące i dwa dni, żeby z nim porozmawiać, przywitał go z prawdziwą radością. Czas, jaki minal, zanim zjawił się psychopompos od Adriela, anioła dobrej śmierci, upłynął im na wspomnieniach i wyjaśnieniach. Pożegnali się bardzo serdecznie, a Saturnin obiecał odwiedzić swego podopiecznego i zostać na dłuższą pogawedkę, kto bowiem może lepiej znać człowieka niż jego anioł stróż? Dotrzymywał przyrzeczenia i kiedy tylko pozwalały mu obowiązki, wpadał do Ogrodu Edenskiego w Trzecim Niebie, gdzie był klient, jako porządny facet, otrzymał należną kwatere.



Pierwsza klientka także nie sprawiała zbyt wielu problemów. Przeszła tylko jeden kryzys małżeński i miała nieco kłopotów z dorastającym synem. Dbła o dom, lubiła zajęcia gospodarskie, a główną jej wadą była skłonność do plotek. W sumie normalna. Ale ten! Saturnin obrzucił spiaczonego ponurym spojrzeniem. Bywalec knajp, miłośnik hucznych imprez, utrzymuje przygodne kontakty z kilkoma tuzinami kobiet, zawsze skory do rozroby, wynajmuje się jako ochroniarz przy podejrzanych interesach. Trudny materiał. W dodatku etyka zawodowa nakazuje go kochać. Ładnie wdepnales, Saturninie, nie ma co!

Jeszcze raz przebiegł wzrokiem urzędowy pergamin. Jutro zgłoszę się po zmiennika, pomyślał. Ciekawe, jakiego dostałem? Oby tylko nie okazał się zgrzybiałym starcem. Zmiennicy, zastępujący stróżów przez przepisowe siedem dni w miesiącu lub w razie choroby i nagłych wypadków, nie rekrutowali się z dwóch specjalnie szkolonych chorów aniołów służebnych, do których należeli wszyscy zawodowi opiekunowie, urodzeni i z powołania przeznaczeni do wykonywania swojej profesji. Stanowili zbieraninę emerytów, rencistów, zdegradowanych urzędników oraz żołnierzy, dla których zabrakło akurat miejsca w służbie czynnej. Prawdziwi stróżowie uważali zastępców za gorszych od siebie, wytykając im, często niestety słusznie, brak zaangażowania lub umiejętności. Ze swojej strony zmiennicy nie pozostawiali dłużni, nazywając stróżów najbardziej wstecznymi, pospolitymi i zakłamanym dupkami w Królestwie.

Saturnin złożył pismo, wepchnął je do kieszeni w tunice, zastanawiając się, czy nowy zastępca równie mało przypadnie mu do gustu, co nowy klient.

–Eee... Gamin, jak sądzę? – zdolał wybaknąć, z całej duszy modlił się, żeby odpowiedź brzmiała "nie". W życiu nie widział anioła, z którym chciałby mieć mniej do czynienia. Zapytany był średniego wzrostu, szczupły, ale dobrze zbudowany. Gęste, grube włosy o barwie ciemnego miodu sięgały mu prawie do ramion. W twarzy o wydatnych kościach policzkowych i lekko wklęsłych policzkach lśniły przymrużone, przenikliwe oczy, szare jak krzemień. Spiczasta broda, szpecila długą blizną. Nieznajomy miał na sobie regulaminową, sięgającą przed kolana tunikę stróża, ale nie zadał sobie trudu włożenia pod spod przepisowej bluzy z trzema paskami przy mankietach. Z rękawów tuniki wystawały żyłaste, muskularne ramiona. Zamiast wąskich spodni w kolorze bluzy i lekkich butów ze sznurowanymi cholewkami nosił zniszczone spodnie w panterkę i czarne wojskowe buciory. Miał tylko jedno skrzydło, prawe. Na szyi dyndał mu pek dziwacznych talizmanów, podejrzanie kojarzących się z czarną magią. Był żołnierz, z powodu kalectwa wycofany ze służby, pomyślał Saturnin w poplochu. Najgorszy zmiennik, jaki może się trafić przyzwoitemu aniołowi. Bardzo się starał zachować uprzejmy wyraz twarzy, ale bezwiednie przybrał minę domowego psiaka stojącego oko w oko z wkurzonym lwem.

–Możesz mi mówić Drago – powiedział weteran. – Wszyscy mnie tak nazywają. – Zrobił gest, jakby chciał podać Saturninowi rękę, ale stróż stał sztywno jak słup.

**–Milo cie poznać, Drago – wymamrotal w koncu, zdumiewając się własną dwulicowością. – Mam nadzieję, że nasza współpraca będzie owocna.**

**–Okaze się. – Drago odsłonił w uśmiechu duże, mocne zęby. – Zaczynamy od zaraz?**

**–Tak, to znaczy... dzisiaj przez cały dzień zostanę z toba, zęby... hmmmm, przyuczycie do obowiązków.**

**–Przyuczyc – mruknął żołnierz. – No dobra.**

**Opuszcili refektarz Trzeciego Domu przy Drugim Kregu, mineli internat i kwatery stróżów, miejsca, w których Saturnin spędził całe dzieciństwo i wczesną młodość, przeszli obok Zielonej Wieży, wbrew nazwie przysadzistego budynku, gdzie znajdowała się skromna izdebka, przeznaczona na prywatny użytek Saturnina w dniach wolnych od służby. Drago rozglądał się ciekawie. Z rękami w kieszeniach tuniki szedł obok sztywnego ze zdenerwowania stróża. Bez trudu dotrzymywał mu kroku, chociaż mocno utykał na lewą nogę.**

**–Mieszkales tutaj? – zagadnął, wskazując szerokim gestem zabudowania Trzeciego Domu.**

**–Nadal mieszkam – odparł Saturnin. – Mam kwatere w Zielonej Wieży.**

**–Smetnie tu trochę – ocenił weteran z uśmiechem, który wydał się drugiemu aniołowi krzywy. – Gorzej niż w koszarach.**

**Saturnin poczuł się urażony. Jakim prawem ten zoldak wygłasza lekceważące sady o przyzwoitej, wzorowo prowadzonej stacji aniołów służebnych? Dom Trzeci przy Drugim Kregu był jedynym miejscem, do którego czuł się naprawdę przynależny.**

**–To spokojna i doskonale prowadzona jednostka, gdzie każdy pilnuje swoich obowiązków, zamiast trwonić czas na rzeczy zbędne – powiedział sucho.**

**–Jak na przykład uprzejmość – mruknął Gamerin i przestał się odzywać.**

**Najbliższa brama przedostali się na Ziemię. Szli pieszo, bo Saturnin nie wiedział, jak Drago, ze swoim jednym skrzydłem, radzi sobie z fruwaniem.**

**Przeciskali się przez tłum ludzi, aniołów i różnych stworów z Glebi lub Limbo, podążając ruchliwymi ulicami do mieszkania klienta.**

**–Hej, żołnierzu! – zawołał za ich plecami ochryply kobiecy głos.**

**Drago odwrócił się błyskawicznie. Saturnin zatrzymał się, spoglądając niepewnie za**

siebie. Kiedy jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem wysokiej, wyzywająco ubranej demonicy, poczuł, że oblewa się głupim, młodzieńczym rumieńcem. Wszeteczna istota zwróciła się do Gamera, nie zaszczyciwszy młodszego anioła niczym więcej prócz przelotnego wejrzenia.

–Co robisz w tym idiotycznym ubranku, Drago? Przebrales się, czy co?

–Nie z własnej woli, skarbie. – Wzruszył ramionami.

Zrobiła współczująca minę.

–Moj ty biedaku, odstawili cię na boczny tor! Tym razem pewnie porządnie oberwales. Na co ci przyszło! Stoz. Cholera, widzę, że straciłeś skrzydło!

Wyszczrzył zęby.

–Ale kaleka nie jestem!

–Nie wątpie – mruknęła, rzucając mu zalotne spojrzenie. – Zaprosisz mnie na drinka?

–Nie da rady, jestem na służbie.

Rozesmiała się głośno.

–Ja też, Drago. Ja też! No to lece.

–Nie zapomnij o mnie, skarbie.

–Nigdy, żołnierzu, adios.

Posłała mu całusa i odeszła, kolysząc biodrami. Saturnin był pewien, że cała ulica się na nich gapi. Ze wstydu poczerwieniał jeszcze bardziej. Miał tylko nadzieję, że incydentu nie zauważył nikt znajomy. Przeklęty zoldak gotów mu popsuć dobrą opinię. Tylko degenerat jest zdolny do podobnych bezecenstw.

–To kelnerka z baru Pod Gorejącym Krzakiem – wyjaśnił Drago, bo powleczonej purpurą twarz Saturnina miała wyraz niemej grozy. – Wbrew pozorom porządna dziewczyna.

Porządna dziewczyna! – pomyślał Saturnin. Niech go Glebia pochłonie, razem z jego normami moralnymi.

Drago poczuł, że ogarnia go złość. Przyjął bardzo bolesnie druzgoczącą decyzję odwołania ze służby, ale podchodził do nowej, nudnej roboty z możliwie otwartym sercem, a ten nadęty dupek wyraźnie uważa go za jakiegoś smiecia.

**–Co jest, synu? – warknal zlosliwie. – Tak ci sie spodobalo, ze straciles mowe?**

**Malinowy na twarzy Saturnin milczal.**

**\*\*\***

**Drago uznal, ze klient jest calkiem niezly. Stanowilo to drobna pocieche w calej tej beznadziejnej skadinad sprawie.**

**–Czy wiesz, jak wypelniac zadania stroza? – spytal Saturnin.**

**–Poniekad – odpowiedzial zgodnie z prawda. Usta mlodszego aniola wykrzywily sie w grymasie, ktory ewidentnie znaczyl "bylem tego pewny".**

**–Otrzymailes chyba nalezyte przeszkolenie? – drazyl uparcie.**

**Drago nie mogl powstrzymac usmiechu. Przez kilka stuleci sluzby otrzymywal rozne gruntowne przeszkolenia. Biedny stroz prawdopodobnie dostalby mdlosci ze strachu, gdyby sie o nich dowiedzial.**

**–Chodzi o to, ze nalezy pilnowac tego goscia, zeby sie nie potknal i nie zrobil sobie krzywdy – rzekl. – A gdyby, bron Panie, tak sie stalo, trzeba, pomoc mu wstac i otrzepac spodnie.**

**–No coz – burknal Saturnin. – Ja mam o swojej pracy troche lepsze mniemanie, ale jak chcesz. Rozumiem, ze musze zaczac wszystko od poczatku?**

**–Odpusc sobie jednak opis stworzenia swiata. Zajalby ci zbyt wiele czasu.**

**Saturnin spojrzal na niego z wyrzutem.**

**–W kieszeni masz szklana kule i klucz, zgadza sie?**

**Drago skinal glowa.**

**–To standardowe wyposazenie. Zaden aniol nie zdola nieustannie czuwac przy kliencie, dlatego czasem wolno mu sledzic jego poczynania w szklanej kuli. Jesli stroz podejrzewa, ze dzieje sie cos zlego, otwiera specjalnie dostrojonym kluczem wlasciwy wymiar i natychmiast znajduje sie przy kliencie.**

**–To po diabla lezlismy przez cale Krolestwo, zeby sie tutaj dostac? – przerwal Drago.**

**Saturnin obrzucil go druzgocacym spojrzeniem.**

**–Kluczem mozna sie posluzyc tylko w razie niebezpieczenstwa. Stroz korzystajacy**

**z tej metody ryzykuje, że nie zdąży zapobiec nieszczęściu. Dlatego wskazane jest spędzać z klientem możliwie najwięcej czasu. Kuli wolno używać jedynie w ostateczności. W naszym zawodzie największe znaczenie ma jednak profilaktyka i intuicja. Stroż powinien przeczuwać niebezpieczeństwa i pokusy grożące podopiecznemu, żeby skutecznie im zapobiegać.**

**–Stawianie kabaly też mieści się w zakresie profilaktyki? – zapytał Drago na pozór niewinnie. W kącikach szarych oczu pojawił się błysk rozbawienia.**

**–W żadnym wypadku. Wrozenie z kart należy do zakazanych praktyk magicznych.**

**–A szklana kula nie? – zainteresował się były żołnierz.**

**Saturnin starał się nie zwracać uwagi na zawartą w pytaniu ironię.**

**–Kula jest poświęcona – powiedział z naciskiem.**

**–To wszystko wyjaśnia – rzekł Drago, mrużąc rozesmiane, pełne szyderstwa oczy.**

**Saturnin doszedł do wniosku, że zmiennik uśmiecha się jak rekin. Dostawał gęsiej skórki na myśl o spędzeniu całego dnia w jego towarzystwie. Komu przyszło do głowy odwoływać starego, poczciwego Amiela?**

**–Będziesz mnie zastępował przez siedem dni w miesiącu oraz w przypadku, gdybym zachorował lub z innej przyczyny okazał się niezdatny do służby – ciągnął. – Masz jakieś pytania?**

**–Czy wrozenie z fusów także nie wchodzi w grę?**

**Saturnin westchnął. Zapowiadał się ciężki okres.**

**\*\*\***

**Od samego początku miał złe przeczucia. Klient kilka godzin spędził w barze, ostro popijając i obmacując panienki, a teraz wracał do domu przez ponure zaułki, gdzie nawet Kuba Rozpruwacz czułby się nieswojo.**

**Saturninowi zimny pot spływał po karku. Czuł przez skórę, że to nie może się dobrze skończyć. Nawet się nie zdziwił, gdy od pograzonej w mroku ściany odkleiły się trzy postacie, zastępując klientowi drogę. Ich stroże wyglądali równie podejrzanie, jak oni sami. Saturnin dostrzegł dwóch aniołów, drobnego, chuderlawego starowina o kaprawych oczkach oraz dużego blondyna w niechlujnej tunice i poplamionych spodniach, który z obojętną miną dłużył w zębach wykalaczkę. Na widok trzeciego pod Saturninem ugięły się kolana. Był to rosły dzinn z wyzywającym wyrazem twarzy i piesciami jak bochny chleba.**

Zawieszony na piersi amulet z charakterystycznym odciskiem pieczęci świadczył, że należy do drużyny Raguela. Raguel był niegdyś wysokim ranga aniołem, szefem służb wewnętrznych Królestwa. Wykonywał wyroki anielskiego sądu na najbardziej wpływowych dostojnikach Nieba. Uczestniczył w spisku przeciw Gabrielowi, co doprowadziło do wygnania go z Królestwa, jakoby za niedokładne wypełnienie rozkazu Pana. Jednak po dwudziestu jeden dniach Gabriel powrócił w wielkim stylu, Raguel zaś został zdegradowany i oficjalnie uznany za demona. Cudem unikając kary, w ostatnim momencie opuścił Niebo, lecz nie został ciepło przyjęty w Otchłani, zwłaszcza, że uporczywie obstawał przy swojej niewinności. Część Glebian widziała w nim po prostu szpiega. Rozgoryczony Raguel założył więc w Przedpiekle agencję ochroniarską, oferującą usługi adeptom czarnej magii, którzy wyrzekli się Królestwa. Firma prosperowała niezle, ale były archanioł nie odczuwał z tego powodu zadowolenia, nieustannie powołując się na krzywdę, jakiej doznał, i twierdząc, że jest ofiarą mactwa Gabriela. Wokół tego skandalu narosło wiele plotek i niejasności, lecz kto osmieliłby się otwarcie oskarżać najpotężniejszego z aniołów? W każdym razie Raguel prowadził firmę dla odszczepieńców, zgrzytając zębami i opluwając Gabriela jadem przy każdej okazji. Pracownicy Raguela uchodzili za bezwzględnych wrogów Królestwa, Saturnin więc miał słuszne powody do obaw.

Trzech groźnie wyglądających facetów okrzyknął klient. Dwaj aniołowie cofnęli się pod ścianę, dając do zrozumienia, że nie mają zamiaru interweniować.

Saturnin poczuł, jak ogarnia go strach zmieszany z wściekłością. Przecież ich obowiązkiem jest próbować nie dopuścić do starcia! Dżinn śmiało się złośliwie, wyraźnie gotów udzielić pomocy wielkiemu drabowi, który był pewnie jego klientem.

– Chodź no tu, aniołku – warknął. – Z rozkosza rozmazę cię po bruku.

Stary, wychudły anioł w przydługiej tunice, ni z tego, ni z owego rozplakał się.

– Ja tego nie chciałem – chlpał. – Pamiętaj, że nie mam z tym nic wspólnego!

Saturnin chętnie poczęstowałby go kopniakiem. Zgodnie z nakazem obowiązku wysunął się przed klienta, żeby go sobą zasłonić.

Podopieczny Saturnina, w miarę jak trzeźwiał, przybierał coraz bardziej niewesołą minę.

– Widzieliście bohatera? – Dżinn zaśmiał się gardłowo. – Honorowy aniołek zamienił się w kupe flaków.

Popchnął swojego podopiecznego, ogromnego faceta o wyglądzie przyglupa, szepcząc mu w ucho: "No dalej, stary! Na co czekasz?". Drab rzucił się w stronę Saturninowego klienta. Ten zrobił skuteczny unik, skuteczny tylko dlatego, że Saturnin go odepchnął. Piasek chybiła o włos, ale trafiła anioła w brode. Saturnin

**runal na ziemię. Posypał się na niego grad ciosów. Do ostatka próbował chronić klienta, lecz wtedy do akcji wkroczył dzinn, kopniakami zmuszając go do wycofania się z walki.**

**Kaprawy anioł płakał, smarkając w kraciastą chustkę, i z bezpiecznej odległości obserwował zajście. Drugi anioł nie zachowywał nawet pozorów zainteresowania.**

**Tymczasem klient Saturnina, zaprawiony w podobnych bojach, radził sobie o wiele lepiej od anioła. Wymachując piściami, ruszył do desperackiej szarży, celnym ciosem posłał jednego z napastników na ziemię i pedem rzucił się w boczną uliczkę. Saturnin, korzystając z chwilowej nieuwagi dzinna, zaniepokojonego losem swojego podopiecznego, zerwał się na równe nogi i, kulejąc, pognął za nim. Nigdy w życiu tak szybko nie uciekał. Obolały i oszłomiony słyszał przed sobą zdyszany oddech klienta. Na szczęście scigał ich tylko szyderych rehot dzinna.**

**Cudem uszedłem z życiem, pomyślał Saturnin, z wysiłkiem chwytając powietrze. Chyba ktoś mnie przeklął. Z rozbitego nosa ciekła krew, a w prawym boku coś klęło przy każdym oddechu. Czuję, jak puchnie mi szczeka.**

**Klient zatrzymał się wreszcie. Ciężko dyszał. Miał podbite oko, ale poza tym wyszedł z natarcia obronna, reka. Saturninowi szumiało w uszach. Spoglądał na klienta z niechętnym podziwem, wspominając stare, przysłowie, że szczęściarze mają pechowych aniołów stróżów. Nie ma co, pomyślał z goryczą. Trafiła ci się emocjonująca robota, Saturnin.**

**\*\*\***

**–Poproszę aktualną książeczkę cnot – powiedział urzędnik do spraw uzdrowień.**

**Saturnin podał mu oprawny w skóre zeszytyk. Urzędnik przejrzał go skrupulatnie, strona po stronie.**

**–Czy masz zaświadczenie ubezpieczeniowe opatrzone ważną pieczęcią?**

**Anioł wyjął z kieszeni złożony na czworo pergamin.**

**–Pieczęć wygląda na nieaktualną – burknął biurokrata.**

**–To niemożliwe! – zaprotestował zrozpaczony stróż. – Niedawno przydzielono mi nowego klienta, więc musiałem wyrobić nowy komplet papierów. Dopelnilem starannie wszelkich formalności!**

**–Co to znaczy "niedawno" – spytał podejrzliwie urzędnik.**

**–Trzy miesiące temu.**

**–Taak, ale pieczec jest przestarzala.**

**–Nie wiem dlaczego! Papiery sa nowe!**

**–Nie sa nowe. Maja juz trzy miesiace. No coz, w drodze wyjatku postaram sie uznac je za aktualne. Co ci dolega?**

**–Zostalem pobity. Mam rozbity nos i chyba pekniete zebra...**

**–Nie zajmujemy sie patologia spoleczna.**

**–To byl wypadek przy pracy! Mam stosowne zaswiadczenie!**

**–Prosze pokazac!**

**Saturnin wydobyl z kieszeni kolejny swistek.**

**–Taak. Wyglada, ze jest w porzadku. Czy twoja choroba jest zakazna?**

**–Slucham? – wykrztusil oszolomiony aniol.**

**–Czy jestes zakaznie chory?**

**–Przeciez powiedzialem, ze zostalem pobity! Pobicie jest zakazne tylko na meczach pilkarskich!**

**–O tym, co ci sie stalo, zadecyduje jeden z patronow chorob ogolnych. Jesli dojdzie do wniosku, ze nie moze cie uzdrowic, da ci skierowanie do specjalisty. Kategoriecznie twierdzisz, ze nie jestes chory zakaznie, wiec w gre wchodzi swiety Jan Bozy, swiety Kamil, swieta Katarzyna genuenska, swiety Roch lub swiety Leonard. W tej chwili najmniej obsadzony jest... niech sprawdze... swiety Roch. Moze cie przyjac za cztery tygodnie.**

**–To jakis absurd! – jeknal Saturnin. – Chyba mam zlamane zebro i nos! Powinien mnie obejrzec jakis patron od urazow!**

**–Bez posrednictwa ktoregos z patronow od chorob ogolnych wykluczone! Zreszta patriarcha Adam w tym miesiacu wyrobil juz przepisowa norme uzdrowien, a szczegolny patron od chorob nosa u nas nie przyjmuje. Najwyzej moze przyjac cie swiety Blazej od gardla albo swieta Otylia od uszu. Wolne terminy mamy za cztery do szesciu miesiecy.**

**–Czy jakikolwiek specjalista jest wolny teraz?**

**–Niech sprawdze... swieta Genowefa od duru brzuszego i swiety Maurycy od podagry, ale i tak bez posrednictwa ogolnego patrona od chorob...**



**–W porzadku, rozumiem.**

**–Chcesz sie zapisac do swietego Rocha? Bedziesz wtedy nalezal do grona jego podopiecznych w razie choroby w przyszosci. Moze ci przyjac za... cztery tygodnie i dwa dni. Zgadzasz sie?**

**–Nie! – warknal rozzalony Saturnin. – Za cztery tygodnie przyda mi sie tylko swiety Bartlomiej, patron grabarzy!**

**–Wiec po co bylo tak dlugo zawracac mi glowe? – zirytowal sie urzednik. – Inni czekaja! Nastepny prosze! – zawolal, calkowicie ignorujac nieszczesnego Saturnina, ktory nerwowo upychal po kieszeniach niepotrzebne juz papiery. Jeden upadl na podloge, aniol schylil sie po niego, krzywiac sie bolesnie. Klucie w boku bylo coraz bardziej dokuczliwe. Podniesiony swistek okazal sie orzeczeniem o wypadku przy pracy. Saturnin przypomniał sobie z gorycza swoje zeznania przed komisja do spraw nieszczesliwych wypadkow, agentem ubezpieczeniowym Sitaela i przedstawicielami Niebieskiego Legionu Przewodnikow Dusz, ktory zrzeszal oba chory aniolow stozow. Po pieciu godzinach oczekiwania na wyniki uslyszal, ze komisja nie stwierdzila wiekszych uchybien z jego strony.**

**–Dobrze, ale co to, oznacza dla mnie? – spytal.**

**–Nie zostaniesz, pociagniety do odpowiedzialnosci – padla odpowiedz.**

**\*\*\***

**Drago wlasnie sie przebieral, kiedy wpadl spozniony Saturnin, ktory juz dawno powinien go zmienic. Wygladal fatalnie.**

**–Co ci sie stalo, synu? – zdumial sie byly zolnierz. – Przejechal po tobie Rydwan?**

**–Wypadek przy pracy – wymamrotal aniol, niewyraznie z powodu spuchnietego nosa. – Nie powiedzieli ci w dyspozytorni?**

**Drago potrzasnal glowa.**

**–Dostalem pisemko, ze jestes chwilowo niedysponowany, ale nie mialem pojecia, ze ktos ci tak dokopal. Wdales sie w jakas rozrobe? Zaczynam miec o tobie lepsze mniemanie, opiekunie zblakanych dusz.**

**–Bronilem klienta – jeknal Saturnin. – Robilem, co do mnie nalezy.**

**–Ano, widze – mruknal zolnierz.**

**Saturninowi nagle zakrecilo sie w glowie. Usiadl ciezko w fotelu, zakaszlal i zlupal**

się za bok.

–Niedobrze z toba – powiedział Drago z nieklamana troska. – Nie jesteś przyzwyczajony do podobnych przykrości. Ktoś powinien ci obejrzec. – W szarych, zmrużonych oczach pojawiło się szczere zaniepokojenie, które zastąpiło niedawna kpiny. Saturnin unosił głowę i pierwszy raz uważnie spojrzął na partnera.

Drago Gamerin stał przed nim, sciskając w garści ściagnięta przed chwilą zgrzebna tunika stroza. Jego szczupłe, muskularne ciało pokrywały blizny, niektóre cienkie i ledwo widoczne, inne szerokie i nieregularne. Kilka z pewnością stanowiło ślady po strasznych, niemal śmiertelnych ranach.

W twarzy starszego anioła nie było śladu wcześniejszej ironii, a Saturnin z pewnym zmieszaniem zauważył, że Drago zmartwił się jego rozbitym nosem i bolącymi zębami.

–Potrzebny ci lekarz – powiedział Drago, odwracając się w poszukiwaniu cywilnego podkoszulka. Wtedy Saturnin zobaczył ogromną, wciąż jeszcze świeżą szramę po utraconym skrzydle i jeszcze coś, co sprawiło, że ze zdumieniem wybaluszył oczy. Na prawej łopatkę Drago miał wytatuowany wizerunek uskrzydłonego miecza, wbitego między dwie wykaligrafowane najstarszym anielskim pismem litery S G: Synowie Gehenny. To znaczyło, że Gamerin należał do specjalnej, elitarnej jednostki w Szeregach Zastępów, słynnego Komanda Szeol, które jako jedyne skutecznie walczyło z przerażającymi Harab Serapel, Krukami Śmierci, doborowym oddziałem morderców z Glebi.

Za paskiem od spodni tkwił na plecach anioła wcisnięty płaski poręczny pistolet, cały grawerowany w ochronne zaklecia i symbole. Saturnin nigdy go nie widział z bliska, ale wiedział, że mordercza, niezawodna broń zawiera dziewięć pocisków odlanych z legendarnego srebra alchemików, opatrzonych tajemnym znakiem, zwanym "życzeniem śmierci". Przed takimi kulami nie chroniła żadna magia.

Drago wciągnął nieco wygnieciony czarny podkoszulek i obrócił się ku Saturninowi.

–O co chodzi? – spytał, napotkawszy jego oszłomiony wzrok.

–Jestes Synem Gehenny? Walczyłeś z Krukami Śmierci?

Drago westchnął.

–Tak. Bylem w Komandzie Szeol. Prace stroza przydzielili mi w ramach terapii po ostatnim... hm, wypadku podczas akcji.

–Jestes bohaterem Krolestwa! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

**Na szczupłej twarzy anioła pojawił się uśmiech, chyba trochę smutny.**

**–Nie pytales mnie, co robiłem przedtem. Zreszta to nieważne.**

**Saturnin poczuł wyrzuty sumienia. Od samego początku Drago tylko go denerwował. Prawde powiedziawszy, uprzedził się do niego bez żadnego powodu, chociaż Gamerin, jak na byłego komandosa, odnosił się do swego zmiennika z wyjątkową cierpliwością.**

**–Nieźle oberwales. Dlaczego nie poszedłeś do lekarza?**

**–Poszedłem! – Twarz Saturnina przybrała nieszczęśliwy wyraz. – Ale równie dobrze mogłem nie iść!**

**I nagle, zanim się spostrzegł, zaczął opowiadać poznanemu bliźniakowi żołnierzowi, jak podle potraktowano go w Urzędzie Uzdrawień i na komisji do spraw wypadków. Drago słuchał uważnie, robiąc sobie skreta z popularnej wśród wojskowych mieszanki mirry i kadzidla. Sprawnie radził sobie ze zwijaniem bibulki, choć, co Saturnin spostrzegł ze zdziwieniem i odrobina wstydu, miał dwa sztywne palce u prawej ręki. Wcześniej stroż nie zwrócił na to uwagi, co świadczyło, jak mało obchodził go nowy zmiennik. W tym momencie zrozumiał, że Gamerin zapłacił słoną cenę za przynależność do elitarnej jednostki Szeol.**

**–Zaprowadzę cię do kogoś, kto ci pomoże – powiedział Drago, kiedy Saturnin skończył swoje zale. – Zbieraj się, idziemy.**

**–Nie ma mowy! – zaprotestował stroż. – Nie wolno mi opuszczać posterunku!**

**Drago skrzywił się.**

**–Daj spokój, stary. Jest ciemna noc. Klient chrapie, aż się trzęsa szyby. Chyba nie wierzysz, że przyjdzie zmora, żeby wypić jego krew?**

**Rzeczywiście, była późna noc. Drago już dawno powinien pójść do domu. Jednak został, bo zał mu się zrobiło obitego, praworządowego aniołka, który dopiero co skończył szkole i miał takie marne pojęcie, na czym polega życie.**

**–Nie mogę – szepnął Saturnin. Rozboliła go głowa, czuł się fatalnie i marzył o tym, żeby się położyć. – Stroż pod żadnym pozorem nie powinien zaniedbywać obowiązków...**

**Drago spojrzał w udrezone, orzechowe oczy.**

**–W porządku – powiedział. – Sprowadzę kogoś, kto nas zastąpi. Wrocil za niecałą godzinę. Towarzyszył mu rosły, ciemnolity Skrzydlaty o mahoniowych włosach**

zaplecionych w mnostwo warkoczykow. Na koncu kazdego dyndala misterna, elegancka czaszeczka. Nieznajomy zyczliwie usmiechal sie do Saturnina. Z cala pewnoscia byl Glebianinem. Na szyi nosil charakterystyczny emblemat z odciskiem pieczeni. Saturnin poczul przyplyw paniki. Odciagnal Gamera w glab kuchni, podczas gdy nowo przybyly rozgladal sie ciekawie po mieszkaniu.

–On jest demonem! – jeknal. – W dodatku od Raguela!

–No to co? – Drago wzruszyl ramionami. – Przynajmniej ma stosowne przeszkolenie. Dobrze go znam. Hazar to porzadny gosc, a poza tym winien mi jest przysluga.

Bezceremonialnie wypchnal Saturnina za drzwi. Hazar pomachal im na pozegnanie i oswiadczył, zeby sie o nic nie martwili. Wychodzac, stoz katem oka dostrzegł, ze demon zaczal wyrysowywac pentagram na podlodze salonu. Zanim zdazyl zaprotestowac, Drago zatrzaskal drzwi.

\*\*\*

–Nie dosc, ze przez ciebie opuscilem posterunek, a moim klientem zajmuje sie demon, to teraz zmuszasz mnie, zebym zszedl do Glebi.

Saturninowi chcialo sie plakac. Przez chwile zalowal, ze rosly dzinn nie zatlukl go na smierc. W swoich najgorszych koszmarach nie podejrzewal, ze jego noga przestapi kiedykolwiek przeklety prog Otchlani.

–Nie histeryzuj, to dla twojego dobra. – Drago uspokajajaco klepnal go w plecy, a Saturnin potknal sie, prawie tracac rownowage. Nie przypuszczal, ze byly komandos jest taki silny.

–Weszliśmy zaledwie do Pierwszego Kregu – ciagnal. – To prawie to samo, co Limbo. Bywasz przeciez czasem w Limbo, mam racje?

Saturnin nie przyznal sie, ze Limbo odwiedzil z koniecznoscí moze trzy albo cztery razy w zyciu. Drago z pewnoscia uznalby go za swietoszkowatego dewota, a przeciez stroze sa po prostu tak wychowani. Na sama mysl o Glebi Saturnina ogarniala groza.

Wreszcie staneli przed furtka nieduzego, nieco zaniedbanego domu. Drago przedstawil sie kolatce w ksztalcie wilczego pyska, a ona odrzekla skrzypiacym glosem, ze "pan serdecznie wita i oczekuje z radoscia". Furtka otworzyla sie sama. Dopiero, na widok gospodarza Saturnin zrozumial, dokad Drago go przyprowadzil. Dom nalezal do Algiviusa, najpotezniejszego maga w calej Otchlani. Algivius byl nigdys czlowiekiem. Cale zycie poswiecil zglebianiu tajemnic magii i alchemii, ale dopiero po smierci rozwinal swoj talent. Z jego zdaniem i umiejtnosciami liczyli sie najsilniejsi Mroczni, arystokraci i wladcy Glebi. Ponoc laczyła, go rowniez przyjazn z

niektórymi archaniołami, a na pewno z Razjelem, Panem Tajemnic i Księciem Magów.

Algivius rozpromieniał się na widok Gamera, uradowany z tej niespodziewanej wizyty. Wprowadził ich do pracowni, pełnej bulgoczących retort, wirujących w powietrzu fantomów i zapisanych pergaminów.

–Marnie cię poskładali, Drago – powiedział, krytycznie przyglądając się przyjacielowi. – Ja bym to zrobił lepiej.

–Tym razem nie mieli łatwo. – Komandos pokazał w szerokim uśmiechu mocne, duże zęby. – Mumiasz się napracował. To niezły chirurg, robił co mógł. Ważne, że się ruszam.

–Teraz już za późno – mruknął Algivius. – Nawet ja nie jestem cudotwórca. Jak sobie radzisz z jednym skrzydłem?

–Nie jest tak źle. Wiesz, trochę podfruwam. W ostateczności mogę zamówić u Canfiela latający dywan. Ale nie o mnie chodzi. Algiviusie, mój partner paskudnie oberwał. Możesz się tym zająć?

–Jasne. Zawsze do usług.

Saturnin, niepewnie stojący w kacie pracowni, nie bez zdziwienia usłyszał, jak Drago nazywa go partnerem. Z całą pewnością źle go do tej pory oceniał. Komandos miał więcej przyzwoitości i szlachetności niż niejeden stoz.

–Obejrzyj swoją aurę – zwrócił się do Saturnina alchemik. – Nie trzesz się tak. Przyszędles z Drago, więc nie zmienię cię w zabe. Chociaż przyznam, że generalnie lubię zaby.

Przymknął oczy, a po chwili gwizdnął przez zęby.

–Masz peknięte dwa zęby i złamana przegroda nosowa, chłopcze. Jesteś porządnie pobijany. Widzę uszkodzony staw kolanowy i brzydkie krwiaki na biodrze i po bokach. Drago rozsądnie zrobił, że cię tu przyprowadził. Odrobina magii i zaraz poczujesz się lepiej. Nie rob takiej miny, miałem na myśli białą magię. Swoja droga, co ci się, u diabła, stało? Myślałem, że stroże są do bólu porządni.

–To był wypadek – powiedział Drago przeciągle, mrugnąwszy porozumiewawczo.

Algivius się uśmiechnął. Zrobił kilka dziwnych ruchów rękami i ulepił z powietrza rozedrgana, świetliste kule. Pchnął ją w kierunku Saturnina, który poczuł nagle przyjemne ciepło. Mag wepchnął mu w dłoń kubek z parującym płynem.

–Wypij to, synu. Dam ci buteleczkę z kroplami. Będziesz lykał trzy dziennie. Nie są

az tak wstretne.

Saturnin nagle zrobił się senny. Zaciążyły mu ręce i nogi, ale to było miłe uczucie. Algivius odholował go na sofę. Stroz zamknął oczy. Ogarnęło go błogie poczucie spokoju. Głosy przyjaciół dobiegały coraz cichsze i przytłumione. Drago wsunął ręce w kieszenie. W półmroku pracowni jego twarz sprawiała wrażenie mizernej.

–Nie powinieneś tak cholernie się przejmować – odezwał się do niego alchemik. – Prawie się załamałeś.

Usta anioła drgnęły.

–Mylisz się.

–Aha! Chciałbym. – Przenikliwe oczy maga wpatrywały się w komandosa. Gamin spuścił wzrok.

–Drago – powiedział alchemik wolno. – To jeszcze nie koniec. Oni sobie o tobie przypominają. Wrocisz.

Anioł zadrzał nerwowo.

–Gadasz tak, żeby mnie pocieszyć. Nie mogę się oszukiwać. Jestem kaleką. Jestem skończony.

–Znasz mnie. Czy kiedykolwiek powiedziałem coś o tak sobie? Rozumiesz, chodzi o moją reputację.

W szarych oczach pojawił się błysk szalenczej nadziei.

–Serio?

–Jak najbardziej. Nie powiem, żeby się z tego cieszył. Tym razem możesz trafić tam, gdzie będzie bardzo gorąco. Widzę poważne kłopoty.

Drago przyskoczył do niego, zaciskając mu ręce na ramionach.

–Algivius, ty sukinsynu, chyba cię kocham!

–Puść mnie! – jęknął mag. – Niech cię Glebia, Drago! Polamiesz mi kości!

\*\*\*

Od wizyty w domu Algiviusa minął prawie rok. W tym czasie Saturnin zaczął pomalutku pojmować, że świat wygląda inaczej, niż wbijali mu w głowę wykładowcy z Zielonej Wieży. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał też, co to znaczy mieć przyjaciela.

**Drago stal sie dla niego przewodnikiem po zadziwiajacych meandrach rzeczywistosci. Ale zla godzina w koncu przypomniala sobie o Saturninie, zasnuwajac horyzont paskudna mgielka, niezadowolenia. Praca z klientem nie przynosila satysfakcji ani zadowalajacych rezultatow. Chociaz stoz dokladal wszelkich staran, nie byl w stanie sprowadzic go na prawdziwie dobra droge. Klient puszczał mimo uszu umoralniajace podszepty, ktorzych nie szczedzil mu niezmordowany opiekun. Jego sumienie zdawalo sie w ogole nie produkowac takiego towaru, jak wyrzuty lub watpliwosci, przyjmujac za dobra monete wszystko, co wygodne dla wlasciciela. Klient mial co prawda zasady i specyficzny kodeks honorowy, ale byl on, wedlug Saturnina, nie do przyjecia. Sny, w ktore aniol misternie wplatal rozne przestrogi i wskazowki, nikly, wyparte przez proste, sympatyczne wizje rozneglizowanych panienek. Nie pomogly usilne modly do Gabriela, Archaniola Objawien. Widocznie mial na glowie wazniejsze problemy. Hulaszczy tryb zycia klienta spedzal Saturninowi sen z powiek, doprowadzajac go do narastajacej frustracji, a nawet stanow depresyjnych.**

**Drago rowniez przezywł ciężki okres. Przepowiednia Algiviusa nie sprawdzala sie, a nadzieja topniala w sercu aniola jak sopel lodu na sloncu. Zrobil sie drażliwy, wsciekal z byle powodu, to znow popadal w przygnebienie. Jego stan psychiczny znacznie sie pogorszył, gdy spotkal przypadkiem kumpli z dawnej jednostki. Stracil resztki pogody ducha, stal sie opryskliwy, pare razy wdal sie w bijatyki z jakimis podejrzanymi typami z Glebi. Krazyl, utykajac, po knajpach w Limbo, z nieodlacznym skretem w kaciku ust i z takim wyrazem twarzy, ze wokol niego z miejsca robilo sie pusto. Do powazniejszych scysji miedzy nim i Saturninem nie doszlo jednak az do incydentu z Ananiaszem.**

**\*\*\***

**Zmeczony, zniechecony Saturnin zamykal wlasnie drzwi do swojego pokoju w Zielonej Wiezy, gdy katem oka dostrzegl w niszy okiennej jakas skulona postac. Juz mial przejsc obok, nie zwrociwszy uwagi, kiedy zalosne stworzenie poruszylo sie i aniol rozpozнал w nim Ananiasza, mlodszeo o dwie klasy kolege ze szkoły stozow. Na widok jego twarzy Saturnin doznal wstrzasu. Ananiasza pamietal jako milego, wesolego blondynka, a teraz spogladal na niego nieszczesliwy, wychudly upior z podkrazonymi oczami i drzacymi dlonmi. Przycisniety przez Saturnina wyjagal, polykajac lzy, ze pierwszy klient, ktorego dostal po skonczeniu szkoły, w tej chwili nastolatek, nalezy do gangu ulicznego, zaczal krasc w wieku pieciu lat, od dwoch bierze twarde narkotyki, a ostatnio uczestniczyl w zbiorowym gwalcie. Nieszczesny Ananiasz o cale zlo obwinial siebie, w czym utwierdzil go wlasnie dawny profesor, znany fanatyk i sluzbista, do ktorego w swojej niewinnosci poszedl po rade.**

**Saturnin wymamrotal jakies nieudolne slowa pociechy, a potem po prostu uciekl, z sercem przepelnionym gorycza, i rozzaleniem. Zaplakana, szczurza twarzyczka Ananiasza przesladowala go niczym bol zeba. Tego dnia straszliwie poklocil sie z**

**Drago. Zaden potem nie pamietal, o co poszlo. W kazdym razie Saturnin przyczepil sie o jakas drobnostke, a Drago rzucil z pasja:**

**–Jestes upierdliwy jak sen o siedmiu krowach!**

**I tak sie wszystko zaczelo. W koncu Gamerin powiedzial stozowi, ze jest swietoszkowatym, bezmozgim, dupawym zgnilkim, trzesacym portkami ze strachu, zeby jego pieprzony klient nie zakrzusil sie krakersem, a Saturnin wywrzeszczal, ze Drago to prymitywny trep, dyszacy zadza, mordy, niegodny miana aniola, smetny bohater, popisujacy sie w okolicznych szynkach, ktory w dodatku zostal kaleka, na skutek pijackiej rozroby w burdelu.**

**Wtedy nerwy Gamerina nie wytrzymały. Cisnal Saturninem o sciane i juz mial jednym ciosem zmiadzyc mu nos, ale w ostatniej chwili grzmotnal piescia w mur, tuz obok twarzy aniola, zdzierajac sobie skore z kostek. Na kredowobialych policzkach wystapily mu czerwone plamy. Wyszedl bez slowa, trzasnawszy drzwiami. Saturnin tepo przypatrywal sie krwawej smudze, jaka zostawila na scianie piesc przyjaciela.**

**\*\*\***

**–Spozniles sie, dupku! – warknal Drago, mierzac Saturnina zimnymi, zmrużonymi oczami. – Wedlug przepisow nie wolno zastepcy pracowac dluziej niz dziesiec godzin dziennie. Kochasz przepisy, co? Jesli potraca mi z renty nadgodziny, wypcham ci dziure w tylku piorami ze skrzydel.**

**Sytuacja przedstawiala sie w ten sposob od ponad trzech tygodni. Saturnin wlasnie otwieral usta, zeby powiedziec cos zjadliwego, kiedy niespodziewanie dla siebie samego rozplakal sie. Stal na srodku pokoju, chlipiac jak dzieciak, bo nie potrafil juz znalezc sensu we wszystkim, co go otaczalo.**

**Drago poczul, ze uchodzi z niego cala zlosc.**

**Widzial przed soba roztrzesionego malolata, ktorego przeroslo zbyt trudne zadanie. W tej chwili pojal, do jakiego stopnia Saturnin nie radzi sobie z rozbieznoscia miedzy teoria a praktyka i jak bardzo jest samotny ze swoim problemem.**

**–Wiesz co? – powiedzial. – Pieprzyc wszystko! Chodz, chce ci cos pokazac.**

**\*\*\***

**Widok ze wzgorza byl oszalamiajacy. Niemal pod ich stopami rozposcierala sie najpiekniejsza dzielnica Szostego Nieba, Hajot Hakados. Kruche, nierzeczywiste kopuly i wieze jasnialy na tle oblokow jak delikatna akwaforta. Koronkowe palace, podobne do pietrowych tortow weselnych albo serwisow z chinskiej porcelany, zdawaly sie szybowac wsrod chmur. Ogrody, przy ktorych Raj przypominal miejski**



skwerek, spływały kaskadami po zboczach gór. Miasto nie miało końca. Białe, błękitne i złote azury rozplwały się na horyzoncie w perłowa poświacie.

Siedzieli na trawie gestej jak dywan, na skraju malowniczej skarpy porosłej lasem, który wydawał się utkany na kształt kosztownego gobelinu. Egzaltowane, mdlejące kwiaty roztaczały wokół niepokojąco słodka won. Przed chwilą wychynał z zarosli mleczno-biały jednorożec. Skrecony koralowy rog polyskiwał niby egzotyczna muszla, a wilgotne, aksamitne oko spojrzalo na nich bez leku. Zwierze znikło w gestwinie, zanim Saturnin zdążył mrugnąć.

Siedział obok przyjaciela, oniemiały z zachwytu. Nigdy nie był tak wysoko. Kilka razy odwiedził Czwarte Niebo z jego potężnymi gmachami publicznymi, które wydawały mu się wtedy szczytem elegancji, ale bladły zupełnie w porównaniu z widokiem, jaki się przed nim roztaczał. Przez moment zastanowił się, jak wyjątkowa pozycja musiał zajmować Drago, skoro bez słowa wpuszczono go na teren, gdzie wznosiły się rezydencje najpotężniejszych Świetlistych, arystokratów dzierzających w dłoniach pełnię niebieskiej władzy.

–Spojrz – powiedział komandos, wyciągając reke. – To jest Królestwo. Myślisz, że zachwieje się w posiadach, jeśli nie zdołasz nakłonić swojego klienta, żeby poszedł na roraty?

–Jeśli zaczniemy lekceważyć obowiązki, nie tylko się zachwieje, ale rozleci na kawałki. Wszyscy mają wszystko w dupie, Drago. Ja się staram robić, co do mnie należy, ale nie widzę w tym sensu.

–Według ciebie nikomu w Królestwie nie zależy na robocie? Masz klapki na oczach, Saturnin. Życie to nie podrecznik. Rzecz w tym, żeby odróżnić to, co mówi instrukcja, od tego, co jest naprawdę słuszne. Gdybym postępował ściśle według zasad, jakich mnie nauczono, zginałbym w pierwszej akcji. Wy, stroże, macie skłonności do popadania w manie naprawy świata na siłę. Przestanie przerabiac tego nieszczęsnego klienta na świętego śledziennika! Dlaczego tak się go czepiasz? Facet jest całkiem w porządku, uwierz mi.

–W porządku? – zachłysnął się Saturnin. – To cma barowa, met bez przyzwoitości. Nie modli się, nie myśli o Panu, nie martwi się o niesmiertelną duszę, nie czyta Pisma, nie przyjmuje sakramentów...

Szare, zmrużone oczy przypatrywały się aniołowi uważnie.

–Nie żywi się korzonkami, nie mieszka w lepiance na pustyni, nie widac, żeby miał aureole. Na misce wystyglej soczewicy, Saturnin, ty go nie znosisz! Kogo ty chcesz z niego zrobić? Meczennika? Na twoim miejscu zastanawiałbym się raczej, czy postępuje zgodnie z Pismem, a nie, czyje czyta.

**–Chce, zeby robil jedno i drugie! Chce, zeby byl doskonaly, zeby swiecil przykladem, zeby...**

**Drago westchnal.**

**–Slyszales o wiezy zapalek? – spytal.**

**Saturnin w milczeniu bawil sie znalezionym w trawie patykiem.**

**–Opowiedzial mi o niej Algivius, kiedy bylem troche mlodszy od ciebie. Musialem dostac od losu kilka przykrych kopniakow w tylek, zeby zrozumiec, o co mu chodzilo. Realizowanie ambicji przypomina budowanie wiezy z zapalek. Nie jest wazne, co chcesz zrobic, ale o to, zeby ci sie udalo. Wystarczy polozyc o jedna zapalke za duzo i wszystko diabli biora. Zrozum, nie ma znaczenia, jak jest wysoka. Wazne, zeby wszyscy wiedzieli, ze to wieza, a nie kupa rozsypanych patykow.**

**–Uwazasz, ze zle wypelniam obowiazki? – zachnal sie Saturnin.**

**–Uwazam – cierpliwie wyjasnial Drago – ze wiecej myslisz o obowiazkach niz o kliencie, a to najlepsza droga, zeby stac sie dewotem i formalista. Odpusc troche, zejdz z piedestalu. Pozwol sobie na zycie, Saturnin. Nadgorliwosc bywa gorsza niz Lewiatan.**

**–Co ty wiesz o zyciu! Nie jestes nauczycielem!**

**–Nie. Jestem zabojca.**

**Zapadla ciezka cisza. Saturnin przelknal sline, wpatrujac sie w trawe miedzy swoimi butami.**

**–Dlaczego to robisz? – spytal cicho. – Przeciez nie jestes zly.**

**Drago wzruszyl ramionami. Jego wzrok bladzil daleko, wsrod zlocistych odblyskow i chmur.**

**–Dla Krolestwa. Potrzebuja nas tak samo jak stozow. – Usmiechnal sie blado. – Widzisz, ja tez staram sie, jak moge. Akurat to potrafie robic najlepiej. Mam idealy jeszcze glupsze niz twoje, co? Nie wspominaj o tym nikomu. Narazilbym sie na kpiny. Niewinnosc stracona dla dobra Krolestwa. Algivius by sie usmial.**

**Twarz aniola sciagnela sie. Podniosl maly kamyk i rzucil w strone urwiska. Rece mu drzaly. Po raz pierwszy Saturninowi przyszlo do glowy, ze Drago Gamerin oddal Krolestwu znacznie wiecej, niz on kiedykolwiek by zdolal.**

**–Brakuje ci tego? – zapytal.**

**–Tak. Wszystko bym oddał, żeby wrócić do oddziału. Sprzedałbym za to duszę.**

**Patrzac w zamglone, teskne oczy przyjaciela, gotow byl mu uwierzyc.**

**\*\*\***

**Wnętrze klubu zasnuwał dym, gesty jak pierze z poduszki. Saturnina powoli ogarniało zmeczenie. Czuł się senny. Ostatnio mało sypiał, bo klient złapał melodię do balangowania. Całe noce spędzał w podejrzanych lokalach. Właśnie próbował poderwać jakąś pannę, stawiając jej drinki i prezentując garnitur nienaganych, odsłoniętych w uśmiechu zębów. Przy drugim koncu kontuaru Drago robił mniej więcej to samo z jakąś śmiałą anielicą o ekstrawaganckiej fryzurze i w podkasanej zbyt wysoko tunice. Saturnin nie mógł mu mieć tego za złe, bo Drago zjawiał się tutaj całkiem prywatnie. Właściwie stroż ucieszył się, kiedy przyjaciel zaproponował, że tej nocy będzie mu towarzyszył, bo ma ochotę przypomnieć sobie ziemski sposób na rozrywki. Meczyły go jakieś niejasne przeczucia, bezsensowne na pozór ataki niepokoju, wołał więc mieć przy sobie pomocną dłoń, na wszelki wypadek. Nie zauważył, kiedy jakiś chłopak podszedł do klienta. Miał rozbiegane oczy. Choć uśmiechał się sympatycznie, Saturnin poczuł zimny dreszcz przebiegający po krzyżu. Nie było przy nim stroża, ale otaczał go słabo dostrzegalny cień, jakby załamanie czy zgestnienie światła.**

**Drago, tknięty nagłym przeczuciem, unosił głowę, żeby przyjrzeć się chłopcu. W pierwszej chwili nie potrafił uchwycić, co tutaj nie gra. Kiedy wreszcie zrozumiał, zrobiło się za późno. W przytłumionym blasku lamp dostrzegł błysk stali.**

**Zrenice klienta rozszerzyły się w zdumieniu. Dziewczyna ze swistem wstrzymała oddech.**

**Ponad głową chłopaka Saturnin zobaczył wylaniającą się nagle obłąkana twarz, wykrzywiona nieludzkim grymasem. Dzieciak jest opętany! – zdążył pomyśleć, rzucając się naprzód, żeby osłonić klienta. Demon zaryczał wściekle, wypuszczając z ust kłab smrodliwego dymu.**

**Z zadziwiającą szybkością Drago wyciągnął zza paska pistolet, spychając z linii strzału anielicę, która właśnie nabierała tchu do krzyku. Zaklął, stwierdziwszy, że ryzyko postrzelenia kogoś postronnego jest zbyt wielkie. Przy barze klebił się tłum.**

**Przez ułamek sekundy Saturnin stał przed demonem, sparalizowany strachem. Zrobił coś! Krzyczał głos w jego głowie. Demon, wciąż sycząc, pochylił się ku niemu. Oszalałe oczy wpily się w zrenice aniola. Zabije mnie, pomyślał Saturnin. To koniec. Palce jego dłoni bezwiednie trafiły do kieszeni, zacisnęły się na czymś chłodnym i okrągłym. Drago pedził jak błyskawica, roztracając gości przy kontuarze. W garści sciskał rekojesc krotkiego, szerokiego noża, opatrzonego formułami pieciu**

**blogoslawienstw. W umiejetynych rekach byla to straszliwa bron.**

**Przekrwione slepia demona zalsnily. Rzucil sie do ataku, lecz w tym momencie Saturnin wyrznil go z calej sily szklana kula miedzy oczy. Demon zawyl jak strzyga, kiedy swiecony przedmiot huknal go w czolo. Wytracony z rownowagi sila wlasnego ciosu, aniol zachwial sie. Wtedy pazurzasta lapa uderzyla go w glowe, a Saturnin zdziwil sie, dlaczego wszystkie swiatla nagle zgasly. Noz trzymany w reku chlopaka swisnal w powietrzu.**

**W tym momencie Drago wbil z rozmachem sztylet w bok demona. Ten odwrocil sie z rykiem, wylaniajac sie w calosci z ciala chlopca. Zamachnal sie, Drago targnal glowa i cios trafil go w ramie, zamiast strzaskac mu czaszke. Wyszarpnal dlon.**

**Noz chlopaka rozprul rekaw klienta, kaleczac lekko skore.**

**Gamerin, padajac na kolana, wepchnal ostrze w brzuch demona. Stwor grzmotnal go w plecy, ale komandos zawisl na nozu, z cala moca szarpnawszy rekojesc w dol. Demon zacharczal.**

**Zdychaj, sukinsynu! – wrzasnal w myslach Drago. Krew z poszarpanego barku plamila mu ubranie. Cuchnaca posoka, buchajaca z brzucha demona, parzyla palce.**

**Chlopak, mrugajac powiekami, wpatrywyl sie z niedowierzaniem w noz, ktory wciaz trzymal w rekach.**

**Demon, walac na oslep lapami, zwalil sie na podloge, przygniatajac nieprzytomnego Saturnina. Drago blyskawicznie odciagnal przyjaciela na bok, bo cialo demona juz zaczynalo dymic. Po chwili stanelo w plomieniach. Noz, wypuszczony z dloni nastolatka, z brzekiem upadl na podloge.**

**–Niech ktos zawiadomi zandarmow ze strazy anielskiej Gabriela – powiedzial ochryple Gamerin. Siedzial na posadzce, obok Saturnina, ktory poruszyl sie z jekiem.**

**Szczatki demona rozsypywaly sie na popiol.**

**\*\*\***

**–Mielismy szczescie – oznajmil Drago, przywitawszy sie cieplo z Saturninem. – Demony tego rodzaju sa niepoczytalne. Maja mnostwo sily i kompletnie nasrane w glowie. Zeby bylo smieszniej, scigamy je zarowno my, jak i Glebianie. Wiesz, ze jestes czymś w rodzaju bohatera? Wszyscy stroze gadaja o twojej "godnej nasladownictwa, wzorowej postawie". Swoja droga, gratulacje za numer ze szklana kula. Przynajmniej na cos sie przydala.**

**Saturnin poruszyl sie z trudem. Byl blad, a glowe owijal mu bandaz.**

**–Dostałem pochwałę na piśmie. Tam też wspominali o godnej nasładowictwa postawie. Niedługo wbije się w dumę i zacznie opowiadać, że osobiście ubiłem samego Behemota.**

**–Zawsze zaczynaj od słów: "Został mi ostatni naboż" albo "Sciskałem w dłoni kikut złamanego noża"... To buduje nastrój.**

**–Ty tak robisz?**

**Drago rozesmiał się.**

**–Nie, ja zaczynam od "Postaw mi drinka, a potem spadaj. Nie mam czasu z tobą gadać. Zadanie specjalne, rozumiesz?". Lekarz powiedział, że nic ci nie będzie. Mało brakowało, a ten szurnięty stwor rozwalilby ci głowę.**

**–Czuje się źle. Niedługo wracam do pracy. Jak twoje ramię?**

**–W porządku. Ledwie mnie drasnął.**

**–Gdyby nie ty, zostałyby ze mnie same flaki i kupka pierza.**

**–Daj spokój. – Drago machnął ręką. – Prawde rzekłszy, nie popisałem się. Powinienem go zauważyć dużo wcześniej...**

**Rozejrzał się po skromnej kwaterze Saturnina.**

**–Mieszkasz jak asceta. Powies sobie jakieś obrazki.**

**–Z gołymi panienkami?**

**–Skoro ci serce dyktuje... Ja stawiałbym na widoki Hajot Hakados pedzła Labadiela.**

**–Podobno pozwolili ci zmienić klienta.**

**Saturnin wzruszył ramionami.**

**–Aha. Ale ja nie chcę.**

**–A to dobre! Polubiłeś go, czy jak? Pewnie na skutek tego palnięcia w głowę.**

**Stroz przyglądał się przyjacielowi uważnie. W szarych oczach pojawiały się i gasły niezwykle błyski, gesty stały się płynne, kroki sprężyste, tak że niemal nie było widac utykania. Mówił z ożywieniem.**

**–Drago? – zagadnął Saturnin. – Coś ty taki radosny?**

**Gamerin pospiesznie odwrócił wzrok.**

**–Świętuje kolejnego demona do kolekcji.**

**–Daj spokój, mnie możesz powiedzieć. I tak się domyślę.**

**Drago spojrział na niego poważnie, choć twarz mu promieniała.**

**–Wracam do oddziału. Powołali wszystkich starych chłopaków, tych najlepszych z najlepszych. Podobno szykuje się zadanie tysiąclecia. Coś się musiało stać, chyba niezemska afera.. Nic konkretnego nie wiem.**

**Saturnin poczuł ucisk w gardle. Wiedział, ile to znaczy dla Drago, ale nie potrafił się z nim cieszyć.**

**–Właściwie przyszedłem się pożegnać – powiedział Gamerin. On też jakos posmutniał. – Szczerze mówiąc, będzie mi Ciebie brakowało. Jak na stróża, fajny gość z Ciebie. Kiedy wrócę, zabiorę Cię na rajd po knajpach Limbo.**

**Jeżeli wrócisz, pomyślał Saturnin.**

**–Jeżeli wrócę – dodał Drago, jakby czytał w jego myślach.**

**–Nie gadaj takich rzeczy! – zachnął się stróż.**

**–Bez obaw. – Komandos się uśmiechnął. – Poradzę sobie. W końcu nie jestem kaleką. Coś Ci przyniosłem, trzymaj. – Ściągnął z szyi lancuszek z podłużnym wisiorcem. Błysnął, wysuwając się spod koszuli. Płaski, złoty przedmiot dotknął palców Saturnina, który nie patrząc, wiedział już, co to jest. Uścisk w gardle stał się nie do zniesienia, a pod powiekami dziwnie zapiekło. Na lancuszkę dyndał uskrzydłony miecz, wbity pomiędzy litery S i G. Kształtem przypominał stylizowaną postać anioła.**

**–Jest bardzo skuteczny. Wypróbowałem – powiedział Drago.**

**–Nie mogę go wziąć – wyszeptał Saturnin, modląc się, żeby głos mu się nie załamał.  
– Jest Ci potrzebny!**

**–Daj spokój. Kto będzie pilnował twojego tyłka, kiedy mnie zabraknie? Mnie się nie przejmuj. Mam inne amulety. – Wyszczepił żeby, potraszawszy pekiem różnych wisiorów. – Jestem cholernie przesadny. A w razie czego i tak muszę liczyć na własne siły. Kawalek blaszki mi nie pomoże. No bierz. Chce, żebyś go zatrzymał.**

**–Uważaj na siebie – szepnął Saturnin. – I nie daj się, stary.**

**–Nigdy – usłyszał w odpowiedzi.**

**Sucha, silna dłoń potrzaskała jego reka.**

**–Odezwe się, kiedy wróce – powiedział jeszcze Drago, wychodząc. – Niech cię gwiazdy strzeżę, opiekunie zblakanych dusz.**

**Drzwi się zamknęły. Saturnin przymknął oczy, starając się jak najwierniej odtworzyć w pamięci szczupłą, jasnowłosą postać przyjaciela, którego mógł już nigdy więcej nie zobaczyć.**

**\*\*\***

**Blady, wymizerowany Ananiasz patrzył na Saturnina z psim przywiązaniem. Szeroko rozwarte źrenice były pełne podziwu. – I co z tym twoim klientem? – zagadnął starszy anioł. Usta Ananiasza wykrzywiły się bolesnie.**

**–Został dealerem. Ja tego nie zniosę. Nie mam pojęcia, co robić.**

**–Po prostu swoją robotę – powiedział Saturnin. – Zamiast mu wciskać gornolotne bzdury z podręcznika, postaraj się go poznać, krok po kroku. Może nie jest taki zły. Spróbuj do niego dotrzeć tak, żeby cię zrozumiał. Ale nic na siłę. Nie jesteś Panem, żebyś umiał stworzyć go na nowo. Po prostu go chronisz. Nie możesz czuć się za niego całkowicie odpowiedzialny. Wykonuj swoje zadanie najlepiej, jak umiesz. Słyszałeś kiedyś o wieży zapalek?**

**W zaczerwienionych od płaczu oczach zadrgała wata iskierka nadziei.**

## **KOSZ NA ŚMIERCI**

**Gwałtowny podmuch wiatru uderzył w szyby drobinami kurzu i piasku. Zawrócił gniewnie, zawrócił i ponownie załomotał w okna, aż jęknęły ramy. Na dworze zrobiło się ciemno. Adam słyszał, jak wichura się wzmaga, tłucze piściami w parapety, coraz natarczywiej domagając się, żeby wpuszczać ją do środka.**

**Rozległ się nagły trzask, tak donosny, że Adam aż drgnął. Panna Lu, która siedziała dotąd spokojnie na jego kolanach, zeskoczyła na podłogę i ruszyła pedem w głąb domu. Do pokoju wpadł lodowaty powiew, poderwał w górę kilka kartek papieru z blatu biurka. Okno! – pomyślał, zrywając się z fotela. Musiało się gdzieś otworzyć! Zimne powietrze, pachnące ozonem, wpadało przez szeroko otwarte drzwi balkonowe w salonie. Wiatr wydymał wąskie płocienne zasłony w polkoliscie ułożonych oknach, nadając im wygląd starożytnych żaglowców.**

**Panna Lu stała w środku salonu, bursztynowymi oczami wpatrując się w sklebane na niebie chmury. Wydawała się przestraszona. Adam odetchnął z ulgą, że nie uciekła na dwór. Zamknął drzwi prowadzące na taras w chwili, gdy o szybę uderzyły**

**pierwsze krople deszczu. Pomiedzy chmurami przeskoczyła biała iskra błyskawicy. Panna Lu miauknęła i szmyrgnęła pod stol. Adam zamarł przy oknie, zafascynowany widokiem zbliżającej się burzy. Nie była zwyczajna. Zrozumiał to wraz z nadejściem pierwszego grzmotu i pierwszego zimnego jak lod deszczu, który przeszedł mu po plecach. A potem zobaczył koty. Uciekały w panice, byle dalej od zbliżającej się nawałnicy. Brnęły przez rozległe, zielone pola traw, których zdziła bezlitosny wiatr przyginal do samej ziemi. Jakis wielki, bury kocur wpadł na taras i zaczął wściekle drapać pazurami w szybe. Adam byłby go nawet wpuszcil, ale zanim zdazyl otworzyc okno, zwierzak zrezygnowal z dobijania sie i rzucil do dalszej ucieczki. Przerazona Panna Lu z miauknięciem wskoczyła na parapet. Chwycil ja w ramiona i mocno do siebie przycisnal. Zmrozilo go absurdalne przeczucie, ze kotce grozi niebezpieczenstwo. W kazdym razie nie chcial, zeby wyskoczyla przez okno, gdyby wichurze udalo sie je otworzyc. Wielkie, rzadkie krople deszczu tlukly w parapety z sila ognia maszynowego. Po ziemi przesuwal sie jakis cien. Adam podniosl glowe, spojrzal na niebo i zmartwial.**

**Na tle chmur kroczył olbrzym zbudowany z ciemności. Milcząc, miarowymi ruchami przesuwal ponad dachami domow i koronami drzew trzymana w rekach kose, tak jakby scinal powietrze. Wiatr rozwiewal jego peleryne.**

**Był ogromny, większy niż jakakolwiek istota, jaka Adam widzial lub potrafil sobie wyobrazic. Bila od niego groza. We wszystkich okolicznych domach zgaslo nagle swiatlo. Adam poczul, jak jeza mu sie wlosy na calym ciele, a po skorze slizgaja sie ladunki elektryczne. Mocniej przycisnal do siebie sztywnego ze strachu kota.**

**Wyjaca wściekle wichura wyrwala w jednej chwili wszystkie futryny w pokoju. Potezna fala porwala za soba Adama i Panne Lu, ktora wciaz kurczowo sciskal w ramionach. Plynal w powietrzu, majac za plecami kroczonego z kosa olbrzyma. Zagarnela go potezna, mroczna moc. Niejasno zdawal sobie sprawe, czyim towarzyszem podrozy stal sie mimo woli. Bal sie, ale jego lek mieszal sie z fascynacja. Wydawalo mu sie, ze przeplywa w poprzek swiata. Ogarnial wzrokiem ogromne przestrzenie, ale jednoczesnie niektore sceny obserwowal wyraznie, jakby w zblizeniu. Widzial ludzi zajetych zwyklymi sprawami, nieswiadomych olbrzymiej istoty, ktora przeplywa nad nimi. Na nich ogniskowala sie uwaga chmurnego kolosa. Adam czul tuz za soba jego przytlaczajaca obecność. Wydawalo mu sie, ze patrzy jego oczami, oczami Mrocznego Krzyzowca.**

**W całkowitej ciszy przelatywali ponad tetniacymi zyciem ulicami, wiezowcami, dworcami, szpitalami pelnymi konajacych i wszedzie tam olbrzym odnajdowal tych, ktorzy go interesowali. Nagle w glowie Adama jak blysk swiatla przemknela mysl: Oni wszyscy umieraja albo umra w najblizszym czasie! Obrazy przesuwaly sie teraz predko jak w kalejdoskopie. Widzial miasta, wioski, zapadle w gluszy osady, a jednoczesnie zobaczył trzech mezczyzn w samochodzie, grupe tanczacych aborygenow, dwie rozesmiane mlode kobiety. Kiloro wychudlych Hindusow**



obmywało się w rzece. Mieli przepaski na biodrach, jakieś naszyjniki, kwiaty. To musi być rytualna kąpiel w Gangesie, przemknęło mu przez myśl. Mała dziewczynka w brudnej, kolorowej szatce stała po kolana w mulistej wodzie. Uśmiechała się. Adam w przeblysku naglej pewności uswiadomił sobie, że większość z tych ludzi zginie w majacej następie za pół roku powodzi, a pozostali umrą wkrótce z powodu jakiejś epidemii. Wiedział o tym, bo musnęła go przelotna myśl Krzyżowca.

Zadrzał, jakby przeniknął go chłód. Panna Lu kurczowo zacisnęła pazurki na jego ręce, ale nawet tego nie poczuł. Pedzili, a za nimi gnały burzowe chmury. Wpadli znow do miasta. Zniżyli lot i przemykali ponad samymi dachami samochodów. Rozpoznał dzielnice, w której mieszkał. Cień milczącego kolosa sunął nad ulicą. Całkowicie zagarnął mały kiosk z gazetami, stojący przy skrzyżowaniu zaledwie dwie przecznice od jego mieszkania. Stary kioskarz zbladł, przycisnął ręce do piersi i osunął się ciężko na krzesło. On ma zawał! – pomyślał z przerażeniem Adam. Umiera! Chciał krzyknąć, poruszyć się, ale nie był w stanie. Mroczny Krzyżowiec pedził tymczasem prosto do jego mieszkania.

–Nie! – jęknął bezgłośnie Adam i coś ciężkiego miękko uderzyło go w brzuch.

–Rrru! – powiedziała Panna Lu, ładując na nim.

Poderwał się z łóżka tak gwałtownie, że omal nie stracił kotki na podłogę. Wczepiła się pazurkami w koldre, spoglądając na niego z wyrzutem w okrągłych złotych oczach.

–O Jezusie, co za sen! – Serce waliło mu w opętaniczym tempie. Drzał, cały zlany potem. Popatrzył na kotkę z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Głęboko odetchnął, przesuwając rękę po włosach.

–Cholerny koszmar, kiciu – steknął.

Zamilkł na chwilę i w zamysleniu stuknął paznokciem kciuka po zębach.

–Ale co za fantastyczna scena – dodał. – Az żał, żeby się zmarnowała. Powiniennem to koniecznie wykorzystać.

Podrapał się w brode.

–Wiesz, co mam na myśli, kiciu? Dwie, trzy strony fenomenalnego nastroju.

–Mru – powiedziała Panna Lu ze zrozumieniem, zwijając się w kłębek na brzuchu Adama.

Tętno wróciło mu tymczasem do normy. W końcu to był tylko koszmarny sen. Całkowicie uspokojony złożył ręce pod głowę i patrzeć w sufit, zaczął się

**zastanawiac, do ktorego komiksu moglby wmontowac swoja upiorna, fascynujaca wizje.**

**\*\*\***

**Cztery dni pozniej, przy kiosku z gazetami, ktory widzial we snie, Adam doznal olsnienia. Nawet sie nie zdziwil, kiedy nowy sprzedawca poinformowal go, ze poprzedni kioskarcz zmarl nagle na zawal. Byl zbyt pochloniety wizja wspanialej kariery i ogromnych pieniedzy, jakie zrobi na swoim nowym komiksie. Komiksie o facecie, ktory wlasnie przed chwila odszedl od lady z kolorowym magazynem w rece. Wymarzony material na bohatera ruszyl do budki tuz przed nim. Byl wysoki i szczuply, ubrany na czarno. Adam gapil sie na niego bezczelnie. Nigdy przedtem nie widzial czlowieka tak bardzo pasujacego do postaci z dobrego, ambitnego komiksu. Staral sie zapamietac jak najwiecej szczegolow jego sylwetki, rysy twarzy, gesty, sposob poruszania sie.**

**Facet mial sucha, inteligentna twarz, blada cere, bardzo ciemne oczy, a na lewym policzku jakies cienkie kreski, blizny czy moze tatuaz. Adam wsciekal sie w duchu, ze nie moze dobrze mu sie przyjrzec. I tak wpatrywyl sie w goscia zbyt natarczywie. Tymczasem on spokojnie siegnal po portfel. Adam pochylil sie nieco do przodu, udajac, ze chce obejrzec czasopisma na ladzie. Na grzbietach obu rak mezczyzny widnialy malenkie, bardzo misterne znaczki. Na palcu wskazujacym tkwila gruba srebrna obraczka, pokryta czyms w rodzaju pisma. Wnetrze prawej dloni przecinala olbrzymia blizna w ksztalcie polksiezyca. Adam zauwazyl ja, kiedy facet przeliczal drobne. Ku jego nieklamanemu zachwytowi gosc mial geste, czarne jak wegiel wlosy zaczesane do tylu i splecione w gruby warkocz, siegajacy miedzy lopatki. Luzne, przyciete na wysokosci szczeki kosmyki, wyraznie zbyt krotkie, zeby dac sie splesc, opadaly mu na twarz. Mial na sobie zniszczona skorzana kurtke, zwykly podkoszulek, waskie spodnie i buty na grubej podeszwie.**

**Na pozor nie wyroznil sie niczym szczegolnym, oprócz niecodziennej fryzury, ktora nie byla przeciez az taka znow ekscentryczna. Jednak facet po prostu nie wygladal zwyczajnie. Zdawal sie nie pasowac do rzeczywistosci, jakby zostal przeniesiony z innego wymiaru. Powietrze wokol niego lekko falowalo, a on sam roztaczal jakas migotliwa poswiata, tak blada, ze prawie niewidoczna. Nie sprawial wrazenia aktora z filmu SF, ani nawet pieprznietego amatora gier fabularnych, ktory chodzi na co dzien przebrany za ulubiona postac.**

**Adam nie byl w stanie uchwycic, na czym polega roznica miedzy nim a zwyklymi ludzmi. Najwazniejsze, ze bylo w nim cos, co sprawialo, ze wydawal sie nie z tego swiata. Po namysle Adam doszedl do wniosku, ze nieznajomy wlasciwie nie do konca wyglada jak czlowiek. Nawet gdyby byl wypchany forsa, nie moglby miec dla Adama wiekszej wartosci. Wiedzial, ze na taka postac czekal od lat, a teraz szansa sama weszla mu w rece! Wystarczy przerysowac goscia, zmieniajac mu stroj na bardziej**

odlotowy, ale koniecznie czarny, umieścić go w odpowiednio mrocznym i nietypowym świetle, a potem zanieść do wydawnictwa. Historyjka, jaka stworzy o tym facecie, będzie godna jego wyglądu.

Czuł, że stanie się prawdziwym hitem. Wiedział o tym. Trzymał w reku materiał na naprawdę kultowy komiks, a może, kto wie, nawet kultowy film. Oczami wyobraźni widział polki w księgarniach zapchane tysiącami rozchwytywanych w jednej chwili egzemplarzy, plakaty porozlepiane w mieście, sklepy pełne gadżetów i koszulek. Nowy bohater na miarę naszych czasów! Witaj, wielka kariero! Na początek wynajmie porządne mieszkanie i przestanie gnieździć się z farbami, papierami, komputerem i Panna Lu w ciasnym pokoju na poddaszu. A potem... zobaczymy. W każdym razie był pewny, że los zesłał mu, pod postacią ubranego na czarno faceta z warkoczem, wyjątkową szansę.

\*\*\*

Minał mniej więcej tydzień, a jedyny sukces, którym Adam mógł się poszczycić, polegał na zapełnieniu wszystkich koszy na śmieci stertami zmiętych kartek papieru. Pracował bezustannie, robiąc przerwy tylko po to, żeby nakarmić Panne Lu, domagając się jedzenia natarczywym miauczeniem, lecz mimo to robota się nie kleiła. Lila, jego dziewczyna, i Zygzak, współwłaściciel ich własnej, dwuosobowej spółki graficznej, najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miał, wykazywali teraz dla jego projektu znacznie mniej entuzjazmu i cierpliwości niż na początku. Lila obejrzała rysunki, stwierdziła, że są "niezłe", a potem obraziła się, że nie ma dla niej czasu, Zygzak natomiast bez przerwy przylazł i opowiadał w kolko o jakims logo, które Adam miał rzekomo zrobić na zeszły piątek. Czy w takich warunkach można było spokojnie pracować?

Spojrzał z obrzydzeniem na leżącą przed nim kartkę, zmiał ją w kulke i cisnął na podłogę. Przez chwilę stuknął koncem ołówka w blat stołu, usilnie próbując przypomnieć sobie, jak wyglądały spiętrzone nad czołem czarne włosy i jaki naprawdę był wyraz oczu pod ciemnymi kreskami brwi. Zaatakował kolejną kartkę, pewny, że tym razem zrozumiał, o co chodzi, a przynajmniej złapał ogólny wyraz. Skonczył szkic i krytycznie przyjrzał się własnemu dziełu. Wygląda jak jakiś cholerny pedał! – pomyślał ze złością. Jak postać z jakiegoś pieprzonego Star Treka! Wściekły, zgniotł kartkę i wrzucił do przepelnionego kosza. Wszystko, co narysował, wydawało mu się nijakie w porównaniu z oryginałem. Nie potrafił oddać niesamowitej aury, która otaczała tego przekletego faceta z warkoczem. Z początku mężczyzna widziany przy kiosku miał być tylko inspiracją, materiałem do stworzenia własnej postaci, jeszcze lepszej od pierwowzoru. Jednak im dłużej nad tym pracował, tym gorsze osiągał efekty. Przez jego biurko przewinał się korowód głupich dupków z gebami buców, smutasów albo kretynów. Po dwóch dniach doszedł do wniosku, że rysowany facet musi być taki sam jak nieznajomy spod kiosku, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. Tajemnica tkwi w jego twarzy i naprawdę do diabła z tym, co gość powie,

**kiedy zobaczy swoja gebe na okladce komiksu! Adam bedzie juz mial pieniadze w kieszeni i zamowienia na dalsze czesci, a facet moze sie ugryzc w dupe!**

**W pierwszej wersji mial byc tylko troche podobny, na tyle, zeby zlapac to niezwykle "cos", ktore w nim siedzialo. Po kolejnych czterdziestu rysunkach nabral przekonania, ze musi byc identyczny. Tu zaczely sie schody. Nie potrafil w zaden sposob zrobic wiernego portretu mezczyzny w czerni. Meczyl sie, lamal olowki, wycieral gumka dziury w papierze i zascielal podloge zgniecionymi kartkami papieru. To, co widzial przed soba na biurku, bylo zalosne. Najbardziej sie wsciekl, kiedy musial wreszcie przyznac przed samym soba, ze nie umie go narysowac. A przeciez ma, do cholery, niemal fotograficzna pamiec! Nigdy nie zapomina twarzy!**

**Wzial w obie rece kartke ze swoim ostatnim szkicem, podniosl do oczu i przez dluzszy czas studiowal w milczeniu.**

**–Ty skurwysynu – powiedzial na glos, bardzo powaznie. – Ty pieprzony skurwysynu!**

**Ponury typ z fryzura sierotki Marysi szczerzyl do niego zeby z szydercza satysfakcja. Na lewym policzku mial cos w rodzaju bohomazu wykonanego przez debilnego pieciolatka.**

**Adam starannie zgniotl kartke i lekkim ruchem poslal ja w kierunku kosza. Podparl czolo dlonmi i ciezko westchnal. Czul zmeczenie i rosnaca irytacje. Gdy zamykal oczy, zaczynal widziec tanczace, wykrzywione twarze z brudnymi kleksami na policzkach. Nie umial wytlumaczyc, dlaczego tatuaz tamtego faceta doprowadza go do szalu. Nabral obsesyjnego przekonania, ze gdyby wiedzial, co on przedstawia, zrobilby ten rysunek bez trudu. Pozostawalo tylko jedno wyjscie, musi odszukac tego goscia i jeszcze raz dokladnie mu sie przyjrzec.**

**\*\*\***

**Bolaly go nogi. Po kilku, a moze kilkunastu godzinach blakania sie po ulicach nie byl zdolny do odczuwania niczego wiecej. Skrecil za rog i wyszedl prosto na osiedlowy sklepik. W tym momencie uswiadomil sobie, jak bardzo jest glodny. Wstapil do srodka, zeby kupic cos do jedzenia.**

**Wysoki facet o Isniacych wlosach splecionych w warkocz wyjmowal wlasnie piwo ze sklepowej lodowki. Adam gwaltownie wciagnal powietrze. Mezczyzna odwrocil sie plynny, miekkim ruchem, obrzucil go obojetnym spojrzeniem i podszedl do kasy. Adam chwycil w pospiechu jakas bulke i paczuszke z najblizszej polki, rzucajac sie za nim niemal biegiem. Przy kasie facet z warkoczem, zwracajac sie do ekspedientki, odslonil svoj lewy profil, prezentujac Adamowi upragniony tatuaz. Skladal sie z kilku prostych kresek i przypominal schematyczny rysunek jaszczurki. Długa, pionowa**

linia zakończona małym koleczkiem stanowiła tułów i głowę, a dwie poprzeczne krótkie kreski – łapki gada. Adam poczuł się nagle nieswojo. Spuścił wzrok na rece mężczyzny, ale tatuaże na grzbietach, dłoni były zbyt misterne, żeby mógł rozpoznać, co przedstawiają.

Długowłosey poprosił kasjerkę o paczkę papierosów. Miał niski, bardzo spokojny głos, który przywodził na myśl niesamowicie głębokie, podziemne jezioro o wiecznie gładkiej, czarnej tafli. Adam drgnął, gdy zdał sobie sprawę, że przez chwilę widział dokładnie to jezioro, zamiast obrazu kasjerki sięgającej po paczuszkę z jego koszyka. Mężczyzna z warkoczem zniknął tymczasem za drzwiami. Adam zapłacił za bułkę i paczuszkę, która okazała się zieloną herbata. Trochę skonsternowany doszedł do wniosku, że odczuwa coś w rodzaju ulgi z powodu zniknięcia niedoszedłego bohatera swojej obrazkowej historyjki. Nawet specjalnie nie żałował, że nie zdążył lepiej mu się przyjrzeć. Lśnienie ponad jego głową, które wziął w pierwszej chwili za odbłask światła z wnętrza lodowki, jakos dziwnie zdawało się promieniować z jego twarzy. Nagle Adam przypomniał sobie obraz jeziora wśród skał i wstrząsnął nim dreszcz.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, kierując się ku domowi. Odgryzał właśnie kęs bułki, gdy kątem oka dostrzegł ciemną sylwetkę. Gwałtownie odwrócił głowę. Na ławce przy skwerku siedział ubrany na czarno mężczyzna i popijał piwo z puszką. Nogi pod Adamem trochę zmiały. Prawie mimowolnie ruszył w kierunku szczupłej postaci. Zawahał się na moment i wiedziony jakimś impulsem, usiadł na ławce stojącej dokładnie naprzeciw pijącego mężczyzny.

Czas jakby stanął. Czarnowłosey spokojnie sacył swoje piwo, a Adam zły kolejne kawałki bułki. Patrzyli na siebie. W oczach nieznajomego widac było lekkie rozbawienie. Adam, lykając nieszczęsną bułkę, której kęsy rosły mu w ustach, doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może ani przestać jeść, ani oderwać wzroku od twarzy siedzącego naprzeciw mężczyzny. Na ustach nieznajomego pojawił się odrobina drwiacy uśmiech. Mrugnął porozumiewawczo do Adama i jakby doszedłszy do wniosku, że wystarczy tej zabawy, spuścił wzrok na zwirowaną ścieżkę. Adam zakrztusił się bułką. Nieznajomy wstał, wyrzucił pustą puszkę do śmieci i bez pośpiechu odszedł.

Adam kaszlał jeszcze przez dłuższą chwilę, zanim zdołał złapać oddech. Był cały zlany potem. Odchylił głowę do tyłu i zasmiał się niemal histerycznie. W stu procentach osiągnął cel swoich starań. Teraz, gdy tylko zamknął oczy, widział ze wszystkimi szczegółami twarz i sylwetkę dziwnego mężczyzny, tak jakby ten obraz utrwalił się mu pod powiekami niby na kliszy fotograficznej.

\*\*\*

Rysował jak w transie. Strony, które powstawały, wydarzenia, jakie opisywał,

splywały mu z palców, nie dotykając umysłu. Często budził się rano i przeglądając to, co stworzył poprzedniego wieczoru, miał wrażenie, że materiał nie wyszedł spod jego ręki. Niby rozpoznawał swój styl i swoją kreskę, ale nie pamiętał, żeby nad tym pracował. Jednak to, co zrobił, było rewelacyjne.

Każdego ranka z zapartym tchem śledził poczynania bohatera, który w niepojęty sposób sam się stwarzał i sam opowiadał o sobie. Pozostawał tylko jeden problem. Wciąż był bezimienny! Adam za nic nie potrafił wymyślić mu imienia. Kiedyś przyznał się do tego Lili przez telefon. Proponowała coś krótkiego i energicznego: Maks albo Zag, ale ją wysmiał. Wiedział, że to imię musi być równie autentyczne i niezwykle, jak jego właściciel.

Komiks całkowicie wypełniał mu życie. Przestał wychodzić z domu, przez telefon rozmawiał monosylabami, karmił kota konserwami dla psów, a przyjaciel witał z tak ponurą miną, że wkrótce przestali go odwiedzać. Wierny pozostał tylko Zygzak. Nadal prowadził ich wspólna firma i nadal dzielił się zyskami z Adamem. Nie było tego wiele, zwłaszcza że Zygzak pracował zupełnie sam. Adam miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia i nawet spytał kiedyś przyjaciela, co stało się z logo, które miał zaprojektować. Zygzak tylko machnął ręką i powiedział, że sam je zrobił i oddał ponad dwa tygodnie temu.

Przez długi czas Adam nie chciał pokazać swoich rysunków Zygzakowi, ani nawet Lili, więc oboje czuli się jeszcze bardziej urażeni. Rysowanie profesjonalnych komiksów za prawdziwe pieniądze było sekretnym marzeniem całej trojki. Mieli mnóstwo pomysłów, ale znacznie mniej sukcesów. Gdzieś, w jakimś piśmie, pojawiały się czasami ich krótkie historyjki i to wszystko. Jednak Adam, Zygzak i Lila postanowili nie zalać się i zawsze trzymać razem. Do tej pory nikt się nie wylał. Dlatego odstępstwo Adama sprawiło pozostałym wielką przykrość. Szczególnie Lila czuła się odtracona i zaniedbywana. Widocznie Adam nie uważa jej za godną zaufania i intelektualnie dorównującą mu partnerkę.

Zygzak, patrząc na bladą twarz i rozgorączkowane oczy przyjaciela, trochę lepiej go rozumiał. Adama ogarnęła żądza zrobienia kariery! Wierzył, że wszyscy troje skorzystają na jego komiksie.

–Posłuchaj, Zyg – tłumaczył. – Jeśli to wydadzą, posypia się propozycje. Zobaczysz! Nie będziemy mieli czasu przepuścić zarobionej forsy! Omówimy wspólnie scenariusz i każdy dostanie do rysowania swoją część. Przecież siedzimy w tym razem!

W końcu Zygzak nie wytrzymał.

–Cholera jasna, Adam, gadasz o tym i gadasz, ale ani Lila, ani ja nie widzieliśmy niczego oprócz wstępnych szkiców. Jeśli nie chcesz pokazać rysunków, to powiedz

**przynajmniej, o czym one są!**

**Oczy Adama rozbłysły.**

**–To... niesamowita historia! Zupełnie inna niż wszystkie dotychczasowe komiksy, nawet te najlepsze! Znacznie lepsza. Nowy wymiar komiksu!**

**–Przerysowałeś Braci Karamazow? – burknął sarkastycznie Zygzak, ale Adam, ogarnięty euforią, na szczęście tego nie dosłyszał.**

**–Opowieść o facecie, który jest, a jednocześnie nie jest człowiekiem. Żyje, ale fizycznie jest martwy. Przemierza galaktyki, zmienia światy, zna inne poziomy rzeczywistości, funkcjonuje w kilku wymiarach naraz! Widział rzeczy niedostępne innym istotom. Jest w jakimś sensie bogiem, chociaż nie stwarza, lecz niszczy. Jednakże nie jest wysłannikiem zła. Przeciwnie, ma szlachetną, choć bardzo złożoną naturę. Wypełnia zadanie, które przydzielił mu los, mimo że poczucie obowiązku kłoci się nieraz z emocjami. Bo on ulega emocjom! Współczuje. Lituje się. Wścieka. Potrafi kochać, potrafi czegoś pragnąć! Cierpi! Więcej, on ma poczucie humoru. Czasami nawet autoironiczne. Ale z drugiej strony nosi w sobie spokój i bezstronność śmierci, ponieważ jest martwy. Właśnie tak! Mój bohater nie żyje! Myślę, że jest czymś w rodzaju Anioła Zagłady!**

**–Rysujesz komiks o Aniele Zagłady, który nie żyje? – Zygzak patrzył na Adama z politowaniem.**

**–Dobra! – wrzasnął rozwścieczony Adam. – Zamknij się i łaskawie obejrzyj ten komiks! A potem wysłuchaj twoich świetnych uwag!**

**Zygzak zaczął oglądać komiks. Jego twarz z każdą kolejną kartką poważniała. Gdy ponownie podniósł wzrok na Adama, w jego oczach było coś podobnego do leku.**

**–Boże, Adam! – zawołał, kiedy przejrzał wszystkie kartki. – Skąd ci to przychodzi do głowy?**

**Adam wzruszył ramionami.**

**–Po prostu przychodzi. Wydaje mi się, że jest niezłe.**

**–Niezłe? – zdumiał się Zygzak. – Człowieku, to jest genialne! Ty wcale nie przesadzasz, nawet jesteś za skromny. Myślę, że naprawdę zrobisz na tym karierę.**

**–Wszyscy zrobimy! Bedziemy to ciągnąć razem!**

**Zygzak przecząco pokręcił głową.**

**–Nic z tego. Ja w to nie wchodze. Nie umiem narysowac czegos takiego. To mnie przerasta.**

**–Nie wyglupiaj sie. – Adam czul sie zawiedziony i oburzony zarazem. – Co ty pieprzysz? Nie podoba ci sie?**

**Zygzak spojrzal na niego ze smiertelna powaga.**

**–Posluchaj uwaznie. Podoba mi sie tak, ze nie moge sie pozbierac. To jest najwspanialsza rzecz, jaka kiedykolwiek widzialem. Ale mnie do tego nie mieszaj. Balbym sie nawet czytac to sam w domu po zmroku, rozumiesz?**

**Adam milczal.**

**\*\*\***

**Nie widzieli sie dlugo. Dziesiec, moze dwanasce dni. Kiedy Adam zadzwonil do Zygzaka, proszac, zeby natychmiast przyszedl, w jego glosie bylo tyle natarczywego podniecenia, ze przyjaciel ulegl. W mieszkaniu Adama zastal juz Lile. Gdy gospodarz wyjasnil im, czego od nich oczekuje, na twarzach obojga pojawil sie wyraz zdumienia i niepokoju. Zgodzili sie jednak, bo co mieli zrobic?**

**\*\*\***

**–Siedzimy juz ponad czterdzieci minut nad twoim sedesem. Nie wiem jak ty, ale ja znam przyjemniejsze sposoby inhalacji – odezwala sie Lila z irytacja, chociaz w jej oczach zwroconych na Adama kryl sie tlumiony strach.**

**–Poczekaj jeszcze chwile, zaraz sie zacznie.**

**–Co sie zacznie? Spuszczysz wode? Nasikasz tam? Posluchaj, nie bede tu siedziec ani minuty dluzej, jesli natychmiast nie wyjasnisz nam, o co ci chodzi!**

**Adam przeniosl wzrok z jej twarzy na Zygzaka. Wydawal sie zaklopotany.**

**–W sedesie cos belkocze – powiedzial niepewnie.**

**–No jasne – mruknal Zygzak. – Gowna wystawiaja opere.**

**Lila jeknela i przewrocila oczami.**

**–No i stalo sie! Zwariowal – obwiescila. – To przez ten pieprzony komiks!**

**–Daj spokoj, Lila. – Adam patrzyl na nia blagalnie. – Ja nie zartuje!**

**–Ja tez! – warknela.**



**–W rurach ci burczy – powiedział Zygzak. – Dom jest stary i kanalizacja też. Nacpales sie czegos, czy co?**

**–Niczego sie nie nacpalem! To sa slowa, a nie bulgotanie w rurach! – wybuchnal.**

**Zygzak, oslupialy, gapil sie na przyjaciela.**

**–Powiadasz, ze slyszysz glosy przemawiajace z sedesu? – zapytal z niedowierzaniem.**

**Adam w milczeniu kiwnal glowa. Lila zerwala sie z podlogi.**

**–No nie! Mam tego dosc! Nie chce uczestniczyc w tym obiedzie! To choroba psychiczna! Musisz sie leczyc! Wszystko przez ta idiotyczna historyjke dla niedorozwinietych. Te bzdury padly mu na mozg!**

**–Nie mow tak – powiedzial ponuro Zygzak, stajac w obronie przyjaciela, – On narysowal niesamowity komiks i...**

**–On ma po prostu niesamowicie nasrane w glowie – warknela z furia.**

**–Zamknijcie sie! – wrzasnal Adam, ktory caly czas w skupieniu nasluchiwal odglosow z muszli. – Zaczyna sie! Sluchajcie!**

**Z sedesu do byl sie gluchy, gleboki bulgot. Jekliwy, zawodzacy glos zaczal belkotac niezrozumiale.**

**–Apeiron! – powiedzial w pewnym momencie sedes, bardzo wyraznie, niskim, basowym tonem. – Appollyon! Abadon!**

**Lila pisnela i opadla z powrotem na podloge. Zygzak wpatrywal sie w muszle rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Mial glupkowato rozdziawione usta.**

**–Zawsze mowi to samo. – Glos Adama lekko sie lamal. – Te same trzy slowa.**

**–Jak... jak dlugo to trwa? – spytal ochryple Zygzak.**

**–Od dwoch dni. Regularnie co cztery godziny...**

**–Abadon! – krzykнал sedes i zabulgotal. – Piolun! Piolun! Gwiazda Zaglady!**

**Adam zachlysnal sie i zamilkl. Wszyscy wpatrywali sie w sedes w napieciu.**

**–Jego imie. – Belkotliwy glos w rurach byl coraz mniej wyrazny. – Jego imie jest... Daimon Frey!!!**

**Lila krzyknęła i na czworakach ruszyła do korytarza.**

**–Wypuscicie mnie! – zawodziła. – Chce stąd wyjść!**

**Złapała za klamkę, szarpnęła i wypadła za drzwi mieszkania.**

**–Lila, poczekaj! – wrzasnął Zygzak i potykając się, wybiegł za nią.**

**Adam został sam. Spojrzał na białą, milczącą teraz muszlę.**

**–Tak się nazywa – powiedział na głos. – Daimon Frey.**

**\*\*\***

**Nieszczęście zdarzyło się tego wieczoru, kiedy skończył trzecią część komiksu o Daimonie Freyu. Dzwonek do drzwi zabrzmiał długo i natarczywie. Adam niechętnie oderwał się od ostatnich retuszy, żeby otworzyć. Za drzwiami jednak nikogo nie było. Na klatce schodowej paliło się mdłe światło.**

**Adam zatrząskiwiał własnie drzwi, gdy Panna Lu przemknęła jak strzała pomiędzy jego nogami i pognęła po schodach w dół. Adam rzucił się za nią w pogon. Na ostatnim podestku schodów spostrzegł z przerażeniem, że drzwi wejściowe do budynku są szeroko otwarte. Mignął mu tylko ogon Panny Lu przeskakującej prog. Wybiegł na podwórze, puste i ciemne. Ani śladu uciekinierki.**

**Włoczył się po ulicach ponad dwie godziny. Wolał kotkę na przemian czule i z groźbą w głosie. Zaglądał do okienek piwnicznych, penetrował śmietniki, wlaził we wszystkie ciasne i brudne klatki. Kotka jakby się pod ziemię zapadła. Zmartwiony i wściekły wrócił do mieszkania po latarkę. Starł się nie myśleć, co się stanie z jego ukochaną, rozpieszczoną kocicą, jeśli jej nie znajdzie. Ze wszystkich strasznych rzeczy, jakie groziły Pannie Lu, brak codziennego wołowego kotleta wydawał się najmniej niebezpieczny. Szukał własnie latarki, gdy zadzwonił telefon.**

**–Adam? Widziałam go! Przysięgam, że go widziałam! – usłyszał przerażony głos Lili.**

**–Kogo, do cholery?! – warknął. Strata Panny Lu bolała go znacznie bardziej niż strata dziewczyny.**

**–Daimona Freya! Tego faceta z twojego komiksu!**

**–No to co?**

**Lila zamilkła na sekundę.**

**–Jak to co? Mówię ci, że widziałam przed chwilą faceta, którego wymyśliłaś!**

**Identycznie ubranego, uczesanego i w ogole! Ma te sama twarz! Poznałam go! Zygzak tez go widzial. To jakas halucynacja!**

**–Zygzak jest u ciebie? To dobrze.**

**–Dlaczego dobrze? Czy ty mnie sluchasz? Oboje widzielismy tego faceta!**

**–Daj mi go do telefonu! Chce z nim pogadac.**

**Lila az sie zachlysnela.**

**–Z Freyem?!!!**

**–Nie, idiotko! Z Zygzakiem! Mozesz mi go dac? Gdzie on jest?**

**–A jak ci powiem, ze w moim lozku, to tez bedzie dobrze?**

**Adam sie zirytowal.**

**–Nie wyglupiaj sie. Musze z nim natychmiast porozmawiac!**

**–Nie wyglupiam sie! Mam ciebie zwyczajnie dosc! Dosyc gadajacych sedesow i bohaterow twoich debilnych komiksow, lazacych mi pod oknami! Nie chce cie wiecej widziec!**

**Wydawalo mu sie, ze Lila placze.**

**–Tylko nie rzucaj sluchawki! – krzyknal. – A niech to diabli!**

**W telefonie odezwal sie przykry dzwiek przerwanego polaczenia. Adam wykrecil numer Lili. Uslyszal chrobot, a po nim glos Zygzaka, mowiacy "halo".**

**–Zygzak, sluchaj! – zawolal.**

**–Nie, to ty sluchaj! – przerwal mu Zygzak. – Lila mowi prawde. Oboje widzielismy tego goscia, Freya. Stal na ulicy przed domem i gapil sie w jej okno.**

**–Daj spokoj! Ja tez go widzialem, wiele razy. Kupuje gazety w kiosku na rogu i piwo w spozywczym. Wyglada tak malowniczo, ze zrobilem z niego postac do historyjki.**

**–Adam, czys ty ocipial?!! – ryknal Zygzak. – Robisz komiks o facecie, ktory w najlepsze mieszka sobie na twojej ulicy?! Zdurniales do reszty! On cie poda do sadu jak nic!**

**–Zamknij sie! Stalo sie cos straszego!**

**–Co sie moglo, do kurwy nedzy, stac gorszego? – Gorycz w glosie Zygzaka byla az nadto czytelna. – Mielismy przyzwoita firme, nadzieje na przyzwoita forse i przyzwoite marzenia. Wszystko diabli wzeli przez pieprzony komiks o gosciu, ktory kupuje piwo w twoim osiedlowym sklepiku. Jak to dzieło nazwiesz? Supersasiad?**

**–Zygzak, Panna Lu zginela – wykrztusil Adam.**

**Zygzak zamilkl.**

**–O cholera – mruknal po chwili. – Przykro mi! Jak to sie stalo?**

**–Uciekla przez otwarte drzwi na ulice. Pomozesz mi jej szukac?**

**Zygzak westchnal.**

**–Jasne. Zaraz u ciebie bede.**

**\*\*\***

**–Odbilo nam chyba – powiedzial Zygzak, przewracajac sterte pudel za sklepem. – Cala noc szukamy jakiegos kota!**

**–Wcale nie jakiegos – szepnal Adam. – Panna Lu byla wyjatkowa!**

**–Nie mow o niej jakby nie zyla! Za pare dni wroci, zobaczysz. Koty zawsze wracaja.**

**–Aha – powiedzial Adam bez specjalnej nadziei.**

**–Nic jej nie jest, czuje to! Chyba mi, cholera, ufasz?**

**–Chyba tak.**

**\*\*\***

**–Adam? – zagadnal go za jakis czas, kiedy obaj mieli juz serdecznie dosc bezproduktywnego wolania "ci ci ci".**

**–No?**

**–Jesli chodzi o mnie i Lile to... Ona to wszystko bardzo przezywa. Wpadla prawie w histerie. Podejrzewala nawet, ze wrzuciles jej jakies swinstwo do kawy, wiesz, jakis halucynogen. Te bzdury wybilem jej z glowy, ale ja tez nie rozumiem tej... eee... historii z sedesem. Wszyscy bylismy tacy zdenerwowani, ze mogliśmy sie przeslyszec, to znaczy wyobrazic sobie, ze cos slyszymy. A dzisiaj ten Frey spacerujacy sobie pod domem Lili. Ona sie bardzo przestraszyla. Jest na ciebie wsciekla. Mysli, ze juz ci na niej nie zalezy. Potrzebowala kogos, przed kim moglaby**

się wygadać. Z powodu tego... komiksu trochę się do siebie zbliżyliśmy.

–Jakiego rodzaju zbliżenie masz na myśli? – Adam nie mógł się powstrzymać od szczypty zjadliwości.

Mimo ciemności wydawało się, że Zygzak się czerwieni.

–Między nami nic nie zaszło – wypalił. – Ona... Myślę, że jeszcze możesz wszystko naprawić.

–A ja myślę, że nie chce nic naprawiać – powiedział Adam ze znużeniem.

Przez chwilę milczeli.

–Jeszcze coś – bąknął Zygzak. – Lepiej zostaw ten pieprzony komiks. Już dawno chciałem ci to powiedzieć. Mamy inne, całkiem niezłe, a jak się postaramy, wymyślimy coś naprawdę ekstra.

Adam się najeżył.

–Odbilo ci? Jest naprawdę świetny!

–Jest genialny, ale lepiej rzuć go w diabły.

–Dlaczego? Coś ci się nie podoba?

–Chyba przynosi nam pecha.

–Tak myślisz?

–Aha.

–A jeśli jest odwrotnie?

Zygzak nie odpowiedział.

Nie znaleźli Panny Lu, chociaż szukali całą noc. Kiedy Zygzak drzemal w fotelu, Adam wydrukował pięćdziesiąt ulotek ze zdjęciem kotki i swoim adresem. Porozlepiali je w całej dzielnicy. Potem Zygzak poszedł do domu.

Czas mijał, a Panny Lu nie było. Adam powoli tracił nadzieję. Szczerze przyznawał, że brakuje mu kota znacznie bardziej niż Lili.

Gdy zadzwieczał dzwonek, Adam apatycznym ruchem sięgnął po słuchawkę.

–Pan dawał ogłoszenie, prawda? Zdaje się, że znalazłem zgubę. Głos w telefonie

brzmiał spokojnie i głęboko. Adamowi zamigotało przed oczami podziemne jezioro z czarna tafla.

–Byłoby dobrze, gdyby pan przyszedł zaraz. Panna Lu bardzo się za panem steskniała. Nalegała, żeby natychmiast zadzwonił.

Adam jak we śnie zapisał adres i stał przez chwilę ze słuchawką w dłoni, przy wtórze monotonnego buczenia sygnału.

\*\*\*

–Wejdz, Adamie – powiedział wysoki, ubrany na czarno mężczyzna z włosami splecionymi w warkocz. – Czekamy na ciebie.

Panna Lu wygięła grzbiet i zaczęła energicznie ocierać się o nogi swojego pana. Mieszkanie na ostatnim piętrze kamienicy, stojącej kilka przecznic od domu Adama, było zdecydowanie zbyt ogromne, żeby należeć do tego świata. Staroswiecko urządzone pokoje, pełne dziwacznych przedmiotów, zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Gospodarz wprowadził Adama do przestronnego saloniku, utrzymanego w tonie złota i zieleni.

–Napijesz się drinka? – spytał.

Adam bezmyślnie skinął głową. Frey zniknął w głąb domu.

Panna Lu, mrużąc oczy, wskoczyła na ogromny pluszowy fotel i zwinęła się w kłębek.

Adam podszedł do okna, odsunął ciężką kotarę i wyjrzał. Zobaczył bezdenną pustkę kosmosu, upstrzoną plamami gwiazd. Wzdrygnął się, wypuszczając z rąk zasłone. Podszedł do drugiego okna.

–Nie radzę ci patrzeć. Jeszcze nie teraz. Tam widac świat trochę inny od tego, który znasz. Mogłbyś zemdlec albo zwariować. Zdarzały się już takie przypadki – powiedział uprzejmie Daimon.

Trzymał w rękach dwie szklanki z jakimś ciemnym, gęstym płynem. Z każdej sterczała słomka.

–To się nazywa Anielski Miod. Podobno powstaje z pyłku, który aniołowie zbierają z kwiatów w Raju, ale ja nie bardzo w to wierzę. Znam kilku aniołów i chociaż mają skrzydła, żaden z nich nie zachowuje się jak pszczoła. Według mnie pedza go gdzieś w Limbo. Ale jest niezły. Spróbuj. W twojej rzeczywistości tego nie dostaniesz.

**Adam wziął szklanke. Trunek miał ostry, ale przyjemny zapach.**

**–Legenda głosi, że smakuje jak słodycz niewinności – ciągnął Daimon. – W każdym razie tak go reklamują. To akurat bardzo dobry rocznik.**

**Adam pociągnął ostrożny łyk. Natychmiast mieszkanie zawirowało mu przed oczami, a z oparcia sofy wyfrunęło stado tęczowych motyli.**

**–W pierwszej chwili wydaje się mocne. Zapomniałem uprzedzić – powiedział Frey. – Chyba zapomniałem się też przedstawić. Naprawdę nazywam się Daimon Frey.**

**–Wiem – odparł machinalnie Adam. – Sedes mi powiedział.**

**Cień rozbawienia pojawił się na twarzy Daimona.**

**–Nie chciałem nikogo przestraszyć. Chodziło tylko o to, żeby zwrócić twoją uwagę. To miała być odrobina niesamowitości, a wyszło coś zbyt... hmm, trywialnego. Woda jest posłusznym posłancem, ale nie planowałem sedesu jako przekaznika. Z drugiej strony, z perspektywy obserwatora było to niesłychanie zabawne. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.**

**Wyciągnął do Adama rękę. Jej uścisk był bardzo silny i bardzo realny. Blizna po wewnętrznej stronie sprawiała wrażenie, że dłoń się uśmiecha.**

**Daimon usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Panna Lu wskoczyła mu na kolana. Poglaskał ją, a uszczęśliwiona kotka wygięła się w taki łuk, że niemal stanęła na głowie.**

**–Mru! – zaspiewała słodko.**

**–Koty mnie lubią – powiedział Frey tonem usprawiedliwienia.**

**Żółte oczy Panny Lu rozbłysły z zachwytem.**

**–Dlaczego mnie tu sprowadziles? – spytał Adam, zbierając w sobie całą odwagę.**

**–Chciales odzyskać swojego kota – odrzekł mężczyzna w czerni szorstkim głosem.**

**Patrzył na Adama z dezaprobatą, jakby ten zadał szczególnie głupie pytanie. Zrenice Freya były o wiele głębsze niż pustka kosmosu za jego oknami. Adam starał się przeniknąć poza te zasłone, żeby zobaczyć prawdziwą naturę mężczyzny z warkoczem, ale nie był w stanie. Nie wiedział, czy istota, z którą rozmawia, jest dobra czy zła, podstępna czy przyjazna. Była przerażająco obca. Tej obcości Adam bał się najbardziej, chociaż instynktownie czuł, że jego strach irytuje Freya.**

**–Jestes Aniołem Zagłady? – spytał, kiedy nie mógł już znieść przeciągającego się**

**milczenia.**

**Daimon zastanowił się.**

**–Tak. W pewnym sensie.**

**Adam podszedł do niego, zmuszając się, żeby spojrzeć mu w oczy. Czuł emanującą z ciemnej postaci moc śmiertelnego spokoju.**

**–Powiedz, dlaczego ja?**

**–Zobaczyłeś mnie.**

**–Co z tego? Lila i Zygzak też cie widzieli. I ekspedientka w sklepie. I kioskarz.**

**Na wąskiej twarzy Freya pojawił się uśmiech. Machnął ręką.**

**–Widzieli ubranego na czarno faceta z warkoczem, ale tylko ty zobaczyłeś mnie naprawdę. Szukałeś mnie. Niejako sam mnie wybrałeś i przyzwales. Nie miałem na to wpływu.**

**–Do czego ci jestem potrzebny? – spytał Adam szeptem.**

**–Czemu się mnie boisz, Adamie? Przecież mnie znasz. Opowiedziałem ci o sobie poprzez komiks, który narysowałeś. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby przedstawić ci rzeczy, których umysł ludzki nie jest w stanie pojąć. Dzięki mnie dotknąłeś spraw i zjawisk spoza twojego świata. Zafascynowały cie. Zachwyciły, prawda?**

**Adam nabral głęboko powietrza.**

**–Tak – przyznał.**

**–Wiesz o mnie bardzo dużo. Tyle, ile zdołałem ci przekazać. Wydawało mi się, że wystarczająco wiele, żebyś opanował głupi, instynktowny lek przed nieznanym.**

**–Czego ode mnie chcesz? – powtórnie spytał Adam.**

**Freya zaciągnął się papierosem i milczał przez jakiś czas.**

**–Chciałbym, żebyś zajął moje miejsce – powiedział po chwili.**

**Adam zadrzał.**

**–Ja? To szalenstwo!**



**–Wcale nie. – Głos Freya znow przywoził na myśl podziemne jezioro. – Pomysł, co masz do stracenia? To naprawdę nie jest najlepszy ze światów. Pokazałem ci, kim jestem i co robie. Niczego nie ukryłem, niczego nie upiększyłem. Wiesz, dlaczego mam ten tatuaz? – Dotknął policzka. – To salamandra. Przeprowadza mnie przez ogień. Moj zawód nie jest lekki.**

**Adam milczał. Frey pochylił się ku niemu. Czerwony ogień trzymanego w ręce papierosa zdawał się kreslic w powietrzu mistyczne znaki.**

**–Przejmij moje miejsce, Adamie. Przecież sam mnie wezwales. Jak widzisz, stawiam sprawę w możliwie uczciwy sposób.**

**Twarz Daimona nie była już bez wyrazu. Malowało się na niej napięcie.**

**–Czemu chcesz to zrobić? – Adama zdziwił własny silny głos.**

**W ciemnych oczach coś zalsnilo i zgasło.**

**–Jestem zmęczony. Śmiertelnie zmęczony. Wolalbym już odejść.**

**–Zmęczony? – powtórzył Adam.**

**Frey go zaskoczył. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.**

**–Adamie, ja mam tysiące lat. Myślę, że to wystarczy.**

**–Co się z tobą stanie? Umrzesz?**

**Frey rozesmiał się. Szczerze i serdecznie.**

**–Skąd! Przecież jestem od dawna martwy! Ty umrzesz, a ja zrobię sobie wolne! Powinienem wreszcie zająć się sobą i sprawami osobistymi. Jeśli się zgodzisz, naturalnie. Przez jakiś czas, pięćset czy nawet tysiąc lat, możemy pracować wspólnie, poki nie nabierzesz pewności siebie. W razie czego zawsze możesz liczyć na moją radę i pomoc. Wystarczy, że zgodzisz się przejąć moje stanowisko.**

**–Nie wolno ci mnie tknąć, jeśli nie będę chciał? – spytał podejrzliwie Adam.**

**Daimon potrząsnął głową.**

**–Nie. Musisz mnie sam zaprosić do swojego domu. Głośno i wyraźnie.**

**–A co z Panna Lu?**

**–Oczywiście będziesz mógł zabrać ją ze sobą.**

Adam nabral smialosci. Bylo cos, o czym Daimon mu nie powiedzial, a co pragnal wiedziec.

–W jaki sposob zginales?

Frey drgnal. Na moment przygryzl warge.

–Wycofaj to pytanie. Nie ma nic wspolnego z toba ani z moim aktualnym zajeciem.

–Obiecales mi uczciwosc!

–Obiecalem wzgledna uczciwosc. To moja osobista sprawa i wystarczy, jak ci powiem, ze komus zalezalo, zeby trwalo to mozliwie dlugo i bylo nieprzyjemne. Ale to ciebie absolutnie nie dotyczy. Przysiegam, ze twoja smierc bedzie szybka i mila.

–Chcesz sie zemscic na tym kims?

Frey patrzyl na Adama spokojnie.

–Nie jestem msciwy. Ani sentymentalny. Ani rozgoryczony.

–A jednak ci zalezy?

–Tak.

–Rozumiem. No dobra, ostatnie pytanie. Co z tego bede mial?

Na twarzy Daimona pojawil sie dziwny, teskny wyraz.

–Zobaczysz to, co ja. Dotkniesz tego, co ja. Dostaniesz wszystko, co narysowales, ale w rzeczywistosci.

Adam skinal glowa.

–Naprawde chcesz sie uczciwie zamienic?

–Tak.

–Odchodzisz z powodow osobistych?

–Tak.

–Zastanowie sie.

Frey wstal.

–Wkrotce po ciebie przyjde.

**Zrobisz, co zechcesz.**

**\*\*\***

**Na odgłos pukania Panna Lu podbiegła do drzwi z ogonkiem sztywno uniesionym na znak radości. Adam otworzył drzwi.**

**–Na pewno nie możesz wejść, jeśli cie nie zaproszę? – spytał.**

**–Nie – odpowiedział wysoki mężczyzna w czerni.**

**Adam zamknął oczy i zaczął sobie przypominać, strona po stronie, swój ostatni komiks. Panna Lu ocierała się o nogi przybysza.**

**–Wejdz, Aniele Zagłady – powiedział Adam, cofając się do korytarza. – Miło mi cie powitać.**

**Mężczyzna w czerni uśmiechnął się.**

## **SWIATLO W TUNELU**

**Nie pamiętał uderzenia ani wstrząsu. Ostatnia rzecz, jaką zauważył, był zbliżający się z szaloną prędkością samochód, który po prostu nie miał prawa znaleźć się nagle na prawym pasie, jadąc w przeciwnym kierunku. Eryk zdążył tylko pomyśleć, że to naprawdę nie w porządku. Wydawało się, że nadjeżdżająca maszyna zdaje sobie z tego sprawę, bo w wytrzeszczonych ślepiach reflektorów zobaczył strach. A może tak mu się zdawało. Samochód sunął prosto na niego, a potem zapadła ciemność, jakby ktoś przekrecił kontakt.**

**Ocknął się na poboczu, w rowie. Karetka migiała wściekłym błękitem, jakby sugerowała, że jest ekspresem prosto do nieba. W powietrzu unosiła się przykra, listopadowa mżawka. Sanitariusze ostrożnie ładowali na nosze ciało. Wokół stała grupka gapiów. W polu, niczym martwe zwierzęta, leżały dwie kupy zgniecionej blachy. W jednej z nich Eryk rozpoznał swój samochód.**

**Z jękiem zajechał wóz policyjny, zahamował ostro. Mundurowi wyskoczyli z wnętrza jak diabełki z pudełka.**

**Sanitariusze pakowali nosze do karetki. Dziwny niepokój kazał Erykowi spojrzeć w twarz rannego. Przysunął się bliżej, zajrzał przez ramię lekarza i poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kregosłupa. Na noszach, zakrwawiony i umazany błotem, leżał on sam. Niemożliwe, jęknął w duchu. Kuli się przecież w porywach jesiennego wiatru, mżawka tnie go w policzki i nos. Spojrzał na swoje buty. Były przemoczone i oblepione ziemią. Stał w końcu po kostki w błocie. To jakieś szalenstwo!**

**Wyciagnal reke, dotknal ramienia lekarza.**

**–Panie doktorze – powiedzial. – Ja jestem tutaj.**

**Brzmialo glupio, ale niczego lepszego nie wymyslil. Lekarz nie zareagowal. Eryk zacisnal palce, szarpnal mocno.**

**–Hej, czy pan mnie slyszy?**

**Nic na to nie wskazywalo. Lekarz pozostal niewzruszony. Majstrowal cos przy masce z tlenem, nalozonej na twarz Eryka. Sanitariusze wladowali nosze. Wszyscy wskoczyli do srodka i zatrzasneli drzwi, zanim Eryk zdazyl zareagowac. Chcial wsiasc do karetki, ale nie zdazyl. Furgonetka zawyla, przerazliwie i pomknela w listopadowy zmierzch.**

**Eryk zostal na poboczu w mokrych butach, z uczuciem zawodu w duszy. Ogarnela go calkowita bezradnosc. No dobra, umarlem, pomyslal. I co dalej? Przypomnial sobie mgliste zaslyszane kiedys opowiesci o doznaniach z pogranicza smierci, ale nic tam nie bylo o cialach odjezdzajacych w dal karetki. Czul sie zawiedziony i w jakis sposob oszukany. Nie mial pojecia, co robic.**

**Rozejrzal sie bezradnie. Na szosie zdazyl juz powstac spory korek. Policjanci starali sie regulowac ruch, ale zdaniem Eryka tylko potegowali zamieszanie. Mrugajac zoltymi swiatlami, podobny do wielkiej ryby glebinowej, podjechal samochod pomocy drogowej. Kiedy pracownicy zabrali sie do wywozenia resztek jego peugeot, Eryk, nie wiedziec czemu, poczul sie naraz strasznie samotny. Ogarnela go fala zlosci. Stal w rowie, na deszczu, zmarzniety i przemoczony, a przeciez umarl, do cholery! Ktos tam, z gory, powinien sie nim zajac, a przynajmniej pokazac mu droge. Wcisnal rece do kieszeni i ruszyl przed siebie poboczem, bo za nic na swiecie nie chcial zostac sam na miejscu wypadku, gdy policja odjedzie, a gapie sie rozejda. W ten sposob mial przynajmniej wrazenie, ze podejmuje jakas decyzje.**

**Szedl, z kazda chwila bardziej rozgoryczony i wsciekly, a wiatr zawodzil paskudnie. Wyl i swistal nie do wytrzymania glosno. Dzwiek narastal. Halas ogluszyl Eryka, zmusil do zatkania uszu dlonmi. Zatrzymal sie, a potem poczul, jak przemozna sila wyrzuca go w gore. Swist ucichl, zmienil sie w ciche mruczenie. Wokol Eryka utworzyl sie obszerny tunel z gestej mgly, mieniacej sie kolorami teczki. Niewidzialna reka pchala go do gory, ku swiatlu. Bylo olsniewajaco biale, kojace, cudowne. Eryk wyciagnal do niego ramiona. Poczul gwaltowna fale radosci i spokoju. Plynal do swiatla.**

**Powoli, w cudownej jasnosci, zaczely majaczyc postaci. Z poczatku male i niewyrazne, przyblizaly sie. Na spotkanie Eryka kroczył aniol, sylwetka z wyciagnietymi rekami i rozpostartymi skrzydlami. Byl coraz blizej. Eryk poczul, jak**

ogarnia go głębokie, mistyczne wzruszenie. Zrozumiał, że zapewne widzi swego anioła stróża.

–Jaki piękny! – wyszeptał.

Postać skapana w blasku zbliżyła się znacznie. Eryk był w stanie rozpoznać krotką, brązową tunikę, jaką miała na sobie, i dostrzec twarz, szczerze mówiąc, całkiem przeciętną. Lekkie rozczarowanie wynagrodził za to widok drugiej postaci, drobnej staruszki z trójkątą twarzą otoczoną chmurą białych loczków, które upodobały ją do kalafiora.

–Babcia! – krzyknął radośnie.

Starsza pani z uśmiechem pomachała ręką.

–Witaj, zblakana duszo! – zawołał anioł, cokolwiek namaszczonego głosem. – Oto przybyłeś do Królestwa Światła... auuu!

Ostatni okrzyk nie należał do przemowy. Anioł wydał go mimowolnie, zgwałcił się w pole i upadł, kopnięty w brzuch, a następnie grzmotniety w kark przez trzecią postać, której gwałtowne pojawienie przerwało ceremonię powitania. Eryk zobaczył jeszcze, jak babcia małymi piastkami tłucze napastnika w plecy, gdy nagle ktoś przyskoczył do niego z boku, narzucił na głowę ciężką, cuchnącą kurzem tkaninę. Szarpnął się rozpaczliwie, próbując wyrwać. O Boże, pomyślał w panice. Porwały mnie diabły! To koniec! Trafie do piekła! Młocił rękami na prawo i lewo, ale strach sparaliżował go, zamiast motywować. Poczł silne uderzenie w głowę i zapadł w ciemność.

\*\*\*

Ocknął się z paskudnym bólem głowy. W ustach czuł nieprzyjemny, słony posmak. Ktoś klepał go po twarzy, niezbyt łagodnie, ale z pewnością nie po to, żeby zrobić krzywdę. Przez zmrużone powieki widział tylko rozmazane cienie. Przewornie nie otworzył oczu, udając, że wciąż jest nieprzytomny.

–Po coś go tak grzmotnął w łeb? – usłyszał zirytowany głos. – Z tobą tak zawsze! Niczego nie zrobisz porządnie.

–Wyrywał się, co niby miałem wymyślić innego? – odpowiedział drugi, a klepanie w twarz ustało.

–Właśnie – sarknął pierwszy. – Myślenie to coś, co ci zdecydowanie nie idzie. Teraz się na pewno nie zgodzi. I wiesz co, bracie? Mamy przechłapanie.

–Czekaj! A może oblać go wodą? – doznał olśnienia drugi głos.

Eryk uznał, że warto już otworzyć oczy. Przekonał się, że siedzi oparty o ściane w jakimś brudnym zaułku. W pierwszej chwili pomyślał, że znalazł się w zapuszczonym skansenie, bo budynki były krzywe, zbite z grubych bali uszczelnionych słomą. Uniosł wzrok i jeknął. No pięknie, wstrząs mózgu jak nic! Widział podwójnie. Dwie pochylone nad nim postaci były identyczne. Zobaczył takie same rozczochrane czupryny grubych, jasnych włosów, dwie pary szarych oczu osadzonych trochę za blisko nosa, wydatne, kwadratowe szczęki. Obie twarze różnił tylko jeden szczegół. Na policzku tej z lewej widniała długa, brzydka blizna.

To bliźniacy, pomyślał Eryk. Oczywiście, jeśli bliźniakami mogą być anioły. A obaj panowie z całą pewnością byli aniołami. Świadczyły o tym niezbitcie duże, trochę brudnawe i przywołane skrzydła.

–Ocknął się – powiedział ten bez blizny.

–Co za światła uwaga, Uwabriel – warknął drugi. – Jestem pod wrażeniem.

Twąz ofuknietego anioła zasnęła się smutkiem, aż Erykowi zrobiło się go szkoda. Blondyn z blizną obliznął wargi.

–No, tego – zaczął wyraźnie zmieszany. – Nie bój się, synu Adama, nie zrobimy ci krzywdy.

Eryk poczuł, że ogarnia go złość.

–Zbędne zapewnienia – wychrypiał przez wyschnięte gardło. – Już zrobiliście.

Odkaszlnął i splunął na ziemię. Po ubitym niedbale klepisku snęła się samotna kura.

–Co to za miejsce, do diabła? – spytał odruchowo.

–No, Limbo – powiedział anioł z blizną. – A co ma być?

Uwabriel wzruszył ramionami.

–Przecież on nie ma pojęcia, co to znaczy – rzucił.

–No tak – mruknął pierwszy – Nieważne. Później ci to wyjaśnimy, synu Adama. Teraz pojdiesz z nami.

Eryk z wysiłkiem dzwignął się na nogi, nie przyjmując wyciągniętej w pomocnym geście ręki Uwabriela. Zauważył, że prawa dłoń anioła jest owinięta brudnym bandażem. Otrzepał pomięte ubranie.

–Nigdzie nie pojde – oświadczył ostro. – I nie jestem synem Adama, tylko Aleksandra.

**–Ale człowiekiem, nie? – Aniol z blizna odslonil w usmiechu duze, mocne zeby.**

**–A wy aniolami, jak sadze! – rzucil ze zloscia. – Ladnie to porywac ludzi? Ruszajcie swiadczyc dobre uczynki i spiewac, a mnie odstawcie do raju, czy gdzie tam trzeba.**

**–Do jakiego raju, misiu? – Twarz aniola wykrzywil grymas politowania. – Nie rob z siebie durnia, dobra? No chodz, szkoda czasu. Zalatwimy sprawe i bedziesz wolny.**

**Zlupal Eryka pod ramie i pociagnal za soba jak worek. Byl co najmniej o glowe wyzszy od czlowieka, szeroki w ramionach i zwalisty. Eryk mogl najwyzej wic sie w uscisku skrzydlatego jak robak w dziobie wrobla.**

**–No i co ty robisz? – Uwabriel rozlozyl rece. – Bedziesz go tak wlokl przez pol Limbo? Trzeba czlowiekowi cos wytlumaczyc, nie?**

**Aniol z blizna niechetnie poluzowal uscisk.**

**–Ja sie nazywam Uwabriel – powiedzial drugi skrzydlaty. – A to moj brat Parmiel. Wybacz mu grubianskie maniere. Jest zdenerwowany, bo wpadlismy w powazne klopoty...**

**–Nie zapomnij dodac, kto nas w nie wpakowal – mruknal pod nosem Parmiel.**

**Uwabriel ciagnal niezrazony:**

**–...i potrzebujemy fachowej pomocy. Niestety, mozemy jej oczekiwac tylko od czlowieka o pewnych szczegolnych kwalifikacjach. Dlatego pozwolilismy sobie postapic dosc, eehmm, radykalnie.**

**–I po prostu mnie porwac, tak?**

**Uwabriel westchnal.**

**–Nie bylo innego wyjscia. Twój stroz nie pozwolilby nawet z toba pogadac. Stroze to straszni sluzbisci. Betony, prawde mowiac. A my mamy noz na gardle. Musielismy tak postapic.**

**Eryk spojrzal w szczerze szare oczy aniola. Poczul sie mile polechtany, ze zostal wyrozniony jako ktos szczegolny. Co nie znaczylo, ze zamierzal dac sie bezwolnie prowadzic, cholera wie dokad. Moze bracia zywili zle zamiary? Czemu mialby im ufac? W koncu go porwali. Postanowil udawac, ze sie na wszystko zgadza, a w sposobnym momencie sprobowac ucieczki.**

**–Czyli jestem kims w rodzaju wybranca? – spytal.**

**Uwabriel skinal glowa.**

**–No, w pewnym sensie.**

**–To jak, idziesz po dobroci? – zagadnal milczacy dotad Parmiel. W szarych teczowkach czaila sie podejrzliwosc.**

**–Tak.**

**–No to juz, tylko spokojnie.**

**Wzieli Eryka miedzy siebie i poprowadzili waskimi uliczkami. Zaulki byly brudne i wyludnione, budynki niskie, drewniane, czesto zapadniete ze starosci. Z wolna jednak okolica zaczela sie zmieniac. Uboga dzielnica nabierala miejskiego charakteru. Domy stawaly sie wieksze, bardziej zadbane, czesto trafialy sie kamienne podmurowania czy podcienie. W duzych oknach lsnily szyby w miejsce szmat czy rybich pecherzy, pojawialy sie kolorowo malowane balkony i mansardy. Nawierzchnie ulicy pokryl bruk. Bylo coraz wiecej przechodniow. Smagly dzinn o drapieznym, pieknych rysach twarzy, prowadzil na zlotym lancuszkuz mala chimere. Odziany w blekitna szate i turban wydawal sie cudowna fatamorgana. Wyzywajaco ubrana skrzydlata kobieta mrugnela do Eryka zalotnie. Miala zlota skore i cudowne, wykrojone jak migdaly oczy. Ciemne, skorzaste skrzydla wienczyly matowo polyskujace haki, jak u nietoperza. Domyslil sie, ze widzi zenskiego demona. Istota minela ich, kolyszac biodrami.**

**W podcieniach kamienic miescily sie sklepy, na ulicach staly stragany, przechodniow krecilo sie coraz wiecej, ale zaden nie byl czlowiekiem. Eryk rozpoznawal dzinny, demony o skorzastych skrzydlach, aniolzy i chochliki, malutkie stworzenia o zlosliwych pyszczkach buszujace w rynsztokach. Nie wiedzial natomiast, kim byli pozostali. Niewysokie, ciemnolice istoty o bardzo chudych twarzach i wydatnych nosach, eteryczne pieknosci o bladej cerze i zielonych wlosach, niscy, miedzianoskorzy lucznicy z kolczanami na plecach i grzebieniami plomiennych wlosow, zdajacych sie sypac iskry, ubrani w czerwienie i pomarancze, oraz cala masa innych, dziwnych sworzen. Uwabriel pochytil sie ku niemu.**

**–Jestesmy w Limbo. To rodzaj pasa ziemi niczyjej, okalajacego rownoczesnie Krolestwo i Glebie. Dlatego widzisz tu aniolow i Glebian spacerujacych zgodnie. Glebianie to po waszemu, zdaje sie, demony. Te zielonowlose slicznotki to sylfy, duchy powietrza, a kolesie z ognistymi czuprynymi to salamandry, duchy ognia. Przyjrzyj sie dobrze, bo salamandry rzadko goszcza w Limbo. Odkad archaniol Gabriel, Regent Krolestwa, dal autonomie duchom zywiolow, dzinnom i geniuszom, salamandry siedza na pustynnym skrawku ziemi, gleboko w Strefach Poza Czasem, i udaja, ze sa okropnie niezalezni. Aha, popatrz, ci ciemni, ubrani w brazowe szaty, to geniusze. Sa cwani. Czesto zajmuja sie medycyna, magia, edukacja albo finansami. Zadzieraja nosa, chociaz jak wszyscy nieskrzydlaty podlegaja skrzydlatym i Glebianom.**



**–Zaraz. – Eryk sie pogubil. – Co to znaczy skrzydlaci?**

**–No, aniolowie – wyjasnil Uwabriel. – Wszystkie duchy zywiolow, dzinny, geniusze i stworzenia ze Stref Poza Czasem nazywaja sie nieskrzydlatymi i stoja w hierarchii nizej od nas. I powyzej Glebian, czyli demonow, oczywiscie. Widzisz, hierarchia u nas to wazna rzecz. Aniolowie tez sie dziela na klasy. I chory. Wszystko zalezy od urodzenia. Sa aniolowie sluzebni, ktorzy stoja najnizej, aniolowie stroze, aniolowie sluzacy w Zastepach, to znaczy w regularnej armii, urzednicy, zarzadcy Domow i tak dalej. Wszystko w granicach pierwszego choru, wlasciwych aniolow. Potem sa archaniolowie i kupa innych, az do cherubinow i serafinow. Arystokraci Krolestwa nazywaja sie Swietlistymi, a glebianscy Mrocznymi. Rozumiesz?**

**–Tak, chyba tak – wymamrotal Eryk.**

**Od nazw, kast, widokow i zdumiewajacych stworzen, ktore mijal, zakrecilo mu sie w glowie.**

**–Nie czaruj tak, Uwabriel – odezwal sie Parmiel. – Wytlumaczysz czlowiekowi w kilku zdaniach cala strukture Krolestwa i Glebi? Daruj sobie.**

**Uwaga aniola przywolala Eryka do rzeczywistosci. Zamiast gawedzic i podziwiac otoczenie, powinien szukac sposobnosci do uciezki. Wyszli na rozlegle kamienne nabrzeze. Widok doslownie zapieral dech w piersi. Szeroka, polyskujaca srebrem rzeka znajdowala ujscie w ogromnej zatoce, ktorej zielone i blekitne wody wyzlacalo zlota smuga niskie, chylace sie ku zachodowi slonce. Dalej rozposcieral sie bezkres granatowej, oszronionej pianami fal wody. Na przeciwleglym krancu zatoki lezal port. Smukle zaglowce o dziwacznych ksztaltach kolysaly sie w objeciach wiatru. Wygladaly tak pieknie, ze az chcialo sie rozplakac z zachwytu. Na bulwarze wzdluz brzegu klebil sie kolorowy tlum.**

**–Piekne, co? – zagadnal Parmiel. – To Zatoka Zmierzchu. Za nia rozciaga sie juz tylko Praocean. A rzeka, ktora do niej wpada, to Strumien Czasu. Powiadaja, ze kazdy, kto wrzuci monete do wody, kiedys tu wroci.**

**Eryk, nie odrywajac wzroku od horyzontu, nerwowo przeszukiwal kieszenie.**

**–Masz jakies drobne? – spytal z nadzieja.**

**Aniol rozesmial sie i wyciagnal dlon z mala miedziana moneta. Napisy i rysunki byly wpol zatarte, ale ledwo widoczne litery nic Erykowi nie mowily. Cisnal pieniazek w wode. Topiel pochlonela go natychmiast.**

**Parmiel polozyl czlowiekowi reke na ramieniu.**

**–Jesli chcesz zobaczyc cos jeszcze ciekawszego, spojrz za siebie.**

**Eryk odwrócił się. Daleko za kregiem zabudowan Limbo, na otwartej przestrzeni, ciągnął się pierścien olbrzymich, oslepiająco białych murów. Zatłoczone trakty, niczym kolorowe krajki, wiodły do szeroko rozwartych, zdobionych bram. Mury otaczały gigantyczna, jakby utkana z blekitnej mgły góra, wysoka na poł nieba. Erykowi zdawało się, że widzi miasta wyczarowane ze światła, unoszące się w przestworzach, złote wieże lśniące w promieniach słońca, pałace kruche jak ozdoby z cukru, azurowe konstrukcje mostów, wiszące w powietrzu ogrody. Wokół leniwie płynęły obłoki. Widok nie mógł być rzeczywisty. Pochodził wprost ze snów, mirażów i marzeń. Erykowi omal serce nie pękło z tęsknoty. Mogłoby spędzić wieczność, patrząc na ten żywy cud.**

**–Co to? – wyszeptał wstrząsnięty.**

**–Krolestwo, synu Adama – powiedział Parmiel. W głosie anioła dzwieczyła duma.**

**Eryk stał wpatrzony, a obłoki leniwie przesuwały się po blekicie.**

**–No chodź już – szturchnął go Parmiel. – Nie możemy tu sterczec w nieskończoność.**

**–Nie chce – wymamrotał Eryk.**

**Anioł bezceremonialnie wpakował mu łapę pod ramię.**

**–Idziemy, i to już! Mamy niedaleko.**

**Powłókł Eryka przez bulwar. Niedaleko, uswiadomił sobie wiezien z niepokojem. Jeśli miał spróbować ucieczki, to teraz. Mijali rozstawione wzdłuż nabrzeża stragany.**

**–Zobacz, jaki piękny sztylet! – zawołał naraz Uwabriel, zatrzymując się przy stoisku płatnerza.**

**–Daj spokój! – steknął Parmiel. – Spieszmy się.**

**Ale brat nie miał zamiaru stracić okazji.**

**–Ile to kosztuje? – spytał, wymachując sztyletem.**

**Parmiel zaczął go odciągać od straganu. Kupiec wykrzykiwał cenę, anioł się targował. Eryk, korzystając z zamieszania, postanowił dać nogę. Rzucił się w tłum.**

**–Oż, ty bydle! – usłyszał ryk Parmiela.**

**Biegł, roztracając przechodniów. Nie myślał na razie, co robi, jeśli ucieczka się uda. Zagadanie jakiegoś anioła i już. Ale nie udało się. Poczł nagle silne szarpnięcie za ramię, zobaczył wykrzywioną ze złości twarz z blizną na policzku.**

**–Co ty wyrabiasz, misiu? – warknal wściekle aniol.**

**Eryk sprobował sie wyrwac i omal nie wylamal sobie reki. Chwył Parmiela był silny jak imadlo. Za chwile dołączyl Uwabriel.**

**–Puszczajcie mnie! – krzyknal na cały głos Eryk. – Bandydzi! Cholerni porywaczzi! Na pomoc!**

**Kilku przechodniow odwrocilo glowy, ktos sie zatrzymal.**

**–Ratunku! – ryknal Eryk.**

**–Zamknij sie, idioto! – Parmiel probowal zatkac usta szarpiacemu sie mezczyznie.**

**Eryk ugryzl go w reke.**

**–Auuu! – rozdarł sie skrzydlaty.**

**–Co tu sie dzieje? – odezwal sie z tylu wladczy głos.**

**Trojka walczacych zamarla. Wysoki aniol o surowym wejrzeniu i ciemnoniebieskich wlosach wygladal na kogos waznego.**

**–Porwali mnie! – Eryk nic wiecej nie zdazyl krzyknac, bo Uwabriel wykrecil mu palec.**

**–To zbiegla dusza, panie! – zawolal szybko Parmiel. – Wlasnie udalo nam sie ja schwytac.**

**Wysoki aniol zmarszczyl czolo.**

**–Nie sluchaj ich! – wrzasnal wiezien, ale tym razem Uwabriel skutecznie zatkal mu usta.**

**–Zawsze tak mowia. – Parmiel pokrecil glowa. – Zaraza z tymi duszami.**

**Niebieskowlosy aniol machnal reka.**

**–Dobrze juz. Zabierzcie go, dosc tego zamieszania.**

**Odwrocil sie, zeby odejsc, Eryk wydal okropny ryk, lecz aniolowie szybko odwlekli go w strone najblizszej przecznicy.**

**–No co ty wyrabiasz, misiu? – sarknal Parmiel. – Niezlego stracha nam napedziles.**

**Trzymali teraz Eryka pod rece, w ciasnym uscisku miedzy soba. Obrazony, nie**

odpowiedział. Mineli kilka uliczek, domki znow zrobiły się niedzne i małe, choć murowane. Zatrzymali się przed kamienną komórką z solidnymi drzwiami. Parmiel wyciągnął zza pazuchy klucz, obrócił w zamku. Aniołowie wpełchneli Eryka do środka. Pomieszczenie było wielkości sporego pokoju, z małymi okienkami pod sufitem. W środku stał długi, drewniany stół, ława i kilka zydl. Pod ścianami prycze i prowizoryczne polki. Całość wyglądała jak karcer lub tymczasowy areszt. Uwabriel zaryglował drzwi. Parmiel wskazał Erykowi ławę.

–Siadaj. Musimy pogadać.

–Chyba tak – mruknął więzien cierpko, ale posłusznie usiadł.

–Naprawdę nie chcemy zrobić ci krzywdy. Rozpaczliwie potrzebujemy pomocy, to wszystko.

Anioł spojrzał na brata.

–Uwabriel, dawaj szkło. Ja tego na trzeźwo nie zniósę.

Na stole znalazły się szybko trzy szklanki z grubego, zielonkawego szkła i pekała fiaska. Parmiel rozlał do naczyń ciemny, czerwony płyn, który pachniał korzenniem.

–Gołnij sobie – mruknął anioł. – Nie bój się. Jest mocne, ale dobre. Nazywa się Lzy Jednorozca. W sam raz na stypę. No to, za Królestwo!

Bracia wychyliłi po poł szklanki jednym haustem. Eryk spróbował ostrożnie. Skrzydlaty miał rację. Trunek był przedni.

–Który zacznie? – spytał Uwabriel.

Parmiel machnął ręką.

–Dobra, mogę ja. – Zmierzył Eryka uważnym wzrokiem. – Posłuchaj teraz spokojnie, bo musimy ci parę rzeczy wyjaśnić. Jak wiesz, jesteśmy bliźniakami. Aniołami, oczywiście. Może nie bardzo dobrze urodzonymi, ale czystej krwi. Uwabriel służy pod Sarkamiszem, przy trzeciej godzinie nocy, a ja pod Wegnaniem, przy trzeciej godzinie dnia. Parszywa fucha, co tu gadać, ale taki los. Dwie doby temu wracaliśmy obaj z szynku, bladym switem. To nie był nasz szczęśliwy dzień, synu Adama.

Szare oczy anioła patrzyły ze smutkiem i jakąś stracenczą desperacją. Wspomnienie niedawnych zdarzeń powróciło z niezwykłą wyrazistością.

\*\*\*

**Było zimno. Niebo szarzało, lecz nie strzaszało jeszcze okrucich białych gwiazd. Bracia wracali na kwatery podchmieleni, ale nie pijani. Chłodne powietrze otrzeźwiło ich niemal zupełnie. Parmiel narzekał, że spóźni się na wachcie, a Uwabriel miał już dyżur za sobą.**

**Limbo o tej porze było puste i uspięte. Szyby właśnie zamknięte, bywalcy rozeszli się do domów. Mieszkańcy, kupcy i rzemieślnicy, smacznie chrapali w łóżkach. Kroki aniołów niesły się cichym echem między kamiennymi murami. Czarne strzępy cieni zalegały w bramach i zaułkach.**

**–Hej, co to za szmer? – spytał naraz Uwabriel.**

**–We łbie ci szumi i tyle. – Jego brat się zasmiał.**

**Uwabriel zatrzymał się, nasłuchiwał.**

**–Nie, czekaj! Nic nie słyszysz?**

**Stali przez chwilę w milczeniu i do Parmiela także doszedł nikły chrobot. Anioła przeszedł dreszcz.**

**–Lepiej stąd chodźmy. Cholera wie, co się włości po Limbo o takiej godzinie.**

**–Ales wymyślił! – fuknął oburzony Uwabriel. – Przez takich jak ty panuje ogólna znieczulica, a bandyci czują się bezkarni. Może ktoś potrzebuje pomocy?**

**Parmiel wzruszył ramionami.**

**–Pewnie się okaze, że my – burknął.**

**Uwabriel nie słuchał. Wolnym krokiem ruszył w stronę pobliskiego zaułka.**

**–Gdzie leżysz? – syknął brat.**

**Anioł uspokajająco machnął ręką.**

**–Dźwięk dochodzi stamtąd. Tylko sprawdź.**

**Parmiel wznosił oczy do nieba, ale podążył za bratem. Uliczka wybrukowana była kocimi łbami. W słabym świetle przedświtu migotały niewielkie, ciemne kałuże. Uwabriel przypadkiem wdepnął w jedną z nich i szybko cofnął nogę. Parmiel przelknął ślinę. Przykleknął ostrożnie. Ciecz była gęsta, lepka i cuchnęła krwią. Podniósł wzrok na brata.**

**–Spadamy stąd, stary.**

**Twarz Uwabriela pokryła się bladoscia, ale aniol potrzasnal glowa.**

**–Nie. Tam moze byc ktos ranny.**

**–Oszalales?! To paskudna sprawa. Nie mam zamiaru sie w to mieszac!**

**W oczach Uwabriela zalasnila niezlomnosc.**

**–A ja tak! W koncu jestem skrzydlatym, poddanym Jasnosci. Zachowam sie jak aniol. A ty, jak chcesz! Ide, Parmiel. Musze sprawdzic, czy nie ma tam rannych potrzebujacych pomocy.**

**–Czekaj! – jeknal Parmiel, ale brat wkroczyl juz w zaulek. Nie zostalo mu nic innego, jak pojsc za nim.**

**Za rogiem istotnie byli ranni, ale nic procz cudu nie mogloby im pomoc. Obaj lezeli w kaluzach krwi, a obok, jak male ksiezyce, lsnily dwa noze. Ciemnowlosy, barczysty Glebianin polsiedzial oparty o mur. Gleboka czerwien barwila mu ubranie, twarz i rece. Przypatrywal sie aniolom spod zmruzonych powiek, a wielki, pokraczny pistolet w jego dloni wlepial w braci cyklopie slepie. Pod murem, w zasiegu reki Glebianina, lezal elegancki, srebrzysty neseser.**

**Gdyby Parmiel osmielil sie poruszyc, skulby bratu gebe az milo. A nie mowilem! – wyl wewnetrzny glos w glowie.**

**Aniolowie zamarli, ze scisnietymi gardlami i pobladlymi twarzami, a ranny mierzyl ich wzrokiem. Cisza sie przedluzala. Uwabriel sprobował zrobic pol dyskretnego kroczka w tyl.**

**–Ani drgnij! – wykrakal chrapliwie Glebianin.**

**Pistolet w jego rece podskoczyl lekko. Zabije nas, pomyslal z niedowierzaniem Parmiel. Zabije, jak nic. Z trudem przelkнал sline.**

**–Posluchaj – wymamrotal. – Jesteś ciezko ranny. Potrzebna ci pomoc. Zostane z toba, a moj brat pojedzie...**

**–Nie! – Palec na spuszcie osunal sie niebezpiecznie.**

**–Nie ruszam sie! – krzyknal rozpaczliwie Parmiel. – Stoje w miejscu!**

**Glebianin ze swistem wciagal powietrze.**

**–Ciszej – wychrypial.**

**Boi sie, ze przyprowadzimy zandarmow, pomyslal aniol. Nie pozwoli nam odejsc.**

**Zalatwi nas. Popatrzył z wściekłością na brata. Zaraza na twoje miłosierdzie, Uwabriel! Oblizal suche wargi.**

**–Pozwól się chociaż opatrzeć...**

**–Precz! – warknął ranny. – Nie zbliżać się, bo zabije!**

**Cwaniak, przeszło przez myśl aniołowi. Wie, że jeśli dopuści nas do siebie, rzucimy się i spróbujemy zabrać mu broń. Rozejrzał się ostrożnie wokół. Nie zalatwi nas bez koniecznej potrzeby. Boi się, że przypadkowy patrol usłyszy huk wystrzału. Dlatego walczył na noże. Jest już prawie rano, zaraz zacznie się ruch. Na co liczy? Może na kogoś czeka? Parmielem wstrzasnął dreszcz. Tak czy inaczej, żywych nas nie wypuści.**

**Czas saczał się jak krew z rany. Aniołowie stali nieporuszeni, niczym osobliwe, identyczne posagi, niemi strażnicy Glebianina i walizki. Świt powoli rozświetlił niebo. Z zimna i strachu czekały zęby. O Jasności, Jasności, błagam, wyciągnij nas z tego, bezgłośnie modlił się Parmiel. W końcu był tylko zwykłym skrzydlatym. Nie znalazł się na bronii, ciemnych interesach i sposobach wybrnięcia z gardłowych sytuacji. Całe jego doświadczenie bojowe ograniczało się do kilku, niewinnych w sumie, bojek w knajpach. Uwabriel stał obok, blady i jakiś dziwnie obcy. Czas płynął, a Parmielowi powoli zbierało się na płacz. Przecież mogli sterczeć w tym zaułku do skonczenia świata.**

**O Panie, szeptał do siebie, błagam, niech coś się stanie! Niech nas zabije albo wypuści, byle zaraz. Nie zniosę dłużej czekania!**

**Czas płynął. Niebo pokryło się blekitem, ciepłe palce słońca ślizgały się po dachach. Parmiel słyszał trzask podnoszonych w sklepach żaluzji, zgrzyt odsuwanych rygli. Po ulicy przejechał wóz.**

**W ciemnym zaułku panowały półmrok i groza.**

**Oczy demona wpatrywały się w anioła nieruchomo, jak ślepa gada. Lśniły szkliscie, zimno.**

**–On chyba umarł – szepnął Parmiel.**

**Uwabriel rozdziawił usta. Parmiel zrobił małego kroczek naprzód. Glebianin nie drgnął. Jeszcze jeden kroczek. Nic. Skoczył gwałtownie i wyrwał rannemu pistolet. Glebianin osunął się na bok.**

**–Chodu! – krzyknął Parmiel i rzucił się do ucieczki, nie czekając na brata. Za sobą słyszał kroki galopującego Uwabriela. Brat dopadł go, szturchnął w plecy.**

**–Schowaj to! – wysapał, nie zwalniając biegu.**

**Parmiel nie bez zdziwienia zauważył, że wymachuje zabranym demonowi pistoletem. Biegnąc, upchnął broń za pazuchę.**

**Przez najbliższą bramę bracia dostali się do Pierwszego Nieba. Roztracając spieszących do pracy aniołów służebnych, wpadli do Domu Siedemdziesiątego Szóstego przy Bramie Krogulców. Zaryglowali drzwi swojej kwatery i dysząc, osunęli się na podłogę. Dopiero wtedy Parmiel zauważył, że Uwabriel zaciska palce na ręczce srebrnego neseseru.**

**–Na Otchlan! – wrzasnął. – Po coś to zabrał?!**

**Uwabriel rozgarniał mokre od potu włosy.**

**–Ktoś oddał za nią życie. Może być ważna.**

**–Natychmiast odnieś walizkę! – zazałał Parmiel.**

**Brat popatrzył na niego krzywo.**

**–Pewnie już go znaleźli. Zaulek rości się do żandarmów. Odnioś, jeśli pojedziesz ze mną i wytłumaczysz, skąd ja mamy.**

**Parmiel zaklął.**

**–No dobra – mruknął. – Pora zobaczyć, co jest w środku.**

**Położył walizkę na kolanach. Była ciężka. Uwabriel pochylił się ciekawie.**

**–Magiczny zamek!**

**Parmiel parsknął z pogardą.**

**–Nie widziałem jeszcze takiego magicznego zamknięcia, na które nie pomogłby dobry scyzoryk.**

**Wyciągnął nożyk z kieszeni, majstrował chwilę. Wieko odskoczyło z trzaskiem.**

**–O dupa! – powiedział i gwizdnął przez zęby.**

**Uwabriel poszarzał na twarzy.**

**–Pięknie, co? – warknął wściekle Parmiel. – Ważne rzeczy. Ano pewnie. Koniec z nami, braciszku. Czas odspiewać requiem. Bo o te twoje ważne rzeczy z pewnością ktoś się upomni.**



Nesesor wypełniały fiołki z brązowym lub przezroczystym płynem i paczuszki z czymś, co wyglądało jak siano.

\*\*\*

–Co było w walizce? – Eryk nie potrafił ukryć podekscytowania.

Parmiel popatrzył ponuro.

–Prochy, misiu.

Eryk się zachnął.

–Co ty, robisz ze mnie głupka? Jakie prochy? Przecież aniołowie nie cpaja!

–Jeszcze jak! – mruknął skrzydlaty. – Od dobrych paru wieków. Coś złego stało się ze światem, synu Adama. Kiedyś wszystko oświetlała chwala Jasności. Każdy mógł z niej czerpać do woli. Od pewnego czasu coś się jednak popsulo. Światłość przygasła, przestała przenikać każdy zakątek wszechświata. Wielu skrzydlatych cierpi z tego powodu. Stracili kontakt z Jasnością, źródłem życia, siły i wiary. Szukają sobie namiastek. Zwracają się przede wszystkim w stronę Królowej, ale i jej błogosławione, słodkie światło zanika. Zostają miejsca i rzeczy, które nasyciła swa mocą na Ziemi. Wiesz, miejsca objawień, święte źródła, obrazy. Góra potępia to w Czambul. Za handel lub używanie zakazanych substancji można przez wieki gnąć w lochu. Za przemyt grozi nawet czapa. Łapę na zbycie i zyskach trzymają głównie Glebianie. Widzisz, w co się wpakowaliśmy? Jakbysmy zadarli u was z mafia kolumbijska, rozumiesz?

Eryk pokręcił głową.

–Czym wy się, u diabła, możecie naciesić? Przecież nie koka.

–Pewnie, że nie. Ale woda z Lourdes już śpiewająco. Albo krwawymi łzami płaczących figur. Są podobno najmocniejsze i cholernie drogie. Popalic ususzona trawka z Fatimy też ponoć można z dobrym skutkiem.

Anioł uśmiechnął się krzywo.

–Fajnie, co?

–No dobra, macie problem. Ale to jeszcze nie katastrofa. Jeśli ktoś przyjdzie po towar, oddajcie walizkę i po strachu. Watpie, żeby was od razu zabili. Trupy to zawsze dochodzenie, kłopoty, weszacy policjanci. U was pewnie wszystko też tak wygląda.

**Parmiel w milczeniu skinął głową.**

**–Nie macie się co bac. Oddacie walizkę i po sprawie. Filmów nie oglądacie? Nie załatwia was.**

**–Załatwia – powiedział anioł ponuro. – Bo nie mamy już walizki. W każdym razie nie mamy zawartości. Nie sadzę, żeby Glebianie zadowolili się samym neseserem, chociaż jest naprawdę elegancki.**

**–Zaraz – szepnął Eryk z niedowierzaniem. – Sprzedaliscie towar? A forsa? Przehulaliscie całą w dwa dni?**

**Parmiel westchnął. Rzucił mordercze spojrzenie w kat, gdzie drugi anioł udawał, że wyciera szklanki.**

**–Mylisz się, misiu. Nic nie sprzedaliśmy. Moją brat, Uwabriel, dzielny samarytanin, wszystko rozdał.**

**–Co?! – krzyknął Eryk. – O rany!**

**Parmiel potarł kwadratową szczękę.**

**–I ja nie mogłem uwierzyć. Ale zrobił to. – Twarz anioła wykrzywił szyderczy grymas. – "Bo ci biedacy tak cierpieli bez Jasności". A teraz nam przyjdzie pocierpieć, kiedy właściciele upomną się o swoje dobro.**

**–Może rozumieją – mruknął z powatpiewaniem Eryk.**

**–Nie, misiu. Nie rozumieją. To Glebianie. Po twojemu, demony. Na nich nie działają podobne subtelności. Zresztą, już raz nas dorwali. Wiedzą, że mamy walizkę, i bardzo chcą się dowiedzieć, gdzie ją trzymamy. Dopadli nas noca, następnego dnia, kiedy Uwabriel szedł na dyżur. Odprowadzałem go, dla bezpieczeństwa, ale nie pomogło. Skopali mnie tak, że chyba mam pęknięte zebro, a bratu złamali dwa palce. Uratował nas patrol zandarmerii przechodzący obok. Rzadko się ciesze na widok glin, ale o mało ich nie wyciskałem. Glebianie zwiali, a my od tego czasu ukrywamy się. Wynajelismy te kanciapę i boimy się nosa wyciubić.**

**–Skąd wiedzieli, że macie towar?**

**Anioł wzruszył ramionami.**

**–Cholera ich wie. Wiedzieli i już. Pewnie ktoś im podkapował.**

**Eryk podrapał się w ciemności.**

**–Może powinienem was obejrzyć? Jestem w końcu chirurgiem.**

**Bracia wymienili porozumiewawcze spojrzenia.**

**–Nie teraz, misiu. Potem naogladasz się nas do woli. Zaraz zrobi się ciemno. Wtedy wyjdziemy.**

**–Dokąd?**

**Aniol znow wzdusił ramionami.**

**–Na umowione miejsce. Zobaczysz.**

**Eryk pojął, że niczego więcej się nie dowie. Mimo protestów trzeźwej strony natury musiał przyznać, że polubił braci.**

**–Długo będziemy czekać?**

**–Dopóki noc nie zapadnie na dobre – odezwał się niesmiało Uwabriel.**

**Parmiel wciąż patrzył na niego jak na gliste.**

**–To może wypijemy po szklaneczce i opowiecie mi trochę o zaswiatach. Mam mnóstwo pytań. Ludziom nie zdarzają się takie okazje. W każdym razie, nie wszystkim.**

**–Racja. Polej, Uwabriel. Na trzeźwo tracę wyrozumiałość.**

**Skrzydlaty, z miną zbitego psa, napełnił szklanki. Eryk pociągnął łyk.**

**–Jak to możliwe, że jesteście bliźniakami?**

**Uwabriel z wdzięcznością przyjął zmianę tematu.**

**–Czasem w nieustannej pieśni wszechaniola Wretila Metatrona, której dźwięki powołują do życia nowe anioły, trafi się podwójna nuta. Wtedy rodzą się bliźnięta.**

**–Pogubiłem się trochę, kiedy tłumaczyłeś. Jak wygląda ten zaswiat? No, niebo, piekło i reszta?**

**Uwabriel przysunął sobie łydek, upił łyk gorzalki.**

**–Widzisz, Królestwo przypomina ogromny tort. Składa się z siedmiu wznoszących się kregów, nazywanych Niebami. Zwykli skrzydlatcy mają dostęp tylko do Czwartego Nieba, gdzie mieszczą się wszystkie ważne gmachy państwowe i urzędy. Wyżej mogą wchodzić wyłącznie dobrze urodzeni. Świeliscy. Królestwem rządzi regent, archanioł Gabriel i rada siedmiu archaniołów, którzy dostępują zaszczytu wstępowania przed Tron Pański. W Siodmym Niebie rezyduje sama Jasność, ale mało który skrzydlaty**

Ja widział. Glebia miesci się bezpośrednio pod Królestwem i wygląda podobnie, ale odwrotnie, niczym odbicie w wodzie. Składa się z siedmiu Piekieł, a w najniższym stoi Pandemonium, reprezentacyjny pałac Lucyfera. Najwyższy krąg Glebi nazywa się Przedpiekle. Limbo to rodzaj podgrodzia, równocześnie dla Otchłani i Królestwa. Mieszkańcy trudnią się handlem i rzemiosłem, są neutralni i żyją z obu państw, które zaopatrują się tu w niezbędne towary. Limbo otacza z jednej strony Rzeka Czasu, która wpada do Praoceanu. Z drugiej ciągną się Lasy Cieni, a za nimi są Strefy Poza Czasem ze swoimi dziwnymi mieszkańcami. Aha, w różnych niebach Królestwa bywają jeszcze prowincje, którymi władają możni skrzydlaci. Jest ich stu dziewięćdziesięciu sześciu czy stu sześćdziesięciu dziewięciu, nie pamiętam. Królestwo ma ponadto w posiadaniu Księżyc, Słońce i planety. Chor Potęg opiekuje się porządkiem w kosmosie.

Parmiel wstał, zadął głowę i wyjrzał przez małe okienko.

–Sciemniło się – powiedział. – Wystarczy tej geografii. Musimy iść dalej.

\*\*\*

Wyszli w noc. Eryk nigdy nie widział tak rozgwieźdzonego nieba. Zdawało mu się, że poznaje niektóre konstelacje, ale nie był pewien. Ogromne gwiazdozbiory sprawiały wrażenie, jak gdyby miały lada chwila spaść. Przez głęboką czern firmamentu przepływały wielokolorowe mgły. Przez moment Eryk gotów był przysiąc, że widzi srebrzystego jeźdźcę, galopującego wysoko po niebie, ale szybko doszedł do wniosku, iż to tylko spadająca gwiazda. Ogromny, złotawy księżyc świecił bardzo jasno. Sylwetki człowieka i aniołów rzucały wyraźny cień na bruk ulicy.

–No chodź, misiu. Nie gap się – powiedział Parmiel.

Eryk z westchnieniem usłuchał. Zaglebili się w mroku między domami. Skrzydlaci milczeli, więc Eryk też się nie odzywał. Zaciągnął po szyję suwak kurtki, bo zrobiło się chłodno. Kroki odbijały się głuchym echem wśród murów.

Czasami przemknął samotny przechodzień, najczęściej geniusz lub opatulony szczelnie peleryną Glebianin.

W oknach mijanych domów panował mrok, bardzo rzadko dawał się zauważyć nikły poblask lampy. Chyba nie mają elektryczności, pomyślał Eryk.

Aniolowie skreśliли w szeroka przecznice, zabudowana wysokimi, jak na Limbo, kamienicami. Była oświetlona latarniami przypominającymi okretowe. W szklanych kloszach migotały mdłe plomyki podobne do uwieczonych ciem. Dawały jednak równe, mocne światło i Eryk domyslił się, że muszą mieć magiczne pochodzenie.

Bracia rozglądali się nerwowo, wyraźnie obawiając się jasnej, otwartej przestrzeni.

Z ulga skrecili w pogrizona w mroku ulice. Pedzili tak szybko, ze chirurg zostal nieco z tyłu. Przyspieszyl, zeby ich nie zgubic. Zza rogu nagle wylonila sie drepczaca szybkim krokiem postac, ktora omal nie wpadla na Eryka. Byl to aniol w burej tunice.

–Przepraszam – wymamrotal, podnioslszy glowe.

Na niezbyt urodziwej twarzy odbilo sie zaskoczenie, szybko zastapione przez gniew. Skrzydlaty wczepil palce w rekaw kurtki mezczyzny.

–Ha! – krzyknal. – Mam cie wreszcie! Natychmiast pojdiesz ze mna!

Dopiero wtedy Eryk rozpoznal swego aniola stroza.

–Zaczekaj – powiedzial. – Ktos mnie prosil o przysluge. Zalatwie sprawe i bede do twojej dyspozycji.

Z glebi ulicy ciezким truchtem nadbiegali bracia.

–Chodz natychmiast! – wrzasnal stoz piskliwie, szarpiac rekaw kurtki.

–Powiedzialem, ze za chwile. – Eryk poczul narastajaca irytacje.

–Pusc go! – zawolal Parmiel.

Kanciasta twarz, widoczna pod szopa jasnych wlosow, wykrzywila wscieklosc.

–Bandyci! – wydarl sie stoz. – Mordercy! Szubienicy na was malo!

–Zamknij sie – syknal Uwabriel. – Sciagniesz patrol!

Parmiel probowal wyszarpac Eryka z uscisku skrzydlatego, ale stoz wpil sie jak pijawka.

–Wlasnie! Patrol! – wrzasnal. – Zandarmeria! Na pomoc! W oknie naprzeciw zaplonelo swiatlo.

–Ciszej! – jeknal zdesperowany Uwabriel, probujac zat kac wykrecajacemu sie aniolowi usta.

–Zandarm...

Sierpowy Parmiela byl szybki i krotki. Skrzydlaty zwiadl w objeciach Eryka.

–No, nie wiem... – zaczal Uwabriel, ale urwal, bo w szarych oczach brata plonela zadza, mordy.

**–Nie miałem wyjścia – warknął Parmiel, wzruszając ramionami.**

**Eryk ostrożnie położył stroza na bruku. Anioł wydal mu się mały i chuderlawy, zwłaszcza w porównaniu z masywnymi postaciami braci. Poczul lekkie wyrzuty sumienia. W końcu to był jego anioł stroz, a potraktował go w sumie dość podle. Może powinien okazać więcej lojalności?**

**–Co z nim zrobimy? – spytał.**

**–Zostawimy, misiu. Nie martw się, nic mu się nie stanie. A teraz chodu, bo zandarmeria zaraz tu będzie.**

**Parmiel chwycił Eryka za reke i zmusił do biegu. Chirurg pedził opustoszałymi ulicami Limbo, oblewając się potem i gorzko żalując, że trzy lata temu zaprzestał gry w tenisa. Aniołowie nie dostali nawet zadyszki.**

**–Czekajcie – wysapał. – Już nie mogę...**

**Zwolnili.**

**–Jeszcze dwie przecznice – powiedział uspokajająco Uwabriel. – Niedaleko.**

**Mówił prawdę. Dwie ulice dalej aniołowie zatrzymali się na niewielkim placu, pod fontanną z figurą trytona. Parmiel nerwowo rozglądał się dookoła. Wtem z głębokiego cienia pod ścianą domu wylonila się zakapturzona postać. Przybysz zbliżył się do skrzydlatych.**

**–Spozniliscie się – mruknał.**

**Pod kapturem Eryk rozpoznał pociągłą, chudą twarz geniusza.**

**–Drobne problemy – powiedział Parmiel.**

**Geniusz skinał reka.**

**–Chodźcie za mną.**

**Zaglebili się w ciemny zaułek, który kończył się ślepa ściana z masywnymi drzwiami. Szczelin kamiennego muru czepiał się bluszcz.**

**Geniusz wydobyl z faldow peleryny wielki, ozdobny klucz. Zamek zazgrzytał.**

**–Wchodźcie. Tylko skonczone do switu.**

**Parmiel skinał głowa. Geniusz dal mu klucz i oddalil się spieszenie. Uwabriel wszedł pierwszy, Eryk za nim. Znalazł się z obszernej komnacie, oświetlonej zawieszonymi u**

sufitu lampionami. Posrodku stal duzy stol z przymocowanymi do blatu grubymi skorzanymi pasami, zapinanymi na klamry. Pod scianami ciagnely sie polki zapchane dziwaczными gratami. Staly tam sloje kolorowych plynow i brunatnych mazidel, smukle fiolki napelnione krysztalnymi roznymi soli, wyschle szczatki malych zwierzat i owadow, wezowe skorki, naczynia dziwnych ksztaltow i mnostwo przedmiotow, ktorzych przeznaczenia nie dalo sie na pierwszy rzut oka odgadnac. Eryk zwrocil uwage na imponujaca kolekcje nozy i metalowych, lsniacych zlownego narzedzi. Z powaly zwisaly wypchana jaszczurka i zasuszony nietoperz. Eryk odwrocil sie ze zdziwieniem ku braciom.

–Co to ma byc? – spytal.

–Pracownia czarnego maga i medyka – rzekl Parmiel. – Wynajeta do rana.

Wydawal sie zdenerwowany. Uwabriel uciekal wzrokiem w bok.

–Ciekawe – ocenil Eryk. – Nigdy nie widzialem podobnego miejsca. Tylko co mam tu robic? Przebrac sie na Halloween?

–Nie, misiu – powiedzial Parmiel powaznie. – Przeprowadzic operacje.

–CO?!

Aniol wcale nie zartowal. Wygladalo, ze mowi powaznie.

–Jestes chirurgiem plastycznym, prawda? Zmienisz nam pyski, zebysmy mogli zaszyc sie spokojnie gdzies w Limbo, a potem wyemigrowac do Stref Poza Czasem.

Eryk obrzucil wzrokiem pracownie.

–Poszaleliscie! Tutaj? Operacje?! Ja bym tu nie opatrzy! skaleczonego palca! A poza wszystkim, to nierealne! Musialbym miec narzedzia, calkowicie wyposazona sale, wykwalifikowana pomoc, wyniki badan! Przeciez nawet nie znam waszej fizjologii, anatomii, cholera wie czego! A gdzie anestezjolog? Mialbym was kolejno tluc mlotkiem po lbach? Nie ma mowy! Odmawiam. W zyciu nie spotkalem podobnego idiotyzmu. – Spojrzal prosto w oczy aniola. – I podobnych idiotow.

Parmiel rozlozyl rece.

–To nasza jedyna szansa! Czlowieku, oni nas zabija! Chcesz miec dwoch uczciwych aniolow na sumieniu?

–Wlasnie nie chce! – wrzasnal Eryk. – Dlatego mowie NIE! Sa tu jacys czarodzieje, idzcie do nich. Zrobia hokus-pokus i zmienia was w abazur albo w Sophie Loren.

**–Zapomnij o tym – szepnal Uwabriel. – Nie istnieja takie zaklecia. Czar przemiany dziala przez dobe od zalozenia, a juz po kilku godzinach zaczarowany zaczyna z wolna powracac do wlasnej postaci. Traci charakterystyczne cechy iluzorycznej twarzy na rzecz wlasnych. Poza tym podobne zaklecia umieja rzucac tylko wysoko wykwalifikowani magowie. I slono kaza za to placic.**

**–Jak myslisz, misiu – wtracil Parmiel – po co bysmy cie porywali?**

**–Jesli chcielibyście rzeznika, który by wam poharatal pyski tak, żeby was własny Metatron, czy inna matka, nie poznal, trzeba, było isc do tej, jak jej tam, Glebi, albo do pierwszej lepszej speluny, a nie do chirurga! – krzyknal rozwscieczony Eryk. – Myslam, ze macie wiecej rozumu! Kiepskie to cale niebo, jesli aniolowie potrafia byc tacy glupi! Cholera, siano zamiast mozgu! Idioci.**

**Uwabriel spuscil oczy, odruchowo przestepowal z nogi na noge. Parmiel przeciagnal reka po twarzy.**

**–No to mamy przesrane. Koniec z nami. Czapa.**

**Drzwi otworzily sie tak cicho, ze nie uslyszeli nawet skrzypniecia. Eryk pierwszy zobaczyl Glebianina z pistoletem. Przestal sie pieklic i rozdziawil ze zdziwienia usta.**

**–Doskonale ujeite – odezwal sie Glebianin cichym, uprzejmym glosem. – Wizjonersko, rzeklbym.**

**Bracia drgneli. W jednej chwili pobledli jak papier. Do komnaty wsunelo sie jeszcze dwoch Glebian.**

**–Odwroccie sie i przyjmijcie do wiadomosci, ze w miejscach rownie podejrzanym jak to nie staje sie plecami do drzwi – ciagnal demon tonem uprzejmej konwersacji. – To pierwsza zasada. Druga brzmi: nie zabiera sie cudzej wlasnosc, jesli nie chce sie popasc potem w klopoty. A wyscie wlasnie popadli, panowie.**

**Eryk przypatrywal sie stojacemu w niedbalej pozie Glebianinowi i doszedl do wniosku, ze rozumie, co oznacza termin Mroczny. Demon z pistoletem z cala pewnoscia nalezal do tej kategorii. Kosztowny, doskonale skrojony surdut z czarnego aksamitu znamionowal istote zamozna, a suchy, ostry profil i oszczedne gesty – arystokrate, ale nie to roznilo go od dwoch pozostalych Glebian. Demon emanowal ciezka, ciemna energia, jakby dziwnym rodzajem mrocznego swiatla. Mial smagla cere i srebrne wlosy. Wcale nie siwe, tylko srebrzyste jak rtec. Takiej samej barwy byly tez teczowki oczu, a Eryk wcale sie nie zdziwil, stwierdzivszy, ze kolory sa naturalne.**

**Aniolowie stali ponurzy, nieporuszeni. Milczeli. Mroczny usmiechnal sie paskudnie.**



**–Zacniemy od tego, ze oddacie grzecznie bron nieodzalowanego Bretora. Ale ostroznie i powoli, bo moi przyjaciele sa troche nerwowi.**

**Dwaj zwalisci, teponosi Glebianie wygladali, jakby slowo nerwy nie figurowalo w ich slowniku. W garosciach wielkich jak bochny trzymali bron. Przypominali gangsterow z filmow sensacyjnych.**

**Parmiel dwoma palcami wyciagnal spod tuniki pistolet i polozyl na stole.**

**–Pchnij go do mnie – zakomenderowal Mroczny.**

**Aniol wykonal polecenie.**

**–Doskonale – mruknal demon. – Nie moglem przeciez pozwolic, zeby znajdowal sie w niefachowych rekach. Jeszcze stalaby sie komus krzywda, a tego nie chcemy, prawda?**

**W usmiechu blysnely krotkie biale kly.**

**–Zasada trzecia: Kto mieczem wojuje, ten zna sie na rzeczy albo idzie do piachu. Przejdmy do meritum: gdzie jest walizka, panowie?**

**Parmiel przelknal sline.**

**–Nie mamy jej.**

**–Doprawdy? – Mroczny uniosl brwi. – W takim razie gdzie forsa ze sprzedazy?**

**–Niczego nie sprzedalismy – wyjasnil ponuro aniol. – Moj brat rozdawal towar za darmo. Juz wam tlumaczylem.**

**Glebianin pochyлил glowe.**

**–Ach tak? – spytal przeciagle. – Po prostu rozdawal? Tak zwyczajnie? Co to musiala byc za urocza scena! Wzruszajaca. Slodki aniolek rozdaje potrzebujacym wsparcie i pocieche. Az sie wierzyc nie chce. I wiecie co? Nie wierze.**

**–Parmiel mowi prawde! – krzyknal rozpaczliwie Uwabriel. – Rozdalem! Rozwalcie mnie! On nic nie wiedzial.**

**Oczy Mrocznego zaswiecily.**

**–Jestesmy sprawiedliwi – odparl z usmiechem. – Rozwalimy wszystkich.**

**–Czlowieka zostaw! – zawolal Parmiel. – Nie ma z ta sprawa nic wspolnego. Przecie nie zabijesz syna Adama!**

Srebrne, przenikliwe spojrzenie spoczęło na twarzy Eryka. Chirurg mimowolnie zadrzał. Chciał powiedzieć, że nie ma się o co spierać, bo on już od pewnego czasu nie żyje, ale nie mógł wydobyć głosu ze scisnietego gardła.

–Zabijałem już ludzi, zrobię to i teraz – rzekł demon prawie łagodnie. – Chyba że powiecie, gdzie jest towar?

–Przecież mówię, że nie ma! – krzyknął Parmiel z rozpaczą. – Rozdaliliśmy!

–Rozdaliscie? No dobrze. – Mroczny skinął głową dwóm ponurym Glebianom. – Związać ich!

Demony wyciągnęły z katów pracowni dwa kulawe krzesła, zmusiły braci, żeby usiedli, i przywiązały obu do mebli. Erykiem nikt się nie zajmował.

–Pogadamy inaczej – warknął Mroczny. – Gdzie walizka?

Aniołowie milczeli. Srebrnooki wskazał palcem Parmiela i wypowiedział zaklecie w języku, którego Eryk nie rozpoznał. Aniołem targnął ból. Szarpnął się do przodu, aż napięte wiezy wpily się głęboko w ciało. Zaciśnął szczęki, na czole zalsniły krople potu. Widac było, że z trudem powstrzymuje krzyk.

–Zostaw go! – krzyknął Uwabriel. W jego głosie brzmiało cierpienie. – Jest niewinny! To ja rozdałem towar!

–Chcesz dołączyć? – syknął demon. – Proszę bardzo!

Uwabriel wygiął się w łuk, zagryzł wargi.

Eryk spostrzegł z przerażeniem, że skóra Parmiela wokół głęboko wrzynających się sznurow zaczyna się tlic. Zasmierdziało przypalonym mięsem.

–Oni naprawdę rozdali towar! – zawołał z rozpaczą. – Przysięgam! Widziałem pusty neseser.

Srebrne oczy, zimne jak mroz, obrocily się na Eryka.

–Ach, więc jednak coś wiesz, synu Adama. Gadaj!

Swiszczący oddech Parmiela z wolna przechodził w jęk. Eryk zebrał się na odwagę.

–To przestan torturować moich przyjaciół! – warknął.

–Bardzo proszę. – Mroczny machnął w powietrzu ręką, jakby jednym ruchem chciał zakończyć cierpienie aniołów.

**Uwabriel z trudem chwytal powietrze, z nosa Parmiela plynela struzka krwi.**

**Smagla twarz demona wydawala sie obojetna jak maska.**

**–Mow, synu Adama – powiedzial cichym glosem. – Chyba ze tez chcesz sie posmazyc.**

**–Czlowiek nic nie wie – wychrypial Parmiel. Szare oczy pociemniały z bolu. – Wypusc go.**

**Mroczny przysunal sie do Eryka. Byl bardzo wysoki. Chwycil chirurga pod brode, sila zadarl mu glowe. Srebrne oczy lsnily jak laser.**

**–Co widziales, synku? Mow.**

**–Pusty nesoser – sklamal Eryk.**

**–Ach tak! – warknal Mroczny. Skinal glowa czekajacym w milczeniu kumplom. – Jego tez zwiazac.**

**Demony powlokly chirurga do krzesla. Zabraly sie do krepowania rak wyrywajacego sie Eryka, gdy nagle drzwi do pracowni rozwarly sie z trzaskiem. Huknely dwa wystrzaly. Obaj Glebianie padli na podloge niczym kukly, ktorym przecieto sznurki. Wszystko trwalo ulamek sekundy.**

**–Rzuc bron, Dantalion! – rozkazal Mrocznemu stojacy w progu Glebianin.**

**Srebrnooki odslonil kly we wscieklym grymasie, ale upuscil pistolet.**

**–Kopnij go w moja strone! O, tak. Doskonale.**

**Przybysz wszedl do pracowni i podniosl bron z podlogi, nie spuszczajac przy tym wzroku z Dantaliona. Caly czas patrzac na przeciwnika, cofnal sie, zatraskujac drzwi. Potem podszedl do lezacych cial i dla pewnosci strzelil kazdemu w glowe.**

**–Dantalion, przyjacielu – powiedzial niskim, gardlowym glosem. – Co za spotkanie! Milo, ze tak usilnie starasz sie odzyskac walizke, ktora pozyczyles...**

**Splunal przez zeby na podloge.**

**–...bez mojej wiedzy i zgody.**

**Dantalion milczal. Nowo przybyly pokrecil glowa. Z cala pewnoscia takze nalezal do Mrocznych, a jego energia emanowala wielka moca. Byl wysoki i krzepki. Polyskujace granatowo wlosy nosil zwiazane w wezel. Surowa twarz przypominala rzezbe z granitu. Policzki i brode pokrywal kilkudniowy zarost. Oczy lsnily**

**turkusowo. Mieszkały w nich chłód i niezłomność.**

**–Brzydko okradac przyjaciół – odezwał się do milczącego Dantaliona. – Przedkładac parę groszy nad wypróbowaną przyjaźń. Smutne. Świat schodzi na psy.**

**–Sukinsynu – wysyczał srebrnowłosej Mroczny. – Skąd wiedziałeś?**

**Demon o turkusowych oczach odsłonił w uśmiechu olśniewająco białe zęby, ostre jak kły drapieżcy.**

**–Przecież mówiłem wam, że nigdy nie należy ufać kapusiom. Pewien geniusz trochę dzisiaj zarobił. Widzisz, jak się robi interesy? Aniołom wynajął lokal, tobie sprzedał ich głowy, a mnie twoją. To się nazywa zmysł do handlu, co?**

**Dantalion stał tyłem do stołu, oparty o blat. Oczy aniołów śledziły z napięciem obu rozmówców, ale tylko Eryk był w stanie dostrzec ze swego krzesła, że srebrnowłosej Mroczny zasłaniał sobą leżący na stole pistolet, który zabijał przedtem Parmielowi.**

**Palce Dantaliona skurczyły się lekko. Demon szykował się porwać broń. Powodowany nagłym impulsem Eryk krzyknął do drugiego Mrocznego:**

**–Uważaj! On ma broń!**

**Granatowowłosej uskoczył w bok, pociągnął za cyngiel. Dwa wystrzały huknęły jednocześnie. Dantalion upadł ciężko na podłogę. Pistolet drugiego Mrocznego ponownie plunął ogniem. Ciało srebrnowłosej drgnęło i znieruchomiało. Ocalały demon zatoczył się na drzwi i osunął na posadzkę. Obie ręce przyciskał do rosnącej czerwonej plamy na boku. Po palcach płynęła krew. Pistolet upadł, leżał obok uda Mrocznego. Demon przymknął powieki. Chyba stracił przytomność.**

**Eryk gorączkowo wysupływał się z wieżow, których Glebianie nie zdążyli dobrze zacisnąć.**

**–Nic wam nie jest? – zawołał z niepokojem do aniołów.**

**–W porządku, misiu. Przeżyjemy – odpowiedział nieco chrapliwie Parmiel.**

**Eryk chwycił noż z polki, porozcinał wieży. Oparzenia na nadgarstkach anioła wyglądały paskudnie. Skrzydlaty wstał sztywno, ostrożnie rozcierał ręce. Chirurg uwolnił Uwabriela.**

**–Co za chryja! – mruknął Parmiel. Oczy anioła spojrzały na Eryka z wdzięcznością. – Dzięki, stary. Uratowałeś nam życie. Gdyby nie ty... Ech! Zachowałeś się jak prawdziwy skrzydlaty!**

**Chirurg poczul, ze sie czerwieni.**

**–Przyjaciolom trzeba pomagac, nie? Chodz, opatrze ci rece.**

**Parmiel klepnal go w plecy.**

**–Bez pospiechu. Nie umre od tego.**

**Uwabriel ostroznie zblizyl sie do granatowowlosego Mrocznego. Kopniakiem odrzucil pistolet daleko w kat pracowni. Przykleknal.**

**–Zyje – powiedzial. – Ale strasznie krwawi.**

**Parmiel podszedl do brata, spojrzal na twarz nieprzytomnego Glebianina i gwizdnal przez zeby.**

**–To Adramelech. Prawdziwa szycha. Bardzo potezny Mroczny. Kumpel Lucyfera i Asmodeusza. Wielki kanclerz Otchlani. Kawaler Orderu Muchy. Arystokrata. Jest znanym rusznikarzem. Robi doskonala bron. Niezle hobby dla Glebianina, co? Nie wiedzialem, ze zajmuje sie prochami. Faktycznie, krwawi jak zarzynana swinia.**

**Eryk przemierzyl sale. Schylil sie po odrzucony pistolet. Bron miala nietypowy ksztalt, nie przypominala zadnego znanego mu ziemskiego modelu. Długa lufe pokrywaly dziwne, wygrawerowane znaki. Eryk obracal pistolet w rekach.**

**–Lepiej go odloz – powiedzial Uwabriel. – To magiczny przedmiot. Jest pewnie zaklety specjalnym urokiem i opatrzony formułami przeklenstw.**

**Parmiel wzruszyl ramionami.**

**–Wlascicielowi jakos nie pomogl. To tylko zwykly kawal gnata.**

**–Ale glebianski – upieral sie Uwabriel.**

**–To sa i anielskie? – zdziwil sie Eryk, odkladajac bron na najblizsza polke.**

**–Pewnie – parsknal Parmiel. – Wcale nie gorsze.**

**Uwabriel wciaz kleczal przy rannym.**

**–Co z nim zrobimy? – spytal.**

**Brat rozlozyl rece.**

**–Chyba zostawimy, nie?**

**–To umrze. Wykrwawi sie. Bedzie tak, jak gdybysmy go zabili. Jakbysmy stali sie tacy sami jak Glebianie. A nie chcemy tego, prawda?**

**Aniolowie wymienili spojrzenia. Erykowi tez zrobilo sie nieswojo. W koncu byl lekarzem. Co prawda przysiegal ratowac ludzi, a nie demony, ale... Popatrzył na kredowobiala twarz Adramelecha, dlonie przycisniete do rany.**

**–Dawajcie go na stol! – powiedzial stanowczo. Sciagnal kurtke, podwinal rekawy.**

**Bracia jakby odetchneli z ulga. Podzwigneli cialo Glebianina i ulozyli na blacie. Eryk rozcial ubranie Mrocznego, odslonil rane. Kula przeszla na wylot, zostawiajac na plecach paskudny, poszarpany otwor. Pocisk musial poharatac watrobe, pomyslal Eryk. Jesli ma jakas. Postanowil na razie zatamowac krwotok. Nie podejmie sie przeciez operacji. Potem zawolaja fachowa pomoc, maga albo medyka, albo innego specjaliste od demonow.**

**–Potrzebne mi tampony, bandaze. Znajdzcie cos. Musimy zatamowac krew. Predko.**

**Aniolowie buszowali wsrod polek. Parmiel przyniosl klab czystych z pozoru, lnianych tasm. Uwabriel otwieral sloiki z masciami, wachal.**

**–Znalazlem srodek zatrzymujacy krwawienie! Magiczny! – zawolal triumfalnie.**

**Eryk popatrzył na bure mazidlo podejrziwie.**

**–Jestes pewien, ze to nie pasta z tluczonych nietoperzy?**

**–Jasne. Sarkamisz trzyma w apteczce takie samo lekarstwo, na wypadek gdyby ktos sie skaleczyl. Zreszta, tu jest napisane. – Pokazal recznie wypelniona etykietyke, zapisana znakami przypominajacymi zestaw kolek i kresek.**

**–Dobra, dawaj – zdecydowal Eryk, bo prowizoryczny tampon szybko nasiakal krwia.**

**Wszadzil palce do sloika, posmarowal rane mascia.**

**Glebianin zawyl, jego cialo wyprezylo sie jak struna. Skora wokol rany pokryla sie momentalnie pekajacymi bablami. Eryk rozpaczliwie scieral masc. Parmiel przyskoczyl i z calej sily przytrzymywal rzucajacego sie Adramelecha.**

**–Wody! – krzyknal do Uwabriela. – Byle nie swieconej! Idioto, przyniosles blogoslawiony srodek! Na Glebian dziala jak kwas! Trzeba bylo znalezc przeklety!**

**Uwabriel, z przerazona mina, przygalopowal z dzbanem wody. Eryk goraczkowo przemywal rane. Bol otrzezwil Glebianina. Poderwal sie z rykiem, sprobował strzasnac z siebie ramiona Parmiela, lecz byl za slaby.**

**–Nie miotaj sie! – zawolal Eryk. – Probuje ci pomoc.**

**Oczy rannego spojrzaly przytomniej.**

**–Ladna pomoc – wychrypial z wysilkiem, ale przestal sie wrywac. Staral sie lezec spokojnie, choc musial bardzo cierpiec. Turkusowe oczy z bolu zrobily sie niemal czarne, sciagniete wargi odslanialy kurczowo zacisniete zeby, skora nabrala odcienia popiolu, oddech rwal sie i swiszczal.**

**Na szczescie masc Uwabriela jednak zadzialala i krew przestala plynac. Eryk zajal sie delikatnie oczyszczaniem i bandazowaniem ran. Adramelech lezal bez ruchu. Nawet nie jeknal.**

**Chirurg spogladal w gleboka zielen oczu demona.**

**–Powinienes z tego wyjsc. Ale musisz szybko trafic do lekarza. Ja nic wiecej nie potrafie zrobic. Lecze ludzi. Na istotach nadprzyrodzonych sie nie znam. Moglbym ci zaszkodzic, rozumiesz?**

**Glebianin leciutko skinal glowa. Wydawal sie bardzo slaby. Stracil mnostwo krwi.**

**–Oko – szepnal. – Dajcie oko nocy.**

**Eryk pochylil sie nad rannym. Chyba majaczy, pomyslal. Parmiel przysunal sie blizej.**

**–Gdzie masz? – spytal.**

**Dlon Adramelecha gmerala w faldach plaszcza.**

**–W kieszeni – wymamrotal.**

**Aniol siegnal do zakrwawionej poly, wyciagnal plaski krysztal oprawiony w srebro.**

**–To komunikator – wyjasnil, widzac zdziwiona mine Eryka. – Rodzaj telefonu na magie.**

**Podal klejnot Glebianinowi.**

**–Masz, zawolaj swoich.**

**Adramelech zacisnal palce na krysztale. Z wysilkiem uniosl glowe, uwaznie przygladajac sie braciom.**

**–Czemu to robicie? Moglem was zabic.**

**Parmiel wzruszył ramionami.**

**–Sam nie wiem. Pewnie dlatego, że nie chcemy mieć nikogo na sumieniu.**

**Turkusowe oczy spoglądały z napięciem. Demon dzwignął się na lokciach.**

**–Nie boicie się? Znam was, wasze twarze. Ukradliście mi walizkę. Mogę się mścić.**

**Uwabriel westchnął.**

**–Wcale nie ukradliśmy. Znaleźliśmy obok martwego Bretora. A potem wszystko rozdałem uzależnionym aniołom, którzy poprosili. Za darmo. Jedni przekazywali wiadomość drugim i towar szybko się skończył. Przez naszą kwaterę przewiał się istny tłum. Wiem, że nie powinienem, ale to taka ciężka choroba. Nikt im nie pomoże, najwyżej mogą trafić do kicia. Żal mi się zrobiło.**

**Adramelech opadł ciężko na blat, przymknął oczy.**

**–Na Mrok – wyszeptał. – Rozdał towar za darmo. W porządku. Wierze. Naprawdę wierze. Teraz na rogach ulic stoi pełno małych cwaniaczków, którzy sprzedają moje prochy za promocyjne ceny. A zastanawiałem się, jak to możliwe.**

**Uwabrielowi wyciągnęła się mina.**

**–Naprawdę?**

**Na ustach demona pojawił się cien uśmiechu.**

**–Aha. Trzeba bardzo uważać na dobre uczynki.**

**Eryk poczuł chłód w okolicy karku.**

**–Słuchaj – powiedział. – Opuść im tę walizkę. W końcu uratowaliśmy ci życie. Chyba jest więcej warte niż neseser pełen prochów.**

**Blade wargi demona wykrzywił gorzki grymas.**

**–Mały człowieczku – powiedział. – Gdybym chciał was zabić, nic by mnie nie powstrzymało.**

**Zwrócił twarz w stronę aniołów.**

**–Boicie się, skrzydlaci?**

**Parmiel machnął ręką.**



**–I tak mamy przesrane. Nawet gdybys sie wykrawil i umarl, nie bylibysmy bezpieczni. Nie ma sie co ludzic. Nie ty jeden wiedziales, ze zabralismy walizke. W koncu ktos znou nas podkapuje. Nie tobie, to komus innemu. Twoja smierc nic nam nie daje, Wasza Mrocznosc.**

**Adramelech zasmial sie krotko, chrapliwie.**

**–Co za przenikliwosc! – wyszeptal. – Syn prochu ma racje. Cenie swoje zycie wyzej niz walizke krwawych lez. Honor Glebianina Isni jasniej i czysciej niz gwiazdy. I jest bezcenny. Nie bojcie sie, skrzydlaci. Nic zlego was nie spotka. Dopoki ja zyje, bedziecie bezpieczni.**

**–Dzieki – mruknal Parmiel. – Uwazaj na siebie, dobrze?**

**Glebianin uniosl krysztal.**

**–A teraz spadajcie. Za chwile zaroi sie tu od demonow.**

**–Powinnismy poczekac z toba – powiedzial ostroznie Uwabriel. – Jestes ciezko ranny. Potrzebujesz opieki.**

**W turkusowych oczach Adramalecha pojawil sie cien rozbawienia.**

**–Wiem, co mowie, slodkie anielskie serduszko. Nie chce, zeby was zobaczyli. Jeszcze ktoremus strzeli do glowy jakies glupstwo i postanowi zadzialac na wlasna reke. A przeciez zareczylem honorem za wasze niebianskie glowy.**

**Parmiel oblizal wargi.**

**–Zdrowiej szybko, panie Mroczny. I produkuj swoje rusznice dlugo i szczesliwie. Mam nadzieje, ze predko sie nie zobaczymy.**

**Adramelech pocieral krysztal. Powierzchnia kamienia zrobila sie matowoczarna.**

**–Idzcie – powiedzial.**

**W krysztale pojawila sie twarz Glebianina.**

**–Chodz, synu Adama – ponaglił Eryka Parmiel. – Uwabriel, zamknij drzwi.**

**Gdy znalezli sie w cichym zaulku ze scianami oplecionymi bluszczem, wszyscy trzej odetchneli z ulga.**

**–I co teraz? – spytal Eryk.**

**–Odprawdzimy cie do Trzeciego Nieba – powiedzial Parmiel. – Tam beda wiedzieli,**

**co z toba zrobic.**

**Switalo, kiedy opuszczali teren Limbo. Niebo zarozowilo sie i rozblysko zlotem. Zmieszali sie z kolorowym tlumem zmierzajacym do Krolestwa. Obok przedreptala stara demonica z koszem nabialu, przejechal woz wyladowany towarem na sprzedaz. Popielaty bok wolu otarl sie o kurtke Eryka.**

**Pierscien bialych murow przyblizal sie, a chirurg poczul nagla fale wzruszenia. Za chwile mial wstapic do nieba. Sciana bialych kamieni siegala wysoko w gore. Wienczace ja blanki zdawaly sie malenkie jak w papierowym modelu zamku. Krazyly nad nimi czarne przecinki ptakow.**

**Znikneli w czelusci Bramy Krogulcow. Wykute w kamieniu drapiezne ptaki zimno przypatrywaly sie wchodzacy.**

**Pierwsze Niebo rozczarowalo chirurga. Przypominalo troche Limbo. Szeregi malych, ubogich domkow tloczyly sie po obu stronach ciasnych uliczek. Czasem trafial sie duzy, surowy gmach, przywodzacy na mysl klasztor o ostrej regule.**

**Bracia szybko przemierzali ulice. Pociagneli Eryka w czelusc kolejnej bramy, znacznie mniej monumentalnej. Za murem, ktory w porownaniu z zewnetrznymi obwarowaniami Krolestwa wydawal sie niski, zaczynalo sie Drugie Niebo. Bylo tu nieco wiecej przestrzeni, ulice poszerzyly sie, na skrzyzowaniach zdarzaly sie male placyki. Nad wszystkim gorowaly krece, kwadratowe wieze wienczace naroza dlugich, prostokatnych budowli o malych oknach. Drzew bylo niewiele. Wychylaly galezie z za wysokich kamiennych ogrodzen, przylegajacych do budynkow.**

**–Ale tu ponuro – mruknal Eryk.**

**–Bo mijamy kwatery strozy – wyjasnil Parmiel. – Trudno sie dziwic, ze ze strozy najczesciej wyrastaja sukinsyny. Idziemy na skroty. W rzeczywistosci w Drugim Niebie jest bardzo ladnie. Kiedys moze sam zobaczysz.**

**W perspektywie ulicy zamajaczyl mur z kolejna brama.**

**Trzecie Niebo wygladalo przyjemnie. Przy spokojnych, wysadzanych drzewami alejach staly eleganckie, niewielkie wille, male palacyki albo zadbane kamienice. Spiewaly ptaki. Slonce rzucalo zlate plamy na bruk ulicy. Pachnialo latem, spokojem i ogrodowymi kwiatami. Po kutyh pretach ogrodzen i scianach domow piely sie roze lub wistarie. Bylo cieplo. Eryk sciagnal sweter. Kurtke zapomnial w pracowni czarnego maga.**

**–W Trzecim Niebie miesci sie raj – odezwal sie Uwabriel. – I biuro obslugi zmarlych. O widzisz, to tam!**

**Eryk wyteżył wzrok. Zobaczył daleko w perspektywie ulicy wielki, biały budynek, przypominający elegancki urząd. Wyglądał bardzo klasycznie. Stał na wysokim podmurowaniu, do wejścia wiodły szerokie marmurowe schody, cztery smukłe kolumny podtrzymywały tympanon, zwieńczony figurami aniołów.**

**Na podescie schodów siedziała starsza pani.**

**–Babcia! – zawołał Eryk i puscil się biegiem.**

**Starsza pani drobnymi kroczkami dreptała w jego stronę. Padli sobie w objęcia.**

**–Ach, wnusiu kochany, nareszcie! Wiedziałam, że w końcu tu trafisz! No, pusc już, skarbie. Nie wypada tak, na ulicy.**

**Eryk rozluźnił uścisk. Babcia poprawiła fryzurę.**

**–A kim są ci mili skrzydlaci? – spytała, obrzucając braci surowym spojrzeniem.**

**–To moi przyjaciele, babciu. Parmiel i Uwabriel.**

**Babcia zerknęła podejrzliwie.**

**–A czy oni przypadkiem cie nie porwali, wnusiu?**

**Eryk zrobił niewinna minę. Bracia odchrzaknęli nerwowo.**

**–Ależ skąd, babciu! Prosił mnie tylko o drobna przysługę.**

**Starsza pani uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo.**

**–Ach, rozumiem. Widzisz, wnusiu, czekam tu, bo koniecznie chciałam z toba porozmawiać, zanim wrócisz do domu.**

**–Do domu? – zdumiał się Eryk. – Przecież umarłem!**

**Babcia rzuciła aniołom pełne wyrzutu spojrzenie.**

**–Jak to? Nie powiedzieli ci? Byłeś w stanie śmierci klinicznej, a teraz leżysz w szpitalu, w śpiączce. Meliel, twój anioł stróż, miał cie odesłać od razu z tunelu, ale...  
– zawałała, się – zniknała.**

**Parmiel i Uwabriel, zmieszani, gapili się na własne buty.**

**–Eee, hmm – zaczął Parmiel. – Balisł się, że będziesz chciał zaraz wracać. Wybacz, stary.**

**–Wracać?! – zawołał Eryk. – I nic nie zobaczyc? Nie, ciesze sie, ze was spotkalem, naprawde. Dzieki wam przezyłem cos niesamowitego.**

**Babcia klasnęła z zachwytem.**

**–Moje dziecko! Zawsze taki sam urwis! Masz to po mnie! Widzisz. – Spowazniała. – Dziadek tez bardzo by chcial sie z toba zobaczyc, ale pojechal na ryby.**

**–Lowi ryby w raju? – zdumiał sie Eryk, który miał standardowe pojecie na temat zaswiatow. Łaki pełne kwiatow, białe szatki, aureolki i brzdakanie na harfie.**

**Babcia obciagnęła schludny, granatowy kostiumik, poprawiła ząbot. Wydawała sie Erykowi stara i mloda równocześnie. Oczy jej Isniły, ruchy były sprezyste, energiczne. Nigdy nie wyglądalą ładniej.**

**–Nie w raju. – Machnęła reka. – W Praoceanie. Popłynął na wyspe, daleko od ładu, z kilkoma zmarlymi kumplami i aniolami do towarzystwa. Wiesz, taka meska wyprawa. Pamietasz, jak dziadek uwielbial wedkowac.**

**Eryk pochylil sie do ucha starszej pani, zniżył glos.**

**–Babciu, jak tu jest? Powiedz!**

**W oczach Isniacych pod chmura białych loczkow zapalil sie dziwny blysk.**

**–Tak jak zawsze marzyliśmy, wnusiu. Mamy niewielki domek z ogrodem, w którym zawsze kwitną kwiaty. Zbieramy czeresnie i jablka na przetwory. Wieczorami siadamy przy kominku, chociaz tu nigdy nie jest zimno. Ale i ogien nie parzy. Gawiedzimy, dziadek czyta albo skleja modele okretow. Sa inne niz wasze. Plywaja kierowane silą woli. A ja robie na drutach, czasem wyszywam, czytam. Czekamy na was.**

**–I mozesz mi tak o wszystkim opowiadac?**

**Babcia westchnęła.**

**–Pewnie, wnusiu. I tak nic nie bedziesz pamietal, kiedy wrocisz na ziemie.**

**Wyciągnęła dlon, schwycila Eryka za reke.**

**–Kochanie, ja musze ci cos powiedziec. To bardzo wazne. Nie pomysl tylko, ze sie wtracam. Po prostu musze cie ostrzec. – Oczy starszej pani pełne były niepokoju. – Skarbie, nie zen sie z ta twoja Kasia. Ona do ciebie nie pasuje. Taka ciagle oschła, surowa. Wszystko musi byc na swoim miejscu, najwazniejsze sa obowiazki, dobra praca, pieniadze. Eryczku, ona nie umie marzyc! Zadusicie sie ze soba. Oboje bedziecie nieszczesliwi, udajac ludzi, którymi nie jesteście. Proszę cie, nie zen sie,**

**kochanie. Ten związek się nie uda. A już za rok spotkasz dziewczynę swojego życia. Przysięgam, wnusiu. Zostaniecie razem na zawsze, szczęśliwi. Będziecie się rozumieć bez słów, kochać i szanować. Urodzi ci słodkie dzieci. Zobaczysz.**

**–Ależ babciu – protestował słabo – Kasia to wspaniała dziewczyna. Zaradna, nowoczesna.**

**–Ale nie dla ciebie! Zagryziecie się! Dam ci przykład. Wszyscy siedzą przy tobie w szpitalu, modlą się i rozpaczają. A ona! Chodzi z kwaśną miną i powtarza w kółko: "Jak mógł być taki nieodpowiedzialny! Z pewnością jechał za szybko! Zawsze mu powtarzam, żeby uważał, ale oczywiście nie posłuchał! Wieczny dzieciak. No i dograł się. A mówiłam. Samochód na złom, on w szpitalu. Oczywiście. Zachciało się wyścigów na szosie. Boże, skąd wziąć na te wszystkie wydatki!"**

**Eryk stał zsepiony. Babcia doskonale odegrała jego narzeczoną. Zupełnie jakby słyszał Kasie.**

**–Wnusiu, ona nawet nie jest jeszcze twoją żoną! Co będzie później? Zastanów się, dobrze? Proszę, tylko się zastanów.**

**Przelknął z trudem ślinę. Skinał głowę. Babcia puściła jego rękę. Bracia, którzy stali dyskretnie z boku, zbliżyli się.**

**–Musimy wejść. Czas odesłać cię do domu, synu Adama – powiedział Parmiel.**

**Wkroczyli po marmurowych stopniach do budynku. Wewnątrz panował nieprawdopodobny tłok. W wielkiej, wysoko sklepionej sali ludzie i aniołowie darli się jeden przez drugiego. Najgorsze zamieszanie panowało pod licznymi, zamkniętymi drzwiami. Migaly bure tuniki stróżów, białe szaty urzędników. Do uszu przyjaciół dobiegaly strzępy rozmów.**

**Jakis stróż ciągnął za rękaw urzędnika z dużym notesem.**

**–Jest buddysta, a wy wpakowaliście go do raju Koptów! To niedopuszczalne.**

**Skrzydlaty obojętnie gryzmolił w notesie.**

**–Nie zajmuje się sekcją reklamacji. Trzecie drzwi na lewo.**

**–Niech żyje biurokracja! – mruknął Parmiel.**

**Uwabriel szturchnął chirurga w bok.**

**–Spójrz, idzie Azrael, Pan Dobrej Śmierci, szef całego interesu.**

**Ogromny anioł o błękitnych włosach sunął przez salę. Skrzydlaci i ludzie**

rozstepowali sie przed nim z szacunkiem. Emanowal intensywna energia, niby niewidzialnym swiatlem. Eryk domyslil sie, ze musi byc Swietlistym, anielskim arystokrata. Azrael bazgral w ogromnej, oprawnej w czerwona skore ksiedze. Jego skrzydla mialy barwe sierpniowego nieba. Przemierzyli sale i zniknal za drzwiami po przeciwnej stronie, nie oderwawszy nosa od zapiskow.

–Azrael wiecznie cos notuje, poprawia i wymazuje – szepnal Uwabriel. – Robi straszny balagan w papierach. Dlatego tak tu wyglada.

Do Eryka zblizyl sie, przepychajac przez cizbe, Azjata, w kolorowej czapeczce. Wskazal najblizsze drzwi.

–Przepraszam, to nie jest mdle swiatlo z dziedziny pretow, prawda?

Chirurg rozdziawil usta.

–Z pewnoscia nie – powiedzial Uwabriel.

Azjata, podziekowal i zniknal w tlumie. Obok jakis stoz podniesionym glosem tlumaczył cos rozzloszczonemu mezczyźnie wygladajacemu na kwakra.

–Nic na to nie poradze! MacDonnel jest irlandzkim katolikiem, ale ma prawo do pobytu w raju!

Purpurowy na twarzy mezczyzna krzyczal cos, czego Eryk nie uslyszal.

–Jak to skandal? – pieklil sie aniol. – Wyrok samej Jasnosci! Nie bedzie zadnych odwolan! Prosze bardzo, idz do Glebi, jesli sobie zyczysz!

–Hare Kriszna! Hare Kriszna! – spiewal ktos w kacie.

–Co robimy? – spytal skolowany Eryk.

–Czy ktos wie, gdzie jest sekcja smierci klinicznej?! – wrzasnal na cale gardlo Parmiel.

–Tam sa! – uslyszeli nagly okrzyk.

Przez tlum, wlokac za soba opierajacego sie urzednika, przebijal sie Meliel, aniol stoz Eryka. Twarz wykrzywiala mu wscieklosc.

–To oni! Napadli mnie i pobili! Uprawadzili dusze! Prosze ich natychmiast arestowac!

–Tu nie zandarmeria – burkнал urzednik. Zerknal niechetnie na Eryka. – O co chodzi? Gdzie twój przydzial?

**–Nie wiem – wymamrotal chirurg.**

**Skrzydlaty wzniosł oczy do nieba.**

**–No pewnie! Najłatwiej zgubic papier, a potem niech się inni martwią, co?**

**Meliel wskazywał braci drzącym palcem.**

**–Zamknijcie ich! To bandyci! – wrzeszczał piskliwie.**

**Skrzydlaty w białych szatach wydobyl z za pazuchy notes.**

**–Cisza ma być! – warknął na stróża. – To jest budynek urzędowy. Przepisy zabraniają hałasów. Kiedy umarłeś? Data i godzina!**

**–Wcale nie umarłem! – oburzyła się babcia. – Jest w śpiączce i ma wracać na ziemię.**

**Urzednik pobleł ze złości.**

**–To czego mi głowy zawracacie! Tu się pracuje! Nie widzicie, co się tu wyrabia? Oszaleć można! Pan Azrael, Anioł Dobrej Śmierci, oby Jasność nad nim czuwała, znowu pomylił rejestr zmarłych. I trudno się dziwić! Sam się wszystkim zajmuje! No, dość głupich żartów! Niech stróż zabiera dusze i odsyła do ciała. Nie mam czasu na pogaduszki!**

**–A ci kryminaliści?! – szczełnal Meliel. – Pobili mnie! Złóż skargę!**

**Urzednik spiorunował stróża wzrokiem.**

**–To ja złóż skargę na ciebie! Za niewypelnianie obowiązków i utrudnianie pracy innym! – syknął.**

**Parmiel zacisnął łapę na watnym ramieniu stróża.**

**–Chodź, misiu. Człowiekowi spieszy się do domu.**

**Wyciągnął Meliela z budynku. Eryk z ulgą odetchnął świeżym powietrzem. Stróż z kwaśną miną rozcierał ramię. – Jesteś gotów? – spytał Eryka.**

**–Tylko się pożegnaj.**

**Mocno przytulił do siebie babcię.**

**–Do widzenia, trzymaj się dzielnie. Ucałuj dziadka, dobrze?**

**Starsza pani otarła łzę.**

**–Czekamy tu na ciebie, mame i tate. Pamiętaj. Tesknimy za wami.**

**–A my za wami, babciu. – Eryk sie usmiechnal.**

**Usciskal obu braci.**

**–Fajny z ciebie gosc, synu Adama – powiedzial Parmiel. – Nie daj sie, tam, na ziemi. Bedziemy z toba!**

**–Kiedy tu wrocisz, koniecznie nas odwiedz – wtracil Uwabriel. – Pamiętaj, Pierwsze Niebo, Dom Siedemdziesiąty Szosty przy Bramie Krogulcow.**

**–Pewnie. Dobrze miec przyjaciol wsrod aniolow.**

**–Chodz juz! – ponaglil Meliel, chwytajac Eryka za reke.**

**–Pa, kochanie! – Babcia machala chusteczka.**

**–Trzymaj sie! Do nastepnego! – zawolal Parmiel.**

**Meliel splotl palce w dziwny znak i tupnal. Wokol czlowieka i stroza zawirowal teczowy korytarz. Popłyneli w dol.**



Eryk z trudem odemknął powieki. Bolała go głowa, czuł się dziwnie ciężki i bezwładny. Biel i zielen ścian nieprzyjemnie razila w oczy. Przypominał sobie mgliste teczowe tunele, miasta wiszące w powietrzu, skrzydlate istoty i twarz zmarłej babci.

–Syneczku, kochanie! – usłyszał łamiący się głos matki. – Jesteśmy przy tobie! Wszystko będzie dobrze!

Zobaczył pochylone nad sobą twarze rodziców. Oboje wyglądali mizernie. Matka płakała.

–Cześć, synku – powiedział ojciec, który też z trudem powstrzymywał łzy. – Nie martw się, wyjdiesz z tego. Wyzdrowiejesz.

Matka rzuciła się ojcu w ramiona.

–Ocknął się! Nareszcie! Chwała Bogu! Chwała Bogu!

–Mamo? – wyszeptał Eryk. – Nie płacz. Wrocilem. Zamajaczyła nad nim nieznajoma twarz, ciemna plama na tle oslepiającej jasności sufitu. Na szyi, nad czernią ubrania biały pasek koloratki. Ksiądz.

–Synu, czy chcesz przyjąć sakrament namaszczenia chorych? – usłyszał.

Oblizal wargi.

–Nie... czuje się lepiej.

Twarz księdza pochylila się bliżej, w oczach plonela ciekawosc.

–Synu – zniżył głos. – Podobno byłeś w stanie śmierci klinicznej. Widziałeś coś? Powiedz, jak tam jest?

Eryk milczał przez chwilę.

–Ciekawie, proszę księdza.

Na twarzy kapłana odbiło się rozczarowanie.

–Co to znaczy, ciekawie? Spotkałeś jakies istoty? Aniolow?

Eryk skinął głową. Czuł się zmęczony i osłabiony.

–Jacy oni są, synu? – usłyszał natarczywe, gorączkowe pytanie.

**Uśmiechnał się blado.**

**–W sumie, tacy sami jak my – powiedział i zamknął oczy.**

**\*\*\***

**Otworzył szeroko okno. Noc była wysoka, granatowa. Gwiazdy mrugały blado. Księżyc toczył się po niebie jak srebrna moneta. Powiew wiatru lagodnie poruszał firanka. Od wypadku minal prawie rok. Eryk oparł ręce na parapecie, odetchnął głęboko. Z początku wszystko wyglądało groźnie, ale na szczęście całkowicie wrócił do zdrowia. Podczas rekonwalescencji miał czas na długie rozmowy z Kasia, w wyniku których oboje doszli do wniosku, że do siebie nie pasują. Eryk nie czuł się przygnebiony rozstaniem. Wiedział, że niedługo w jego życie wkroczy odpowiednia dziewczyna, ta prawdziwa. Wiedział, bo wczorajszego wieczoru spotkał ją u znajomych. Babcia widocznie też tak uważała. Kiedy szykował się do wyjścia, spadł ze ściany obrazek, który po niej odziedziczył. Mała akwarelka, przedstawiająca ulana flirtującego z pasterką. Gwoździk tkwił mocno w ścianie, a uszko się nie urwało.**

**Eryk był rozsądny i ostrożny z natury. Dlatego milczał. Ale czasami, kiedy zostawał sam, mógł sobie pozwolić, żeby otworzyć okno, uśmiechnąć się i pomachać ręką granatowemu niebu. Zaczynała się trzecia, godzina nocy i Eryk miał nadzieję, że Uwabriel przyszedł już na dyżur. Nie wiedział, czy anioł go widzi, lecz lubił sobie wyobrazić, że tak.**

**Uśmiechnał się znow. Warto podtrzymywać przyjaźnie, pomyślał. Zwłaszcza te w zaswiatach.**

## **SOL NA PASTWISKACH NIEBIESKICH**

**A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrżeli synowie nieba, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli.**

**A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze.**

**I. Mojz.6,2 i 4.**

**Aniele Boży, strozu moj,**

**Ty zawsze przy mnie stoj.**

**Rano, wieczor, we dnie, w nocy,**

**Badz mi zawsze ku pomocy.**

**Strzez mnie od wszelkiego zlego**

**I doprowadz do Zycia Wiecznego.**

**(Modlitwa dziecięca)**

**Budzi mnie zimno. Lepka szarosc przeciska sie przez powieki. Zdretwiały mi podkurczone nogi. Dworcowa lawka nie jest wygodnym miejscem do spania. Przeciagam sie, a stawy wszystkich kosci trzaskaja, jakbym zaraz mial sie rozsypac. Na wpol rozbudzony siadam na lawce. Boze, co za przeraźliwy ziać! Fidelis unosi dlugi, waski pysk, patrzy na mnie przekrwionymi oczami.**

**–Chodz, musimy isc – mowie do niego, ale nie ruszam sie z miejsca.**

**Spuszczam glowe i spogladam na posadzke. Wciaz trzese sie z zimna. Fidelis wstaje, z wysilkim rozprostowuje lapy, a jego grzbiet wygina sie w dziwaczny luk, jakby mial przetracony kregoslup. Podchodzi i kladzie mi leb na kolanie. Nie reaguje. Fidelis szturcha mnie w zebra, a ja nagle zaczynam kaszlec. Zanosze sie ochryplym kaszlem, ktory bolesnie obija sie o moje boki i mostek. Fidelis, zaniepokojony, przestepuje z lapy na lape. Przyciskam rece do piersi i atak ustępuje. Po chwili ostroznie wstaje, siegam po kij oparty o porecz lawki i stwierdzam, ze jestem gotow do drogi. Czuje sie fatalnie i podejrzewam, ze wygladam nie najlepiej. Gdy probuje poruszyc scierpnietymi skrzydlami, odzywa sie w bokach i lopatkach nieprzyjemne klucie. Przywoluje Fidelisa gwizdnięciem. Mamy dzis ladny kawalek do przejścia. Fotokomorka w drzwiach bezszelestnie wypuszcza nas wprost w ramiona mgly.**

**Na dworze jest jeszcze zimniej niz na tym piekielnym dworcu, w dodatku wieje wiatr rodem z bieguna polnocnego. Znowu zaczynam kaszlec, wiec Fidelis lypie na mnie zmartwiony.**

**Ponad miastem rozlewa sie nadasany, mdly swit. We mgle slychac ochryple zawrozenie syren fabrycznych. W oknach wiekszosci kamienic blyska zapalone swiatlo. To w odpowiedzi na zew, posluszni codziennemu wezwaniu, gramola sie z lozek i pospiesznie ubieraja niechetni Odyseusze, wstajacy do pracy robotnicy.**

**Aleja, ktora idziemy, usilnie stara sie wygladac na cos lepszego niz glowna ulice podprzednej dzielnicy. Manekiny z witryn, ubrane w tanie ciuchy, modne zeszlej jesieni, obracaja ku nam obojetne twarze. Moja sylwetka odbija sie w oknie wystawowym. Zatrzymuje sie na chwile, poruszam skrzydlami, a odbicie w szybie robi to samo. Fidelis, maly, wychudzony smok, nieufnie obwachuje kraweznik w poszukiwaniu czegos do zjedzenia. Jakis przechodzien pojawia sie nagle w otwartej bramie, szybkim krokiem rusza przed siebie, ocierajac o moje nogi pola rozwianego plaszczka.. Gdyby mogl mnie zobaczyc, domyslilby sie.**

**Pewnie, że jestem aniołem, chociaż nie sposób wykluczyć pomyłki. Ludzie na ogół nie wyobrażają sobie aniołów o stalowoszarych skrzydłach, czarnych włosach i bliznach na twarzy. Szczerze mówiąc, obiegowy obraz anioła nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.**

**Te słodkie, bezpłciowe istoty ze złotymi lokami i spojrzeniem emanującym dobrocią po prostu nie istnieją. Fizycznie ten opis najbardziej pasuje do Świetlistych, anielskiej arystokracji zamieszkującej wyższe Nieba, ale pozory lubią mylić. Wszyscy Świetliści, których spotkałem, okazali się w końcu draniami pozbawionymi czci i sumienia. To właśnie przez tych złotowłosych sukinsynów dorobiłem się większości blizn, a mam ich całkiem sporo. Życie anioła tylko z pozoru jest łatwe.**

**Historia, która tłumaczy moją obecność na Ziemi, nie wiąże się z żadną specjalną misją, krucjatą przeciwko złym mocom ani ostrzeżeniem przed końcem świata. To moja osobista Historia. Nazywam się Ariel, czyli Boże Ognisko. W tym imieniu zawiera się sporo ironii, bo chociaż płonę jak sucha szczapa, nigdy nie widziałem Pana. Nie mam prawa dostąpić tego przywileju. Jestem tylko podrzędnym aniołem, urodziłem się niedaleko granicy z Limbo, należe, a właściwie należałem, do Domu Dziewiątego w Pierwszym Kregu. Samo dno hierarchii.**

**Nie lubię myśleć o przeszłości, ale, prawdę mówiąc, nie mam innego wyjścia. Wszystko to, co działo się przedtem i dzieje się teraz, jest ściśle połączone. Nie potrafię wykonać żadnego ruchu bez przeswiadczenia, że zostałem naznaczony. Moja niebiańska intuicja milczy. Meczamnie absurdalne sny. Dzisiejszej nocy przyszła do mnie mała dziewczynka, najwyżej pięcioletnia. Stała, wpatrując się we mnie tak intensywnie, aż musiałem otworzyć oczy. Dziewczynka sciskała pod pachą brudnego misia. Jej twarzyczka, wykrojona jak małe serduszko, była subtelna i blada.**

**Wydawała się pełna smutku i jakiegoś dziwnej czułości. Dziewczynka stała przede mną, milcząc. Wyglądała nierealnie jak zjawą, lecz to było żywe, ludzkie dziecko, a nie zmarła dusza, potrafię to bezbłędnie rozpoznać. Nie rozumiałem, jakim cudem mnie widzi. Podobno szczególnie wrażliwe dzieci mogą czasem zobaczyć anioła, ale ja nigdy przedtem nie spotkałem takiego dziecka.**

**–Co robisz sama, w nocy, na dworcu? – spytałem. – Zgubiłaś się?**

**Mała nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na mnie ze smutkiem i powagą, jakbym nie potrafił zrozumieć czegoś bardzo ważnego, co przecież powinienem wiedzieć.**

**Jestem długo na Ziemi, wiele rzeczy zdążyłem zobaczyć. Ponure przypuszczenie wysunęło swój rozdwojony język i polizało mnie zimnem pod sercem.**

**Przelknąłem ślinę i zapytałem:**

**–Czy ktos cie skrzywdzil? Ucieklas z domu?**

**Dziewczynka pokrecila przeczaco glowa, powoli i zdecydowanie. Ciemne loki zafalowaly wokol buzi jak serduszko.**

**–Gdzie sa twoi rodzice? Na pewno cie szukaja. Pamietasz, jak sie nazywasz i gdzie mieszkasz? Zaprowadze cie do domu.**

**–Nie mam domu – powiedziala spokojnie.**

**Wstalem z lawki.**

**–Musisz gdzies mieszkac. Masz przeciez mame i tate...**

**–Ty jestes moim tata – przerwala mi.**

**Oslupialem na moment. Dziecko patrzylo na mnie wielkimi, zdumionymi oczami. Bylem pewien, ze zaraz sie rozplacze. Wzialesm gleboki oddech.**

**–Nie, kochanie, nie jestem twoim ojcem. Przyjrzyj mi sie. Mam skrzydla, jestem aniolem. Anioły nie maja dzieci.**

**–Nie wierzysz mi – szepnela dziewczynka. Juz zaczela jej sie trzasc broda. – Jestes moim tatusiem, przyszlam do ciebie, a ty mi nie wierzysz...**

**–Dziecko – powiedzialem. – Nie jestem ani twoim, ani niczym tatusiem. I nigdy nie bede. Anioły nie maja coreczek, nawet takich slicznych jak ty.**

**Lzy poplynely po bladych policzkach dziewczynki.**

**–Ale to prawda – chlipnela. – Ja nie klamie...**

**Opuscila glowe. Stala przede mna, zgnebiona i zawiedziona, a ja poczulem straszny zal, ze nigdy nie bede mial takiego dziecka. To byla tak bolesna niesprawiedliwosc, az zabraklo mi tchu.**

**Mala podniosla ku mnie jasne, zaplakane oczy.**

**–Fidelis spi – powiedziala. – Fidelis sie nie obudzil.**

**Spojrzałem na smoka. Spal skulony, obok kosza na smieci, dlugi pysk opieral na skrzyzowanych lapach. Fidelis, ktorego budzi odglos wyrzucanego peta! Moj nieufny, wierny smok!**

**–Uwazaj, tatusiu, dobrze? – powiedziala dziewczynka. – I prosze cie, uwierz mi. Jeszcze do ciebie przyjde.**

**Odwrocila sie i pobiegla w glab sali.**

**–Poczekaj – zawolalem. – Wroc!**

**Ale bylo juz za pozno. Mala znikla. W hali dworca zrobilo sie cicho i pusto. Dawalo sie slyszec tylko chrapanie jakiegos pijaka, który spal pare lawek dalej.**

**Usiadlem z powrotem na swojej. Dawno nie czulem sie taki rozbity. Wizyta tej malej wytracila mnie z rownowagi. Skad sie wziala? Dlaczego przyszla akurat do mnie, z tym nierealnym pomyslem, ze moze byc jej ojcem. Przeciez nie byla snem. Jestem pewien, ze nie spie.**

**Dopiero po chwili zaczalem sie zastanawiac, skad znala imie mojego smoka.**

**\*\*\***

**Niedaleko Bramy Tysiaca Slonc, na samym niemal skraju Limbo, znajduje sie knajpa, brudna i rozpustna, ironicznie zwana Pod Setka Ksiezycow. Podaja tu cierpkie, zle wino oraz dziwny trunek, cuchnacy ziolami i magia podejrzanego pochodzenia, powszechnie znany jako Smocza Krew. Nieprzyzwyczajonego klienta juz pierwszy kielich potrafi zwalic z nog. W powietrzu unosi sie zapach skwasnialego moszczu, a skapo ubrane demonice, o chciwych, chorych oczach, roznosza dzbany oraz falszywe obietnice infernalnych i rajskich rozkoszy.**

**Przychodza tu bywalcy ze wszystkich poziomow: Otchlani, Krolestwa, Ziemi i Sfer Poza Czasem. Tworza dziwaczna, niespojna mieszanine istot niemajacych z soba nic wspolnego, a czesto jawnie sobie wrogich, polaczonych jedynie pragnieniem zaspokajania potrzeb. Kieruja nimi najprostsze, prymitywne odruchy lub inne, gleboko ukryte i smutne, ktorzych istnienia nie zdradzaja nikomu badz sami nie zdaja sobie z nich sprawy.**

**\*\*\***

**Nieopodal wznosza sie dumne wiezaje Bramy Tysiaca Slonc, tymczasem Pod Setka Ksiezycow wszystko jest krzywe, brzydkie, swiecace tandetnym blaskiem odbitego swiatla, jak garsc satelitow. Goscie tona w odmetach taniego cienkusza i Smoczej Krwi, by potem, wspierajac swoje obsesje na ramionach szynkarek, chwiejnie podazac do pokoi na pietrze.**

**Knajpa Pod Setka Ksiezycow jest doskonalem, alegorycznym obrazem calego Limbo, miejsca na pograniczu Swiatow, ktore nie nalezy do nikogo i do ktorego nikt nie czuje sie przynalezny. W Limbo mozna pragnac wszystkiego i marzyc o wszystkim, ale nigdy nie nalezy spodziewac sie spelnienia. Zamiast tysiaca slonc otrzymuje sie sto ksiezycow.**

Malachiasz krzyl nerwowo po izbie, co chwila wstrzasajac skrzydlami. Byla to oznaka zarowno niepokoju, jak i irytacji. Obie te emocje szarpaly teraz sercem starego aniola. Westchnal gleboko i szepnal:

–Arielu, jak mogles to zrobic?

Biedny Malachiasz nigdy nie potrafil pojac przyczyn krnabrności i wybrykow swojego wychowanka. Owszem, mlode anioly z Pierwszego Nieba czesto przysparzaly mniejszych lub wiekszych klopotow, ale ten przekraczal wszelkie normy! Ostatnio jego nieposluszenstwo nabralo cech jawnego szalenstwa. Dawno juz przestal uczestniczyc w zajeciach, sypiac w kwaterach Domu Dziewiatego. Widywano go, odurzonego jakimis diabelskimi miksturami, w towarzystwie roznych podejrzanych kreatur, a szczegolnie tego maga i alchemika Algiviusa. A wieczne burdy, wszczynanie bijatyk, wloczenie sie po Limbo, kto wie, moze i samej Otchlani, rozpusta i pijanstwo w tym gniezdzie zarazy, plugawym szynku Pod Setka Ksiezycow! Coz z tego, ze wiekszosc slug Krolestwa potrzebuje czasami oddechu, niektorym zas zdarza sie zboczyc odrobine z wlasciwej sciezki?

Oczywiscie, nie mozna tego pochwalac, ale w koncu wszyscy jestesmy slabi. Nawet wielcy Swietlisci z Piatego i Szostego Kregu. Powiadaja, ze w Limbo i Przedpieklu wybudowano dla nich specjalne, zamkniete dzielnice, kapiace od bogactw i obfite we wszelkie uciechy, chociaz to z pewnoscia jedynie obrzydliwe plotki. Wstretna, bezpodstawna potwarza musi byc rozpowszechnione przekonanie, ze Swietlisci bawia tam w towarzystwie panow z najnizszych kregow Otchlani. Jakie podle jezyki mogly wymyslic podobne bzdury! Oczywiscie wiadomo, ze Synowie Niebios wymykaja sie czasem na Ziemie, do Limbo lub Stref Poza Czasem, aby odpoczac od surowych rygorow Krolestwa, tak przeciez bylo zawsze i nikt sie temu nie dziwil. Ale, na Jasnosc, nigdy tak jawnie! Tak bezczelnie jak Ariel wlasnie!

Malachiasz nie mogl zrozumiec regul nowego porzadku, jaki panowal w dzisiejszym Krolestwie. Za czasow jego mlodosci zadnemu aniolowi, oprócz najwyzszych Swietlistych, nawet do glowy nie przyszlo, zeby bez wyraznego nakazu przejsc przez jedna z tysiacu bram i znalezc sie w Limbo, a juz to, co wiazalo sie z Otchlania, mialo wydzwiek przerazajacy i nieczysty. Tymczasem teraz anioly wszystkich stanow blakajace sie po Ziemi Niczyjej i samym Przedpieklu, przesiadujace w szynkach i zadajace sie z demonami wcale nie naleza do rzadkosci. Czy ktos widywal dawniej anioly w szynku? Azdiasz mial racje. Koniec Czasow zbliza sie milowymi krokami!

A teraz ta sprawa z Arielem! Malachiasz westchnal. W gruncie rzeczy Ariel jest dobry, ale krnabrny i prawdopodobnie szalony. Nie ma w nim nawet odrobiny skruchy czy zalu. Zawsze byl taki. Ilez to razy surowy Azdiasz, poprzedni przelozony Domu Dziewiatego przy Bramie Tysiacu Slonc, staral sie skruszyc serce i opor Ariela

karami i postami, wszystko na darmo! Co prawda Malachiasz w glebi duszy uważał, że Azdiasz źle postępuje z Arielem, a w każdym razie zdecydowanie zbyt surowo. Kto słyszał, żeby starszy anioł skazywał młodszego na chłostę, w dodatku publiczną, lub na wielogodzinne kleczenie z podniesionymi rękami. I to tak dumnego anioła, o trudnym charakterze. Malachiasz przypomniał sobie lodowaty błękit oczu Ariela, który stał pod przegierzem na środku dziedzinca, i przeszedł go dreszcz. Najczęściej kończyło się tak, że Ariel mdlał, a Malachiasz zebrał u Azdiasza o skroceniu kary. Kiedy wreszcie Azdiasz odfrunął na Błękitne Łany i Malachiasz został nowym przełożonym Dziewiątego Domu, było już za późno. Łamana po wielokroć dusza anioła Ariela zrosła się w twardego glaz, którego nie udawało się rozlupać ani delikatnością, ani siłą. Malachiasz westchnął znowu. Miał słabość do tego szalonego anioła, a przy tym czuł się winny, że w imię posłuszeństwa Azdiaszowi pozwalał traktować go tak ostro. Gdyby w odpowiednim czasie umiejętnie nim pokierować, Ariel mógłby zrobić zawrotną karierę. Kto wie, może sięgnąłby Czwartego, a z pomocą Jasności, choćby i Piątego Nieba? A teraz wszystko legło w gruzach.

–Mea culpa – powiedział cicho Malachiasz.

Mógł już tylko czekać na przybywający Piorun Gniewu w postaci Świetlistego Piątego Kregu – Abdiela.

\*\*\*

Abdiel, przekraczając próg Domu Dziewiątego w Pierwszym Kregu, skrzywił się nieznacznie, lecz zauważalnie. Chłodno odpowiedział na pozdrowienie Malachiasza, obrzucając starego anioła i jego skromną kwaterę wzrokiem pełnym nieskrywanej pogardy. Pomieszczenie wydawało mu się biedne i ciemne, a sam Malachiasz toporny i wyrafinowany jak kolek w płocie. Na Jasność, co za głęboka prowincja! Skrajny Krag, położony tuż przy granicy z Limbo, siedlisko holoty, głupoty i niedzy. Trudno się dziwić, że dzieją się tu rzeczy godne ubolewania. Tutejsze anioły mają w sobie więcej z demonów Otchłani niż Panowie z Glebin. Tamci przynajmniej są dobrze urodzeni. Abdiel z lubością przypomniał sobie słynne dyskusje o zawilosciach natury moralnej i etycznej wiecznego antagonizmu między Otchłania i Królestwem, prowadzone w luksusowej willi Asmodeusza, położonej na skraju Przedpiekła, z widokiem na Jezioro Płomieni. Miał zaszczyt znaleźć się tam dwa razy, a kiedyś nawet osmielił się wyrazić swoje zdanie, czym rozbawił gości. Owszem, Mroczni są nieprzyjaciółmi, ale jak wspaniałe poziomy reprezentują! A tutaj co? Barbarzyństwo!

Abdiel złożył ściśle swoje Isniace skrzydła, jakby w obawie, że je pobrudzi, ocierając się o ścianę lub jakiś mebel i zwrócił swoją piękną, proporcjonalnie wyrzeźbioną twarz w stronę Malachiasza.

–Przełożony Domu Dziewiątego – rzekł. – Możesz już rozkazać wprowadzić winnego.



Malachiasz zbladl i zadrzaly mu rece. Gdyby Abdiel zechcial zaszczytic go spojrzeniem, prawdopodobnie zdziwilby sie. Ale mysl Swietlistego zajete byly waznym problemem. Zastanawial sie usilnie, kto jest odpowiedzialny za przydzielenie go do tej sprawy, ktora od poczatku budzila w nim gleboki wstret. I to w tak nieodpowiednim momencie, kiedy rozpoczyna sie wielkie polowanie na chimery w Cienistym Lesie! Azazel z Otchlani obiecal sprowadzic swoja slynna sfere piekielnych psow. Abdiel zamierzal porozmawiac z nim o kupnie kilku mlodych suk, by uszlachetnic wlasna hodowle. A oto laduje w tym barbarzynskim zascianku, zaplatany w niebywala historie, ktora ostatni raz zdarzyla sie w Krolestwie, Jasnosc wie kiedy! Abdiel, Swietlisty Piatego Kregu! To na pewno intryga Zebdiasza. Tylko on mogli maczac w tym skrzydla.

Abdiel poczul, jak rosnie w nim wscieklosc. Winowajca zaplacze i bedzie zebral o litosc! Ale na nic sie to zda. Zatriumfuje sprawiedliwosc!

Uniesiony slusznym gniewem Abdiel zapragnal zmiazdzyc nedznego zbrodniarza mlotem sprawiedliwosci natychmiast, w tej chwili! I moze jeszcze zdazy na drugi dzien polowania.

Obrocil sie gestem pelnym gracji i majestatu, z twarza surowa, lecz nieprzenikniona, aby przygwozdzic nedznika spojrzeniem i... zamarl w polowie ruchu.

Przed nim stal tylko podrygujacy nerwowo Malachiasz.

–Przelozony Domu Dziewiatego, czyzbys ogluchl? – spiewnie zasyczal Abdiel. – Kazalem wprowadzic winowajce. Gdziez on jest, na Glebie?!

Nieszczesny Malachiasz poruszył wargami, wydajac jakis nieartykulowany dzwiek. W jego duszy trwala straszliwa batalia. Coz mial odpowiedziec Swietlistemu? Ze nie wie, gdzie jest Ariel, co w sumie bylo prawda, czy ze podsadny znajduje sie wlasnie w knajpie Pod Setka Ksiezycow, o czym byl calkowicie przekonany.

–Panie – zaczal wreszcie. – Ja zaraz...

Abdiel zmruzył oczy. Jego twarz zrobila sie mala i zla.

–Uciekl ci? Pozwoliles mu uciec?

Malachiasz zapragnal natychmiast obrocic sie w proch i odrodzic jako chrabaszcz lub liszka. Nie nakazal zamykac ani zwiazywac Ariela. Zaufal mu, nie spodziewajac sie, ze ucieknie, zostawivszy go na pastwe wscieklosci Swietlistego. Ostra szpilka smutku przeszyla serce Przelozonego Domu Dziewiatego. W tym momencie, z cichym szumem lotek, kanciasta, chuda postac wyladowala na dziedzincu, u wejścia do kwatery Malachiasza. Przybyly aniol zlozył skrzydla i wszedl bez pytania do

srodka. Abdiel natychmiast zauwazyl, z mieszanina nienawisci i furii, ze jest przynajmniej o pol glowy wyzszy od niego! A jego skrzydla! Na Jasnosc, ten aniol nizszej rangi osmielil sie miec najpiekniejsze skrzydla, jakie Abdiel kiedykolwiek widzial. Przy nich jego wlasne, choc zlote i lsniace, wygladaly, jakby pozyczyl je od kury. Piora przybysza mialy ciemny stalowy kolor, niby burzowe chmury, z glebokim teczowym polyskiem. Lotki zalamywaly swiatlo blekitno i fioletowo, a wdziecznie wygiete ku gorze krawedzie siegaly wysoko ponad glowe.

Na te wlasnie glowe Abdiel postanowil zrzucic wszystkie plagi egipskie i czterech Jezdcow Apokalipsy naraz.

Tymczasem Ariel sklonil sie lekko Malachiaszowi, ignorujac calkowicie Abdiela i tonem, w ktorym pobrzmiwaly wyraznie nuty kpiny, zapytal:

–Czyzby ten Swietlisty zgubil kogos, Przelozony Dziewiatego Domu?

Malachiasz kompletnie stracil glowe.

–To jest Abdiel – wyjakał. – Przyjechal cie osadzić...

Urwal nagle, zrozumiawszy, jaka zniewage wyrzadzil wyslannikowi Piatego Kregu. Swietlisty byl blad jak gromnica i oddychal szybko.

–To znaczy, Panie... – rozpaczliwie poprawial sie Malachiasz – oto Ariel, aniol Pierwszego Kregu, ktorego sprawe przybyles rozpatrzyc... raczyles przybyc, aby laskawie rozpatrzyc...

Malachiasz umilkl. Nic gorszego nie moglo sie chyba wydarzyc. Jak ciezko doswiadczasz, Panie, slugi Twoje.

\*\*\*

Wysilkiem woli Abdiel opanowal sie. Jego kamienna i sucha twarz starala sie przybrac wyraz pelnej ubolewania lagodnosc, ale wbite w Ariela zrenice przypominaly oczy gada. Ogladaly aniola Pierwszego Kregu uwaznie, nienawistnie. Wysoki wzrost sprawial, ze szczupla postac Ariela wydawala sie wrecz chuda. Jednak nie mial w sobie nic z ekstatycznej, watlej kruchosci aniolow Siodmego Nieba. Byl kanciasty i koscisty. Sylwetka i fizjonomia znamionowaly zdecydowany charakter, bystra inteligencje i ani sladu pokory. Ariel mial twarz pociagla, o lekko cofnietym, ale nie miekkim podbrodku i duzych ustach z gleboko zacietymi kacnikami. Co prawda, nosil wlosy dlugie do ramion, wedlug zwyczaju, lecz proste, tak ciemne, az niemal czarne, opadajace swobodnie na wysokie czolo. Konce kosmykow wpadaly mu do oczu, wiec Ariel odgarnial je do tylu charakterystycznym ruchem suchej, silnej dloni. Oczy, kolejny punkt nienawistnej zazdrosci Abdiela, aniol Pierwszego Kregu mial rownie niezwykle, co skrzydla. Duze, gleboko osadzone pod wyraznymi liniami

**brwi, oprawne w długie, ciemne rzesy, wydawały się podstępnie wykradzionymi kawkami Siodmego Nieba.**

**Bekart, doszedł do wniosku Abdiel. Zatruta krew. Czysty, promienny akt tworzenia Wszechaniola Metatrona skazony jakąś mroczną myślą. Pył strzasnięty z jego potężnych skrzydeł. Widac to na pierwszy rzut oka. Bez wątpienia, bekart. Zatem posle go tam, gdzie jego miejsce. Na samo dno Glebi!**

**Oderwał wzrok od Ariela i zwrócił się do Malachiasza.**

**–Powiedziałeś, że przybyłem rozsądzić sprawę tego oto anioła Ariela, Przelozony Domu Dziewiatego, lecz coż można tu rozsądzać lub rozpatrywać – zaspiewał modulowanym głosem. – Czy wszystko nie jest aż nadto jasne? Mogę tylko wyrazić głębokie ubolewanie i to właśnie czynię.**

**Świetlisty, z wyrazem bólesci na twarzy, pochylił lekko głowę, potraszając kaskadą złotych loków. Obaj pozostali aniołowie milczeli. Malachiasz wbił wzrok w posadzkę.**

**–Arielu, aniele Dziewiatego Domu, pytam cie, czy prawda jest to, co doszło naszych uszu, czyś złamał obyczaje i nakazy ustanowione przez samą jasność, czy naprawdę sprzeciwiasz się jego woli? – Głos Abdiela brzmiał teraz jak pogrzebowy dzwon.**

**–Nie wiem, co jest wola Pana, a co nią nie jest – odpowiedział spokojnie Ariel. – Ale jeśli chodzi o człowieka, którego kazaliscie mi otaczać opieką, to nie mam zamiaru tego robić.**

**–Osmielasz się odmawiać? Jakim prawem! Twoim obowiązkiem jest pokora wobec przelozonych, a powinnością, choćby i ciężką, lecz jakże słodką, ufne przyjmowanie ich wyroków i decyzji.**

**–Nie odczuwam żadnej słodyczy, poddając się rozkazom sprzecznym z moim sumieniem.**

**–Sprzecznym z sumieniem? Od kiedy opieka nad ludźmi, pomaganie im w ciężkich chwilach, wskazywanie właściwej ścieżki i śledzenie dróg ich rozwoju duchowego w świetle i miłości są sprzeczne z sumieniem?**

**W oczach Ariela zapłonęły groźne błyski. Jego głos wciąż był spokojny, chociaż palce zadrgały lekko, jakby dłonie miały zacisnąć się w pięści.**

**–Człowiek, którego przydzieliliście mi w swej szczodrobliwosci, to podły, brudny smiec, fałszywy kabotyn, bez śladu przyzwoitosci, opętany żądzą, władzy i chciwoscia. Mierzi mnie. Obrzydzenie jest jedynym uczuciem, jakie mogę do niego żywić. Nie potrafię i nie chcę nigdzie go prowadzić ani śledzić dróg, którymi chodzi.**

**Abdiel zalamal rece wystudowanym gestem.**

**–Aniele Arielu! Twój czyn jest już wystarczająco zuchwały, lecz twoje słowa są szalone! Od eonów żaden anioł nie odmówił świętego i szlachetnego obowiązku przewodnictwa. Czy zgubne wpływy wynikające z bliskości Otchłani zatruty ci dusze? Aniele Arielu, a gdzie twoje posłuszeństwo? Gdzie miłość? Czy nie ma w tobie ani odrobiny miłości, tego najpiękniejszego uczucia, stanowiącego cząstkę Pana w nas wszystkich?**

**Na te słowa Ariel pobałdł i zacisnął mocno usta. Malachiasz spojrział w zimne, jadowite oczy Abdiela i pojął, że nie ma najmniejszego ratunku dla jego krnąbrnego wychowanka. Świetlisty twardo i z premedytacją spycha go w Glebi. Abdiel pochylił się ku Arielowi, sciszył głos.**

**–Powiadasz, że człowiek ten jest zły. Ale czy masz prawo tak mówić? Czy ty sam, anioł, nie nurzasz się w brudnej rozpuszcie, nie nadużywasz trunków, nie zadajesz się z demonami? Czyżbyś uważał się za dobrego, za lepszego od tamtego człowieka, meza, ojca, sumiennego, statecznego obywatela, gorliwego wyznawcy Pana? Jak zatem, sam siebie nazwiesz, Arielu? Co toba kieruje? Dobro? Czy raczej zaślepienie, buta i pycha, cechy pomiotu szatanskiego, a nie czystego ziarna aniołów Pana?**

**Twarz Ariela zrobiła się biała i straszna. Nie raz dawały się słyszeć w okolicy Bramy Tysiąca Słońc pogłoski o jego mieszanym pochodzeniu. Ciemne włosy, ciemne skrzydła, blada cera, która jakby nie знаła słońca, no i ten charakter! Czasami nawet sam Malachiasz podejrzewał, że Ariel ma w żyłach kilka kropli krwi rodem z Glebi. W każdej chwili nieprzerwane słowa Wszechaniola Metatrona, przenikające całe Królestwo, powołują do życia nowych aniołów. Zdarza się jednak, że w nieustanny, pochwalny hymn któremus z potężnych Mrocznych uda się wtrącić fałszywą nutę. Urodzone w tym momencie anioły noszą w sobie piętno Glebi, ale w żadnym wypadku nie jest to ich wina. Abdiel postępował podle, wypominając Arielowi jego rzekome pochodzenie.**

**–Zastanów się przeto, aniele Dziewiątego Domu – grzmiał dalej Świetlisty – co stanie się z aniołem, który utraci uczciwość, miłość, poczucie obowiązku, posłuszeństwo względem nakazów Panskich, cnotę, czystość, wierność i ubóstwo? Dokąd zaprowadzi go taka droga?**

**–Przypuszczam, że wprost do luksusów Piątego Kregu, o czym przekonują liczne przykłady – powiedział Ariel.**

**Świetlisty cofnął się gwałtownie. Jego zrenice rozszerzyły się ze zdumienia, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. A potem, kiedy potworność obelgi w całej pełni dotarła do niego, objawił się Piorun Gniewu.**

**Abdiel przemienił się w ryczący słup ognia, który momentalnie napelnił kwatere Malachiasza nieznośnym zarem i ogluszającym hałasem. Uczynione z płomieni usta posłanca Piątego Nieba rozwarły się i głos, niby padające glazy, zawył z wściekłością:**

**–Nedźny śmieciu... któryś się osmielił... znieważyc... GIN!!!**

**Ze środka pozogi wysunęła się płomienna reka, z jej palców wystrzelił słup ognia, uderzając wprost w Ariela. Anioł Pierwszego Kregu zachwiał się i upadł. Nawet jeśli krzyknął, to jego głos utonął w przerażającym ryku płomienia.**

**\*\*\***

**Ciemność i ból, które nie mają ani ram, ani siedliska. Jakies niewyraźne cienie stoją w mroku, na samej granicy postrzegania. Nic, tylko ból i ciemność. Nie sposób doświadczać czegoś podobnego, jakże więc to się dzieje? W czerni poza czasem coś się porusza. Cienie i postaci. Polnagie, kalekie anioły śmieją się. Ich śmiech brzmi w udreżonej głowie brzęczeniem much, spotęgowanym tysiącnym echem. Jakis kształt przysuwa się blisko. Eksplozja bólu w piersi, kiedy wgryza się i drze pazurami, żeby wydobyć serce. Wreszcie wyrywa je, okrwawione i potrząsa triumfalnie. Śmiechy, hałasy. Tylko ciemność i ból.**

**\*\*\***

**Pokryta plamami wotrobianymi dłoni Malachiasza uniosła się niepewnie, żeby dotknąć włosów rannego, ale zaraz opadła. Myśli przelozonego Dziewiątego Domu były gorzkie. Do jakich strasznych rzeczy dochodzi w Królestwie. Anioł morduje anioła. Świetlisty czyni zło, okazuje małość i podłość. Czyżbys odwrócił Swoje oczy od Nieba, Panie nasz?**

**Malachiasz westchnął. Zapragnął gorąco, jak nigdy dotąd, otrzymać wreszcie powołanie na Blogosławione Lany.**

**Okrutnym gniewem uniosł się Abdiel, Świetlisty Piątego Kregu. I w tym gniewie uczynił coś niegodnego swojej pozycji, za co groziłyby mu poważne konsekwencje, gdyby sprawa wyszła na jaw.**

**Abdiel był pewien, że zabił Ariela. Jego płomienny młot nie chybiał nigdy. A zabicie anioła, choćby tylko Pierwszego Nieba, nie jest to pozbawienie życia któregoś z demonów włączających się po Limbo. W dodatku fatalny incydent miał miejsce na terenie Królestwa! Poza tym dotyczył anioła, którego przybył osadzić w majestacie prawa. Co za potworny pech!**

**Abdiel, gdy poczuł, że jego kariera jest zagrożona, postanowił zrobić wszystko, żeby sprawę zatuszować. Wspólnie z Malachiaszem ustalili, może nieco ryzykowny,**

ale prawdopodobny przebieg wydarzen. Ariel, przestraszony konsekwencjami swego nieposluszenstwa, wyrwal sie strazy i probowal uciec. Widzac to, Abdiel poslal za nim swoj piorun, aby go zatrzymac. Jednak przerazony Ariel wykonal nieoczekiwany zwrot i plomien go porazil. Coz za przykry wypadek! Ale jak radykalnie zalatwia problemy zarowno zwierzchnosci, jak i Abdiela. Wraz ze zniknieciem Ariela znikaja wszystkie klopoty. Oczywiscie pozostawal problem z cialem, ktore piorun powinien spalic na popiol, ale tym obiecal zajac sie Malachiasz. Caly projekt pochodził od Swietlistego, a przelozony Domu Dziewiatego przystal nan ochoczo, modlac sie w duchu, zeby Abdiel nie zechcial sprawdzic, jak zakonczyla sie cala sprawa. Ariel bowiem, chociaz ciezko ranny, przezył, za co Malachiasz przysiagl dziekowac Panu z kazdym swoim oddechem.

\*\*\*

–Arielu – mowi Malachiasz. – Musisz stad odejsc. Nikt nie moze cie zobaczyc. Przeciez nie zyjesz. Tylko w ten sposob udalo mi sie ciebie ocalic. Ariel, ktory wyglada jak suchy kij, patrzy w twarz przelozonego Domu Dziewiatego. Jego oczy blyszcza od goraczki, ale sa chlodne niczym staw w marcu.

–Chlopcze, ja ciebie nie wypedzam. Musisz zrozumiec, ze wiecej nie moglem zrobic.

Milczenie pelne zimnego blekitu.

Glos Malachiasza lamie sie lekko.

–Masz racje, wiecej nie potrafilem zrobic. Jestem winien, zle postepowalem wzgledem ciebie, ale na litosc Pana, nie mozesz tak odejsc bez slowa! Nie wierze, ze nie ma w tobie zadnych uczuc!

Ariel porusza lekko skrzydlami. Mowi bez gniewu, bez emocji:

–Uczucia skutecznie wytlukl ze mnie Azdiasz, nie pamietam, jak dawno temu. Nie, nie odejde bez slowa, Malachiaszu. Zegnaj.

Stary aniol zamyka oczy w poczuciu kleski. Slowa modlitwy, ktore probuje bezglosnie wypowiedziec, sa jalowe, pozbawione znaczenia.

Nie spodziewa sie mocnego uscisku koscistych ramion i szorstkiego dotyku bandazy, jaki nagle czuje. Nie rozumie przyczyn swojej naglej ulgi i ufnosci. Ogarnia go fala wzruszenia. Panie Jasnosci, mysli, strzez go od zlego, a jego modlitwa znow jest pelna sily.

To wszystko trwa krocej niz poruszenie skrzydlem. Uscisk rozluznia sie i Malachiasz patrzy na odchodzacego Ariela bez nadziei, ze go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

\*\*\*

Dzielnica otwiera się przede mną jak rana, a światło, niby krew rozlewa się szerokimi strugami ulic. Każda z nich prowadzi w duszną glebę któregoś z grzechów głównych, jak powiedziałby Algivius. Mijam bar szybkiej obsługi. Wiele usług proponuje się tu tanio i szybko.

Lubie biedne dzielnice. Odpowiadają mojemu nastrojowi, choć wiem, że tu nie mam szansy znaleźć tego, czego szukam. Przynajmniej czuje się przez chwile prawie jak w Limbo. Moja pamięć przywołuje minione obrazy, a ja zamierzam jej na to pozwolić. Znowu wyciągnę na wierzch prywatne skarby ukryte w klakach brudu. Opowiem sobie własną historię milionowy raz, jako nagrodę i karę równocześnie.

\*\*\*

Szczytowy pokój w knajpie Pod Setka Księżyców jest ciemny i ciasny. Leże na łóżku, patrząc, jak rozbiera się Mroczna z Otchłani. Robi to z leniwą zmysłowością, udając, że to nie dlatego, że jej się przyglądam. Nie wiem, z którego kregu pochodzi, ale przypuszczalnie położonego bardzo nisko. Jej ciało jest zbudowane jak posąg, a złote iskry przebiegające po miedzianej skorze sprawiają wrażenie, jakby odlano je z metalu. Można o niej rzec, że jest piękna, ale w ten sam sposób, w jaki odnosi się to, powiedzmy, do zmił koralowej. Kazła, mi się nazywać Lilith, naturalnie. Spotykamy się nie pierwszy raz. Zastanawiam się, co mnie w niej fascynuje. Chyba gorzki smak zakazanego owocu. Niezbyt pocieszający motyw.

Na swój sposób jest nawet miła, chociaż zabiłaby mnie, gdybym powiedział to głośno. Mroczni są bardzo czuli na punkcie swojej reputacji.

–Lilith – pytam. – Powiedz mi prawdę. Do czego ci jestem potrzebny?

Odwraca się ku mnie. Błyskają krótkie, białe kły.

–Wcale mi nie jesteś potrzebny. Czerpie z ciebie przyjemność, ale raczej bezosobowa.

–Czy to, że jestem aniołem, ma jakieś znaczenie?

Śmieje się, potrząsając długimi, rudymi włosami.

–Żebyś wiedział, jaki jesteś słodki. Bawisz mnie. Dzieciak z ciebie, Arielu. Niewinny, miłutki aniołek.

–W Królestwie gadają, że jestem bekarzem z Glebi – mówię niby od niechcienia.

–Ty? Co za numer! Nie, kotku, masz tyle wspólnego z Otchłanią, co święta

**dziewica. Przeszan opowiadać bzdury. Nie przyszłam tu na pogawedki.**

**Gdyby tylko wiedziała, jaka sprawiła mi ulgę, zaprzeczając mojemu związkowi z Glebią, wpadłaby we wściekłość. Tak to już z nimi jest. Przejmują się rola złej królowej.**

**–Słodka, słodka rudowłosa,**

**Krew zatruwasz, spokój macisz,**

**Czarem wzniesiesz pod Niebiosą,**

**Pocalunkiem w Glebie stracisz – mówię powoli.**

**Lilith zamiera w pol ruchu. Patrzy na mnie zmrużonymi ślepiami. Zbliża się do mnie i przysiadła na brzegu łóżka.**

**–Czy wiesz, dlaczego wciąż wleciesz ze sobą tego małego smoka? Żeby cię kochał. Nawet ode mnie tego oczekujesz. Patrzysz na mnie tak samo, jak on na ciebie. A to niezwykle pomnaza moja przyjemność. Uważaj, mój drogi, ja tylko biore. Dla nas z Otchłani to niesłuchanie podniecające, widzieć, że sprawiamy ból i nie spełniamy oczekiwań.**

**–Daj spokój, Lilith. Nasze stosunki są jasno określone.**

**–Oczywiście, że są – przerywa mi.**

**Widzę, co się dzieje, i nabieram czujności. Może kiedyś, dawno, miało to cechy intrygującego przeżycia, ale już nie teraz. Jej piękna twarz wyciąga się niby pysk psa.**

**–To jedyne, co mogę ci dać – krzyczy ochryple.**

**Gwałtownie skreca ciało, pochyla się ku mnie, żeby ugryźć mnie w szyję. Uchylam się w ostatniej chwili. Jej głowa zślizguje się niczym łeb kobry, a żeby uderzają mocno w mój obojczyk. Chwytam jej twarz w obie dłonie i siłą obracam ku sobie. Oczy Lilith są chore z pożądania. Ten obłęd i pragnienie nie mieszcza się w niej. Przenikają we mnie poprzez jej rece, paznokcie wbite w moje ramiona. I nie ma nic poza tą gorączkową chorobą, jak zwykle. Nie czuje się dobrze. Prawde mówiąc, chce mi się rzygać. Upadek mnie nie pociąga. Mój bunt jest szczeniacki. W gruncie rzeczy chodzi tylko o to, żeby złamać normy Królestwa, odegrać się. Czuje, że zaraz zaczęła krzyczeć. To nie może być wszystko! Czy naprawdę nie ma nic innego?**

**\*\*\***



**Wlasnie wtedy zobaczylem ja po raz pierwszy. Poprzez Lilith, przeze mnie samego pojawila sie jej twarz, cala w srebrze i perlowym blasku, jako odpowiedz na inne, bardziej przerazajace zrodlo choroby, ktora przepalala mnie na wskros.**

**\*\*\***

**Zakochalem sie smiertelnie w ziemskiej kobiecie. Nie musialem dlugo jej szukac. Po prostu zszedlem na Ziemie i dalem sie poprowadzic perlowemu blaskowi. Moj Boze, jaka byla piekna. Szla ulica, z siatka wypchana zakupami. Przez dziure w plastiku wystawal rozwichrzony leb ananasa. Ogarnelo mnie wielkie wzruszenie. Tylko Jasnoc wie, ile moich goracych, dziekczynnych lez poplynelo na brudny chodnik. Tamtego dnia plakalem po raz pierwszy w zyciu. Nawet Azdiasz bylby zbudowany zarliwoscia moich modlow. Oddalbym wszystko za to, zeby na mnie spojrzala. Ale nic z tego. Jej oczy nigdy nie spotkaja sie z moimi. Ona jest kobieta, ja – aniolem. Nie widzi mnie.**

**Bardzo szybko ochlonalem z religijnego uniesienia. W sumie nie mialem powodow do wdziecznosc. Jedyne, co moglem uczynic, to zostac jej niebieskim ochroniarzem. W koncu i tak wyladowalem na Ziemi, robiac to, czego kiedys odmowilem. Wkrotce wiedzialem o niej wszystko. Obserwowalem ja, pocieszalem, towarzyszyłem jej wszedzie.**

**Az wreszcie zwiazala sie z mezczyzna. Na Glebie, coz to byl za zalosny dupek! Nie upadlem tak nisko, zeby ich obserwowac. Moze po prostu nie potrafilbym tego zniesc? W koncu ten beznadziejny zwiazek sie rozpadl. Tamten facet od niej odszedl. Nie umial jej docenic. Nie umywal sie do niej. Moze to nie byla wylacznie jego wina, lecz jednym z moich najgoretszych pragnien pozostaje rozkwaszenie mu nosa jednym fantastycznym ciosem piesci i wbicie odlamkow kosci w sam srodek mozgu. Niekiedy to marzenie rozgrzewa mnie w zimne, samotne noce spedzane na dworcu. Wtedy Fidelis unosi leb ponad trupami zduszonych w popielniczce petow i patrzy na mnie podejrzliwie.**

**\*\*\***

**Nietrudno sie domyslic, za co przeklinam Pana kazdego ranka i o co modle sie nocami pod oschlym okiem Ksiezyca – Cyklopa. Chce zostac czlowiekiem.**

**Czas to zly staruch. W jego zebach bezustannie zgrzytaja ukradzione minuty. Dosc mam wiecznego potykania sie o wlasne modly odbite od banki milczacego nieba. Musze popelnic nastepne szalenstwo.**

**\*\*\***

**Krolestwo ma to do siebie, ze nic sie w nim nie zmienia. Te same prawa, normy, wzorce obowiazuja od eonow. Podstawa trwania Krolestwa jest jego konserwatyzm.**

Wracając, postanowiłem ominąć Bramę Tysiąca Słońc. Nie dlatego, że wiąza się z nią przykre wspomnienia. Miałem po prostu ochotę przejść przez Bramę Serafinów. Jedną z najpiękniejszych w zewnętrznej linii murów Królestwa. Niestety zapomniałem, że już rozpoczął się sezon polowań, a Brama Serafinów prowadzi do Cienistego Lasu. Podobno gryfy rozmnożyły się w tym roku nad podziw.

Goscinię prowadzący do bramy jest bury i pstrokaty od cizby próbującej wcisnąć się w wąskie gardło wrot. Tędy przebiega jeden z najważniejszych szlaków handlowych Królestwa.

\*\*\*

Dostałem się więc w klebowisko wozów wyladowanych wszelkimi dobrami, w większości żywnością, w samym środku tłumu złożonego z mieszkańców Limbo, podrzędnych demonów, aniołów niższych kregów oraz wyjątkowo szpetnych stworów ze Strefy Poza Czasem. Krok za krokiem, przy akompaniamencie beczenia owiec, sapania wołów, pokrzykiwań i przekleństw, wciskam się wreszcie w bramę. Nagle robi się gwałtowne zamieszanie, słychać ostre, wysokie głosy, wybijające się ponad szemranie tłumu, który zaczyna się ściskać i rozstępować, czyniąc szeroką przesiekę pośrodku drogi.

Zduszony w cizbie przyciskam się do ściany. Jakis gruby demon, sapiąc z przejęcia, wbija mi swój luskowaty pysk w zęba. W ustach mam pełno pierza ze skrzydeł stojącego przede mną anioła. Chyba tylko swojemu pechowi zawdzięczam, że któremś z Wyzszych Świetlistych akurat teraz zachciało się zabawy w polowanie. Graja rogi, orszak sunie przez bramę. Zdenerwowane psy, warcząc, wrywają się psiarczykom, płoszą zwierzęta przy wozach. Powstaje jeszcze większe zamieszanie i ścisk. Któryś z wozów, ciągnięty przez parę wołów, niespodziewanie wbija się w środek przesieki, skutecznie zagrażając drodze. Gniewne rozkazy, świst biczów i jekliwy oddech tłumu. Szerokie piersi rumaków, kierowane twardą ręką jeźdźców, napierają na bezładną cizbę. Morda grubego demona, wbita w mój bok, miażdży mi zęba. Bezskutecznie próbuje wypluć piora pochodzące ze skrzydeł anioła obok, kiedy daje się słyszeć głuchy trzask pekającego drewna. To rozpada się jeden z kilku szczepionych ze sobą wozów. Przechylił się na bok, a ładunek wysypał się pod nogi rumaków. Dwa, nagle spłaszczone, stają deba, a kopyto jednego z nich przypadkiem trafia w brzuch lewego z pary zaprzegowych wołów, który ciężkim truchtem rzuca się do ucieczki, ciągnąc za sobą spiętego jarzmem towarzysza i wóz. Ponad gwar wybijają się teraz wrzaski bólu i loskot wywracających się wozów. Tłum faluje, tłocząc się do granic wytrzymałości. Psy, których nie sposób utrzymać, powiększają zamieszanie, kasając podróżnych, psiarczyków i siebie nawzajem. Tuż obok mnie przesuwają się jasnobezowate woły, baluszac ze strachu przekrwione, łagodne oczy i wlokąc za sobą kawał złamanego dyszla, który rozdziera mi głęboko kostkę lewej nogi. Wbity w mój bok demon wydaje z siebie charkotliwe "uff". Widocznie i jemu dostało się dyszlem. Nagle stojący przede mną anioł podskakuje z jękiem i kląć,

probuje wzleciec w powietrze, objajac sie o sklepienie bramy. Jego skrzydla tluka po twarzy mnie i innych stojacych w poblizu. Liczne rece chwytaja wreszcie niefortunnego lotnika, wciagajac w cizbe, motlosza. Cale to zamieszanie jest wina nieszczesnego Fidelisa, ktory do tej pory trzymal sie dzielnie, ale stajac przed calkiem realna grozba stratowania, desperacko wgryzl sie w lydke najblizszego ciemiezyciela. Poprawia to nieco moja sytuacje. Moge swobodnie odetchnac i wypluc piora z ust. Wreszcie, dzieki cudownemu zrzadzeniu losu i szczodrze rozdzielanym razem, orszakowi Swietlistych udaje sie przebic na goscinniec. Piesi podrozni, tak predko, jak pozwalaja im odniesione obrazenia, wkraczaja do Pierwszego Kregu, zostawwszy za soba potrzaskane wozy i lamentujacych woznicow. Kulejac, przekraczam wewnetrzne wrota Bramy Serafinow. Kostka krwawi porzadnie, musze wiec usiasc na progu najblizszego domu i czymś ja przewiazac. Fidelis, skomlac cichutko, lize potluczone boki. Zdecydowanie nic nie zmienilo sie w Krolestwie, odkad je opuscilem.

\*\*\*

Mina, z jaka Malachiasz patrzy na mnie, jest tak zabawna, ze mam ochote sie rozesmiac.

–Nie boj sie, to ja, Ariel, a nie widmo, ktore przyszlo cie przeklac. – mowie.

–Ariel – szepcze Malachiasz. W jego oczach pojawiaja sie iskry radosci. – Moj chlopcze, wrociles!

Postarzal sie bardzo. Ciesze sie, ze udalo mi sie go zobaczyc, zanim odejdzie na Blekitne Lany. Malachiasz rozwiera ramiona, a ja obejmuje go naprawde serdecznie, zamykajac w uscisku jego kruche, starcze kosci.

–Niech ci sie przyjrze – mowi. – Wygladasz okropnie! Sama skora i szkielet! A teraz opowiadaj, jaka nowa bieda przywiodla cie do mnie. Arielu, jestem bardzo szczesliwy, ze cie widze, ale dobrze wiem, ze nie przychodzisz bez powodu. Co sie stalo, moj chlopcze?

Siadam wiec przy stole z surowego drewna, ktory pamietam jeszcze z dzieciinstwa, i opowiadam starem u aniolowi wszystko, niczego nie przemilczajac.

Malachiasz slucha w skupieniu, ale w miare opowiadania twarz mu sie sciaga.

–Malachiaszu – mowie wreszcie. – Co ja mam zrobic?

Potrzasa glowa ze smutkiem.

–Nie wiem. Od niepamietnych czasow nie slyszano, zeby jakis smiertelny chociazby widzial aniola materialnego tak samo jak on. A co tu mowic o zwiazku!

**–Ale w Ksiedze, Malachiaszu, napisano przeciez, ze synowie Niebios zstapili na Ziemi i pojei smiertelne kobiety za zony. Sugerujesz, ze Pismo klamie?**

**Moj wychowawca usmiecha sie niewesolo.**

**–Oczywiscie, ze to jest mozliwe, a Ksiega nie klamie nigdy. Tylko nikt z nas, z wyjatkiem Pana, nie potrafi nic w tej sprawie zrobic. Bez pomocy Panskiej ani anioły, ani demony nie moga objawic sie na Ziemi materialnie, Arielu.**

**–A Nieprzyjaciel? Czy nie jest opetany obsesja poczecia syna z Ziemiańska?**

**–Bez watpienia, ale jak dotad nic mu z tego nie wychodzi.**

**–Jednak proby trwaja – mowie cicho do siebie. Malachiasz, oburzony, gniewnie wstrzasa skrzydlami.**

**–No coz, jesli chodzi ci tylko o to, zeby ja posiasc...**

**–Nie chodzi mi tylko o to, Malachiaszu. Zakochalem sie. Naprawde nic nie da sie zrobic?**

**Malachiasz patrzy mi w oczy, cieplo, uwaznie.**

**–Modl sie – mowi.**

**Zaciskam zeby.**

**–Czy nie rozumiesz, ze minely juz lata, odkad codziennie...**

**–Modl sie, Arielu – przerywa mi. – W glebi duszy jestes dobry, czuje to, chociaz nigdy nie umialem za toba nadazyc. Wierze, ze postepujesz slusznie. Pan cie wyslucha. Nie ma najmniejszych watpliwosci, ze to Jego reka pchnela cie na te droge.**

**Twarz Malachiasza jest jasna i spokojna. Nagle zdaje sobie sprawe, ze on naprawde wierzy w to, co powiedzial.**

**–Kiedy tu szedlem – zaczynam powoli – myslalem, ze mnie wysmiejesz, uznasz za szalenca. Nie sadzilem, ze mi uwierzysz. Wybacz mi, jestem glupcem.**

**Usmiech, ktory pojawia sie na twarzy starego aniola, wydaje sie odrobine poblazliwy.**

**–Arielu – swoja nieustanna nieufnoscia i podejrziwoscia przypominasz Fidelisa. Tylko ze to nie zawsze jest potrzebne.**

Ulice sa ciemne i wymarłe. Słychac tylko moje kroki. Dom, do ktorego zmierzam, znajduje sie za następnym rogiem. Jest niewielki i nieco zaniedbany. Mieszka w nim Algivius, alchemik i mag, jedyny przyjaciel, jakiego posiadam w Otchlani. Co prawda jego posesja miesci sie w samym zewnetrznym Kregu, najplytszym, graniczacym z Przedpieklem, ale jego slawa siega zarowno do Najglebszej Glebi, jak i do Siodmego Nieba. Algivius twierdzi, ze nie lubi popularnosci, a ceni spokoj niezbedny do pracy, ale prawde mowiac, po prostu nie cierpi zadawac sie z Mrocznymi. Jesli chodzi o mnie, uwazam, ze postepuje slusnie. Swietlisci z Krolestwa i Mroczni z Glebi sa warci siebie nawzajem.

Na moj widok Algivius okazuje znacznie mniej zdumienia i wzruszenia niz Malachiasz, ale znam go na tyle dobrze, zeby wiedziec, iz cieszy go moja wizyta. W bystrych, przenikliwych oczach zapala sie przyjazny ognek.

–Coz ja widze, aniol! Czyzby Pan wybaczył wreszcie czarnoksieznikom? A moze przychodzisz mnie nawracac? O swieta gorliwosci, chyle przed toba czolo!

Na co dzien Algivius nosi nieco meczaca maske cynika, choc trzeba przyznac, ze robi to z wdziakiem.

–Wprost przeciwnie – mowie, siadajac na wysokim, rzezbionym krzesle w jego pracowni. – Przychodze spisac z toba pakt i zaprzedac moja anielska dusze. A w sprawie czarnoksieznikow, z tego, co mi wiadomo, Pan ostatnio nie mial nic do powiedzenia.

–Pan nie mial nic do powiedzenia w zadnej sprawie od dobrych setek lat – mruczy Algivius. – I to jest naprawde niepokojujace. A co do zastawiania duszy, to radzilbym to dobrze przemyslec. Marnie wygladasz. Moglbys zrobic bardzo kiepski interes. Jestes bladny jak widmo i oczy masz podkrazone.. To na pewno poczatkami anemii. Gdybys zechcial wypijac codziennie nieco odwaru z kilku ziol...

–Algiviusie – przerywam mu. – Ja mowilem zupełnie serio.

Alchemik przypatruje mi sie przenikliwie, powaznieje. Jest czarnoksieznikiem i telepata. Zastanawiam sie, ile wie, a on prawdopodobnie probuje oszacowac, jaka czesc prawdy udaje mi sie przed nim ukryc.

–No coz, prosze, mow, co cie sprowadza, Arielu – zagaja. – Poczekaj jednak, az usiade, bo magiczna intuicja podpowiada mi, ze twój problem moze mnie zwalic z nog.

Czekam, az zajmie miejsce naprzeciw mnie za ogromnym stolem zawalonym rekopisami i przeroznym czarodziejskim oprzyrzadowaniem. Algivius nie uzywa ani

**jednej z tych rzeczy, lecz mimo swoich publicznych deklaracji lubi robić na klientach wrażenie.**

**–Nie mogę już dłużej być aniołem – zaczynam. – Muszę zostać człowiekiem.**

**–"Nie mogę", "muszę". – Algivius mruży oczy. – Zamień te słowa po prostu na "chcę". Tak będzie uczciwiej.**

**–W porządku, niech będzie "chcę". Potrafisz mi pomóc?**

**–Nie.**

**–Nie umiesz, czy nie masz ochoty?**

**–Jedno i drugie. Z toba jest gorzej, niż się spodziewałem. Dużo gorzej.**

**–Nie potrzebuje twojej diagnozy. Chcę tylko wiedzieć, czy to możliwe.**

**–Nie. Poza tym to czyste szalenstwo.**

**–Bez wątplenia, ale także wyjątkowy popis sztuki magicznej. Jeśli ty nie chcesz, może znasz kogoś, kto by się tego podjął. Naprawdę zgodzę się zaprzedać w zamian. Po mojej ziemskiej śmierci Glebia będzie miała prawo zrobić ze mną, co zechce. Pochodzę zaledwie z Pierwszego Kregu, ale jestem pełnoprawnym aniołem czystej krwi i moje odstępstwo na rzecz Otchłani narobiłoby dużo szumu, a Mrocznym dało sporo profitów i satysfakcji.**

**–Nie chcesz sprzedać niczego nowego, Arielu – przerywa mi Algivius. – Jedna trzecia najprzedniejszych Świetlistych postąpiła kiedyś podobnie.**

**–Nieżyły kawał czasu temu, nie zapominaj o tym. W razie czego jestem gotów odgrzebać te historie z Abdielem. To kompromitacja dla Nieba, Algiviusie. Skandal daby Glebi okazał się do zdobycia kilku punktów przewagi. Wyobrazasz sobie lepszy interes dla Mrocznych? Przy tym spada im prosto z Nieba!**

**Na twarzy Algiviusa nie widać najmniejszych śladów euforii.**

**–Masz rację, dla Glebi to transakcja nie do pogardzenia. Dlatego nie mów o tym nikomu poza mną. Pierwszy z brzegu Mroczny oszuka cię i wykorzysta, nie dając nic w zamian. Nie ma żadnej możliwości, żeby przemienić anioła w śmiertelnika i odwrotnie. W każdym razie w Otchłani nikt takiego sposobu nie zna. Zdaje sobie sprawę, że podejrzewasz mnie o kłamstwo, ale mylisz się. Mówię prawdę, Arielu. Jedynym, który umiałby to zrobić, jest Pan, bo on może wszystko, a ludzie są jego specjalną zabawką.**

**Tym razem Algivius sie myli. Wierze gleboko w jego slowa, chociaz spodziewalem sie innej odpowiedzi.**

**–Jednym slowem radzisz mi to samo, co Malachiasz. Pasc na kolana i wznovic modly?**

**–Nie. Radze ci, bys dal sobie z tym spokoj. Co sie z toba dzieje? Zachowujesz sie, jakbys naprawde zwariowal.**

**–Nie dziw sie. Wiekszosc zycia spedzilem w Krolestwie. To wystarczy.**

**–Czegos tu nie rozumiem. Po jaka cholere chcesz zostac czlowiekiem, Arielu? Przeciez to idiotyzm.**

**–Marny z ciebie mag, jesli sie nie domyslasz. Twoja reputacja jest grubo przesadzona.**

**–Nie moge uwierzyc w to, co mowisz. Musisz cos jeszcze ukrywac.**

**Algivius patrzy na mnie uwaznie, starajac sie przeniknac najskrytsze mysli.**

**–No nie! – jeczy nagle. – Zakochales sie w ziemskiej kobiecie. To twój jedyny powód!**

**–Czemu sie oburzasz? To nie sodomia. Sam byles czlowiekiem. Powinienes zrozumiec.**

**–No wlasnie! Bylem czlowiekiem i wiem, co mowie! Potem umarlem, zostalem potepiony i znalazlem fantastyczna robote. Dlaczego nie mogles zakochac sie w jakiejś milej anielicy?**

**–Wszystkie sa zajete przeprowadzaniem przez jezdnie staruszek.**

**–To nie jest warte takiego szalenstwa, Arielu.**

**–To jest warte kazdego szalenstwa.**

**Algivius wzdycha. Niby, od niechcienia podnosi ze sterty rupieci na stole kamien filozoficzny sluzacy mu za przycisk do papierow, obraca go w palcach.**

**–Widzisz? – pyta.**

**–Ladny – mowie.**

**–To stanowilo przedmiot moich marzen, ktoremu poswiecilem cale ziemskie zycie. Wyobrazasz sobie? Teraz moge zrobic sto takich na poczekaniu. Nie bedzie ci sie**

podobalo na Ziemi, Arielu. Te wszystkie ograniczenia...

–Tutaj mi sie nie podoba, Algiviusie. Dusze sie! Krolestwo przyprawia mnie o mdlosci. Kiedy tylko przekraczam brame, czuje, jakbym grzazl w blocie. Jego cien wlecze sie za mna jak kula u nogi. Mam zniewolony umysl. Za murami natychmiast popadam w ten namaszczony, swiatobliwy slang, co doprowadza mnie do szalu! Musze wysluchiwac rozkazow i znosic pogarde zaklamanych, sprzedajnych dworakow z piorami. Taki Abdiel uwaza sie chyba za drugiego Pana tylko dlatego, ze zostal wyposazony z urzedu w swoj cholerny superplomien.

A ja musze codziennie szczerzyc zeby i zginac kark przed banda podobnych mu dupkow, pilnujac przy tym, zeby mnie ktorys przypadkiem nie rozpozna! Furia nagle mi przechodzi. Czuje tylko znuzenie i niesmak.

–Abdiel omal mnie zabil, Algiviusie. Po prostu dlatego, ze dostal ten swoj smieszny plomienny mlotek.

–Abdiel jest niczym! – wybucha moj przyjaciel. – Ges nadeta poczuciem wlasnej wartosci! Zwyczajna gnida! Wystarczy jedno moje pstrykniecie palcami i sam zamieni sie w pochodnie. Ale ty nie pozwalasz mi go tknac!

–Lepiej spraw, zeby mu skrzydla wylysialy. Sukinsyn tego nie przezyje.

Algiviususmiecha sie.

–Jesli Krolestwo tak cie mierzi, przenies sie do Otchlani. Niezle napsujesz krwi Swietlistym.

–Powiedz mi uczciwie, prosto w oczy, ze uwazasz Glebie za lepsze miejsce niz Krolestwo, a jutro sie tu wprowadze.

Algiviusus, nagle zmieszany, podrzuca w dloni przycisk do papierow.

–To, ze narzekam na Mrocznych, o niczym jeszcze nie swiadczy. Znasz mnie, jestem wiecznym malkontentem.

–Jasne, ze cie znam. Marnie klamiesz.

–Nie dasz sie przekonac logicznym argumentom i upierasz sie przy tym chorym pomysle uzyskania czlowieczentwa?

–Musze cie zmartwic. Nigdy nie bylem bardziej zdeterminowany.

–Wobec tego zaczekaj. Ona w koncu znajdzie sie po tej stronie, pod wladza Krolestwa albo Otchlani. Dla ciebie to przeciez nie ma znaczenia.



**–Jeszcze jedno słowo i pozbierasz zeby z podłogi.**

**–Ty mówisz serio. Nie sadziłem, że tego doczekam.**

**Nie chce kłotni z Algiviusem. On po prostu martwi się o mnie. Czuje się dość paskudnie. Przymykam oczy.**

**–Zostawie ci Fidelisa, dobrze – mówie. – Opiekuj się nim. Magowi może przydać się smok, nawet jeśli jest taki mały. Doda ci prestiżu. Tylko nie próbuj przerabiać go na złoto.**

**Algivius wydaje się wstrząsnięty.**

**–Arielu, na miłość Boską – szepcze. – Nie rób tego, cokolwiek ma to być! Proszę cię, przynajmniej postaraj się myśleć logicznie. Pomysły powstałe w wyniku choroby umysłowej nie przyniosą niczego dobrego!**

**Zapomniałem o telepatycznych umiejętnościach Algiviusa. No nic, trudno. Na szczęście tylko się domyśla, co postanowiłem zrobić.**

**–Ja po niego wrócę – mówie, nie otwierając oczu. – Zostawie ci go najwyżej na kilka dni.**

**–Uważasz, że przemyślałeś to, co zamierzasz zrobić?**

**–Tak.**

**–Czy istnieje jakikolwiek sposób, żeby cię od tego odwieść?**

**–Zamien mnie w człowieka.**

**–Czy mogę cię jakos przekonać, że nie krzywdzisz Pana, ale siebie?**

**–Nie.**

**–Zabierz przynajmniej Fidelisa. Może to bydle zdziała to, czego ja nie potrafię, i przywiedzie cię do rozumu. Poza tym on nie wytrzyma nawet dnia u mnie. Zagryzie mnie, a potem zdechnie z rozpacz. Wybrales mu wyjątkowo trafne imię.**

**–Na pewno, chociaż nie świadczy specjalnie o mojej inwencji. Masz rację, nie zostawie go. Moją smok, mój kłopot.**

**Algivius sprawia wrażenie zgnębionego. Pochyliła się i klepie Fidelisa po palkowatym łbie.**

**–Skąd właściwie go wzięłaś? Już dawno miałem cię o to zapytać.**

**Uśmiecham się lekko na wspomnienie tamtego dnia.**

**–Wygrałem go. Za podbite oko i parę piór wyrwanych ze skrzydeł z mojej strony i złamana szczeka z drugiej. Ktoś próbował wystawić go do walki ze świeżo schwytanym, wściekłym gryfem. Fidelis był ze trzy razy mniejszy i miał przetraconą łapę. Nie było na co patrzeć. Wymiana sprzecznych poglądów między mną i poprzednim właścicielem Fidelisa wyglądała bardziej efektownie.**

**Alchemik potrząsa głową z udanym ubolewaniem.**

**–Nie ma lekarstwa na anielską naturę.**

**Przygląda mi się bardzo uważnie i pyta:**

**–Pamiętasz pewną noc Pod Setką Księżyców, kiedy rysowałeś?**

**Pewnie, że pamiętam. Rysowałem wtedy portrety, karykatury i różne absurdalne scenki na wszystkim, co znalazło się pod ręką. Rozdawałem je gościom i kelnerkom na prawo i lewo. Jako inkaustu używałem po pewnym czasie Smoczęj Krwi, a moje skrzydła postradały wtedy sporo niezłych piór. W końcu rysowałem nawet na ścianach i podłodze szynku. Goście mieli wspaniałą zabawę. Byłem porządnie załany. Równie pijany Algivius ozywiał postaci na moich rysunkach, kazać im robić rzeczy dziwne, a często niezbyt przyzwoite.**

**–Ciężko jeszcze rysujesz? – pyta mój przyjaciel. Podejrzanie poważne to pytanie.**

**–Tak, całkiem sporo – odpowiadam. Nie rozumiem, do czego Algivius zmierza. Wie chyba więcej, niż ma ochotę przyznać. Ostatnio bowiem ciężko rysuje. Bazgrze na wszystkim, co się do tego chociaż trochę nadaje. Miejsca zapamiętane z Królestwa, Glebi, z różnych stron, w których byłem. Czasem zupełnie nieznanymi mi krajobrazami, zwykle przedmioty, domy. Niekiedy wrysowuje tam ja lub siebie, albo oboje naraz, trochę jakbym rysował rzeczywistość, w której możemy się spotkać.**

**–Czy możesz coś dla mnie zrobić? – pyta Algivius. – Narysuj ją.**

**–Kogo? – Udaje, że nie rozumiem.**

**Algivius nie daje za wygraną.**

**–Te kobiety, dla której straciłeś głowę. Narysuj ją dla mnie.**

**–Teraz?**

**–Tak, teraz.**

**–Dobrze – mówię. – Tylko daj mi atrament.**

**Siegam po piękny, cienki pergamin Algiviusa i szybkimi kreskami buduje jej drobna twarz z nieodgadnionym wyrazem ogromnych oczu.**

**Wiedziony nagłym impulsem, dorysowuje siebie, pochylonego nad nią, z dłońmi delikatnie wspartymi na jej ramionach, niby prawdziwy anioł stróż.**

**Odkładam pióro, a Algivius siega po pergamin. Wodzi palcami wzdłuż linii, a dwie pionowe zmarszczki przecinają mu czoło.**

**–No coż – mruczy. – Tak myślałem. Mogę to zatrzymać?**

**Wzruszam ramionami.**

**–Proszę, jest twój.**

**Algivius gładzi lekko rysunek.**

**–Wiesz, że w niektórych obrazach jest więcej magii niż w uczonych księgach?**

**–Co chcesz przez to powiedzieć?**

**–Nic. To taka ciekawostka. Staraj się uważać na siebie, Arielu.**

**–To mi nie wychodzi najlepiej – mówię.**

**\*\*\***

**Chcę zostawić Fidelisa niedaleko Bramy Tysiąca Słońc. Trafi stąd do Malachiasza, gdyby stało się coś nieprzewidzianego. Smok jest niespokojny. Widocznie wyczuwa, że nie szykuje się nic dobrego.**

**Patrzę na niego surowo.**

**–Fidelis – mówię. – Zostaniesz tutaj i zaczekasz na mnie, słyszysz?**

**Przestępuje z łapy na łapę, udając, że nie rozumie.**

**–Wróć po ciebie, nie bój się, ale musisz na mnie poczekać. Nie wolno ci iść ze mną.**

**Fidelis siada i owija łapy ogonem. Jego poza wyraża niezadowolenie i poczucie krzywdy. Spogląda na mnie z jawnym wyrzutem.**

**–Słuchaj no, mały gadzie! Nie próbuj sztuczek. Masz tu zostać, dopóki nie wróć, rozumiesz?**

**Fidelis rozumie i jest obrażony. Mimo to jednak, kiedy odwracam się i robię parę kroków w kierunku bramy, zrywa się, zabiegając mi drogę.**

**–Fidelis, wracaj – mówię twardo. – Kazalem ci czekać.**

**Smok zwiesza nisko łeb. Z nosa wydobywa mu się obłoczek dymu, objaw wielkiego smutku. Lypie na mnie z ukosa, wzdychając i popatrując, czy już czuje się jak śmieć.**

**–Nie ma mowy, przewrotny, luskowaty bydlaku. Czekać tu, aż po ciebie wrócę.**

**Fidelisa ogarnia lek. Zazwyczaj ulegam po takich popisach, jednak tym razem, nie mogę. Wychodzę przez Bramę Tysiąca Słońc do Limbo, nawet nie spojrzawszy na zwiniełego w klebek smoka, pełnego jak najgorszych przeczuc.**

**\*\*\***

**Kowal Bern całe swoje życie spędził w Limbo, pracując w należącej kiedyś do jego ojca małej kuzni, położonej na uboczu od głównych szlaków, wielkich wydarzeń i rozgrywek między Otchłania a Królestwem. Życie to nie obfitowało w dziwne i niezrozumiałe wypadki, więc gdyby Bern ze swej natury był mniej ostrożny i skryty, Limbo zapewne zahuczałoby od plotek o jego przygodzie. Jednakże samemu kowalowi wydawała się zbyt podejrzana, żeby rozpowiadać o niej bez szkody dla siebie. Tylko raz, kiedy mocno nadużył trunku w pobliskim szynku, baknał o tym parę słów, ale nader ogólnych.**

**Bern wykuwał właśnie ciężką sztabę na drzwi dla swego sąsiada Groka, kiedy na jego podwórzu ze swistem lotek wylądowała wysoka, dobrze ubrana postać. Bern wytrzeszczył oczy, nie wierząc temu, co widzi. Anioł! Prawdziwy anioł!**

**Kowal widywał aniołów tylko czasami, z daleka, gdy przechodzili gościncem prowadzącym w stronę Królestwa. Nigdy z żadnym nie rozmawiał, bo i po co? Aniołowie nie zadają się z prostymi kowalami, a ci ostatni też nie miewają spraw do skrzydlatych.**

**Dlatego też na widok anioła ładującego na jego własnym podwórku Bern poczuł, że nie oędzie się bez kłopotów.**

**Anioł potrząsnął skrzydłami i wszedł do kuzni.**

**–Jestes kowalem, tak? – Pytanie było tak absurdalne, że Bern aż wypuścił cegi z rak. Mimo że głos skrzydlatego brzmiał chłodno i rzeczowo, kowal dostrzegł w jego oczach z trudem pohamowane wzburzenie.**

**–Ano prawda, panie – burknał Bern. – Jestem kowalem.**

**–Masz tutaj jakiś miecz, najlepiej długi i ciężki? – Znowu ten sam oschły, spokojny głos.**

**Kowal rozejrzał się po kuzni. Jego wzrok zatrzymał się na ogromnej stercie zelastwa w kacie izby. Wielka, brudna garścią podrapał się po czuprynie.**

**–Może by się jakiś znalazł – odpowiedział aniołowi.**

**–A umiałbys się nim posłużyć? – spytał przybyły.**

**Kowal wystraszył się.**

**–Co to, to nie, panie! Ja się całkiem na takim czymś nie rozumiem!**

**–To może masz dobry topór, albo siekiere?**

**–Ano, topór mam, ale...**

**–Na toporze też się nie bardzo rozumiesz, co?**

**Zimny błysk, jaki mignął przez chwilę w błękitnych oczach anioła, niosł w sobie zapowiedź tak strasznej furii, że Bern postanowił ustąpić.**

**–Nie, panie. Na toporze to się jakos rozumiem.**

**Patrzył na anioła ze strachem. W jego pozornym spokoju kryło się coś przerażającego, z czym Bern wolałby nie mieć nic wspólnego.**

**Anioł nerwowym ruchem odgarnął włosy z czoła. Oddychał za szybko i za płytko.**

**Lekko drżały mu ręce.**

**–Wobec tego wezmiesz ten topór – powiedział do kowala – i odetniesz mi skrzydła.**

**Bern rozdziawił gębę. Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego. Anioł najwyraźniej postradał rozum.**

**–Jakże to tak, panie? – jeknął, zastanawiając się z rozpaczą, dlaczego ten obłąkany anioł trafił akurat do jego kuzni. – Przecież tak nie można! Ja jestem uczciwy, daniny płacę...**

**–Zrobisz, co kaze – warknął Ariel. – Wez topór i naostrz go. Znajdź też duży kawał żelaza, i włóż do ognia. Bedziesz musiał... – Głos mu się zalamal. – Bedziesz musiał przypalic mi rany po skrzydłach, inaczej się wykrwawie. Niedobrze, że nie umiesz posłużyć się mieczem... Poszłyby oba za jednym zamachem. No, ale nic, trudno – szepnął bardziej do siebie niż do kowala.**

**Bern rozpaczliwie starał się wymyślić jakieś wyjście z opresji.**

**–Panie – zastękał. – A może lepiej z tym do rzeźnika? Ja się tam na czymś takim nie wyznaje...**

**Oczy Ariela zweziły się, a blada twarz zrobiła się nagle straszna. Bern zadrzał i skulił się mimo woli.**

**–Rzeźnik nie będzie miał co zbierać z ciebie i twojej chalupy, jeśli osmielisz się mnie nie posłuchać. Rozumiesz, co mówię?**

**Bern rozumiał. Wiedział doskonale, jak potworny może być gniew anioła.**

**Skrzydłacy to istoty potężne, a ten jest wyraźnie niepoczytalny i na dodatek za moment straci resztki panowania nad nerwami. Wtedy z życiem nie ujdzie ani Bern, ani nikt z jego rodziny.**

**Za swój strach, upokorzenie i kłopoty, jakie ta historia niechybnie zwała na jego głowę, kowal tak głęboko zniechęcił Ariela, że spełnienie jego życzenia stało się dla niego niemal przyjemne.**

**Wypełnił sumiennie wszystkie polecenia, naostrzył topór i wsunął grubą żelazną pretę w palenisko, wiedział bowiem, że jeśli nie zrobi tego ostatniego, to anioł zapewne rzeczywiście wykrwawi się szybko i zemdleje, ale zanim to nastąpi, zdąży jeszcze obroczyć w popiół jego wraz z kuznią.**

**–Gotowe, panie – mruknął niechętnie. Długo by dał, żeby mieć to wreszcie za sobą.**

**Ariel się nie odezwał.**

**–Lepiej wyjdźmy na zewnątrz, krew mi kuznie zachłapie – powiedział Bern, który nabral nieco pewności siebie, gdy zobaczył pobladałą, ściągniętą twarz anioła.**

**Ariel ukląkł, zaciskając dłonie na drągu do przywiązywania koni. Kowal stanął za nim w lekkim rozkroku, plunął w rece, chwycił za topór, zamachnął się i z całej siły spuścił go na podstawę prawego skrzydła anioła, zamknawszy przedtem oczy.**

**Głęboki dreszcz wstrząsnął ciałem Ariela, który jednak nawet nie jęknął. Natychmiast buchnęła krew. Spłynęła po plecach anioła na ziemię i leżące w pyłe odrabane skrzydło. Bern odłożył topór, z kuzni przyniósł rozpalony pret. Jarzył się mrocznym, szkarłatnym blaskiem. Kowal krzywiąc się, przyłożył go do łopatki Ariela, mniej więcej tam, gdzie powinna być rana, źle widoczna pod strugami krwi. Dopiero wtedy z ust anioła wyrwał się stłumiony okrzyk. Jego oddech stał się nierówny i chrapliwy.**

Kowal poczul podchodzaca do gardla fale niecheci i obrzydzenia. Z dwojga zlego wolal juz wyrwac zeby. Zaraza na tych skrzydlatych, pomyslal. Chwycil za topor i rabnal w podstawie pozostalego, lewego skrzydla, nawet specjalnie nie celujac. Moze to wlasnie spowodowalo, ze ostrze zesliznelo sie i Bern musial uderzyc toporem jeszcze raz, zanim odrabane skrzydlo upadlo obok poprzedniego. Goraca, zywa czerwien zalala, ziemie, splywajac szeroka struga po szczuplych plecach aniola. I znowu szkarlat wystapil przeciw szkarlatowi, kiedy zelazny pret ponownie ukasil lopatke Ariela.

Oba skrzydla, jak brudne strzepy, lezaly na ziemi martwe, nasiakajac predko rdzawymi plamami krwi.

Bern rzucil pret i z niepokojem przygladal sie aniolowi. Z nieslychanym wysilkiem Ariel dzwignal sie na nogi, czepiajac sie belki do wiazania koni. Kazdy jego ruch byl pozbawiony zycia i zdawal sie trwac w nieskonczonosc. Wreszcie aniol odwrocil sie, ukazujac kowalowi stezala twarz powstalego z grobu upiora, bardzo chora, o barwie popiolu. Oczy byly czarne jak krzepnaca krew. Ariel zrobil kilka chwiejnych krokow, a potem nogi ugiely sie pod nim. Zlozyl sie wpol, powoli, w jakis sztuczny sposob, a jego kosciste kolana uderzily o ziemie. Nie utrzymal sie w kleczacej pozycji, opadl, podpierajac sie wyciagnietymi rekami.

Bemowi przypomnialo sie, jak zeszlej zimy piwowarowi Murkowi padl przy wozie kon. Stara szkapa zajeczala, glosno i zwalila sie na kolana. Bern zaczal sie powaznie niepokoic, ze aniol moze skonac mu na podworzu, a wtedy nijak nie wytlumaczy, jak bylo naprawde. Jednak Ariel nie umieral, chociaz bol krzyczal w calym jego ciele. Spekane wargi wypowiedzialy jedno tylko zdanie: "Zrobilem to".

\*\*\*

W poblizu Bramy Tysiaca Slonc maly smok poderwal sie nagle na lapy. Zakrecil sie w kolko. Zaskamlal. Niespodziewany lek nie mogl pomiescic sie w drobnym ciele i smok zanosl sie zalosnym wyciem, az do utraty glosu, az do dna smutku.

\*\*\*

Brama Tysiaca Slonc majaczy przede mna na tle nieba. Zbliza sie i oddala w rytm pulsowania w moich skroniach, raz olbrzymia, ale jakby rozmyta, to znow malenka i nieslychanie ostra. Wiem, dlaczego tak sie dzieje. Biala opaska murow okalajacych Krolestwo sciska ja za mocno.

Cos, jakis ruchomy punkt, odrywa sie od bramy i pedzi w moim kierunku. Oblizuje spierzchniete usta i wytrwale kontynuuje marsz. Musze. Jesli sie zatrzymam, upadne.

Fidelis dopada moich nog, probuje sie lasic, wydajac cichutkie skowyty. Na chwile

moje zrenice napotyka jego spojrzenie. Czuje, jak wzbiera we mnie, podchodzi do gardła fala zimnej wściekłości. W ślepiach Fidelisa Isnia żal i litość. Ten wynędzniały, chuderlawy stwor osmiela się nade mną litować!

–Milcz – sycze przez zacisnięte zęby. – Nic nie mów, gadzie. Milcz!

Mój głos rozbrzmiewa dziwnie ochrypłym szeptem. Fidelis kuli się, wygląda jak zbity pies. Posuwa się skrajem drogi, równoległe ze mną, na przygiętych łapach, z brzuchem przy ziemi.

Olbrzymia fasada bramy, która niepojętym sposobem znalazła się nagle tuż nade mną, polyka mnie rozwartymi ustami wrot. Znajduje się wewnątrz, w Królestwie. Teraz, kiedy doszedłem do celu, nie wiem, co dalej robić. Chwila wahania wybija mnie z rytmu, poruszam się coraz wolniej, aż wreszcie przystaje, kilka kroków za bramą. Dzieje się dokładnie to, czego się spodziewałem. Nie umiem znowu zmusić nóg do marszu. Wczepiam palce w załomy muru. Dłonie zeslizgują się po chropawej powierzchni i opadam, skulony, na bruk. Fidelis przysiadła obok, przerażony i czujny. Jego oczy błagają o wybaczenie, o jeden przychylny gest.

–Daj spokój – szepcze. – Coś mi się przywidziało. Nie gniewam się.

Smok przysuwa się ostrożnie, układa pysk przy moich nogach.

Blask słońca bardzo mnie męczy, więc zamykam oczy. Klade dłoń na palkowatym łbie Fidelisa. Niech się cieszy.

Nie śpię, chociaż wszystko przepływa obok odrealnione niby we śnie. Patrę w łagodną, mleczną mgłę, która przesłania mi wzrok, a czasem zabarwia się na czerwono. We mgłę poruszają się przechodnie, tona budynki. Na ziemi, przy moich nogach, leży garść drobnych monet. Widocznie ktoś wziął mnie za zebraka. Światło mnie razi, więc znowu przymykam oczy. Kiedy je ponownie otwieram, stoi przede mną mała dziewczynka ze snu, ta z miśmiem pod pachą. Ale teraz jest sama. Przyszła bez swojego pluszowego towarzysza. Przygląda mi się, wystraszona i niepewna. Wyczuwam jej lęk. Próbuje się uśmiechnąć. Mała patrzy na mnie i widzę, że zaraz się rozplacze. Nie wiem, co do niej powiedzieć, huczy mi w głowie i trudno mi zebrać myśli. Muszę mieć cholerną gorączkę. Przelykam ślinę i zbieram siły, żeby się odezwać, kiedy dziewczynka odwraca się i ucieka przez brame z Królestwa. Zrywam się, żeby pójść za nią, ale wrzask bólu w plecach niemal mnie ogłusza. Przez chwilę słyszę jeszcze tupot jej lakierowanych pantofelków.

Znowu blakam się po znajomych ulicach, a u moich nog płacze się Fidelis. Wszystko oczywiście zostało jak dawniej. Jedyną zmianą polega na tym, że źle śpiam. Po prostu w żaden sposób nie mogę położyć się na tej cholernej ławce. No i nie fruwać. To wszystko.



**Nie, kłamie. Naprawde to marnie ze mna. Nie opuszcza mnie goraczka, powietrze, ktorzym oddycham, zdaje sie pelne szpilek, a w glowie huczy mi cos na ksztalt maszyny parowej.**

**Jest wczesne popoludnie, ludzie tlocza sie na chodnikach, auta na jezdniach. Godziny szczytu. W moich oczach wszystko wyglada jak kiepski landszaft, plaski i mocno wyblakly. Zycia w tym mniej niz w poruszanych magicznie obrazkach Algiviusa.**

**Przede mna pojawia sie niespodziewanie przypominajacy slepego dinozaura masyw staroswieckiej budowli. Bezwiednie trafilem przed drzwi malego gotyckiego kosciola. Cien i mily chlod w srodku wabia. Decyduje sie wejsc, wlasciwie tylko po to, zeby troche posiedziec. Ostatnio bardzo latwo sie mecze. Przechodze przez sien. Po lewej wisi na scianie naturalnej wielkosci krucyfiks, a drewniany Pan cierpi na nim sumiennie i cicho. Przed krzyzem pali sie kilka swiec i stoi klecznik dla wiernych, ktorzy okazuja odpowiednio duzo tupetu, zeby w tej sytuacji prosic Pana o uwage.**

**Wnetrze tonie w przycmionym, jakby przyproszonym siwizna swietle. Siadam w lawce z brzegu. Sciany pelne sa milczacych postaci, aktorow wielkiego misterium. Patrze na freski. Surowe oblicze Pantokratora, który w swych ustach kryje miecz dla potepionych i galaz oliwna dla wybranych, pozostaje obojetna. Z dzbanka, pod figura cudownej Madonny usmiechaja sie wesole mordki slonecznikow. Kosciol jest pusty.**

**Niespodziewanie przychodzi mi na mysl, ze powinienem wrocic do sieni i popatrzec przez chwile na krucyfiks. Wydaje mi sie niesprawiedliwe, ze wypchneli Pana z Jego samoofiara do przedsionka.**

**Gramole sie niezdarnie z lawki, a bol wbija pazury w moje plecy z taka sila, ze az ciemnieje mi przed oczami. Stoje pod krzyzem i przygladam sie uwaznie. Drewniane powieki Pana sa przymkniete. Dwie pionowe kreski rozcinaja czolo, schodzac sie przy sciagnietych brwiach. Usta wykrzywia przykry grymas. Przez glowe przelatuje mi nagla mysl, ze moja twarz wyglada pewnie troche podobnie. To nie ma byc bluznierstwo, tylko proste skojarzenie faktow. Pocieszajace, ze bol Boski, ludzki i anielski moze miec podobne oblicze. Rodzi sie miedzy nami pewna nic wspolnoty. Czy Bog z taka twarza, konajacy cierpliwie w przedsionku wlasnego domu, moze miec cos wspolnego z malymi podlosciami Ziemi, Krolestwa i Otchlani? Pewnie znajduje sie gdzies daleko, ponad swiatem. Nie sadze, zeby to wszystko naprawde zupełnie przestalo go obchodzic, wiec jesli teraz, wzorem innych egoistow, zwroce na siebie Jego uwage, byc moze dostane to, o co prosze, chociaz nie jestem czlowiekiem, a za aniolow Pan nie umieral. Praca umyslowa mnie wyczerpuje. Nogi sie pode mna ugiely i opadlem na kolana wcale nie z poczucia szacunku, ale dlatego, ze nie mam juz sily stac. Przychodzi mi do glowy, ze On mnie nie widzi. Ma przeciez zamkniete oczy. Wystarczy jednak, zeby na mnie spojrzal, a wszystko bedzie dobrze.**

**–Panie – szepcze z wysiłkiem. – To ja, anioł Ariel. Poznajesz mnie? Postaraj się na mnie spojrzeć. Wiem, że Ci ciężko, ale gdziekolwiek teraz umierasz, Panie, pamiętaj, że stoje przed Tobą, czekając, aż mnie zauważysz.**

**Milkne. Wydaje mi się, że ktoś obcegamami sciska moja głowę. Mam wrażenie, że bredzę. Gdybym czuł się lepiej, nie pozwoliłbym sobie na takie słowa. Wszystko zalewa mgła, na przemian czerwona i błękitnawa. Słońce wpada przez uchylone drzwi, oslepiająca kula toczy się w moim kierunku. Świece z twarzami słończników tańczą wesoło wokół mnie i krzyżka. Ale wszystko w końcu tonie w oparach czerwonej mgły.**

**Starsza kobieta, która od dziesięciu lat sprzedawała w przykościelnym kiosku dewocjona, po raz kolejny wyjrzała przez szklane drzwi do przedsionka. Mężczyzna, skulony przy kłęczniku pod figurą ukrzyżowanego Jezusa, tkwił w tej samej pozycji od wielu godzin. Zrobiło się bardzo późno, najwyższa pora, żeby zamknąć kościół. Wszyscy wierni już wyszli, został tylko ten człowiek. Nie zauważyła, kiedy wszedł, chyba nawet nie zajął do wnętrza kościoła. Przez pewien czas myślała, że się modli, nagle przyszło jej do głowy, że to chyba narkoman. Wcale nie miała ochoty zbliżyć się do niego. Ale przecież musi zamknąć kościół! Nie wolno jej zostawić go w środku na noc.**

**Powoli podeszła do kłęcznika, zatrzymując się w bezpiecznej odległości.**

**–Proszę pana – zaczęła niepewnie. – Bardzo mi przykro, ale już zamykamy kościół.**

**Mężczyzna się nie poruszył.**

**–Zamykamy kościół – powtórzyła.**

**Kłęczący nie zmienił pozycji.**

**Wiedzioną nagłym instynktem, kobieta lekko dotknęła jego ramienia.**

**–Czy pan się dobrze czuje? – spytała.**

**W tym momencie mężczyzna odwrócił ku niej twarz z wyrazem bezgranicznego zdumienia.**

**Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle.**

**Mój Boże, on jest chyba w szoku, pomyślała.**

**–Pani mówi do mnie? – wykrztusił wreszcie, ale jego pełne niedowierzania oczy wydawały się całkiem przytomne.**

**–Przykro mi, o tej porze zamykamy kościół. Jeśli pan zechce, proszę przyjść jutro – powiedziała kobieta, z trudem ukrywając zmieszanie.**

**Mezyczyna zerwał się na równe nogi, schwycił staruszkę za ramiona, a na jego twarzy pojawił się triumfalny, radosny uśmiech.**

**–Pani mówi do mnie! – krzyknął. – Pani mnie widzi! Udalo się! Na Glebie i wszystkie Mroczne Duchy, zostałem człowiekiem!**

**Uscisnął serdecznie przestraszona kobiecina, wypuścił ją z objęć i wybiegł z kościoła na ulicę.**

**Staruszka sprzedająca święte obrazki, skonsternowana, opuściła ręce. Co za dziwaczne wydarzenie. Nie wiedziała, co o tym myśleć.**

**\*\*\***

**Mija właśnie trzeci dzień, odkąd zostałem wysłuchany. Pan zadbał o wszystko. Okazało się, że mam dokumenty, pieniądze, a nawet mieszkanie. Dwa pokoje w staroswieckiej kamienicy w centrum miasta. Mam też chyba jakąś pracę. Prawdopodobnie jestem ilustratorem, bo na podłodze i na biurku wala się mnóstwo moich rysunków. Niektóre z nich pamiętam. Powstały w Limbo i Królestwie. Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięły. Pierwszą rzeczą, którą znalazłem w kieszeni, był złożony na czworo i lekko zmietoszony rysunek, jaki zrobiłem dla Algiviusa. Dziwne, mogłbym przysiąc, że został u niego.**

**Nie pamiętam, ile godzin blakalem się po mieście, ani dokąd poszedłem po tym, jak opuściłem kościół. Wiem tylko, że o świcie znalazłem się w jakimś parku na ławce. Spróbowałem doprowadzić myśli do ładu i przeszukałem kieszenie. Obok mnie siedział Fidelis. Trzymał łeb na moich kolanach. Wygląda teraz jak chart afgański, ale wystarczy spojrzeć mu w ślepią, żeby przekonać się, że to ten sam stary Fidelis. Za to ja nie zmieniłem się wcale. Wyglądam tak samo jak zawsze. I nadal jestem aniołem. Przeżyłem niezły szok, kiedy się o tym przekonałem. Nie zostałem przemieniony w człowieka, nabrałem, tylko materialnej formy. W każdej chwili mogę przenieść się do Królestwa czy Limbo. Nie fruwać, bo nie mam skrzydeł, ale poza tym zachowałem pełnię swoich umiejętności. Nawet jeśli w Królestwie byłem tylko przeciętny, dysponuje w porównaniu z ludźmi zadziwiającym talentem. Mogę swobodnie być wirtuozem dowolnego instrumentu. Potrafię też śpiewać. W końcu należałem do jednego z chorów anielskich. W Królestwie nigdy nie dostawałem solowych partii, ale to nie jest Królestwo. Na Ziemi nie sposób sobie nawet wyobrazić, czym są chory. Przysięgam, to jedna z nielicznych rzeczy, które się w Niebie naprawdę udały. Anioł, który śpiewa, roztacza wokół siebie specyficzną aure, bardzo silnie rozbudzająca emocje. Jeśli śpiewa dobrze, efekt jest podwójny. To samo dotyczy Upadłych. Czasami próbują wykorzystać te siły, mieszając się do muzyki niektórych skrajnie**

antyniebiaskich kapel mlodziezowych. Poza tym rysuje. Poniewaz w Krolestwie bylem dobry, tutaj musze stac sie pewnego rodzaju sensacja. Przynajmniej bede mial z czego zyc.

Gdy wyszedlem dzis na ulice, zobaczylem wysoka Swietlista z Niebieskiego Legionu Przewodnikow Dusz. Pochylala sie nad wozkiem jakiejś kalekiej dziewczynki o bezmyslnej twarzy. Spojrzala na mnie i wydela pogardliwie wargi. Nagle zrozumiala, ze jestem materialny, i krzyknela ze zdumienia. Wyszczerylem do niej zeby w ironicznym uśmiechu i uklonilem sie z szacunkiem. Wzburzona, odwrocila glowe.

Teraz cale Krolestwo zatrzesie sie od plotek i domyslow. Nie mam sie o co martwic, nie moga mi nic zrobic. Otrzymałem specjalna laske od Pana i jestem bezpieczny.

Niebieski Legion Przewodnikow Dusz zrzesza aniolow strozow z powolania. Naleza do roznych stanow, ale wszyscy urodzili sie, podczas gdy Metatron myslal ze wspolczuciem o ludziach. Wszyscy oni w naturalny sposob stali sie strozami dusz. Wiekszosc z nich gardzi aniolami, ktorzy urodzili sie do innych zadan i tak jak ja zostali zmuszeni do podjecia sluzby jako opiekunowie. Ale ja osmielilem sie odmowic. Jestem zolnierzem, wojownikiem anielskich zastepow. Urodzilem sie, gdy Metatron rozwazal koniecznosc walki ze zlem. Takich jak ja sa tysiace tysiecy. Zrodzonych do bitwy z Mrocznymi, obrony prawdziwej wiary, straszliwego poslannictwa Panskiego gniewu. Tylko ze Pan nie prowadzi juz wojen. Dlatego zostalismy poddani pod wladze Swietlistych dworakow. Dlatego musimy wypelniac posledniejsze poslugi, miec gietki kark i skore zdarta od razow. Dlatego wielu marzy o nadejsciu Dies irae i o Armageddonie. Z tego samego powodu zdecydowalem sie zdezerterowac.

Chyba wiem, dlaczego przed wiekami trzecia czesc zastepow zbuntowala sie przeciw Krolestwu. Nie z zazdrosci o czlowieka, tylko z zazdrosci o wolnosc wyboru.

\*\*\*

Wciaz nie jestem pewien, czy za swoje odstepstwo doczekalem sie kary, czy nagrody. Niewatpliwie zdarzyl sie cud, choc ze wszystkich miejsc, w ktorych bylem, Ziemia najmniej sprzyja cudom. Stalem sie materialny. Tylko co dalej? Jak mam zdobyc dziewczyny, dla ktorej przeszedlem przez to wszystko? Moje doswiadczenie ogranicza sie do anielic i demonic, wiec jakby go wcale nie bylo. Co sie stanie, jesli wyczerpalem juz limit cudow? A moze nie popelnilem zadnego odstepstwa? W gruncie rzeczy chce wypelniac swoje poslannictwo, obowiazek aniola stroza. Walcze tylko o honor przewodnika, o mozliwosc wyboru istoty, ktora programowo nakazano mi kochac i ochraniać. Moze anioly naprawde nie maja wolnej woli? Jesteśmy skrzydlatymi androidami Pana? Wole wierzyc, ze zbuntowalem sie, zgrzeszyłem, lecz mimo to wybaczone mi i zostalem wysluchany. Naprawde, wole w to wierzyc.

\*\*\*

**Dzis zauwazylem na slupie z ogloszeniami plakat: "W cieniu niebianskich skrzydel". Wystawa poswiecona aniolom w sztuce wspolczesnej. Mysle, ze powinienem ja obejrzec. Tak bez powodu, na szczescie.**

**\*\*\***

**Patrze na moich przyjaciol, wrogow, znajomych. Na rozlegle pejzaze Limbo, na ulice, palace, bramy Krolestwa, na smetne krajobrazy Przedpiekla. Rozpoznaje szynkarke spod Setki Ksiezycow, stalych bywalcow i zebraw. Ze sciany usmiecha sie ironicznie sucha twarz Algiviusa. Patrze na pelen pychy, malostkowy, zawistny profil Abdiela. W lagodne, starcze oczy Malachiasza. Na drapiezne usta Lilith. Ludzie tez patrza. Gromadza sie przed sciana, na ktorej wisza moje rysunki, jakby spetani magiczna sila. Mowia szeptem, odchodza powoli, z ociaganiem, ogladajac sie za siebie. Na ich miejsce przesuwaja sie nastepni. Nieustannie zatrzymuja sie przed sciana z moimi rysunkami.**

**\*\*\***

**Julia odlozyla na polke ksiazke, ktora ogladala, Z okladki usmiechal sie do niej jak rekin Joseph Beuys, w kapeluszu wcisnietym na uszy. To dziwne, pomyslala, wyglada, jakby chcial pozrec swiat, podczas gdy to raczej swiat pozarl jego. Na polce nizej siny, umeczony Chrystus Grunewalda powykrecanymi palcami wpijal sie w niebo. Julia chciala siegnac po album, ale potracila sterte lezacych obok gazet i omal nie spuscila ich na podloge. Wciaz czula sie poruszona, oczarowana, wstrzasnieta. Nie mogla skupic mysli. To przez te rysunki. Przez te nieprawdopodobne rysunki. Jaki czlowiek mogl stworzyc cos podobnego? Maja taka nieziemaska atmosfere. Niesamowite. Ile w nich emocji! A warsztat! Boze milosierny, kto jeszcze potrafi operowac taka kreska? Nazwisko nic mi nie mowi. Zdumiewajace. To najwiekszy zyjacy artysta. Powinni go juz dawno zauwazyc. Pewnie ma fascynujaca osobowosc. Ciekawe, jak ten facet wyglada? Musi byc niski, gruby, z pospolita, kwadratowa geba albo calkowicie sparalizowany jak wyschnieta zaba – zgasila sama siebie. Inaczej bylby za doskonaly.**

**Przed oczami wciaz przesuwaly sie jej nakreslone perfekcyjnymi liniami twarze. Anioly, pomyslala. Boze, miej nas w swojej opiece, jesli rzeczywiscie wygladaja tak, jak on je widzi.**

**Musze sobie kupic katalog, postanowila. Powinien tam byc chociaz jeden jego obrazek. A moze jakis namiar, adres, galeria, gdzie wystawia. Boze, zeby tak zechcial cos mi zilustrowac!**

**\*\*\***

**Wlasnie miala podejsc do lady, gdy zatrzymal ja cichy, ale pelen napiecia glos:**

**–Widziałas mnie kiedykolwiek przedtem, Julio?**

**Odwrocila sie, zaskoczona, i spojrzala w twarz jakby z jednego z ozywionych magicznym sposobem niezwyklych rysunkow, ktore ja tak zafascynowaly. Nawet nie zauwazyla, ze nieznajomy zwrocil sie do niej po imieniu.**

**–Nie wiem, nie pamietam – szepnela i zobaczyla, jak cos trzepocze i umiera w blekicie oczu, ktore zrobily sie ciemne.**

**–Kim jestes? – spytala oszolomiona, a w myslach pojawila sie i zgasla, odpowiedz: on nie moze byc czlowiekiem.**

**–Nazywam sie Ariel. Jestem aniolem Domu Dziewiatego przy Bramie Tysiaca Slonc w Pierwszym Kregu. Czasowo i samozwanczo pelnilem obowiazki twojego aniola stroza. Cztery dni temu zostalem czlowiekiem.**

**\*\*\***

**Gdyby wszystkie Nieba Krolestwa zapadly sie nagle w Glebie, a pyl po nich opadl, nie nastalaby wieksza cisza. Musialem kompletnie oszalec, zeby powiedziec cos podobnego. Tylko ze to prawda. A ja nie chce jej nigdy oklamywac.**

**–Dlaczego? – szepcza jej wargi, nagle bardzo pobladle.**

**–Ja... nie moglem, juz dluzej byc aniolem – mowie z trudem.**

**Julia probuje sie usmiechnac.**

**–Uciekles z nieba? Jesli nawet anioły nie moga tam wytrzymac, to jakie musi byc pieklo?**

**–Miedzy nami nie ma specjalnej roznicy – odpowiadam.**

**Oczy Julii rozszerzaja sie naglym lekiem. Ale to nie mnie sie boi. Widze, ze chce cos powiedziec, jednak slowa wiezna jej w ustach. Nerwowo zaciska palce na katalogu wystawy, ktory trzyma przed soba jak tarcze.**

**–Julio! – ostry krzyk rozbija niewidzialna szklana banke, w ktorej stoimy. Krotko ostrzyzona brunetka przepycha sie ku nam przez tlum kupujacych.**

**–Na litosc boska, zobacz, ktora godzina! Samochod czeka juz pietnascie minut!**

**W oczach Julii, wciaz wpatrzonych we mnie, rodzi sie nagle zrozumienie, ze wlasnie traci cos o ogromnym znaczeniu. A ja nie potrafie nic na to poradzić, wiem tylko, ze za chwile odejdzie, ciagnieta przez energiczna brunetke ku wyjsci.**

**–Wez to! – mowie szybko i wiedziony naglym impulsem, wciskam jej w reke lekko pomiety rysunek Algiviusa, ktory przez caly czas lezal w mojej kieszeni.**

**Julia niepewnie bierze go w palce. Brunetka dopada jej.**

**–Pospiesz sie – krzyczy, popychajac oszolomiona Julie w strone drzwi. – Autografy bedziesz rozdawac pozniej. A pan niech lepiej sobie kupi jej ksiazke, zamiast ja nagabywac.**

**To musialo byc do mnie. Chyba powinienem jakos zatrzymac Julie, ale czuje sie strasznie slaby.**

**–W wydawnictwie nas zabija – jeczy brunetka. – Juz jestesmy spoznione!**

**Znikaja w drzwiach. W ostatniej chwili Julia odwraca sie jeszcze. Bialy kawalek papieru w jej rece zdaje sie wolac "poddaje sie!".**

**Ktos, kto nigdy nie doswiadczył nicosci, nie potrafi pojac, co ona naprawde oznacza. Nie mam na mysli zadnej otchlani czy pustki, ale po prostu, nieobecność czegokolwiek. Nicosc przybiera rozne formy, objawia sie w obrazach i ksztaltach, lecz one nie przeslaniaja jej prawdziwej natury. Nie istnieje ruch. Nie ma pragnien ani smutku. Nicosc nie boli. Ona pochlania. Bardzo powoli pustka zapelnia sie. Wokol mnie wiruja nakreslone moja wlasna reka twarze. Przepluwaja w szyderczym korowodzie, naigrawajac sie z mojej kleski, z mojej pychy, ktora pozwolila mi sadzic, ze dostapilem laski. Laska nie jest przeznaczona dla zadnego aniola, ktory mial czelnosc okazac wlasna wole. Zbuntowalem sie przeciw Krolestwu, nie przeciw Panu. Zapomnialem jednak, ze Krolestwo to Pan. On jest wszystkim. Miloscia – to prawda, ale rowniez gniewem, okrucienstwem i zemsta. Jako aniol powinienem najlepiej o tym wiedziec. Jednak nigdy nie myslalem, ze Pan moze byc podly. Sposrod krazacych wokol mnie twarzy wylania sie jeszcze jedna, natarczywa, choc niewyrazna. Ciemna twarz z polerowanego drewna, zastygla w wyrazie wiecznego bolu. Nie patrz na nia, Arielu. To tylko drewno.**

**\*\*\***

**Nie uslyszalem jej krokow. Zauwazylem, ze stoi obok, dopiero gdy podeszla bardzo blisko. W rece trzymala zlozony na czworo swistek papieru.**

**–Szukalam cie. Zdobylam twoj telefon, ale nikt nie odpowiadal. Przepraszam, ze sie wczesniej nie umowilam. Jesli ci przeszkadzam, zaraz sobie pojde. Jednak skoro dales mi to, pomyslam, ze wciaz chcesz ze mna porozmawiac.**

**Podala mi rysunek. Na jego odwrotnej stronie widnial nakreslony pochylym, pajeczym pismem adres dworca i dopisek "czwarta lawka od kasy". Poznalem charakter pisma. Nie byl moj. Wiadomosc zostala napisana reka Algiviusa.**

\*\*\*

Wszystko zaczęło się tak normalnie. Julia przyszła obejrzeć rysunki. I zrobiła to w niezwykłym skupieniu. Każdy brała w dłoń, przyglądała się uważnie, czasem wodziła palcami po liniach. Myślała, że nie przegapiła ani jednego swistka. A ja obserwowałem jej reakcje, jej twarz, każde drgnięcie brwi czy ust. Kiedy odłożyła na biurko ostatni arkusz i odwróciła się do mnie, zbyteczne były jakiegokolwiek pytania.

Czas przestał być wrogiem. Zachowuje się raczej jak łagodny rodzic poblazliwie przyglądający się dzieciakowi, który nie może doczekać się Gwiazdki. To odbywa się tak naturalnie. Wspólne wyjścia, wspólne kolacje. Z każdym dniem rozumiemy się lepiej i stajemy się coraz bliżej sobie. Ona jest promienna, jak źródło w lesie. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Opowiadam jej o Królestwie, tylko kiedy komentuje swoje rysunki. Nawet jeśli uważa, że jestem stuknięty, najwyraźniej jej to nie przeszkadza.

Balem się, że w jednej chwili wszystko stracę. Było to, kiedy pierwszy raz zdjąłem przy niej koszulę, zobaczyła moje plecy i nie powiedziała ani słowa, chociaż jej oczy krzyknęły: "O Boże Święty!".

–Julio, widzisz – zacząłem. – Wtedy, na wystawie, powiedziałem ci prawdę. Byłem aniołem. A chciałem zostać człowiekiem. Ludzie nie mają skrzydeł, więc musiałem coś z tym zrobić.

Spojrzałem w jej oczy i zobaczyłem, że błyszczą od łez. Ale głęboko za ich zasłoną isniło coś jaśniejszego. Nie musiała pytać, dlaczego to zrobiłem, tak jak ja nie potrzebowałem przekonywać się, czy mi wierzy.

–Najważniejsze, że teraz jesteś tutaj – powiedziała.

\*\*\*

Budzę się. Jest cicho i ciemno. Julia śpi obok mnie. Koło łóżka stoi mała dziewczynka o twarzy wykrojonej w serce. Ma loki Julii, ale oczy chyba moje. Uśmiecha się. Pod pachę ścisnęła tego samego misia, z którym przyszła do mnie po raz pierwszy. Widocznie są w wielkiej przyjaźni.

–Teraz jest dobrze – mówi poważnie.

Jeszcze raz się uśmiecha i odchodzi w ciemność.

Przez chwilę patrzę w sufit, który wydaje mi się nagle piękniejszy niż wszystkie rozgwiazdzone nieba Królestwa. Wypełniłem zadanie, jakie zostało dla mnie przeznaczone. Pan mnie nie oszukał. Moja wola i Jego wola od początku stanowiły jedność. Nic więcej nie trzeba mówić ponad to, co powiedziała nasza córka. Teraz



**jest dobrze.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2009-11-30**

***LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/***